

Sokół morski





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

RAFAEL SABATINI

Sokół morski

TEŁUM. JAN BILIŃSKI

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. NĘDZNIK

Oliver Tressilian rozsiadł się wygodnie w pięknej sali jadalnej okazałego domu Penarow¹. Zawdzięczał go przedsiębiorczości nieodżałowanej i pożałowania godnej pamięci ojca, a nadto talentowi i pomysłowości włoskiego budowniczego nazwiskiem Bagnolo, który przed pół wiekiem przybył do Anglii jako pomocnik sławnego Torrigianiego².

Dom ten, o wyjątkowym wprost włoskim wdzięku, wznoszący się w zapadłym kącie Kornwalii³, jak również historia jego budowy zasługują na kilka choćby słów wzmianki.

Włochowi Bagnolo, który łączył w sobie wybitne artystyczne uzdolnienia z awanturniczym, cholerycznym temperamentem, przydarzyło się nieszczęście: podczas burdy w knajpie w Southwark⁴ zabił człowieka, po czym wyniósł się z miasta. W ucieczce przed następstwami krwawego czynu zatrzymał się dopiero na samych krańcach Anglii. Nie wiem, w jakich okolicznościach zawarł znajomość z Tressilianem-ojcem, ale to pewne, że była im obu na rękę. Ralf Tressilian, który, zdaje się, miał wrodzoną słabość do obwiesiów wszelkiego rodzaju, dał zbiegowi schronienie, a Bagnolo w rewanżu ofiarował się odbudować starą, na pół drewnianą rudę Penarrow. Zabrał się do dzieła z zapalem prawdziwego artysty i wyszykował dla swego patrona rezydencję, która w owym barbarzyńskim stuleciu i w zabitym deskami zakątku mogła uchodzić za cud. Pod kierownictwem uzdolnionego budowniczego, który z mistrzem Torrigianim mógł iść w zawody, wyrósł gustowny dwupiętrowy dom z czerwonej palonej cegły, zalany światłem i słońcem, wpadającym przez olbrzymie, smukłe, dwudzielne okna, które strzelały w górę prawie od samego dołu aż po szczyt fasad, ozdobionych filarami. Główne wejście, nad którym wisiał potężny balkon, umieszczono w wysuniętym naprzód skrzydle. Nad tym wszystkim unosił się misterny tympanon⁵ z kolumnadą, teraz częściowo pokrytą zielonym płaszczem pnących roślin. Nad dachem z czerwonej dachówki sterczały majestatycznie pochyle kominy.

Dwór

Ale chwałą Penarrow — oczywiście nowego Penarrow, stworzonego przez płodną fantazję Bagnola — był ogród, wyczarowany z dzikiego pustkowia dokoła starego domu, który stał na samym szczycie wzgórza jak korona. Dzieło Bagnola uzupełniły czas i natura. Mistrz powycinał piękne gazony⁶, zbudował stylowe balustrady, okalające trzy tarasy połączone ze sobą schodami, sam też zrobił szkic fontanny, własną ręką wykuł z granitu osadzonego na niej Fauna⁷ i tuzin innych figur — nimf⁸ i bożków leśnych, których marmur lśnił białym blaskiem wśród ciemnej zieleni. Czas i natura zaś pokryły gołe place miękkim aksamitem, rozkrzewiły piękne bukszpanowe żywopłoty i pomogły wystrzelić czarnym grotom topól, dopełniających istic włoskiego wyglądu tej kornwalijskiej siedziby.

Ogród

Oliver siedział więc w jadalni z uczuciem zadowolenia, zapatrzony w roztaczający się przed nim, oblany blaskiem wrześnieego słońca widok. Znajdował⁹ krajobraz pięknym, a życie przyjemnym.

¹Penarrow — ob. Penarrow Point, wysunięty punkt jednego z półwyspów otaczających Carrick Roads, długą, żeglowną zatokę tworzącą ujście rzeki Fal w Kornwalii (płd.-zach. Anglia). [przypis edytorski]

²Torrighiani, Pietro (1472–1528) — włoski rzeźbiarz renesansowy, działający we Włoszech, Anglii i Hiszpanii. [przypis edytorski]

³Kornwalia — kraina geogr.-hist. w płd.-zach. Anglii, na Płw. Kornwalijskim, pomiędzy M. Celtyckim na północy, a kanałem La Manche na południu. [przypis edytorski]

⁴Southwark — dzielnica Londynu, najstarsza część miasta na płd. brzegu Tamizy; do 1550 Southwark znajdowało się poza kontrolą położonego na płn. od Tamizy Londynu i było schronieniem przestępców i nieuczciwych handlarzy. [przypis edytorski]

⁵tympanon (archit.) — w architekturze romańskiej i gotyckiej: półkoliste lub ostrołukowe pole nad drzwiami, wypełnione rzeźbą lub płaskorzeźbą. [przypis edytorski]

⁶gazon — ozdobny trawnik obsadzony kwiatami i krzewami. [przypis edytorski]

⁷Faun (mit. rzym.) — bóg płodności, pól i lasów, opiekun pasterzy, przedstawiany jako brodaty mężczyzna z kozłimi kopytami i rogami. [przypis edytorski]

⁸nimfa (mit. gr.) — boginka mająca postać młodej, pięknej dziewczyny, uosabiała żywotne siły przyrody. [przypis edytorski]

⁹znajdować (daw.) — uważać, sądzić; odnosić wrażenie; *znajdować coś jakimś*: uznawać coś za jakieś. [przypis edytorski]

Rzadko spotyka się ludzi o tak optymistycznym światopoglądzie, którego źródła tkwiłyby poza ich bezpośrednim otoczeniem. Na optymizm Olivera złożyło się kilka przyczyn. Pierwszą — chociaż zapewne był daleki od uświadomienia jej sobie — stanowił kapitał młodości, dobrobyt i zdrowy żołądek; drugą — zaszczyty i sława zdobyte na hiszpańskich morzach Nowego Świata¹⁰ i podczas walk z Niezwyciężoną Armadą¹¹ — albo raczej podczas walk z niezwyciężoną jeszcze do niedawna Armadą — i otrzymanie od królowej¹² godności rycerza w dwudziestym piątym roku życia; trzecim zaś i ostatnim czynnikiem — a zachowałem go na sam koniec jako najpotężniejszy — był imię¹³ pan Amor¹⁴, który spojrzał nań wreszcie łaskawym okiem i tak sprawy ułożył, że starania Olivera o pannę Rozamundę Godolphin wypłynęły wreszcie szczęśliwie na zupełnie gładką toń.

Sir Oliver siedział więc ogarnięty blegim nastrojem w wysokim, rzeźbionym krześle, z rozpiętym kaftanem, z wyciągniętymi przed siebie nogami, z uśmiechem zamyślenia na mocno zarysowanych ustach, które wówczas jeszcze były ledwie ocienione wąziutką linią wąsów. (Jego opis pióra lorda Henryka pochodzi z czasów późniejszych). Było południe i nasz szlachcic skończył właśnie obiad, o czym świadczyły półmiski, kawałki mięsa i do połowy wypróżniony dzban z winem na skraju stołu. W zamyśleniu puszczał dym z długiej fajki — bo przyswoił był¹⁵ sobie ten cudzoziemski zwyczaj „pociągania” tytoniu — i marzył o swej pani. Czuł w sercu niezmierną wdzięczność dla losu, który tak zręcznie nim pokierował, iż ujrzał się w możliwości rzucenia do stóp Rozamundy tytułu i znacznej porcji sławy.

Oliver był to chłop z głową na karku (przebiegły jak sto diabłów, według opinii lorda Henryka) i nie bez wykształcenia. Lecz ani jego wrodzony spryt, ani też nabyta wiedza nie nauczyły go, jak się zdaje, tej jednej prawdy, że wśród bóstw rządzących przeznaczeniem człowieka nie ma tak złośliwego i przewrotnego, jak właśnie Amor, na którego cześć w tej chwili spalał kadzidło swej fajki. Starożytni wiedzieli, że ów niewinnie wyglądający chłopczyk to okrutny chochlik, i nie dowierzali mu. Lecz sir Oliver albo nie wiedział nic o tym zdrowym ziarnie starożytnej mądrości, albo nie dbał o nie. Miało mu tę prawdę uświadomić dopiero pewne gorzkie doświadczenie; gdy więc jego rozmarzone oczy, roześmiane do słońca, które zalewało taras powodnią światła, natrafiły na padający właśnie z ukosa cień — nie przyszło mu nawet do głowy, że to symbol cienia, który w tej chwili padł na słońce jego życia.

W ślad za cieniem ukazała się rzucająca go postać: coś zabawnie wyczupirzonego pod szerokim czarnym kapeluszem hiszpańskim, na którym chwiały się krwistoczerwone pióra. Wywijając długą, strojną we wstążki laską, postać minęła okna krokiem świadomie majestatycznym, by zaznaczyć, że przychodzi w charakterze fatum¹⁶.

Uśmiech zniknął z ust Olivera. Na jego ciemnobrazowej twarzy pojawił się wyraz troski, czarne brwi ściągnęły się tak mocno, że przedzielała je tylko jedna głęboka bruzda. Powoli jednak uśmiech wrócił, ale już nie jak poprzednio rozmarzony. Zmienił się on w uśmiech pełen zdecydowania, który w miarę jak wyglądało się czoło, ściągał usta i gromadził w myślących oczach jakieś błyski kpiny, a nawet złośliwości.

Wszedł sługa Mikołaj, by oznajmić pana Piotra Godolphina, i tuż za nim wkroczył sam gość, podpierając się ozdobną laską i wywijając szerokim hiszpańskim kapeluszem. Był to wysoki, smukły mężczyzna o przystojnej, wygolonej twarzy, którą znamionowała

¹⁰*hiszpański Nowy Świat* — wyspy M. Karaibskiego oraz tereny stałego lądu otaczające M. Karaibskie i Zat. Meksykańską, które w XVI w. zostały podbite przez Hiszpanów; statki transportujące złoto, srebro, kamienie szlachetne, przyprawy i inne cenne towary z tych kolonii do Hiszpanii były częstym celem ataków wrogich okrętów. [przypis edytorski]

¹¹*Niezwyciężona Armada* a. *Wielka Armada* — słynna wielka flota wojenna wysłana w 1588 przez króla hiszpańskiego Filipa II na podbój Anglii, zniszczona przez burzę oraz ataki szybkich, lekkich okrętów angielskich. [przypis edytorski]

¹²*od królowej* — królowej Anglii Elżbiety I (1533–1603). [przypis edytorski]

¹³*imci*, właśc. *imc* — skrót od starop. wyrażenia grzecznościowego stawianego przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem: jego miłość. [przypis edytorski]

¹⁴*Amor* (mit. rzym.) — bóg miłości, przedstawiany jako skrzydlaty chłopiec z lukim i strzałami. [przypis edytorski]

¹⁵*przyswoił był* — przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą od pozostałych czynności i stanów zapisanych w czasie przeszłym prostym. [przypis edytorski]

¹⁶*fatum* (łac.) — przeznaczenie; los. [przypis edytorski]

pewna wyniosłość; miał nos podobnie jak Oliver zarysowany śmiałym łukiem. Mógł być o dwa, trzy lata młodszy od Olivera. Jego kasztanowate włosy były jak na ówczesną modę nieco za długie. Wyglądał trochę fircykowato¹⁷, ale w granicach dopuszczalnych u ludzi w jego wieku.

Oliver wstał i pochylił swoją olbrzymią postać w powitalnym ukłonie. Elegancki gość począł się dusić chmurą dymu tytoniowego i usiadł, kaszląc i krzywiąc się.

— Jak widzę — wykrztusił — przyswoiłeś pan sobie ten ohydny nałóg.

— Znam bardziej ohydne — odrzekł Oliver z najzupełniejszym spokojem.

— Ani chwili o tym nie wątpię — odparł Godolphin, podkreślając w ten sposób od razu swój zły humor i charakter wizyty.

Oliver przełknął odpowiedź, która byłaby ułatwiła gościowi przeprowadzenie zamierzeń, pozostających w sprzeczności z jego własnymi planami.

— Zatem musi się pan — odparł — pogodzić z moimi brakami. Nick, krzesło dla pana Godolphina i jeszcze jeden puchar. Witam pana w Penarrow!

Szyderczy grymas pojawił się na bladej twarzy młodzieńca.

— Obawiam się, że nie będę mógł się panu odwzajemnić równie uprzejmym powitaniem u siebie.

— Nie przypuszczam, by miał pan prędko do tego okazję — odparł Oliver spokojnie, z nutą niezupełnie szczerego humoru.

— A kiedyż pan ją stworzy?

— Mam na myśli gościnność pańskiego domu — wyjaśnił Oliver.

— To właśnie sprawa, o której przyszedłem z panem pomówić.

— Czy nie zechciałby pan usiąść? — Oliver zaprosił go, wskazując podane przez Mikołaja krzesło, po czym gestem odprawił służącego.

Godolphin zignorował zaproszenie.

— Słyszę — zaczął — że nie dalej jak wczoraj był pan we dworze Godolphin — przerwał, a gdy Oliver nie zaprzeczył, dodał z naciskiem: — Przyszedłem panu oznajmić, iż z radością się wyrzekniemy zaszczytu pańskich odwiedzin.

Wobec tej ciśniętej w twarz zniewagi Oliver zbladł, lecz siłą woli zapanował nad sobą.

— Zechciej zrozumieć, Piotrze — odparł wolno — że powiedziałaś trochę za wiele, chyba że chcesz to jeszcze uzupełnić — przerwał, wpatrując się chwilę w gościa. — Nie wiem, czy Rozamunda powiedziała ci, że właśnie wczoraj wyświadczyła mi zaszczyt, godząc się zostać moją żoną...

— To jeszcze dziecko, które nie ma własnego sądu — wybuchnął Godolphin.

— Czy istnieje jakiś rozumny powód, dla którego miałyby swój zamysł zmienić? — spytał Oliver tonem lekko wyzywającym.

Pan Godolphin usiadł, założył nogę na nogę i umieścił kapelusz na kolanach.

— Nawet tuż — odpowiedział — lecz nie widzę potrzeby ich przytaczać. Powinno ci wystarczyć przypomnienie, że Rozamunda ma dopiero siedemnaście lat i że ja i sir John Killigrew jesteśmy jej opiekunami. Ani sir John, ani ja nie zgodzimy się na te zaręczyny.

— Niewielka szkoda! — huknął Oliver. — Któż prosi ciebie czy sir Johna o przyzwolenie? Z bożą pomocą twoja siostra wyrośnie wkrótce na kobietę i będzie panią swej woli. Mnie się ze ślubem tak gwałtownie nie spieszy, a z usposobienia jestem, jak sam mogłeś to zauważyć, człowiekiem podziwu godnej cierpliwości. Poczekam. — I pociągnął fajkę.

— Czekanie nic panu nie pomoże. Proszę mnie dobrze zrozumieć! Postanowienie nasze, to znaczy Johna i moje, jest niezłomne.

— Naprawdę? Mój Boże! Proszę przysłać do mnie sir Johna, by mnie o swoim postanowieniu osobiście zawiadomił, a ja go z kolei powiadomię o swoim. Proszę mu donieść ode mnie, panie Godolphin, że jeśliby chciał się pofatygować do Penarrow, to zrobię z nim to, co kat dawno już zrobić powinien. Obetnę mu uszy własnoręcznie!

— Tymczasem — odparł Godolphin ostrym tonem — może pan zechce nie wypróbować swych zbójceckich zapędów na mnie?

— Na pana?! — rzekł Oliver ze wzgardą, zaprawioną dobrym humorem. — Nie jestem mordercą żółtodziobów, mój chłopcze. Pan nadto jesteś jej bratem i nie zamierzam piętrzyć dalszych przeszkód na swej drodze — zmienił ton, przechylił się przez stół. —

¹⁷fircyk — lekkoduch, modniś, elegant. [przypis edytorski]

Słuchaj, Piotrze, co u licha siedzi na dnie tego wszystkiego? Czy nie dałoby się tych spraw spornych, które według ciebie istnieją, załagodzić drogą pokojową? Powiedz, o co chodzi. To nie Johna sprawa. Ten stary kutwa się nie liczy. Ale ty co innego. Jesteś jej bratem. No, wylej swoje żale! Bądźmy wobec siebie szczerzy, bądźmy przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi? — szydził gość. — Nasi ojcowie byli dla nas w tym względzie przykładem!

— Co nam do tego, co nasi ojcowie robili? To tylko wstyd, że będąc sąsiadami, nie potrafili być przyjaciółmi. Czy mamy taki żalosny przykład naśladować?

— Nie zechce pan chyba twierdzić, że wina leżała po stronie mojego ojca?! — krzyknął Godolphin, wybuchając w pasji.

— Nic nie twierdzę, chłopcze. Ganię ich obu.

— Do pioruna! — zaklął Godolphin. — Zniesławia pan zmarłego?

— Jeżeli w ogóle, to obu. Ale daleki jestem od tego. Potępiam ich jedynie za tę winę, którą by sami musieli uznać, gdyby mogli wstać z martwych.

— Proszę ograniczyć swoje potępienie tylko do własnego ojca, z którym żaden szanujący się człowiek nie mógł być na dobrej stopie...

— Powoli, powoli, łaskawco...

— Dlaczego powoli?! Ralf Tressilian był hańbą, zakałą tej okolicy. Na całej przestrzeni stąd aż po Truro¹⁸ czy Helston¹⁹, w każdej wsi aż się roi od dużych tressiliańskich nosów na pamiątkę pana rozwiązłego ojca.

Oczy Olivera wyglądały jak szparki. Uśmiechnął się.

— Dziwi mnie, skąd się u pana wziął taki sam nos!

Godolphin, wściekły, zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło, na którym siedział.

— Panie! — wybuchnął. — Pan bezczęści pamięć mojej matki!

Oliver roześmiał się.

— Prawda, może na zbyt wiele sobie pozwalam, ale to tylko odwet za pańskie uprzejmości na rachunek mego ojca.

Godolphin oniemiał. Zatrząśł się z gniewu, przechylił przez stół, porwał swoją długą łaskę i uderzył nią mocno Olivera w plecy, po czym ruszył z godnością ku drzwiom. W połowie drogi zatrzymał się jednak.

— Oczekuję pańskich sekundantów — rzucił.

Oliver roześmiał się znowu.

— Przypuszczam, że nie będę się trudził ich przysyłaniem.

Godolphin odwrócił się, by spojrzeć Oliverowi w twarz.

— Co? Schowa pan to do kieszeni?

Oliver wzruszył ramionami.

— Nikt tego nie widział — odparł.

— Ale ja wszędzie rozpowiem, że zdzieliłem cię kijem.

— Jeżeli to zrobisz, podam tylko do publicznej wiadomości, że jesteś łgarzem, bo nikt ci nie uwierzy — znowu zmienił ton. — Piotrze, zachowywaliśmy się niegodnie. Co się tyczy uderzenia, przyznaję, że na nie zasłużył. Matka jest dla człowieka większą świętością niż ojciec. Jesteśmy więc skwitowani. Czy i w innych sprawach nie moglibyśmy dojść do porozumienia? Co nam przyjdzie z tego przewlekania niemądrej waśni naszych ojców?

— Dzieli nas coś więcej niż to — odparł Godolphin. — Nie chcę wydawać siostry za mąż za korsarza.

— Korsarza? Mój Boże! Rad jestem, że nikt cię nie słyszy, twoje słowa zakrawają na zdradę stanu, skoro sama królowa pasowała mnie na rycerza za moje czyny na morzu. Tak, tak, mój chłopcze, co zaaprobowała królowa, to może śmiało zaaprobować także i pan Piotr Godolphin, a nawet jego mentor, sir John Killigrew. Jesteś jego narzędziem. To on cię tu przysłał.

— Nie jestem jego narzędziem — odparł Godolphin gwałtownie, dotknięty podejrzeniem, tym bardziej że było ono prawdą.

¹⁸Truro — stolica i główny ośrodek miejski Kornwalii; ok. 15 km na płn. od Penarrow. [przypis edytorski]
¹⁹Helston — miasteczko w Kornwalii, ok. 20 km na pld.-zach. od Penarrow; najbardziej na południe wysunięte miasto Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

— Nazywać mnie korsarzem to głupie gadanie. Hawkins²⁰, z którym odbywałem razem wyprawę morską, został również pasowany, a kto nas obraża w ten sposób, lży samą królową. Zresztą, pomijając tę godność, która widać nie ma łaski w twych oczach, powiedz, co mi ponadto możesz zarzucić? Sądzę, że jestem tak dobry, jak każdy inny w Kornwalii. Rozamunda zaszczyca mnie swą przychylnością, a prócz tego jestem bogaty i będę jeszcze bogatszy, nim mi zadzwonią weselne dzwony.

— Wzbogacony zdobyczami wypraw łupieskich na morzu, wzbogacony skarbami zatopionych okrętów i sumami uzyskanymi ze sprzedaży niewolników, zagarniętych w Afryce, wzbogacony jak wampir, który opił się krwi swoich ofiar.

— Czy to słowa sir Johna? — zapytał Oliver głosem spokojnym, lecz przenikliwym jak stal.

— To moje słowa!

— Słyszałem, jak je wygłaszałeś, ale pytam, od kogoś się wyuczył tej zajmującej lekcji. Zapewne sir John jest twoim mistrzem? Tak, tak, jakbym go słyszał. Nie trudź się z odpowiedzią. Już ja się nim zajmę. Tymczasem pozwolisz, że odsłonię źródło tej bezinteresownej nienawiści twego patrona. Zobaczysz, jaki to zacny i nieskazitelny szlachcic ten sir John, który był przyjacielem twojego ojca i twoim opiekunem.

— Nie zamierzam nawet tego słuchać.

— Ależ musisz, odwzajemniając się choćby za to, żem słuchał, co on o mnie mówił. Sir John stara się o pozwolenie zabudowania ujścia Falu²¹. Spodziewa się, że dokoła zatoki powstanie miasto pod osłoną dóbr Arwenack²². Uduje szlachetnie bezinteresownego, zasłania się pomyślnością kraju, nie wspomina jednak o tym, że chodzi mu o własne posiadłości, że zysk własny jest jego główną troską. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkaliśmy się w Londynie, gdy zabiegał na dworze koło swej sprawy. Ale tak się złożyło, że i ja jestem zainteresowany w Truro i Penryn²³; postępuję jednak inaczej niż sir John, jestem uczciwy, wyznaję otwarcie. Jeżeli Smithick²⁴ z powodu korzystniejszego położenia ma się rozrastać, to ucierpi na tym Truro i Penryn, a to mi jest tak samo nie na rękę, jak ich rozwój sir Johnowi. Powiedziałem mu to, bo umiem być szczery, jak również przedstawiłem sprawę królowej w petycji, którą wystosowałem przeciwko petycji sir Johna — wzruszył ramionami. — Chwila była dla mnie pomyślna. Należałem do tych, którzy zniszczyli Niezwyciężoną Armadę króla Filipa. Dlatego mnie nie odmówiono, sir John zaś został odprawiony z kwitkiem. Czyż można się dziwić, że mnie teraz nienawidzi? Wiedząc dobrze, kim on jest, rozumiem doskonale, dlaczego nazywa mnie korsarzem i Bóg wie czym jeszcze. To przedstawianie moich zasług na morzu w fałszywym świetle jest zupełnie wytłumaczone, one bowiem właśnie dały mi możliwość wytrącenia mu zysku z rąk. W tej walce za broń obrał sobie oszczerstwa, nie jest to jednak moja broń, co mu dziś jeszcze udowodnię. Jeżeli nie wierzysz temu, co mówię, chodź ze mną, bądź świadkiem mojej pogawędki z tym obłudnym kramarzem.

— Zapomina pan — odparł Godolphin — że ja też jestem zainteresowany w Smithick i okolicach i że pan miesza i moje szyki.

— Ach, tak! — triumfował Oliver. — Nareszcie słońce prawdy zaczyna się przedzierać przez to święte oburzenie na moją tressilianską krew i zbójckie rzemiosło! Więc i pan jest również kramarzem! Co to za głupota z mojej strony wierzyć w pańską rzetelność i rozprawiać z panem tak długo jak z uczciwym człowiekiem! — głos Olivera pełen był pogardy, która smagała Godolphina jak bicz. — Przysięgam, że nie zniżałbym się do rozmowy z panem, gdybym wiedział, jaki nędznik stoi przede mną.

²⁰Hawkins, John (1532–1595) — angielski żeglarz, jeden z pierwszych angielskich handlarzy niewolników; od 1577 skarbnik floty angielskiej, uczestnik bitwy z hiszpańską Armadą (1588). [przypis edytorski]

²¹Fal — rzeka w Anglii, w Kornwalii, uchodząca do kanału La Manche w Falmouth, przez zatokę Carrick Roads, tworzącą jeden z najdłuższych na świecie naturalnych portów. [przypis edytorski]

²²Arwenack — zabytkowy dwór na terenie dzisiejszego miasta Falmouth w Kornwalii, dawna siedziba bogatej rodziny szlacheckiej Killigrew, częściowo zniszczona w 1646. [przypis edytorski]

²³Penryn — miasteczko w Kornwalii, nad rzeką Penryn; do poł. XVII w. główny ośrodek miejski w okolicy; ob. na przedmieściu Falmouth. [przypis edytorski]

²⁴Smithick — dawna niewielka osada w Kornwalii, która w 1613 z inicjatywy sir Johna Killigrewa stała się zalążkiem szybko rozwijającego się miasta Falmouth u ujścia rzeki Fal (ob. stanowi dzielnicę tego miasta), przeciw czemu protestowali mieszkańcy Penryn, Helston i Truro; w 1661 dzięki staraniom sir Petera Killigrewa Falmouth otrzymało od króla Karola II prawa miejskie. [przypis edytorski]

— Te słowa... — zaczął Godolphin, prostując się zuchwale przed Oliverem.
— ...nie są jeszcze wszystkim, na co zasłużyłeś — przerwał mu Oliver. — Mikołaj!
— Odpowiesz mi za to! — rzucił gość.
— Właśnie teraz odpowiadam — rzekł Oliver surowo. — Więc to tak? Nachodzić mnie tu i opowiadać o rozwiązłym życiu mego ojca, o starej waśni rodzinnej, o jakichś z palca wyssanych wyprawach zbójceckich, krytykować moje obyczaje, by uzasadnić, dlaczego nie mogę się ożenić z pańską siostrą, podczas gdy prawdziwą przyczyną jest kilka marnych funtów szterlingów²⁵ na rok, w których zagarnięciu stoję wam na przeszkodzie! Precz stąd!

W tej chwili wszedł Mikołaj.

— Jeszcze usłyszysz o mnie, sir Oliverze! — zakrzyknął Godolphin, błady z wściekłości. — Zdasz mi rachunek z tych słów!

— Nie biję się z... z nędznikami! — wypalił Oliver.

— Śmiesz mnie tak nazywać?

— Oczywiście, muszę zedrzyć z ciebie płaszczyk honoru, w który się nieprawnie przystroiłeś! Mikołaj, drzwi dla Godolphina.

II. ROZAMUNDA

Sir Oliver ochłonął zaraz po odejściu Godolphina. Rozważając na zimno sytuację, zły był na siebie, że się tak uniósł i do istniejących już bardzo poważnych przeszkód, jakie go od Rozamundy dzieliły, dodał jeszcze jedną. Naraz gniew jego zmienił kierunek i uderzył huraganem w sir Johna Killigrewa. Postanowił z nim na świeżo wyrównać rachunki. Tak też zrobi, do pioruna!

Ryknął na Mikołaja, by mu przyniósł buty.

— Gdzie pan Lionel? — zapytał, gdy sługa spełnił polecenie.

— Właśnie dopiero co przyjechał.

— Poproś go tu.

Bezzwłocznie, stawiając się na wezwanie, wszedł przyrodni brat Olivera — smukły młodzik, podobny do matki, drugiej żony rozwiązłego Ralfa Tressiliana. Olivera nie przypominał w niczym. Był piękny, ale tą delikatną, prawie kobiecą urodą: zgrabnej filigranowej budowy, miał włosy koloru złota, a oczy ciemnoniebieskie. Było w nim coś ujmującego, młodzieńczy wdzięk dwudziestoletniego chłopca ubierającego się ze starannością dworskiego modnia.

— Ten pies Godolphin był u ciebie? — zapytał, wchodząc.

— Tak — odburknął Oliver. — Przyszedł, by mi kilka rzeczy powiedzieć, a kilka innych usłyszeć.

— Aha, minąłem go właśnie za bramą. Na moje pozdrowienie okazał się głuchy i niemy. To przekłety szczeniak.

— Znasz się na ludziach, Lal — Oliver wstał już obuty. — Jadę do Arwenack wymienić z sir Johnem grzeczności.

Mocno zaciśnięte usta i wyraz zawziętości uzupełniły jego słowa tak wymownie, że Lionel ujął go za ramię.

— Ty chyba nie...

— Właśnie tak. — I by uspokoić wyraźnie zaniepokojonego chłopca, poklepał go serdecznie po ramieniu. — Sir John gada za wiele. To wada, której należy się pozbyć. Idę go nauczyć cnoty milczenia.

— Ależ z tego wynikną kłopoty, Oliverze.

— Owszem, dla niego. Człowiek, który pozwala sobie nazywać mnie korsarzem, handlarzem niewolników, mordercą i Bóg wie czym jeszcze, musi ponieść konsekwencje. Późno wracasz, Lal. Gdzie byłeś?

— Dojechałem aż do Malpas²⁶.

²⁵*funt szterling* — angielska jednostka monetarna. [przypis edytorski]

²⁶*Malpas* — wioska w Kornwalii, u zbiegu rzek Truro i Tresillian, ok. 3 km na pld.-wsch. od miasta Truro, ok. 20 km podróży na pln. lądem z Penarrow. [przypis edytorski]

— Aż do Malpas? — przymrużył oczy, jak to miał w zwyczaju. — Słyszałem już, jaki to magnes ciągnie cię w tamtą stronę. Ale ostrożnie, chłopcze! Za często jeździsz do Malpas.

— Jak to? — zapytał Lionel ozięble.

— Mam na myśli, że jesteś synem swojego ojca. Pamiętaj o tym i staraj się nie iść w jego ślady, by cię to nie doprowadziło do równie smutnego końca. Właśnie uroczy pan Godolphin przypomniał mi te jego upodobania. Mówię ci, nie jeźdz za często do Malpas. — Serdeczny uścisk starszego brata złagodził nieco złość Lionela.

Gdy Oliver wyszedł, Lionel usiadł do stołu. Jadł mało i w ciągu krótkiego posiłku ani razu nie odezwał się do starego sługi. Był bardzo zasepiony. W myślach towarzyszył bratu w jego przykrej misji do Arwenack. Killigrew nie był dzieckiem, lecz człowiekiem silnej ręki, żołnierzem, marynarzem. Gdyby Olivera co złego spotkało... Zadrżał na samą myśl o tym, a następnie, zupełnie mimo woli, zaczął rozważać następstwa, jakie by dlań z tego wynikły. Jego położenie zasadniczo by się zmieniło. Przerażony, próbował uwolnić się od tych potwornych myśli, lecz uporczywie wracały. Nie dawały się odegnąć. Zmuszały go do rozpatrywania własnej pozycji.

Wszystko, co miał, zawdzięczał łasce brata. Rozwiązyły ojciec zmarł, jak zwykle ludzie tego rodzaju, pozostawiając majątek mocno obciążony i wiele długów. Nawet na dom w Penarrow była zaciągnięta pożyczka, a suma tą drogą uzyskana została przepita, przegrana w karty lub wydana na którąś z licznych kochanek Ralfa Tressiliana. Potem Oliver sprzedał małą posiadłość w pobliżu Helston, odziedziczoną po matce; wykwipował okręt i popłynął z Hawkinsem na jedną z tych wypraw, które sir John Killigrew miał wszelkie prawo nazywać korsarskimi. Powrócił ze znaczną zdobyczą w gotówce i kosztownościach, co mu umożliwiło odciążenie z długów ojcowizny. Popłynął znowu na morza i wrócił jeszcze bogatszy, gdy tymczasem Lionel siedział w domu, używając wczasu²⁷. Lubił wygodę. We krwi miał gnuśność i utracjuszostwo, co zwykle idzie w parze. Nie był urodzony do pracy ani walki, a nikt nie myślał nigdy o poprawie jego charakteru. Czasem zastanawiał się nad swoim losem, w razie gdyby Oliver się ożenił. Czuł lęk, że jego życie nie będzie już tak wygodne, jak dotąd. Ale nie był to nawet lęk we właściwym tego słowa znaczeniu. Nie leżało to w jego naturze — jak troska o przyszłość nie należy w naturze ludzi tego pokroju. Zwykle uciekał się do argumentu, że Oliver mimo wszystko go kocha i niewątpliwie zapewni mu wszystko, co trzeba.

Pod tym względem miał całkowitą słuszność. Oliver był mu raczej ojcem niż bratem. Gdy przyniesiono ojca do domu ze śmiertelną raną, zadaną mu przez zdradzanego męża — wstrząsającym widowiskiem była śmierć tego grzesznika, zdjętego nagłą, pełną przerażenia skruchą. Wtedy to umierający powierzył Lionela opiece starszego brata. Oliver miał wówczas lat siedemnaście, Lionel zaś dwanaście. Lecz Oliver znacznie wyprzedził swe lata; Ralf Tressilian przeto pokładał pełną ufność w krzepkim, bystrym synu z pierwszego małżeństwa. Do niego też skierował wstrząsające słowa skruchy z powodu życia, jakie prowadził, i z powodu opłakanego stanu, w jakim pozostawił majątek. O Olivera był spokojny. Jakieś przecucie umierających mówiło mu, że Oliver należy do tych, co zawsze wychodzą zwycięsko, co rzucają sobie świat cały do stóp. Lękiem napępiał go Lionel, którego przyszłość tą samą przenikliwością ostatnich chwil przeziął na wskroś. Stąd owo wzruszające polecenie go Oliverowi i ślubowanie starszego syna, że będzie młodszemu ojcem, matką i bratem.

Wszystko to teraz przemknęło przez głowę Lionela, gdy tak siedział w bezruchu i walczył z przerażającą myślą, która mu się ciągle naprzykrzała, że z niepomyślnego dla brata przebiegu sprawy w Arwenack dla niego wyniknąć może tylko korzyść, że to, co jest obecnie łaską Olivera, stanie się jego niezaprzeczalnym prawem. Diabeł kusił go, szepcząc mu szyderczo do ucha, że jego ból z powodu śmierci brata nie byłby zbyt długotrwały.

Buntując się przeciw tym podszeptom potwornego egoizmu, które w momentach szlachetnych uniesień napawały go przerażeniem, uprzątnął sobie niezachwianą, zawsze jednaką miłość Olivera. Stawała mu przed oczyma ta troskliwość i serdeczność, jaką go Oliver otaczał przez ubiegłe lata; przeklinał podłość swej duszy, w której mogły po-

²⁷ *wczas* (daw.) — odpoczynek, wypoczynek, beczynność. [przypis edytorski]

wstać podobne myśli. Ta gwałtowna walka między głosem sumienia a samolubstwem, ten zamęt uczuć tak go wzburzył, że zerwał się nagle, wołając:

— *Vade retro, sathanas!*²⁸

Stary Mikołaj poderwał się — ujrzał woskową twarz Lionela i czoło zroszone potem.

— Paniczu! Paniczu! — wołał, wpatrując się z niepokojem w jego twarz małymi, pocziwymi oczami. — Czy jakie nieszczęście?

Lionel otarł czoło.

— Sir Oliver pojechał do Arwenack, by się zemścić — powiedział.

— No to co z tego? — zapytał Mikołaj.

— Pojechał, by ukarać sir Johna za oszczerstwa rzucane na niego.

Na ogorzałej twarzy Mikołaja rozlał się uśmiech.

— Tak? Dalibóg, najwyższy był czas. Sir John zawsze miał za długi język.

Lionel był zdumiony niezłomną ufnością służącego w powodzenie Olivera.

— Ty... ty... Mikołaju... nie obawiasz się... — nie dokończył.

Lecz służący zrozumiał i jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

— Bać się? Boże drogi! Ja nie obawiam się o sir Olivera i panicz niech będzie spokojny. Sir Oliver wróci do domu na wieczerzę, z tą tylko różnicą, że będzie miał wilczy apetyt, bo walka tak jedynie na niego działa.

Wypadki potwierdziły przewidywania służącego, choć Oliver przez małą omyłkę nie spełnił w całej rozciągłości tego wszystkiego, co sobie postanowił. W gniewie, w poczuciu krzywdy odznaczał się krwiożerczością i niepohamowaniem. (Ten rys ciągle biograf jego podkreśla i sam czytelnik się o tym przekona, zanim opowiadanie dobiegnie końca). Jechał do Arwenack z niezłomnym postanowieniem zabicia oszczercy. Nic innego nie mogło mu dać zadośćuczynienia. Przybył do zamku Killigrew, zdobnego w blanki, dominującego nad wjazdem do zatoki Fału, z którego strzelnic można było ogarnąć całą okolicę aż do Lizard²⁹, w promieniu piętnastu mil³⁰. Zastał tu już Piotra Godolphina. Ta okoliczność podziałała hamująco na Olivera. Zażądał oczyszczenia go w oczach brata Rozamundy, by się przekonał, jak złośliwe i podle były rozsiewane przez sir Johna oszczerstwa.

Lecz sir John podjął rękawicę. Jego nienawiść do „korsarza z Penarrow” — jak nazwał Olivera — uczyniła jego zapal do walki równym zapalowi Olivera.

Do załatwienia sprawy wybrali ustronny zakątek parku. Tu sir John, szczupły, błąd szlachcic około czterdziestu lat, natarł mieczem w prawej i sztyletem w lewej, zastępującym tarczę, z taką samą gwałtownością, z jaką poprzednio atakował Olivera w słowach. Lecz zaciekłość ta na nic mu się zdała. Oliver przybył z jasno wytkniętym celem, a każde zamierzenie zwykł przeprowadzać do końca.

W trzy minuty później Oliver wycierał troskliwie klingę, sir John zaś leżał na murawie, wypływając krew, opatrywany przez pobladłego Piotra Godolphina i przerażonego stangreta, który był obecny przy pojedynku jako świadek.

Oliver wsunął miecz do pochwy, wdział kaftan i stanął nad leżącym wrogiem, przyglądając mu się badawczo.

— Sądzę, że uciszyłem go, na pewien czas przynajmniej — rzekł. — Przyznam się, że miałem zamiar zrobić to dokładniej. Spodziewam się jednak, że ta nauczka wystarczy i że nie będzie więcej rzucał oszczerstw, w każdym razie nie pod moim adresem.

— Naigrawasz się z powalonego? — zawołał Godolphin oburzony.

— Boże broń — odparł Oliver spokojnie. — Naigrawanie się nie leży w mojej naturze. W sercu czuję tylko żal, że nie załatwił sprawy do końca. Przechodząc, przysięgam z domu ludzi do pomocy. Do widzenia, panie Godolphin.

W drodze powrotnej wstąpił do Penryn. Zatrzymał się przy bramie dworu Godolphin, wznoszącego się na szczycie wzgórza Trefusis³¹, widocznego z dala, aż po Carrick Roads³².

²⁸*Vade retro, sathanas* (łac.) — idź precz, szatanie. [przypis edytorski]

²⁹*Lizard* — półwysp w pld.-zach. Kornwalii, na którego południowym końcu znajduje się przylądek Lizard Point, najbardziej na południe wysunięty punkt wyspy Wielka Brytania. [przypis edytorski]

³⁰*mila angielska* — anglosaska miara odległości równa ok. 1,6 km. [przypis edytorski]

³¹*Trefusis* — posiadłość w pobliżu Flushing w pld. Kornwalii; także nazwa położonego na pld. od niej przylądka (Trefusis Point), odległego o ok. 1,5 km na pld. od Penarrow Point. [przypis edytorski]

³²*Carrick Roads* — zatoka w Anglii, na południowym wybrzeżu Kornwalii, stanowiąca ujście rzeki Fal. [przypis edytorski]

Skręcił ku podjazdowi i stanąwszy na wybrukowanym dziedzińcu, kazał się zapowiedzieć pannie Rozamundzie.

Zastał ją w buduarze³³, miłym pokoju w kształcie rotundy, znajdującym się we wschodnim skrzydle dworu, o oknach wychodzących na czarowne zwierciadło rzeki i na pokryte lasem zbocza. Siedziała we wnęce wysokiego okna z książką na kolanach. Wszedł oznajmiony przez Sally Pentreath, ongiś piastunkę Rozamundy, obecnie pokojową.

Podniosła się z okrzykiem radości, gdy stanął schylony w drzwiach, nie dość dla niego wysokich; oczy jej jaśniały, twarz oblał rumieniec.

Czy trzeba ją opisywać? Nie było chyba poety angielskiego, który by nie opiewał urody i wdzięku Rozamundy Godolphin, opromienionej sławą, którą miał jej później przynieść Oliver Tressilian. Podobnie jak brat, miała złote włosy i była bardzo wysoka, choć w tym dziewczęcym okresie w stosunku do wzrostu nieco za szczupłą.

— Nie spodziewałam się ciebie tak prędko... — zaczęła i spostrzegła, że twarz Olivera była niezwykle poważna. — Co... co się stało? — zawołała, przeczuwając instynktownie jakieś nieszczęście.

— Nic takiego, co by cię miało przerażać, droga, ale coś, co cię będzie gniewać. — Objął jej gibką talię powyżej sutej krynoliny i poprowadził do krzesła. Sam zajął miejsce obok, we wnęce okiennej. — Miałas dla sir Johna pewne przywiązanie? — rzekł pytająco.

— Oczywiście. Był naszym opiekunem przed dojściem brata do pełnoletności.

Sir Oliver skrzywił się.

— Ach, to kłopot. A więc zabiłem go.

Wzdrygnęła się i odsunęła od niego; widział, jak w jej oczach odbiło się przerażenie, a twarz zbladła. Pospieszył więc z wyjaśnieniem. Opowiedział jej krótko o oszczerstwach, jakie sir John pod jego adresem rozsiewał, odgrywając się za to, że Oliver udaremnił jego starania o pozwolenie na zabudowanie Smithick.

— To byłoby jeszcze nic — zakończył. — Wiedziałem, że krążą o mnie uwłaczające plotki, lecz gardziłem nimi tak samo, jak tymi, którzy je rozpuszczali. Ale, droga Rozo, on posunął się dalej; wsączył w moje serce jad niechęci do twego brata i rozdmuchał w nim dawną nienawiść, jaka za czasów naszych ojców dzieliła nasze rody. Dziś przyszedł do mnie Piotr z wyraźnym zamiarem wszczęcia kłótni. Zelżył mnie tak, jak dotąd nikt się nie odważył.

Wydała okrzyk oburzenia. Jej niepokój wzmógł się. Oliver odpowiedział na to uśmiechem.

— Nie myśl, że mu zrobiłem coś złego. Jest twoim bratem, a przeto nietykalnym dla mnie. Przyszedł mi oznajmić, że małżeństwo nasze jest niemożliwe, zakazał mi pokazywać się w Godolphin, nazwał mnie korsarzem, wampirem i zbezczeszczył pamięć mego ojca. Odkryłem, że źródłem tego wszystkiego jest Killigrew, i popędziłem prosto do Arwenack, by to źródło fałszu i podłości unieszkodliwić na zawsze. Nie spełniłem wszystkiego, com sobie postanowił. Widzisz, moja droga, jestem szczery. Możliwe, że sir John będzie żył. W takim razie przypuszczam, że nauczka dzisiejsza wyjdzie mu na dobre. Przyjechałem stamtąd wprost do ciebie, byś się ode mnie pierwszego o tym dowiedziała, zanim ktoś inny opowie ci zmyślane historie, by mnie w twych oczach pogrążyć.

— Masz na myśli... Piotra? — zawołała.

— Niestety! — westchnął.

Siedziała długo bez słowa, pobladła, patrząc prosto przed siebie. Wreszcie odezwała się:

— Nie umiem czytać w sercach mężczyzn, nie znam ich — mówiła smutnym, cichym głosem. — I skąd miałam się tego nauczyć, prowadząc życie prawie klasztorne? Opowiadano mi o tobie, że jesteś niepohamowany i gwałtowny, złośliwy, pochopny do zuchwałych czynów, bezwzględny i okrutny.

— Więc i ty słuchałaś sir Johna — zaśmiał się z goryczą.

— To wszystko mi opowiadano — ciągnęła dalej, jakby nie słysząc jego uwagi — ale nie dawałam temu wiary, bo oddałam ci serce. A jednak... czego dowodem ma być to, coś zrobił dzisiaj?

— Dowodem świętej cierpliwości — rzekł.

³³*buduar* — pokój pani domu służący do odpoczynku. [przypis edytorski]

— Cierpliwości? — powtórzyła jak echo, a usta wykrzywił jej ironiczny śmiech. — Chyba drwisz ze mnie?

Oliver usiadł.

— Mówiłem ci, co zrobił sir John. Mówiłem też, że o tym wszystkim, co godziło w mój honor, wiedziałem już od dawna, nie mając wątpliwości, że to sprawa sir Johna. Ale znosiłem to w milczeniu i pogardzie. Czy to ma dowodzić, że jestem gwałtowny? Czy to nie był dowód cierpliwości z mej strony? I gdy on w swej nienawiści usiłuje odsunąć mnie od źródła mego szczęścia, przysyłając twego brata, by mnie łżył — w dalszym ciągu daję dowody anielskiej cierpliwości, widzę w nim jedynie ślepe narzędzie i zwracam się przeciw ręce, która nim kieruje. Ponieważ znałem twoje przywiązanie do sir Johna, pozwoliłem mu już na tyle, na ile żaden człowiek honoru w Anglii nie byłby pozwolił.

Widząc, że Rozamunda ciągle unika jego wzroku i siedzi zdjeta grozą, zaczął przemawiać goręcej. Upadł przy jej krześle na kolana, ujawniwszy w swe silne ręce jej delikatne dłonie, bezwładnie opuszczone w dół.

— Rózo — zawołał, a w jego głosie brzmiała prośba — zapomnij o wszystkim, coś słyszała, a rozważ tylko to jedno: wyobraź sobie, że mój brat Lionel przyszedł do ciebie i powołując się na braterską władzę i autorytet, oświadcza ci kategorycznie, że nigdy mnie nie posłubisz, przysięga, że się sprzeciwi takiemu megalomani, bo uważa cię za kobietę niegodną noszenia mego nazwiska; wyobraź sobie dalej, że w dodatku bezczęści świętą pamięć twego ojca — jaką wówczas dałabyś mu odpowiedź? Mów, Rózo! Bądź uczciwa wobec siebie i mnie! Postaw się w moim położeniu i powiedz sumiennie, czy możesz mnie potępiać za to, co zrobiłem? Czy to bardzo odbiega od tego, co ty byś zrobiła w podobnym wypadku?

Oczy jej spoczęły z uwagą na jego podniesionej ku górze twarzy, której każdy rys domagał się bezstronnego wyroku. Wydawała się zakłopotana. Dotknęła rękami jego ramion i zajrzała mu głęboko w oczy.

— Przysięgasz mi, Noll, że wszystko jest tak, jak mi opowiedziałeś? Żeś nic nie dodał i nic nie zmienił, by przedstawić rzecz korzystniejszą dla siebie?

— Więc aż przysięgi ci mojej potrzeba? — zapytał z żalem.

— Gdyby dopiero przysięg było potrzeba, nie kochałabym cię. Ale w takiej chwili chcę wyraźnego zapewnienia. Bądź wyrozumiały dla mnie i wspaniałomyślny, bym miała siłę oprzeć się wszystkiemu, czego jeszcze mi przyjdzie o tobie wysłuchać!

— Bóg mi świadkiem, że ci opowiedział tylko szczerą prawdę — przysięgał uroczście.

Pochyliła głowę na jego piersi i cicho łkała. Załamało ją to wszystko, co znosiła dotąd w milczeniu i tłumiła w sobie od chwili, gdy wyznał jej miłość, i co wzbierało w niej od dawna.

— Wierzę więc — rzekła — żeś postąpił, jak należało. Wierzę tak jak ty, że mężczyzna szanujący swój honor inaczej postąpić nie może. Muszę ci wierzyć, Noll, bo w przeciwnym razie straciłabym wiarę we wszystko i musiałabym pogrzebać wszelkie nadzieje. Jestem szczęśliwa, że nie ma w tobie fałszu.

— Takim będę zawsze, najdroższa — wyszeptał gorąco. — Czyż mógłbym być inny, skoro ty jesteś moim aniołem?

Znów spojrzała na niego i uśmiechnęła się łagodnie przez łzy:

— I będziesz cierpliwy dla Piotra? — wyrzekła błagalnie.

— Nie zdoła mnie wyprowadzić z równowagi — odparł. — To ci również obiecuję. Czy wiesz, że on mnie dziś uderzył?

— Uderzył cię? Tego mi nie mówiłeś!

— Bo to nie była jego wina, tylko tego niegodziwca, który go przysłał. Przyjąłem uderzenie z uśmiechem. Przecież on jest dla mnie nietykalny!

— To w gruncie rzeczy pocziwy chłopak, Noll — ciągnęła dalej. — Przyjdzie czas, że pokocha cię tak, jak na to zasługujesz, a i ty dojdiesz do przekonania, że jest wart twojej miłości.

— I teraz na nią zasługuje za uczucia, jakie żywi dla ciebie.

— Będziesz tak myślał zawsze, przez cały czas próby, jaką mamy niestety przed sobą?

— Nigdy nie zmienię zdania, kochanie. Tymczasem będę go unikał i gdyby mi zabronił wizyt w Godolphin, zastosuję się do jego życzenia. W niespełna rok będziesz peł-

noletnia i nikt ci wówczas nie zabroni robić tego, co sama zechcesz. Co to jest rok, gdy się ma taką nadzieję w sercu, która pomoże stawić czoło wszelkim przeciwnościom!

Pogłaskała go po twarzy.

— Byłeś dla mnie zawsze dobry, Noll — szeptała z rozczuleniem. — Nie mogę uwierzyć, żebyś był taki zły, jak oni mówią.

— Nie zważaj na to — odparł. — Może mieli trochę racji, lecz tyś mnie uszlachetniła, Rózo. Mężczyzna, który cię kocha, musi być ciebie godny — ucałował ją i wstał. — Najlepiej będzie, jeżeli zaraz cię pożegnam — rzekł. — Jutro rano pójdę wybrzeżem w stronę wzgórza Trefusis. Gdybyś miała ochotę...

Zaśmiała się.

— Czekaj na mnie, kochany.

— Na przyszłość tak będzie lepiej — odparł, wychodząc.

Odprowadziła go aż do schodów, wiodąc za nim oczyma, w których malowała się duma.

III. KUŹNIA

Oliver sprytnie postąpił, pierwszy powiadamiając Rozamundę o zajściach dnia, co okazało się zaraz, gdy Piotr Godolphin wrócił do domu. Udał się wprost do siostry, a ponieważ gnębił go niepokój i troska o sir Johna, jak również świadomość, że obaj nie wyszli chwalebnie z tej afery, co znowu budziło w nim złość, zachowywał się arogancko, przechwalał się i groził.

— Moja panno — oznajmił szorstko — sir John prawdopodobnie umrze.

Odpowiedź, jaką od niej otrzymał, zdumiewająca wprost, nie mogła się przyczynić do ugłaskania jego wzburzonej duszy.

— Wiem — odparła. — I zdaje mi się, że na nic lepszego nie zasłużył. Kto sieje oszczerstwa, musi zbierać plony.

Wpatrywał się w nią długą chwilę bez słowa, wściekły, po czym zaczął ją lżyć, nazywając wyrodną siostrą, opętaną przez tego podłego psa Tressiliana.

— Całe szczęście — odpowiedziała spokojnie — że był tu przed tobą i opowiedział mi, jak się rzecz miała naprawdę. — Naraz opadła z niej maska spokoju. — Ach, Piotrze, Piotrze! — zawołała pełna goryczy. — Mam nadzieję, że sir John wkrótce powróci do zdrowia. Jestem tak wzburzona tym wszystkim. Lecz bądź sprawiedliwy, zaklinam cię, Piotrze. Sir Oliver opowiadał mi, jakieście się z nim obesзли.

— Obejdziemy się jeszcze gorzej, jak Bóg na niebie! Jeżeli sądzisz, że ten postępek ujdzie mu bezkarnie...

Rzuciła mu się na szyję i poczęła błagać, by poniechał zwady. Mówiła o swej miłości do Olivera i oświadczyła stanowczo, że jej niezłomnym postanowieniem jest wyjść za niego wbrew wszelkim przeciwnościom, co podsycało tylko gniew brata. W imię ich braterskiego uczucia jednak przyrzekł, że poniecha całej sprawy — jeżeli sir John wyzdrowieje. Lecz gdyby miał umrzeć, co było do przewidzenia, honor nakazuje mu pomścić czyn, do którego sam w dużej mierze przyłożył ręki.

— Czytam w tym człowieku jak w otwartej książce — oznajmił z młodzieńczą chępliwością. — Posiada spryt szatana, ale mnie nie oszuka. Cios zadany sir Johnowi był właściwie we mnie wymierzony. Ponieważ pragnie ciebie, Rozamundo, nie może, jak sam otwarcie przyznał, zadzierać ze mną. Za uderzenie, które mu wymierzyłem, byłby mnie zabił, gdyby nie świadomość, że odgrodziłoby go to od ciebie nieprzebytą zaporą. O, sprytu mu nie brak! Tak, schował do kieszeni moją obelgę, winę zaś przerzucił z ręcznic na Killigrewa, usiłując go zabić w nadziei, że będzie to i dla mnie przestroga na przyszłość. Ale jeżeli Killigrew umrze... — ciągnął ze złością, która napędliała jej szlachetne serce trwogą.

Widziała, jak pogłębia się przepaść między tymi dwoma ludźmi, których nade wszystkim ukochała. Wiedziała, że gdyby jeden z nich zabił drugiego, nie mogłaby spojrzeć nawet na mordercę.

Wezbrała w niej jednak otucha, gdy przypomniła sobie obietnicę Olivera, że w żadnym wypadku nie targnie się na Piotra. Ufała mu; polegała na jego słowie i niezwyklej sile

wewnętrznej. Czuła, jak rośnie jej duma, i dziękowała Bogu za kochanka, który w każdej sprawie przerastał innych ludzi.

Ale sir John Killigrew nie umarł. Siedem dni walczył ze śmiercią, aż wreszcie zaczął powracać do zdrowia. W październiku po raz pierwszy wyszedł — blady, wymizerowany, jak cień człowieka.

Jedną z jego pierwszych wizyt były odwiedziny w zamku Godolphin. Przyszedł na życzenie Piotra rozmówić się z Rozamundą w sprawie jej małżeństwa. Ale wywodom jego dziwnie brakowało mocy, jakiej dziewczyna oczekiwała.

Będąc o krok od śmierci, sir John otwarcie spojrzał prawdzie w oczy i doszedł do przekonania — co normalnie byłoby niemożliwe — że spotkało go to, na co zasłużył. Przyznał, że postąpił niecnie i że broń, którą walczył z Oliverem, nie była godna szlachcica. Uświadomił sobie, że dawna nienawiść do domu Tressilianów, spotęgowana jeszcze porażką, jakiej doznał w swych staraniach o pozwolenie pobudowania się w Smithick, wypaczyła jego sąd i wpoila w niego przekonanie, że Oliver jest naprawdę tym wszystkim, czym go nazywał. Zrozumiał, że i zazdrość w tej sprawie zrobiła swoje. Czyny Olivera na morzu przyniosły mu majątek, przy pomocy którego odbudował podupadły za sprawą ojca dom Tressilianów, zagrażając wpływowi rodu Killigrewów z Arwenack.

Jednakże w zmianie swych poglądów nie posunął się aż tak daleko, by uznać w Oliverze męża godnego Rozamundy Godolphin. Ojciec powierzył jego opiece syna i córkę i sir John spełniał ten obowiązek nienagannie aż do pełnoletności Piotra. Jego stosunek do Rozamundy odznaczał się tkliwością kochanka, z domieszką iście ojcowskich uczuć. Ubóstwiał ją niemal i dlatego, mimo że zrewidował swój sąd o istocie owego zatargu, sama myśl o tym, by Oliver mógł zostać mężem Rozamundy, wydawała mu się niedorzeczna.

Przed wszystkim lękał się dziedzicznych obciążeń. Powszechnie znane złe skłonności Tressilianów wystąpiły u Olivera nie mniej jaskrawo niż u ojca. Niemożliwe, żeby Oliver uniknął tego piętna. Objawiał dziedziczną burzliwość Tressilianów. Był gwałtowny i brutalny, a natura predestynowała go właśnie do korsarskiego rzemiosła, którym się parał. Zuchwały i despotyczny nie przyjmował żadnych uwag, gotów zawsze deptać uczucia drugich. Czy to odpowiedni mąż dla Rozamundy? Czy szczęście jej można powierzyć takiemu człowiekowi? — Stanowczo nie.

Dlatego też, ozdrowiawszy, przyjechał do Godolphin, by się w tej sprawie z Rozamundą ostatecznie rozmówić, co uważał za swój obowiązek i o co go prosił Piotr. Pomny jednak nieuczciwości swoich poprzednich sądów, starał się być ostrożny w swojej argumentacji.

— Ależ, sir Johnie — protestowała Rozamunda — jeśliśmy każdego potępiali za winy ojców, to niewielu uszłoby potępienia i nie wiem, skąd byś wziął dla mnie męża, który by w zupełności zasługiwał na twoje przyzwolenie.

— Ojciec jego... — zaczął sir John.

— Ależ nie opowiadaj mi o ojcu, tylko o nim — przerwała.

— Właśnie do tego zmierzam — odparł szorstko, jej uwagi bowiem, zmuszające go do mówienia na temat, wytrącały mu najlepsze argumenty. — Powinno ci to jednak wystarczyć, że jak widać z jego życia, odziedziczył po ojcu dużo ujemnych cech, a czy nie odziedziczył wszystkich, o tym nas przyszłość przekona.

— Innymi słowy — zadrwiła ze śmiertelnie poważną miną — muszę czekać, aż Oliver umrze w podeszłym wieku, by się przekonać, czy nie ma w nim tej obfitości wad, które by go dyskwalifikowały jako kandydata na mego męża.

— Ależ nie! — zawołał. — Boże drogi! Co za przewrotność!

— Ależ moja przewrotność jest tylko echem twojej, sir Johnie.

Poruszył się niespokojnie na krześle.

— Niech i tak będzie! — wybuchnął. — A więc zajmijmy się tylko tymi jego właściwościami, które już ujawnił. — I sir John wyliczył je.

— Ależ to tylko twój sąd o nim, tylko to, co ty o nim myślisz.

— To jest to, co cały świat o nim myśli.

— Ależ ja nie chcę wyjść za mąż za człowieka na podstawie sądu innych, tylko swego własnego. I według mnie potwornie go pan krzywdzi. Takich właściwości w sir Oliverze ja nie odkryłam.

— Właśnie dlatego, byś ich nie musiała sama odkrywać, proszę cię, nie wychodź za niego.

— Ale choćbym za niego wyszła, nigdy tego odkrycia nie zrobię, a gdybym nawet zrobiła, zawsze będę go kochała i nie przestanę pragnąć, by został moim mężem. Czy całe życie mam tak spędzić?

Roześmiała się szczerze i objęła go za szyję, jak nieraz przez ostatnie dziesięć lat obejmowała ojca, dając mu w ten sposób odczuć, że osiągnął wiek, w którym dla podobnych spraw nie ma się już należytego zrozumienia. Drugą ręką pogładziła mu czoło.

— Jestem bezsilny wobec kobiecego uporu, który nie pozwala ci widzieć rzeczy oczywistych.

— Ale przecież pan nie ma nic na poparcie swoich argumentów, sir Johnie!

— Nic? Czy to wszystko, co powiedziałem, jest niczym?

— Słowa nie są przedmiotami, a sądy faktami. Na poparcie swojej opinii nie ma pan żadnych konkretnych faktów. Z całym respektem dla pańskich myśli uważam, że pańska logika jest niezupełnie w porządku — roześmiała się, widząc jego zmieszanie. — Proszę, bądź sprawiedliwym, uczciwym sędzią i wymień mi jeden jedyny jego postępek, który potwierdzi, że jest naprawdę tym, za co go masz. No, słucham, sir Johnie!

Spojrzał na nią zniecierpliwiony. Wreszcie uśmiechnął się.

— Ty spryciarzo! Gdyby miał kiedyś stanąć przed sądem, nie życzę mu lepszego adwokata. (Kiedyś po wielu latach miał sobie przypomnieć te słowa).

Rozamunda, wyzyskując korzystny moment, pocałowała swego opiekuna.

— A ja mu nie życzę szlachetniejszego sędziego — odparła.

Co miał biedak robić? Nic innego, ponad to właśnie, co zrobił: pojechał do sir Olivera, by załagodzić spór. Otwarcie wyznał swój błąd, nie mniej też wspaniałomyślnie przyjął Oliver to wyznanie. Lecz w sprawie Rozamundy sir John w poczuciu odpowiedzialności okazał się nie tak już wielkodusznym. Oświadczył, że nie mogąc uznać Olivera za odpowiedniego pretendenta do jej ręki, nie jest w stanie wyrazić zgody na ten związek.

— Nie znaczy to jednak — dodał — że się sprzeciwiam. Nie pochwalam tylko i umyślam ręce. Póki Rozamunda nie jest pełnoletnia, brat odmówi stanowczo przyzwolenia. Później sprawa ta przestanie być naszą sprawą.

— Spodziewam się — odparł Oliver — że Piotr zajmie rozumne stanowisko. Ale jakiegokolwiek ono będzie, nie zamierzam się nim przejmować. Poza tym, sir Johnie, dziękuję panu za szczerość; cieszy mnie świadomość, że jakkolwiek nie mogę pana zaliczać do swoich przyjaciół, nie będę pana przynajmniej widział wśród swoich wrogów.

Mimo neutralnego stanowiska sir Johna niechęć Piotra nie straciła na sile, raczej z każdym dniem rosła, aż wreszcie wyłoniła się pewna sprawa, o której sir Oliver nic nie wiedział, a która tę zawziętość jeszcze podsycała.

Orientował się, że Lionel jeździ prawie co dzień do Malpas, i znał cel tych wyjazdów. Wiedział o kobiecie, która prowadziła tam dom otwarty, gdzie zbierali się okoliczni eleganci z Truro, Penryn i Helston, wiedział również o złej opinii, jaka przyłgnęła do tej damy w Londynie — opinii, która zresztą spowodowała usunięcie się jej w wiejskie zacisze. Odsłonił bratu bez ogródek gwoździ przestrogi kilka szpetnych szczegółów z jej życia, co stało się nawet przyczyną pewnego ochłodzenia stosunków między braćmi.

Potem Oliver już do tego nie wracał. Wiedział, że zwyczajem ludzi o niewielkiej energii życiowej Lionel był szczególnie uparty, a znając też dostatecznie ludzką naturę, orientował się, że jego interwencja może tylko doprowadzić do zupełnego rozdzwieku między nimi, nie osiągając zamierzonego celu.

Tymczasem nastała zima, a z jej nadejściem Rozamunda i Oliver mieli coraz mniej sposobności, by się widywać. W zamku Godolphin, zgodnie z życzeniem Piotra, Oliver się nie pokazywał, aby się nie narażać na awanturę. W tych czasach prawie nie widywał Piotra, a przy rzadkich spotkaniach pozdrawiali się bardzo oziębło.

Oliver był zupełnie szczęśliwy. Zauważono, że złagodniał. Dawniej wyniosły i odpychający, stał się uprzejmy i serdeczny. Oczekiwał swego przyszłego szczęścia z bezwzględna ufnością, z jaką nieśmiertelny może spoglądać w przyszłość. Cierpliwość była jedyną ofiarą, jakiej los od niego żądał, składał więc ją ochoczo, pewny nagrody, jaka go wkrótce czekała. Istotnie, rok chylił się ku końcowi, a przed następną zimą dom Penarrow miał

otrzymać swoją panią. A jednak były chwile przygnębienia, gdy ogarniało go przecucie nieszczęścia, świadomość ciosu, który gotowało mu przeznaczenie.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem mógł wreszcie wybrać się do Helston. Od kilku dni bowiem szalała na wybrzeżu zamieć śnieżna, tworząc ogromne zasy i Oliver musiał siedzieć w domu, nudząc się i czytając. Wreszcie czwartego dnia śnieżnica ustała, wyszło słońce i ziemia, obłana światłem, skrzyła się w niepokalanej, oślepiającej bieli. Oliver kazał sobie osiodłać konia i puścił się gościńcem³⁴ zawianym przez śnieg, który skrzypiał pod kopytami końskimi. W drogę powrotną ruszył około południa, ale przebywszy kilka mil, zauważył, że koń zgubił podkowę. Zsiadł, ujął cugle w rękę i nucąc coś pod nosem, udał się pieszo rozświetloną doliną między wzgórzami Pendennis i Arwenack. Tak zaszedł do kuźni w Smithick. Zastał tam gromadę rybaków i chłopów, z braku gospody bowiem kuźnia była okolicznym punktem zbornym. Prócz chłopów i wędrownego kupca z końmi, obładowanymi towarami, był tu Andrzej Flack, proboszcz z Penryn, i Grzegorz Baine, sędzia z Truro. Oba znał Oliver bardzo dobrze, czekając więc na podkucie konia, wdał się z nimi w pogawędkę.

We wszystkim miał dziś jednak pecha — od zgubienia podkowy aż do spotkania z tymi szlachcicami; na domiar złego na łagodnym stoku Arwenack pojawił się zjeżdżający w stronę kuźni Piotr Godolphin.

Proboszcz i pan Baine opowiadali później, że Piotr robił wrażenie nietrzeźwego; twarz miał zaczerwienioną, oczy nienaturalnie błyszczące, język mu się plątał, a to, co mówił, było jakieś dziwaczne i bez sensu. Nie ulegało wątpliwości, lubił wino kanaryjskie tak samo, jak sir John Killigrew, u którego był właśnie na obiedzie, a należał do tego rodzaju ludzi, którzy pod wpływem wina robią się kłótlivi. Widok Olivera stał się dla młokosa znakomitą sposobnością dania upustu złośliwym instynktom, a obecność obu szlachciców jeszcze go do tego podnieciła. W jego zamroczonym mózgu musiało się ozwać wspomnienie razu wymierzonego Oliverowi i jego reakcji.

Popędził jak szalony i gwałtownie ściągnął³⁵ konia, który aż przysiadł na zadzie. Piotr utrzymał się jednak w siodle. Podjechał po ubitym i zabrudzonym śniegu prosto do kuźni, obrzucając Olivera pogardliwym wzrokiem.

— Wracam z Arwenack — oznajmił zupełnie niepotrzebnie. — Mówiliśmy o panu.

— Nie można było znaleźć lepszego tematu do rozmowy — odparł Oliver wesoło. Jego wzrok stał się zimny, z trudem opanowywał niepokój.

— Na honor, masz rację! Ty i twój wyuzdany ojciec stanowicie istotnie bardzo zajmujący przedmiot rozmowy.

— Mój drogi — odpowiedział Oliver — już raz zwróciłem ci uwagę, że pamięć twojej matki wymaga ogromnej dyskrecji.

Pod wpływem zniewagi słowa te padły spontanicznie. Ale ledwie Oliver je wymówił, już ich żałował, tym bardziej że zostały przyjęte radosnym chichotem obecnych. Dałby w tej chwili pół majątku, by je cofnąć.

Twarz Godolphina uległa tak gwałtownej zmianie, jakby zdjął nagle maskę. Z czerwonej stała się trupio biała, usta zacisnęły się, oczy zablęsnęły. Patrzył przez chwilę na swego wroga i naraz, stając w strzemionach, uniósł szpicrutę.

— Ty psie! — wrzasnął. — Ty psie!

Szpicruta świsnęła w powietrzu i smagneła Olivera po twarzy, zostawiając na niej długą czerwoną pręgę.

Z okrzykiem gniewu i oburzenia rzucili się między nich obecni: ksiądz, sędzia, chłopci. Twarz Olivera była straszna, a wszyscy znali go jako człowieka niebezpiecznego.

— Wstydz się, panie Godolphin — zawołał proboszcz. — Jeśli z tego co złego wyniknie, to już ja zaświadczę, jak ordynarnie się pan zachował! Wynoś się pan stąd!

— Idź pan do diabła! — zawołał Godolphin grubiańsko. — Czy usta tego bękarta mają bezcześcić imię mojej matki? Na tym nie koniec, jak Bóg na niebie! Musi mi teraz przysłać świadków, bo w przeciwnym razie zbiję go batem jak psa. Słyszysz pan, panie Oliverze?

Oliver nie odpowiedział.

³⁴gościńiec — trakt, droga. [przypis edytorski]

³⁵ściągnąć konia — ciągnąć za lejce, zmusić konia do zatrzymania się lub zwolnienia. [przypis edytorski]

— Słyszysz pan? — wrzasnął. — Nie ma pod ręką Johna Killigrewa, na którym mógłby pan wyładować złość. Chodź no tu odebrać, co ci się należy! Uderzenie było tylko zadatkami!

Zaśmiał się szyderczo i dał koniowi ostrogę z taką furią, że omal nie przewrócił proboszcza i zebranych gapiów.

— Zaczekaj chwilę! — krzyknął za nim Oliver. — Nie pojedziesz dalej, pijany błaznie!

W pasji ryknął, by mu podano konia, odrzucając proboszcza i pana Baine'a, który usiłował go zatrzymać i uspokoić. Gdy przyprowadzono wierzchowca, wskoczył na siodło i ruszył z kopyta w szalonej pogoni.

Proboszcz spojrział na sędziego, który wzruszył ramionami.

— Ten pęta jest pijany — odezwał się sir Andrew, potrząsając siwą głową. — To nieodpowiednia chwila, by stanął przed Bogiem.

— Ale zawzięty — rzekł sędzia. — Zapewne na tym się nie skończy

Zajrzał do kuźni, gdzie miechy stały beczynnie, a kowal w swym skórzanym fartuchu przysłuchiwał się temu, co chłopcy opowiadali o zajściu.

Pan Baine lubił przenośnie.

— Doprawdy, miejsce znakomicie wybrane — rzekł. — Ukuli tu dzisiaj miecz, do którego zahartowania potrzeba będzie krwi.

IV. PRZESZKODA

Proboszcz miał zamiar ruszyć śladem Olivera i prosił sędziego, by mu towarzyszył. Ale sędzia oświadczył, że nie jest to plan bezpieczny. Tressilianowie byli zawsze niepohamowani i krwiożerczy, a już Tressilian w furii to coś takiego, czemu najlepiej zejść z drogi. Sir Andrew, który nie grzeszył zbyt dużą odwagą, uznał, że to rozsądne słowa, zwłaszcza że miał dość własnych kłopotów z kłótliwą żoną. Sędzia dodał jeszcze, że Godolphin i Oliver mają swoje osobiste porachunki, niechże więc sami je sobie załatwiają! Po co się wtrącać? A jeżeli jeden drugiemu kark skręci, tym lepiej dla okolicy, która pozbędzie się dwóch niebezpiecznych awanturników. Wędrowny kupiec uznał, że to para wariatów, pozostali zaś — rybacy i chłopcy — nie mieli możliwości wszczęcia pogoni, nawet gdyby chcieli.

Rozeszli się, by puścić w obieg wiadomość o tym zajściu, które, jak przewidywali, musiało się skończyć przelaniem krwi. Przewidywania te opierali na znanej gwałtowności Tressilianów. Tym razem jednak się pomylili. To prawda, że Oliver, pędząc śladami Piotra wzdłuż rzeki Penryn i skręcając dalej na most, o niczym innym nie myślał, jak tylko o zabiciu Godolphina. Ludzie, którzy go widzieli tak galopującego z czerwoną pręgą na pobludłej twarzy, twierdzili, że był podobny do diabła.

Przejechał Penryński Most w pół godziny po zachodzie słońca, gdy zmierzch przechodził już w ciemną noc, i być może ostre, mroźne powietrze ostudziło mu krew. Po drugiej stronie rzeki zwolnił nieco, uspokajając wzburzone myśli. Przypomnienie złożonej Rozamundzie przed trzema miesiącami przysięgi ukuło go jak fizyczny ból i zachwiało jego postanowieniem. Wzdrygnął się na myśl, jak bliski był zburzenia swego przyszłego szczęścia. Co znaczyło uderzenie wyrośniętego, żeby w zemście narażać na szwank całą przyszłość? A niech nazywają go nawet tchórzem za to, że dopuścił do obelgi i nie zmył jej krwią — nic go to nie wzrusza! Zresztą, kto by się na coś podobnego odważył, na ciebie jego wypisze odpowiedź! Oliver podniósł oczy ku ciemnemu szafirowi niebieskiego sklepienia, na którym mrugała jedna jedyna gwiazda, i z przepelnionego wdzięcznością serca dziękował Bogu, że nie dognał Godolphina, zanim opuściła go złość.

Mniej więcej milę poniżej Penrynu skręcił na drogę, która prowadziła w dół ku przepławie, i wracał do domu grzbietem wzgórza, wolno puściwszy cugle. Zazwyczaj okrążał wzgórze Trefusis, by móc z daleka rzucić okiem na ściany domu, w którym mieszkała Rozamunda, i ujrzeć jej okna. Dziś jednak wybrał krótszą drogę, bezpieczniejszą, podjeżdżając bowiem zbyt blisko dworu Godolphin, narażał się na powtórne spotkanie z Piotrem. Głos wewnętrzny ostrzegający go przed tym spotkaniem był tak mocny, a po tym, co zaszło, lęk przed samym sobą tak wielki, że postanowił następnego dnia wyjechać z Penarrow. Dokąd — nie podjął jeszcze decyzji. Mógł udać się do Londynu albo popłynąć na nową wyprawę zdobywcą — myśl, której dawniej poniechał na skutek surowego zakazu Rozamundy. Ale teraz odgródzenie się od Piotra Godolphina aż do czasu, gdy

pojmie Rozamundę za żonę, stało się koniecznością. Osiem miesięcy wygnania — cóż? — lepsze to, aniżeli narażać się na całkowitą jej utratę. Napisze do niej, ona go zrozumie.

Nim dojechał do Penarrow, umocnił się w swym postanowieniu. Przyniosło mu to ulgę i świadomość zabezpieczenia przyszłości.

Sam zaprowadził konia do stajni, jeden ze stajennych bowiem udał się wczoraj do Devon³⁶, by spędzić Boże Narodzenie u rodziców, drugiemu zaś, który się przeziębiał, Oliver kazał iść do łóżka.

W jadalni zastał przygotowaną wieczerzę, a w olbrzymim kominku z okapem płonęły kłody, napełniając dużą izbę miłym ciepłem i rzucając czerwone blaski na zdobiące ściany zbroje zdobyczne, na rozwieszone makaty i portrety przodków Olivera. Usłyszawszy kroki, wszedł stary Mikołaj z wielkim świecznikiem, który postawił na stole.

— Późno pan wraca, sir Oliverze — odezwał się służący — a panicza Lionela nie ma jeszcze w domu.

Oliver mruknął coś zły i patrzył ponuro przed siebie, rozgniatą butem tlejące węgle, które syczały pod wpływem wilgoci. Rozpinając w milczeniu płaszcz i rzucając go na dębową skrzynię pod ścianą, na której przedtem położył kapelusz, myślał o Malpas i martwił się lekkomyślnością brata. W końcu siadł, a Mikołaj zaczął ściągać mu buty.

Oliver w lakonicznych słowach kazał podać do stołu.

— Panicz Lionel zapewne wkrótce wróci — rzekł. — Ale daj mi się czegoś napić. Mikołaju. To przede wszystkim.

— Zagrzałem panu wina — oznajmił Mikołaj — nie ma nic lepszego w taką mroźną zimową noc.

Wyszedł i wrócił zaraz z czarnym dzbanem, z którego leciała para. Zastał swego pana w tej samej pozycji, zapatrzonego w ogień, z chmurnie zmarszczonymi brwiami. Myślał mi ciągle jeszcze Oliver był przy bracie, w Malpas, tak że na chwilę zupełnie zapomniał o swoich własnych sprawach. Zastanawiał się, czy mimo wszystko nie powinien pomówić z bratem na serio. W końcu z westchnieniem zbliżył się do stołu. Przypomniał sobie chorego stajennego i zapytał Mikołaja o jego zdrowie. Dowiedziawszy się, że jest bez zmian, Oliver wziął kubek i napełnił go gorącym winem.

— Zanieś mu to — powiedział — na taką chorobę nie ma lepszego lekarstwa.

Z zewnątrz doleciał tętent kopyt końskich.

— Otóż i panicz Lionel — oznajmił służący.

— Niewątpliwie — przyznał Oliver. — Ale nie potrzebujesz na niego czekać. Tu jest wszystko, czego potrzeba. Zanieś to Tomowi, nim ostygnie.

Umyślnie pozbył się służącego, zamierzał bowiem przywitać brata porządną reprimendą, tym bardziej że miał już wkrótce opuścić Penarrow.

Pociągnął spory haust wina i w chwili, gdy odstawiał kubek, usłyszał kroki Lionela. Drzwi rozwarły się szybko i w progu stanął brat.

Oliver podniósł nachmurzoną twarz, mając już na ustach słowa nagany.

— Tak... — zaczął i urwał, na widok brata bowiem nagle zaniemówił. Zerwał się, a przerażenie zaparło mu oddech. — Lionel!

Lionel wszedł chwiejącym krokiem, zamykając za sobą drzwi. Stał oparty o nie, wpatrzony w brata. Był błydy jak śmierć, miał pod oczyma ciemne kręgi. Prawą rękę bez rękawiczki przyciskał mocno do boku; z palców sączyła się krew. Na żółtym kaftanie z prawej strony widniała ciemna plama, której Oliver na razie nie zauważył.

— Jezus Maria! — zawołał i rzucił się ku bratu. — Co się stało? Lal! Kto ci to zrobił?

— Piotr Godolphin — odparł Lionel, którego usta wykrzywił dziwny grymas.

Oliver nie odpowiedział ani słowa; zęby zacisnęły mu się, a pięści zwarły tak silnie, że aż paznokcie wbiły się w dłonie. Objął ramieniem brata, którego obok Rozamundy milował nade wszystko w świecie, i ze ściśniętym sercem poprowadził go naprzód, w stronę kominka. Lionel upadł bezwładnie na krzesło.

— Skąd ta rana? Czy głęboka? — pytał zaniepokojony Oliver.

— To nic, do kości nie doszło. Ale ubyło mi ogromnie dużo krwi. Obawiałem się, że sił mi nie starczy, by dojechać do domu.

Choroba, Wino

³⁶Devon — hrabstwo w Anglii, we wsch. części Płw. Kornwalijskiego; ok. 100 km na wsch. od Penarrow. [przypis edytorski]

Zależniony Oliver wydobył śpiesznie sztylet — rozpruł bratu kaftan, kamizelkę i koszulę, odsłaniając białe ciało. Po krótkim badaniu odetchnął z ulgą.

— Ależ dzieciak z ciebie, Lal! — zawołał uspokojony. — Jechać, nie pomyślawszy wrzód o opatrzeniu rany, i tracić tyle krwi, choćby tej zakazanej krwi Tressilianów! — zaśmiał się z ulgą. — Poczekaj, zawołam Mikołaja, by nam pomógł oporządzić ranę.

— Nie, nie! — w głosie chłopca zabrzmiało przerażenie, schwycił brata za rękaw. — Mikołaj nie może o niczym wiedzieć. Nikt nie śmie wiedzieć, inaczej jestem zgubiony!

Oliver patrzył osłupiały. Na twarzy Lionela pojawił się znowu ten sam zagadkowy, jak gdyby przestraszony uśmiech.

— Dałem więcej, aniżeli dostałem, Noll. Piotr Godolphin jest w tej chwili zimny jak śnieg, na którym go zostawiłem.

Gwałtowne poruszenie, badawczy wzrok i błędna twarz brata przestraszyły Lionela. Dostrzegł ciemnoczerwoną pręgę, która się uwydatniła na pobludłej twarzy, ale nie przyszło mu do głowy pytać, skąd ona pochodzi. Zanadto go pochłaniały własne sprawy.

— Co to znaczy? — zawołał wreszcie Oliver ochrypłym głosem.

Lionel spuścił oczy, nie mogąc dłużej wytrzymać spojrzenia, które stawalo się straszne.

— Sam tego chciał — odburknął, jakby usprawiedliwiając się w ten sposób z zarzutu, który wyzierał z całej postawy brata. — Ostrzegałem go, by mi nie wchodził w drogę, ale dziś wieczór coś go opętało. Zelfzył mnie, Noll, mówił rzeczy, których człowiek nie jest w stanie znieść i... — Wzruszył ramionami.

— No, dobrze, dobrze — rzekł Oliver łagodnie. — Zajmijmy się najpierw twoją raną.

— Ale nie wołaj Mikołaja — błagał Lionel. — Czy nie pojmujesz, Noll? — tłumaczył w odpowiedzi na pytające spojrzenie brata. — Czy nie pojmujesz? Biliśmy się w ciemności, bez świadków, to... — przełknął, jakby go coś dławiło — to by zostało poczytane za zabójstwo, choć pojedynek odbył się według wszelkich zasad. A gdyby wykryto, że to ja... — Wstrząsnął się, w oczach miał dzikie błyski, usta mu drżały.

— Pojmuję — szepnął Oliver, który wreszcie wszystko zrozumiał, i dodał z gorzkim wyrzutem: — Ach, ty szaleńcze!

— Nie miałem wyboru — bronił się Lionel. — Szedł na mnie z dobytym mieczem. Musiał być pijany. Ostrzegałem go, ale powiedział, żebym był o niego spokojny. Lżył tylko plugawymi słowy mnie, ciebie i wszystkich, co nosili nasze nazwisko. Uderzył mnie płazem i groził, że mnie przebije, jeżeli nie dobędę miecza, by się bronić. Czy mogłem wybierać? Nie miałem zamiaru go zabijać. Bóg mi świadkiem, nie chciałem tego, Noll!

Bez słowa odpowiedzi Oliver skierował się ku stolikowi, na którym stała metalowa miednica i dzban. W milczeniu nalał wody i zaczął przemywać ranę. Potępienie Lionela byłoby śmieszne, zwłaszcza w jego ustach. Wystarczyło przypomnieć sobie, w jakim nastroju sam gonił za Piotrem Godolphinem; wystarczyło sobie uprzytomnić, że jedynie względ na Rozamundę, na własną przyszłość ostudził jego zapędy.

Przemysł ranę, wydobył z szafy kawałek płótna i pociąwszy je sztyletem w paski, zrobił szarpie³⁷, którymi opatrzył cięcie; miecz przebił mięśnie piersi i przeszedł obok żeber.

Na koniec Oliver otworzył okno i wylał zakrwawioną wodę. Wszelkie resztki pozostałe po opatrunku wrzucił w ogień. Nawet przed Mikołajem należało ukryć wszystko, co by ich mogło zdradzić. Miał wprawdzie bezgraniczne zaufanie do starego sługi, ale sprawa była zbyt poważna, by można było sobie pozwolić na najmniejsze zaniedbanie środków ostrożności. Podzielał całkowicie obawę Lionela, że chociaż walka odbyła się całkiem po-prawnie, to jednak z punktu widzenia prawa i wobec braku świadków postępek Lionela uznano by za mord.

Okrywwszy brata swoim płaszczem, odryglował drzwi i poszedł na górę po świeżą koszulę i kaftan dla rannego. Na schodach spotkał idącego na dół Mikołaja. Zatrzymał go chwilę, wypytując o chorego sługę, który leżał na górze. Na oko przynajmniej był zupełnie spokojny. Na koniec znów wysłał Mikołaja z jakimś fikcyjnym zleceniem, sam zaś wziął potrzebne przedmioty.

³⁷szarpie — dawny materiał na opatrunki sporządzany z nitek wyskubywanych z kawałków płótna. [przypis edytorski]

Wrócił z nimi na dół i pomógł bratu ostrożnie wdziać świeżą bieliznę, by się jak najmniej przy tym poruszał, opatrunek bowiem mógł się przesunąć lub rana zacząć broczyć na nowo. Zakrwawiony kaftan, kamizelka i podarta koszula zostały również spalone.

Gdy po jakimś czasie wszedł Mikołaj, zastał braci siedzących spokojnie przy stole. Gdyby się nawet przyjrzał twarzy Lionela, nie byłby się domyślił żadnego nieszczęścia, nie dostrzegłby nic poza tym, że młodzieniec był bardzo blady. Ale i tego nie zauważył. Lionel siedział tyłem do drzwi, aby zaś służący bliżej nie podszedł, oznajmili mu, że jest już niepotrzebny. Mikołaj wyszedł i bracia zostali nareszcie sami.

Lionel jadł bardzo mało. Miał tylko straszne pragnienie i byłby wypił całe wino, gdyby mu Oliver nie przeszkodził. Zakazał mu pić cokolwiek prócz wody, by nie dostał gorączki. Cała ta skromna wieczerza — bo i Oliver nie miał apetytu — odbywała się w zupełnym milczeniu. Wreszcie Oliver wstał i swymi powolnymi, ciężkimi krokami podszedł do komina. Dorzucił do ognia świeżych polan, wziął z wąskiego gzymsu fajkę i skórzany woreczek na tytoń. Nabił fajkę zamyślony i włożył do niej wydobyty z pieca rozżarzony węgielek. W końcu przerwał milczenie:

— Co było — zapytał szorstko — przyczyną zajścia?

Lionel wzdrygnął się i nie podnosząc na brata wzroku, ugniatał w palcach kawałek chleba.

— Nie wiem — odparł.

— Lal, to nieprawda!

— Jak to?

— To nieprawda. Nie dam się zbyć taką odpowiedzią. Przecież sam mi mówiłeś, żeś go przestrzegał, by ci nie wchodził w drogę. Co miałeś na myśli?

Lionel oparł się łokciami o stół i ujął głowę w ręce. Osłabienie z powodu utraty krwi, wyczerpanie przebytych wstrząsem, wszystko to załamało go psychicznie; zdobył się na szczerość, której brat żądał, tym bardziej że zapewniało mu to oparcie w Oliverze.

— Wszystkiemu winna ta nierządnicza z Malpas — skarżył się. Oczywiście Olivera błysnęły na te słowa. — Myślałem, że ona jest zupełnie inna! Byłem szalony! Szalony! Ja... — zająknął się i ciężko westchnął. — Myślałem, że ona mnie kocha. Chciałem się z nią ożenić, chciałem. Bóg mi świadkiem.

Oliver zaklął po cichu.

— Uważałem ją za uczciwą, dobrą, a... — znów ścisnęło go za gardło. — Ale... czy mam prawo twierdzić, że taka nie była? To nie jej wina. To ten podły Godolphin sprowadził ją na bezdroża. Nim on się pojawił, wszystko było dobrze między nami. A potem...

— Uważam — rzekł Oliver chłodno — że wiele mu zawdzięczasz, skoro przez niego poznałeś się na tej ładacznicy. Powinienem cię być ostrzec, chłopcze. Ale... byłem za słaby wobec ciebie.

— To tak nie było. To nie ona...

— Mówię, że tak, a jeśli mówię, to znaczy, że wiem dobrze. Bez wyraźnego powodu nigdy bym nie potrafił zniesławić kobiety. Bądź spokojny.

Lionel wpatrzył się w niego.

— Mój Boże! — zawołał nagle. — Teraz nie wiem, w co mam wierzyć. Jestem jak piłka, którą rzucają w tę czy w inną stronę.

— Wierz mnie — odparł gniewnie Oliver — i wszelkie wątpliwości odrzuć precz. — Naraz uśmiechnął się. — Więc to tak się ten cnotliwy młodzieniaszek zabawiał? Co za przewrotność!

Zaśmiał się szczerze, przypomniawszy sobie wszystko, co Piotr Godolphin mówił o Ralfie Tressilianie, przybierając pozę nieomal pustelnika. Wtem śmiech jego zamarł, z przerażenia zaniemówił.

— Czy ona o tym wie? — zapytał z niepokojem. — Czy ta ładacznica wie, czy podejrzewa w tobie sprawcę?

— Tak, z pewnością — odrzekł Lionel. — Gdy dziś wieczór ze mnie drwiła, opowiadając jednocześnie o nim, oświadczyłem jej, że idę wyrównać nasze rachunki. Byłem właśnie w drodze do Godolphin, gdy natknąłem się na niego w parku.

— W takim razie okłamałeś mnie, mówiłeś, że to on ciebie napadł.

— Tak było w istocie — zaprotestował Lionel namiętnie. — Nie dał mi czasu, by się z nim rozmówić, tylko zeskokczył z konia i szedł na mnie, warcząc jak wściekły kundel. Był tak samo zawzięty na mnie, jak ja na niego.

— Tak, ale ta dziewczka z Malpas wie — powiedział Oliver ponuro. — A jeżeli ona zdradzi...

— Z całą pewnością nie — zawołał Lionel. — Nie odważy się przez wzgląd na własną reputację.

— Rzeczywiście, może masz słuszość — przyznał brat z ulgą. — Nie ośmieli się z innych jeszcze przyczyn, gdy sobie tę rzecz dobrze rozważy. Cieszy się tu już dostatecznie złą opinią i tak powszechną antypatią, iż gdyby się okazało, że była choćby pośrednim powodem tego zajścia, cała okolica dałaby upust swym uczuciom. Czy jesteś pewien, że nikt cię nie widział ani jak szedłeś tam, ani jak wracałeś?

— Nikt.

Sir Oliver chodził po komnacie wzdłuż i wszerz, pykając fajkę.

— W takim razie wszystko powinno być dobrze — odezwał się wreszcie. — Najlepiej idź już do łóżka. Zaniosę cię.

Uniósł młodszego brata w silnych ramionach jak małeńkie dziecko. Zmęczony snem, wrócił na dół, zamknął drzwi hallu, przysunął wielki dębowy fotel do ognia i siedział do późna w nocy, paląc fajkę i rozmyślając.

Powiedział Lionelowi, że wszystko będzie dobrze. Tak, dobrze dla Lionela. Ale co będzie z nim, gdy ma duszę obciążoną taką tajemnicą? Gdyby ofiarą padł kto inny, nie brat Rozamundy, martwiłby się tym wszystkim znacznie mniej. Trzeba przyznać, że istotną przyczyną jego przygnębienia nie była właściwie śmierć Godolphina — na którą sprawiedliwie sobie zasłużył i którą już dawno byłby poniósł z ręki Olivera — lecz fakt, że był, jak wiemy, bratem Rozamundy. W tym wyrażało się okrucieństwo losu. Jej brat padł z ręki jego brata! Rozamunda, po nim, nade wszystko kochała swego brata, tak jak on, po niej, nade wszystko kochał Lionela. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo będzie cierpiała. Doświadczał tego już naprzód, gotów dzielić wszystkie jej uczucia.

Podniósł się, przeklinając nierządnicę z Malpas, która przybyła tu po to tylko, by wznieść przed nim jeszcze jedną przeszkodę, choć miał już tylu stawić czoło. Oparty o kominek, rozmyślał, co robić. Trzeba było nieść ten ciężar w milczeniu. To wszystko. Nawet i przed Rozamundą nie można zdradzić tajemnicy. Krajało mu się serce, że będzie musiał ją oszukiwać. Nie miał jednak innego wyjścia, jeżeli nie chciał jej utracić.

Podjąwszy decyzję, wziął świecę i udał się na spoczynek.

V. TARCZA

Następnego dnia rano, gdy bracia siedzieli przy śniadaniu, stary Mikołaj przyniósł im wiadomości.

Lionel powinien był tego dnia pozostać w łóżku, lecz bał się wzbudzić podejrzenia. Miał trochę gorączki, co było naturalnym następstwem poniesionej rany. Okoliczność ta była mu nawet na rękę, dzięki gorączce bowiem twarz jego, która mogła się wydać zbyt blada, nabrała rumieńców.

Wsparty na ramieniu brata zszedł na śniadanie, na które podano ryby i małe kufle piwa, zanim jeszcze blade grudniowe słońce weszło na dobre.

Mikołaj wpadł pobladły, rozdygotany. Urywaniem głosem opowiedział straszną nowinę, której bracia wysłuchali z dobrze udanym przerażeniem. Lecz najgorszego, tego, co stanowiło właściwą przyczynę wzburzenia starego sługi, mieli się dopiero dowiedzieć.

— I mówią — zawołał z oburzeniem — mówią, że to pan go zabił, sir Oliverze!

— Ja?! — zawołał Oliver, wpatrując się w Mikołaja. I nagle zrozumiał. — Gdzie słyszałeś to podle łgarstwo?

W zamęcie myśli nie słuchał nawet odpowiedzi sługi. Obojętne, skąd on to słyszał; teraz plotka pójdzie z ust do ust. Z jednego zdał sobie jasno sprawę: musi natychmiast — tak jak wtedy — pędzić wprost do Rozamundy, uprzedzić to, co jej inni o zajściu powiedzą. Daj Boże, by nie przyszedł za późno!

W pośpiechu wdział buty, porwał kapelusz, wpadł do stajni po konia i za chwilę pędził na łeb na szyję przez łąkę do oddalonego o milę dworu Godolphin. Nie spotkał

żywej duszy. Wreszcie wpadł na dziedziniec. Zgiełk wzbudzonych głosów dochodził go już z daleka, ale gdy się zjawił, zapadło złowrogie milczenie. Oczy kilkunastu zebranych śledziły go najpierw ze zdumieniem, potem z tłumioną wściekłością.

Zeskoczył z siodła i stał chwilę, czekając na któregoś z trzech stajennych, by odebrał od niego konia.

— Cóż to znaczy?! — zawołał, widząc, że nikt się nie kwapi. — Nikt tu nie czeka na gości? No, chłopcze, potrzymaj mi konia!

Stajenny, do którego słowa te były zwrócone, ociągał się chwilę, wreszcie, zniewolony groźnym, rozkazującym spojrzeniem Olivera, ruszył się ciężko, niechętnie, by spełnić rozkaz. Wśród zebranych dał się słyszeć pomruk. Oliver spojrział — i języki nagle zamarły.

W głuchej ciszy wszedł do hallu, w którym panował popłoch. Ale gdy minął hall, podniósł się za nim pomruk jeszcze groźniejszy niż poprzednio.

Spotkał służącego, na którego twarzy malowało się przerażenie i który patrzył na niego tak jak tamci na dziedzicu. Serce mu się ścisnęło. Było jasne, że przychodzi za późno. Że wieść go wyprzedziła.

— Gdzie wasza pani? — zapytał.

— Ja... ja jej powiem, że pan jest, sir — odparł człowiek łamiącym się głosem i zniknął w drzwiach na prawo.

Czas jakiś stał Oliver, uderzając szpicrutą po butach, z twarzą bladą, z głęboką bruzdą na czole. Po chwili służący wrócił, zamykając za sobą drzwi.

— Pani Rozamunda prosi, byś pan odszedł. Nie chce się z panem widzieć.

Oliver przyglądał się twarzy służącego albo raczej zdawał się przyglądać, wątpliwe bowiem, czy go w ogóle w tej chwili widział. Naraz — miast odpowiedzi — ruszył prosto ku drzwiom. Służący oparł się o nie plecami, zdecydowany na wszystko.

— Sir Oliverze, moja pani nie chce się z panem widzieć.

— Precz! — huknął gniewnie, a gdy człowiek nie ruszał się z miejsca, Oliver chwycił go za kubrak, usunął na bok i wszedł.

Zastał ją w środkowym pokoju. Przez dziwną ironię losu miała tego dnia na sobie białą, jak gdyby ślubną suknię, która bielą nie dorównywała jednak jej twarzy. Oczy na tym tle wyglądały jak dwie ciemne plamy; była w nich uroczysta powaga i jakiś niesamowity wyraz, gdy patrzyła na intruza. Rozwarte usta pozostały nieme. Cała jej postać wyrażała zgrozę. Zmieszał się pod wpływem jej wzroku, stracił pewność siebie.

— Widzę, że już doszły cię te kłamstwa. To niedobrze. Ale gorzej jeszcze, żeś im uwierzyła.

Patrzyła nań zimno, ze wstrętem, ona, która jeszcze przed dwoma dniami tuliła się do jego serca, spoglądała ku niemu z ufnością i uwielbieniem.

— Rozamundo! — krzyknął i zrobił krok naprzód. — Rozamundo! Przyszedłem tu, by ci powiedzieć, że to fałsz!

— Proszę odejść! — odparła tak, że zadrżał na dźwięk jej głosu.

— Odejść? — powtórzył jak echo. — Każesz mi odejść? Nie chcesz mnie wysłuchać?

— Już nieraz godziłam się wysłuchać pana, zamykając uszy na przestrogi innych, którzy znali pana lepiej ode mnie. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Daj Boże, by pana powieszono.

Wargi mu zbiełaly i po raz pierwszy w życiu zadrżały pod nim nogi.

— Niech mnie powiesz, z radością to przyjmę, skoro ty sobie tego życzysz. Nikt nie może mi sprawić większego bólu niż ty, a co do czci, to kat mi już jej nie odbierze, skoro twoją wiarę we mnie może zachwiać byle plotka.

Widział, jak jej blade usta wykrzywił okrutny, szyderczy uśmiech.

— To już nie jest plotka. Tego pańskie łgarstwa nie uciszą ani nie obalą.

— Łgarstwa?! — krzyknął. — Rozamundo! Przysięgam ci na moją cześć, że z zabójstwem Piotra nie mam nic wspólnego. Niech mnie Bóg w tej chwili pokarze, jeśli mówię nieprawdę!

— Widać — ozwał się za nim surowy głos — że nie boisz się Boga, tak jak nie boisz się niczego innego.

Oliver odwrócił się gwałtownie i ujrzał sir Johna Killigrewa, który wszedł właśnie za nim.

— Tak — rzekł powoli i dobitnie, a jego oczy stały się zimne jak stal i zaiskrzyły się jak dwa agaty — to jest pańskie dzieło! — wykonał przy tych słowach ruch ręką w stronę Rozamundy. Jasne było, co chciał przez to powiedzieć.

— Moje dzieło? — zapytał sir John. Zamknął za sobą drzwi i wszedł do komnaty. — Wydaje mi się, że pańska zuchwałość i bezwstydnosć przechodzi wszelkie granice. Pańska...

— Zamilcz pan! — przerwał Oliver i grzmotnął ręką w stół. Opanowała go wściekłość. — Proszę zostawić słowa dla głupców, sir Johnie, a krytykę tym, którzy potrafią nie być gołosłowni.

— Mówisz pan tak, jakby mordowanie było pańskim rzemiosłem, i to w domu, który okryłeś żałobą.

— Przestań pan, powtarzam jeszcze raz, albo krew się poleje!

Oliver ryczał wprost, wyglądał strasznie. Sir John, choć nie był tchórzem, cofnął się zdjęty lękiem. W tej chwili Oliver ochłonął i zapanował nad sobą. Rzucił się ku Rozamundzie.

— Przebacz! — błagał. — Jestem szalony, o szal mnie przyprawia rozpacz i to straszne podejrzenie. Nie kochałem twojego brata, to prawda. Lecz postępowałem z nim tak, jakem ci przysiągł. Odbierałem od niego uderzenia z uśmiechem; nie dalej jak wczoraj w publicznym miejscu zelżył mnie i chlasnął po twarzy szpicrutą, czego ślad jeszcze pozostał. Kto by twierdził, że nie mogłem go zabić za to, byłby kłamcą i obłudnikiem. Jednak myśl o tobie, Rozamundo, myśl o tym, że to twój brat, stłumiła we mnie wściekłość. A teraz, gdy przez jakiś tragiczny wypadek spotkała go śmierć, nagrodą za moją niezwykłą wprost cierpliwość, za ciągłą myśl o tobie jest zwalenie na mnie winy — w którą tyś uwierzyła.

— Nie miała wyboru — zakrakał Killigrew.

— Sir Johnie — zawołał — proszę się nie wtrącać do jej wyboru! Wierząc w to, wystawia pan sobie świadectwo głupca, a rada głupca jest jak spróchniała laska — nie można się na niej oprzeć. Mój Boże! Przypuśćmy nawet, że pragnąłem zadośćuczynienia za to, że mnie zelżył; czy tak mało zna pan ludzi, a przede wszystkim mnie, że pan przypuszcza, iżbym szukał zemsty w taki podstępny, niegodny sposób i dla niego sam nadstawiał karku? Piękne zadośćuczynienie, nie ma co mówić! Czy tak z panem postąpiłem, sir Johnie, gdyś językowi dał zbytnią folgę³⁸, jak to sam potem przyznałeś? Przebóg! Otwórz oczy i patrz, jak należy! Zastanów się! Zdaję sobie sprawę z tego, że jesteś bardziej niebezpiecznym wrogiem niż biedny Piotr Godolphin; a jednak, gdy żądałem satysfakcji od ciebie, szukałem jej z otwartą przyłbicą, bo taka jest moja natura. Gdyśmy skrzyżowali miecze w pańskim parku w Arwenack, robiliśmy to wobec świadków, według rycerskich reguł, aby ten, który pozostanie przy życiu, nie miał sprawiedliwości na karku. Pan mnie dobrze zna i wie, jaką bronią walczę. Czy możliwe, żebym inaczej postąpił, rozprawiając się z Piotrem? Czy nie zrobiłbym tego w taki sam sposób, otwarcie, nie unikając światła, nie narażając się na tego rodzaju zarzuty?

Sir John zamyślił się. Logika tego, co mówił Oliver, była jasna i nieubлагana, a rycerz z Arwenack nie był głupcem. Gdy tak stał z chmurnym czołem, odezwała się Rozamunda.

— Mówisz pan, że nie chciałeś się narażać na żadne zarzuty?

Odwrócił się zmieszany. Wiedział bardzo dobrze, jaka myśl powstała w jej głowie.

— Myślisz — mówił powoli, z godnością, a jednocześnie z wyrzutem — że jestem tak obłudny i podły, iż mogłem tym sposobem zrobić to, czego wzdragałem się zrobić otwarcie przez wzgląd na ciebie? To masz na myśli, Rozamundo?! Płonę ze wstydu za ciebie, że możesz o coś takiego podejrzewać człowieka, któremu... któremu wyznałaś miłość.

Rozamunda straciła panowanie nad sobą. Pod uderzeniem tych słów, gorzkich i pełnych wyrzutu, obudził się w niej gniew, który stłumił na chwilę nawet rozpacz z powodu zgonu brata.

³⁸*folga* (daw.) — ulga, odpoczynek; pobłażanie; *dać sobie folgę*: folgować sobie, pozwalać sobie na coś. [przypis edytorski]

— Ty obłudny oszuście! — zawołała. — Są ludzie, którzy słyszeli, jak przysięgałeś mi śmierć. Powtórzono mi twoje własne słowa. A od miejsca, gdzie leżały jego zwłoki, ślady krwi po śniegu prowadziły aż do twojego domu. Czy jeszcze będziesz się zapierał?

Patrzyli, jak wszystka krew ucieka mu z twarzy, ręce opadły bezwładnie, a oczy rozszerzył nagły strach.

— Ślady... krwi? — wybełkotał.

— Tak, proszę na to odpowiedzieć! — wtrącił sir John, który pod wpływem słów Rozamundy odzyskał kontenans³⁹.

Oliver zwrócił się do niego. Znowu był pewny siebie. Z mężczyzną można walczyć, z mężczyzną nie potrzeba ważyć słów.

— Nie mogę na to odpowiedzieć — odparł mocnym tonem, wykluczającym wszelkie domysły. — Jeżeli pan mówi, że tak było, to musiało tak być. Ale mimo wszelkich pozorów niczego to nie dowodzi. Czy to stanowi niezbity dowód, że ja zabiłem? Czy upoważnia to kobietę, która mi wyznała miłość, by mnie uważała za mordercę, a może za coś jeszcze gorszego? — przerwał i spojrzał na nią z bezgranicznym wyrzutem.

Opadła bezwładnie na krzesło, drżąc i kurczowo zaciskając dłonie z wyrazem niewymownej męki na twarzy.

— Czy może mi pan wytłumaczyć, czego innego to dowodzi? — zapytał sir John, a w jego głosie znowu było niezdecydowanie.

Oliver zauważył to i westchnął ciężko.

— Boże miłosierny! — zawołał. — W pańskim głosie jest przynajmniej niepewność, ale w jej głosie nie. Kiedyś zaliczałem pana do swoich wrogów, potem było między nami pełne nieufności zawieszenie broni, a jednak jest pan w stanie powątpiewać o mojej winie. Ale ona... ona, która mnie kochała, nie ma w swym sercu miejsca na żadną wątpliwość!

— Panie Oliverze — odparła — to, co pan zrobił, złamało mnie zupełnie. Wiedząc jednak, jak bardzo twoja cierpliwość wystawiona była na próbę, byłabym zdolna panu przebaczyć, choć nie jako pańska żona. Byłabym zdolna przebaczyć, powtarzam, gdyby nie to, że się pan tak niecznie teraz wypiera.

Spojrzał na nią, blady jak trup, następnie skierował się ku drzwiom.

— Twoje intencje są dla mnie jasne — rzekł. — Życzysz sobie, żebym został za to osądzony — zaśmiał się. — Kto mnie oskarży przed trybunałem? Pan, sir Johnie?

— Jeżeli panna Rozamunda tego zażąda...

— Ha! Niech i tak będzie. Tylko proszę nie myśleć, że pozwolę się powieść pod szubienicę na mocy tych marnych poszlak, które tej pani wystarczają. Jeżeli będą mi mówić o śladach krwi prowadzących do mego domu i o jakichś tam słowach wyrzeczonych wczoraj w gniewie, to zgodzę się na sąd, ale ma to być sąd boży⁴⁰, z bronią w ręku, po trupie mego oskarżyciela. To moje prawo i nie odstąpię od niego ani na jotę. Czy macie wątpliwości, jaki będzie wyrok Boga? Wzywam Go uroczyście, by rozsądził. Jeżeli jestem winien tego mordu, niech mi uschnie ramię, gdy będę wstępował w szranki⁴¹.

— Ja sama będę oskarżycielem — ozwał się stłumiony głos Rozamundy. — I jeżeli pan sobie życzy, proszę korzystać ze swych praw i zabić mnie, jak jego zabiłeś.

— Niech ci Bóg przebaczy, Rozamundo! — rzekł Oliver i wyszedł.

Wrócił do domu z piekłem w duszy. Nie wiedział, co przyszłość kryje, ale taki w nim gorzał⁴² gniew na Rozamundę, że nie było w jego sercu miejsca na rozpacz. Nie powieszą go. Będzie się bronił zębami i pazurami, a jednak Lionel szwanku nie poniesie. Już on się o to postara. Wspomnienie o Lionelu nadało jego myślom inny kierunek. Jak łatwo mógł obalić ich oskarżenia, jak łatwo mógł zmusić ich dumne kolana, by się przed nim ugięły w pokorze. Byłby to bez trudu osiągnął, ale nie mógł przecież narażać brata.

Podczas cichych rozważań w bezsenne noce, gdy rozpatrywał tę sprawę na chłodno, jego nastrój uległ pewnej zmianie. Przemyślał na nowo wszystkie poszlaki, które ją

³⁹kontenans (daw.) — pewność siebie. [przypis edytorski]

⁴⁰sąd boży — środek dowodowy w średniowiecznym procesie w postaci niebezpiecznej próby, której wynik miał dowodzić winy lub niewinności. Wynikało to z przekonania, że Bóg nie dopuści do krzywdy osoby niewinnej. Najczęściej stosowanymi dowodami tego rodzaju były pojedynek sądowy, próba ognia, próba wody. [przypis edytorski]

⁴¹szranki — ogrodzenie placu, na którym odbywał się turniej rycerski; stawać, wstępować w szranki: stawać do walki. [przypis edytorski]

⁴²gorzeć (daw.) — płonąć. [przypis edytorski]

skłoniły do ostatecznego wniosku, i nie mógł nie przyznać, że poniekąd jest usprawiedliwiona. Jeżeli ona wyrządziła krzywdę jemu, to on jej jeszcze większą. Od lat oczerniali go przed nią jego wrogowie. Zamykała na to uszy, bo go kochała; poświęciła nawet dla niego swoje stosunki z bratem. Przekonanie o jego winie musiały wesprzeć także i wyrzuty sumienia, że brat zginął właśnie z jego ręki. Czuła się w pewnej mierze współwinną przez upór, z jakim nie pozwalała sobie wydrzeć z serca miłości do człowieka, którego brat nienawidził.

Oliver zaczął ją sądzić łagodniej. Musiałaby być nadczłowiekiem, gdyby nie odczuwała tego wszystkiego tak właśnie, jak odczuwa, ponieważ zaś reakcja zależy od siły przeżytego wstrząsu, nic więc dziwnego, że teraz tak samo z całej duszy go nienawidzi, jak przedtem z całej duszy kochała.

Ciężko to był krzyż do udźwignięcia. Ale przez wzgląd na Lionela musi go dźwigać z takim męstwem, na jakie się tylko może zdobyć. Nie poświęci Lionela dla swych samolubnych celów, tym bardziej że Lionel inaczej postąpić nie mógł. Byłby naprawdę podły, gdyby chciał to wykorzystać.

Lionel tymczasem przeżywał dni w śmiertelnym strachu, który odbierał mu sen i potęgował gorączkę, tak że już nazajutrz po strasznym zajściu był wymizierowany i wyglądał jak cień. Oliver krzyczał na niego, by mu dodać otuchy. Ponadto przyszły nowe wieści: trybunał w Truro został formalnie powiadomiony o zajściu, wniesiono również skargę, trybunał jednak odmówił zajęcia się tą sprawą. Jednym z członków trybunału okazał się bowiem ten sam Anthony Baine, który był świadkiem zniewagi wyrządzonej Oliverowi. Oświadczył, że cokolwiek się stało z Godolphinem, było to tylko zasłużone następstwo jego własnej winy i ściągnięcie na siebie należytej kary. Orzekł, że sumienie nie pozwala mu jako człowiekowi honoru wydać odpowiedniego polecenia konstablowi⁴³.

Sir Oliver dowiedział się o tym od proboszcza, który sam doświadczył grubiaństwa Godolphina i który jako głosiciel Biblii i rzecznik pokoju w zupełności się przychylił do postanowień trybunału.

Oliver podziękował mu, zaznaczając, że stanowisko obu panów dowodzi ogromnej ich szlachetności, a zarazem oświadczając stanowczo, że zupełnie w sprawie tej rąk nie maczał, chociaż pozory przemawiają przeciwko niemu.

Gdy po dwóch dniach doszło do jego wiadomości, że cała okolica jest oburzona na pana Baine'a za jego stanowisko, udał się wraz z proboszczem do mieszkania sędziego w Truro, by zapoznać go z pewnymi dowodami, których nie wyjawiał Rozamundzie i sir Johnowi Killigrewowi.

— Panie Baine — zaczął, gdy zamknęli się we trzech w bibliotece sędziego — słyszałem o pańskim sprawiedliwym i wspaniałomyślnym orzeczeniu i przyszedłem, by panu podziękować i wyrazić podziw dla jego odwagi.

Pan Baine skłonił się poważnie. Był to człowiek od urodzenia nacechowany powagą.

— Ponieważ jednak nie życzę sobie, by miał pan jakiegokolwiek nieprzyjemności z tego powodu, przychodzę panu udowodnić, że postąpił pan sprawiedliwiej, niż pan sam przypuszcza, i że ja nie jestem zabójcą.

— Pan nie jest zabójcą?! — zawołał pan Baine zdumiony.

— Zapewniam pana, że nie używam żadnych wykrętów, o czym się pan sam wkrótce przekona. Przedstawię panu niezbity dowód, jak powiedziałem, i to zaraz, póki czas mi tego nie udaremni. Nie chciałbym, aby dostało się to teraz do wiadomości publicznej; proszę jednak o sporządzenie odpowiedniego dokumentu na wypadek wznowienia tej sprawy, co jest zupełnie możliwe.

Była to bardzo sprytnie pomyślana obrona. Ślady zabójstwa, które zresztą usunie czas, nosił Lionel, gdy jednak dowód zostanie opublikowany, będzie już za późno.

— Zapewniam pana, sir Oliverze, że gdyby go pan zabił po tym, co zaszło, nie znalazłbym w panu winy, byłaby to jedynie kara wymierzona nieokrzesanemu i zuchwałemu człowiekowi, który pana obraził.

— Wiem o tym. Ale tak nie było. Główny dowód przeciwko mnie, właściwie nawet jedyny, to ślady krwi prowadzące od miejsca wypadku do mojego domu.

⁴³konstabl — dawniej: urzędnik hrabstwa odpowiedzialny za utrzymanie porządku; dziś: posterunkowy, najniższy stopniem policjant w Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

Obaj panowie słuchali w napięciu. Proboszcz wpatrywał się w niego badawczo.

— Moim zdaniem wynika z tego niezbie, że zabójca został raniony. Ponieważ nie mogła to być krew ofiary, musiała więc być krwią tego, który zabił. Świadczą o tym również ślady krwi na mieczu Godolphina. Bez trudu obaj panowie stwierdzicie, że na moim ciele nie ma nawet zadraśnięcia świeżej daty. Rozbiorę się tu do naga, jak miałem nieszczęście przyjść na świat, i panowie przekonają się o tym. Po tych oględzinach poproszę pana Baine'a o sporządzenie wspomnianego przeze mnie dokumentu — z tymi słowami zdjął kolet⁴⁴. — Ponieważ jednak nie chcę dać nędznikom, którzy mnie oskarżają, odrobiny zadowolenia, chyba żebym widział jakies z ich strony niebezpieczeństwo, proszę panów o zachowanie wszystkiego w tajemnicy aż do chwili, kiedy ujawnienie tych faktów stanie się koniecznością.

Uznali słuszność tych wywodów i zgodzili się, choć niezupełnie jeszcze przekonani. Po dokonaniu oględzin jednak oniemieli w obliczu prawdy. Pan Baine istotnie sporządził akt, podpisał go, przybił pieczęć, sir Andrew zaś położył pod nim własne nazwisko i dodał własną pieczęć.

Podniesiony na duchu Oliver wrócił do domu z dokumentem, który miał być mu tarczą w przyszłej potrzebie. Gdy nadejdzie czas, rozwinie go przed sir Johnem Killigrewem i Rozamundą i wszystko i skończy się dobrze.

VI. JASPER LEIGH

Smutne były tegoroczne święta Bożego Narodzenia w Godolphin, nie mniej smutne jednak były w Penarrow.

Oliver chodził roztargniony, milczący, spędzał długie godziny przy kominku, wpatrując się w ogień. Po raz setny roztrząsał każde słowo ze swej rozmowy z Rozamundą, miotany między ponurą złością, że tak skwapliwie uwierzyła w jego winę, a bezdennym smutkiem, mimo którego wspaniałomyślnie uznawał wymowę pozorów, świadczących przeciwko niemu.

Lionel snuł się po domu, schodząc bratu z drogi i starając się nie mącić jego smutnych rozmyślań. Zdawał sobie sprawę, co jest ich przyczyną. Wiedział, co się stało w Godolphin, wiedział, że Rozamunda zerwała z nim na zawsze. Dręczyła go myśl, że złożył na barki brata ciężar, który właściwie sam winien dźwigać. Pewnego wieczoru, uniesiony chwilowym porywem, zaczął na ten temat rozmowę.

— Noll — owzał się, stając przy fotelu brata w nikłym blasku lampy i kładąc mu rękę na ramieniu — czy nie byłoby lepiej wyjawić prawdę?

Oliver spojrzał mu w oczy i zmarszczył się.

— Czyś oszalał? Przecież to by cię zaprowadziło na szubienicę, Lal!

— Niekoniecznie. W każdym razie twoje cierpienia są znacznie większe niż byłyby moje w tym wypadku. Och, ja znam twoją mękę. To niesprawiedliwe. Najlepiej będzie, jeżeli powiemy prawdę — nalegał.

Oliver uśmiechnął się, lecz milczał. Ujął chłopca za rękę.

— Ta propozycja świadczy o twej szlachetności, Lal.

— Nie jest ona ani w połowie tak wielka, jak szlachetność, którą okazałeś, biorąc na siebie wszystkie konsekwencje czynu popełnionego przeze mnie.

— Ba! — Oliver wzruszył niecierpliwie ramionami. — Ja jestem w innej sytuacji; mogę zrzucić z siebie ten ciężar w każdej chwili. Ta świadomość doda mi sił do przebycia ciężkiej próby.

Powiedział to ostro, nieco cynicznie, tak że Lionel zbladł. Stał długo w milczeniu, rozpamiętując te słowa i usiłując dociec, co się za nimi kryje. Miał ochotę poprosić brata o wyjaśnienie, lecz odwaga go opuściła. Bał się, że usłyszy z ust Olivera potwierdzenie własnych domysłów.

Odtąd całymi dniami nurtowały go słowa: „Mogę zrzucić z siebie ten ciężar w każdej chwili”. Utwierdził się w przekonaniu, że źródłem wewnętrznej siły Olivera jest możliwość łatwego pozbycia się odpowiedzialności; z drugiej strony był pewny, że brat tego nie wykorzysta. Ale gdyby kiedyś zmienił postanowienie... Ciężar może stać się zbyt wiel-

⁴⁴kolet (hist.) — długi skórzany kaftan wojskowy, noszony pod zbroją. [przypis edytorski]

ki, tęsknota za Rozamundą nie do ukojenia, rozpacz, że musi w jej oczach uchodzić za mordercę, może przerwać wszelkie tamy.

Lionel drżał na myśl o konsekwencjach takiego obrotu sprawy. Jego strach przejawiał się na zewnątrz. Uświadamiał sobie, że jego propozycja, by odsłonić prawdę, była zupełnie nieszczerą; rozumiał, że był to tylko nastrój chwili i że gdyby Oliver przyjął jego ofertę, gorzko by tego żałował. Skłoniło go to do pewnej refleksji: jeżeli jego chwilowy afekt⁴⁵ mógł być tak sprzeczny z jego istotnymi pragnieniami, to czy inni nie podlegają podobnym impulsom? Czy i jego brat nie stał się igraszką takiego nastroju?

Lionel usiłował wybić to sobie z głowy — Oliver miał przecież silne nerwy, nigdy nie tracił panowania nad sobą. Ale przeciw temu znów przemawiał argument, że to, co było w przeszłości, nie daje gwarancji na przyszłość, że wytrzymałość każdego człowieka, choćby nie wiedzieć jak silnego, ma granice, i niewykluczone, że u Olivera granica ta została już osiągnięta. A jeśli tak, to co się z nim stanie? Obraz, który stanowił odpowiedź na to pytanie, był tak straszny, że z przerażeniem odwracał od niego oczy. Gdyby teraz wytoczono mu proces i gdyby został skazany według prawa, to kara byłaby o wiele cięższa, niż gdyby się zaraz przyznał. Składając zeznania bezpośrednio po zabójstwie, mógł jeszcze liczyć na jakieś względy, miał bowiem opinię człowieka nieposzlakowanego, a teraz nikt mu nie da wiary. To, że milczał tak długo i że pozwolił na niewinne oskarżenie brata, będzie mu poczytane za tchórzostwo i brak honoru; wytłumaczą sobie, że nie miał nic na swoją obronę. I nie tylko zostanie niechybnie skazany, ale nadto jeszcze zniesławiony; spotka go wzgarda wszystkich ludzi, zyska opinię nędznika, którego śmierć nikomu ani jednej łzy z oczu nie wycisnie.

Doszedł do wniosku, że w swych usiłowaniach zatajenia tego czynu uwikłał się w jakąś potworną sieć. Jeżeli Oliver przemówi, jest zgubiony. I znów wróciło pytanie: jaką ma pewność, że Oliver będzie milczał?

Ten strach, który dotąd nawiedzał go z rzadka, zaczął go teraz prześladować dniem i nocą i choć gorączka mu już przeszła, a rana całkowicie się zagoiła, wyglądał mizernie, blade i miał wpadnięte oczy. Trawiące go przerażenie wyzierało mu z twarzy. Stał się nerwowy, zrywał się na najmniejszy szelest, zrobił się nieufny i opryskliwy w stosunku do Olivera.

Wszedłszy raz po południu do jadalni, ulubionego miejsca Olivera, zastał go Lionel zamyślonego, nieruchomo wpatzonego w ogień, z twarzą ukrytą w dłoniach. Ten zwyczaj Olivera zaczął drażnić rozstrojone nerwy Lionela. Zdawało mu się, że to zubożenie jest świadomie przybraną pozą, która ma wyrażać niemy wyrzut.

— Co tak ślęczysz ciągle przy ogniu jak stara baba? — wybuchnął, nie mogąc opamiętać rozdrażnienia.

Oliver obejrzał się z wyrazem zdziwienia w oczach. Potem wzrok jego powędrował ku dużym oknom.

— Deszcz pada — odparł.

— Tak, ale dawniej deszcz nie przykuwał cię do pieca. Teraz wszystko jedno, deszcz czy pogoda, nigdy z domu się nie ruszysz.

— Po co? — zapytał Oliver tym samym łagodnym tonem, ale z pewnym zdziwieniem, które uwidoczniło się w lekkim uniesieniu brwi. — Czy myślisz, że to miło spotykać się z upokarzającymi spojrzeniami, widzieć, jak jeden do drugiego się nachyla, by rzucić za mną jakieś przekleństwo?

— Ha! — krzyknął Lionel, a jego wpadnięte oczy zaiskrzyły się nagle. — Więc doszło do tego, że wymawiasz mi teraz to, coś zrobił z własnej woli, aby mnie osłonić!

— Ja?! — zawołał Oliver zdumiony.

— Twoje słowa brzmią jak wyrzut. Czy myślisz, że nie umiem odczytać ich ukrytego znaczenia?

Oliver wstał powoli, przypatrując się bratu. Potrząsnął głową i uśmiechnął się smętnie.

— Lal, Lal! — zawołał. — Choroba cię rozstroiła, mój chłopcze. Czy zrobiłem ci jakikolwiek wyrzut? Jakiż był ten ukryty sens moich słów? Tłumaczając je właściwie, musiałbyś pojąć, że nie znaczą nic innego ponad to, że wychodząc między ludzi, narażam się

Strach

⁴⁵afekt — emocja, silne i gwałtowne uczucie. [przypis edytorski]

na nowe nieprzyjemności, a że jestem ostatnio bardzo podenerwowany, nie mam ochoty znosić ponurych min i docinków. To wszystko.

Podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. Pod wpływem badawczego wzroku Olivera Lionel spuścił oczy i zarumienił się.

— Kochany głuptasie! Co się z tobą dzieje? Błdyś i wybiedzony, nie możesz przyjść do siebie. Mam wspaniałą myśl. Wyszukuję okręt i pojedziesz ze mną na morze, na łowy! Przypomnę sobie dawne czasy. Tam jest życie, życie, które ci przywróci siły, dziarskość, a może i mnie również! Co ty na to?

Lionel spojrział na brata, oczy mu się roześmiały. Wtem przyszła mu myśl tak podła, że znowu oblał go rumieniec wstydu. Ale myśl była uparta. Jeżeli pojedzie z Oliverem, to ludzie niewątpliwie powiedzą, że jest współwinny zbrodni przypisywanej bratu.

Z różnych pogłosek, których nie dementował, dowiedział się, że w okolicy panuje przekonanie, jakoby między nim a Oliverem popsuly się stosunki z powodu owego zdarzenia w parku Godolphin. Jego błądność i wpadnięte oczy tłumaczono sobie w ten sposób, że zbrodnia brata jest dla niego ogromnym ciężarem. Zawsze uważano go za miłego, zanego chłopca — przeciwieństwo awanturnika Olivera. Opowiadano sobie na ucho, że Oliver w swej z dnia na dzień potęgającej się brutalności maltretuje brata za to, że nie chce mu darować zbrodni. Stąd zrodziło się dla Lionela dużo sympatii, z której przejawami spotykał się na każdym kroku. Gdyby się teraz zgodził na propozycję Olivera, z pewnością musiałby się z tym wszystkim pożegnać.

Zdawał sobie jasno sprawę z haniebnosci takich myśli i czuł wstręt do samego siebie. Ale nie mógł się wyzwolić spod ich przemożnego wpływu. Były silniejsze niż jego wola.

Brat, widząc jego wahanie i błędnie je tłumacząc, pociągnął go do kominka i posadził na krześle.

— Słuchaj — rzekł, siadając naprzeciw niego. — Tam, pod Smithick, stoi na przystani dobry statek. Z pewnością go widziałeś. Jego kapitan, Jasper Leigh, jest najzuchwalszym awanturnikiem spośród tych wszystkich, którzy gromadzą się po południu w szynkowni⁴⁶ w Penycumwick⁴⁷. Znam go od dawna; jest wolny i on, i jego statek. Jasper to człowiek gotów na wszystko, skory do każdej awanturniczej wyprawy, czy będzie to zatapianie hiszpańskich okrętów, czy połów niewolników i jeżeli mu się tylko dobrze zapłaci, można go kupić z duszą i ciałem. Nie wzdraga się przed niczym, jeżeli tylko przedsięwzięcie się opłaci. A więc statek i kapitana mamy, o resztę — załogę, amunicję, broń — sam się postaram i z końcem marca „Jaszczurka” może podnieść kotwicę i wypłynąć na morze. Co ty na to, Lionel? To z pewnością lepsze niż siedzenie w tej ciemnej norze.

— Ja... ja... pomyślę o tym — odparł Lionel, ale tak jakoś bez przekonania, że zapal Olivera zgaś i o wyprawie nie było już mowy.

Lionel jednak nie porzucił całkowicie tej myśli. Z jednej strony coś go odpychało, z drugiej zaś przemożnie ciągnęło ku tej przygodzie. Zwykł teraz co dzień jeździć konno do Penycumwick, gdzie zawarł znajomość z zuchwałym, ospowatym awanturnikiem, o którym mówił Oliver. Przysłuchiwał się dziwnym opowieściom tego człowieka o niebezpiecznych wyprawach na dalekie morza. Były one po większej części nadto niezwykle, by mogły uchodzić za prawdziwe.

Pewnego dnia jednak, z początkiem marca, Jasper Leigh powiedział Lionelowi coś, co całkowicie ugasiło jego zainteresowanie niezwykle przygodami kapitana na hiszpańskich morzach.

Gdy Lionel opuścił małą gospodę i dosiadł konia, marynarz wyszedł za nim i stanął przy jego strzemieniu.

— Słoweczko na ucho, kochany panie Tressilian — ozwał się. — Czy pan wie, co uknuto przeciwko pańskiemu bratu?

— Przeciwko mojemu bratu?

— Tak, w związku z zabiciem Piotra Godolphina przed Bożym Narodzeniem. Widząc, że trybunał nie chce z własnej woli nic w tej sprawie przedsięwziąć, niektóre oso-

⁴⁶szynkownia (daw.) — szynk, karczma, podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

⁴⁷Penycumwick — zapewne z walijskiego Pen-y-cum-gwic (głowa doliny potoku), dawna nazwa miejsca na terenie obecnego miasta Falmouth w Kornwalii; w XIX w. funkcjonująca jako Pennycomequick i będąca synonimem Smithick. [przypis edytorski]

by zwróciły się do namiestnika Kornwalii z prośbą, by kazał trybunałowi wydać rozkaz uwięzienia sir Olivera pod zarzutem zabójstwa. Lecz trybunał odmówił, twierdząc, że jest odpowiedzialny tylko przed Jej Królewską Mością. Słyszałem, że poszła teraz petycja do Londynu, do samej królowej, domagająca się wydania rozkazu trybunałowi, by spełnił swą powinność lub zrzekł się urzędu.

Lionelowi dech zaparło, szeroko rozwartymi oczyma patrzył na marynarza, ale nic nie mówił.

— Chciałem pana ostrzec. Niech pan skłoni Olivera, by się miał na baczności. To dzielny marynarz, a dzielnych marynarzy nie ma za wielu na świecie.

Lionel dobył sakiewkę z kieszeni i nie sprawdzając nawet jej zawartości, wsunął ją w otwartą rękę marynarza, który na podziękowanie mruknął coś pod nosem.

Wrócił do domu w obłędnym strachu. A więc przyszło. Cios spadnie wkrótce. Oliver będzie musiał mówić!

W Penarrow doznał nowego wstrząsu. Dowiedział się od Mikołaja, że Olivera nie ma w domu, że pojechał do Godolphin.

Przerażenie podszeptyło mu, że wieści owe doszły już niewątpliwie do uszu brata i że natychmiast zaczął działać. Nie mieściło mu się w głowie, żeby Oliver w jakiegokolwiek innej sprawie mógł pojechać do Godolphin.

Jego obawy jednak były zupełnie płonne. Nie mogąc dłużej znieść tego stanu rzeczy, Oliver wybrał się do Rozamundy, by jej przedstawić ów dokument. Mógł to zrobić już teraz bez obawy, by Lionelowi stało się coś złego. Na próżno jednak się trudził. Odmówiła kategorycznie spotkania; wówczas poniżył się — rzecz u niego niebywała — nakłaniając służącego, by ponowił prośbę w jego imieniu — lecz i tym razem bez skutku. Wrócił przybity do Penarrow, gdzie zastał brata, czekającego w najwyższym zdenerwowaniu.

— No?! — zawołał. — Co zrobisz teraz?

Oliver spojrzał na niego z marszem⁴⁸ na czole.

— Co zrobisz teraz? O czym ty mówisz?

— Czyś nie słyszał? — I Lionel opowiedział bratu całą historię.

Oliver czekał, aż Lionel skończy. Zagryzł wargi i uderzył się w czoło.

— Ha! — krzyknął. — Więc dlatego nie chciała się ze mną widzieć! Myślała pewnie, że przyszedłem błagać o litość! Czy to możliwe, żeby tak myśleć? Czy to możliwe? — Zaczął ze złością walić butami o leżące w kominku bierwiona⁴⁹. — Och! To byłoby niegodne! A jednak...

— Co teraz zrobisz? — nalegał Lionel, nie mogąc zdławić pytania, które cisnęło mu się na usta. Głos mu drżał.

— Co zrobisz? — rzekł Oliver odwracając głowę. — Przebiję ten wrzód! Zakończę sprawę, by ich pognębić, by ich oblał rumieniec wstydu!

Wyrzucił z siebie słowa gwałtownie, z pasją, aż Lionel odskoczył do tyłu, przeświadczony, że ten wybuch gniewu jest skierowany przeciwko niemu. Upadł na krzesło, dygocząc ze strachu. Nie ulegało wątpliwości, że jego obawy znalazły uzasadnienie. Ten brat, który się chlubił taką miłością do niego, nie potrafił znieść ciosu. A jednak było to tak do Olivera niepodobne, że jeszcze nie dowierzał.

— Ty... ty powiesz im całą prawdę? — szepnął cichym, drżącym głosem.

— Jezus Maria! Lal! Co ci strzeliło do głowy? Powiedzieć im całą prawdę? Tak, oczywiście, ale tylko to, co mnie samego dotyczy. Chyba nie przypuszczasz, że im wyjawię twoją tajemnicę? Czy uważasz, że byłbym do tego zdolny?

— A jakież jest inne wyjście?

Oliver wytłumaczył mu. Przyniosło to Lionelowi ulgę. Lecz ulga była tylko chwilowa. Z dalszymi rozważaniami przyszły nowe obawy. Uświadomił sobie, że gdy Oliver oczyści siebie, to siłą rzeczy spowoduje to powikłania dla niego. Strach wyolbrzymiał do potwornych rozmiarów sprawy, które w gruncie rzeczy były tak niewiele znaczące, że mógł zupełnie o nich nie myśleć. W jego oczach urosły one w oczywiste, nieuniknione niebezpieczeństwo. Gdy Oliver przeprowadzi dowód, że owe ślady krwi nie pochodziły od niego, to — rzecz jasna — muszą dojść do przekonania, że pochodziły od Lionela.

⁴⁸*mars* — zmarszczenie czoła jako wyraz ponurego nastroju, niezadowolenia lub wrogości. [przypis edytorski]

⁴⁹*bierwiono* — kawałek drewna przeznaczony na opał; polano. [przypis edytorski]

Tak samo dobrze mógłby im od razu powiedzieć całą prawdę, bo z pewnością i tak sami ją odkryją. Tak rozumował w śmiertelnym strachu, uważając się za niechybnie zgubionego.

Gdyby się z tymi obawami zwrócił do Olivera albo gdyby je potrafił choć na chwilę uciszyć, by oddać głos rozsądkowi, zrozumiałby, że go prowadzą za daleko. Oliver byłby mu wytłumaczył, że z chwilą gdy upadnie oskarżenie przeciwko niemu, nie zostanie wniesiona żadna nowa skarga, gdyż Lionela nie dotknął i nie dotknie ani cień podejrzenia. Lecz Lionel nie miał odwagi zwrócić się z tym wszystkim do brata. Wstydził się w duchu swej obawy; czuł, że jest tchórzem. Zdawał sobie w całej pełni sprawę z potworności swego egoizmu, a jednak, tak jak i przedtem, nie zdobył się na tyle siły, by go w sobie stłumić. Krótko mówiąc, miłość własna była większa niż miłość do brata.

Nazajutrz — był to dżdżysty dzień marcowy — znalazł się znowu w knajpie w Penycumwick w towarzystwie Jaspera Leigha. Miał już przed sobą tylko jedną drogę. Poprzedniego wieczoru Oliver napomknął, że skoro Rozamunda nie chciała go przyjąć, pojedzie do Killigrewa. Dosięgnie ją przez sir Johna, rzuci sobie do stóp, by błagała o przebaczenie za wyrządzoną mu krzywdę, za swoje okrucieństwo.

Lionel wiedział, że Killigrewa nie ma w domu, lecz że spodziewano się go na Wielkanoc, do której pozostał już tylko tydzień. Niewiele więc było czasu na przeprowadzenie pewnego planu. Myśląc o nim, przeklinał siebie, a jednak trzymał się go całą mocą swej słabej istoty.

Gdy znalazł się w małej gospodzie twarzą w twarz z Jasperem Leighiem, przy gładkim stole sosnowym, zbrakło mu odwagi na wyłożenie sprawy, z którą przyszedł. Zamiast zwykłego grzanego piwa pili za namową Lionela ciężkie wino hiszpańskie, zmieszane z brandy⁵⁰. Zanim dopił pierwszy kubek, poczuł nagły przypływ siły. W głowie huczały mu słowa brata: „zuchwały awanturник, gotów na wszystko; jeżeli mu się tylko dobrze zapłaci, można go kupić z duszą i ciałem”. Lionel miał dość pieniędzy, by kupić Jaspera Leigha, były to jednak pieniądze Olivera — pieniądze, które zawdzięczał szczodrości brata. I teraz za pomocą tych pieniędzy miał zniszczyć Olivera. Nazywał siebie podłym, pogardy godnym psem, przeklinał szatana, który mu podsuwał podobne zamiary, zdawał sobie sprawę, kim jest, gardził sobą, obrzucał się najgorszymi wyzwiskami, potem wmaślał w siebie, że jest silny, że raczej weźmie na siebie wszystko, co go czeka, niżby miał tak nisko upaść, tak się upodlić — zaraz jednak, na myśl o konsekwencjach, budziło się w nim przerażenie.

Nagle kapitan zadał mu szeptem pewne pytanie, które spełniło rolę przytkniętego do ognia lontu i zniweczyło wszelkie skrupuły Lionela.

— Przekazał pan sir Oliverowi moje ostrzeżenie? — zniżył jeszcze głos, aby ich nie usłyszał gospodarz, krzątający się po drugiej stronie drewnianego przepierzenia.

Lionel skinął głową, nerwowo bawiąc się kolczykiem w ucho i chowając oczy przed marynarzem, którego pospolitej, ogorzalej i obrośniętej twarzy przyglądał się dotąd badawczo.

— Tak, ale Oliver jest uparty. Nie chce się ruszyć.

— Nie chce? — Kapitan musnął bujną rudą brodę i marynarskim zwyczajem zaklął siarczyście: — Do stu piorunów! Bardzo łatwo może zawisnąć, jeżeli tu będzie czekał!

— Tak — odparł Lionel — jeżeli tu będzie czekał. — Czuł, że przy tych słowach zaschło mu w gardle i serce waliło jak młotem. Alkohol jednak zabił w nim wszelką wrażliwość.

Pod wpływem jego tonu kapitan obrzucił go baczным spojrzeniem spod krzaczastych brwi. W spojrzeniu tym było wymowne pytanie. Lionel wstał.

— Przejdźmy się, kapitanie — rzekł.

Kapitan zmrużył oczy. Wietrzył interes. Było coś niesamowitego w zachowaniu młodzika. Wychylił duszkiem resztę wina, prasnął kubkiem o stół i podniósł się.

— Do usług, panie Tressilian — powiedział.

Lionel odwiązał cugle od żelaznego kołka i prowadząc konia za uzdę, skierował się ku wybrzeżu drogi, która wiła się wzdłuż zatoki w stronę Smithick.

Od północy szła silna bryza, która podnosiła fale przybrane w grzebienie pian; niebo było czyste, słońce świeciło jaskrawo. Zaczynał się odpływ i skała przy samym wejściu do

⁵⁰brandy — wytrawna wódka wytwarzana z wina. [przypis edytorski]

zatoki wynurzyła swój czarny wierzchołek. W odległości kabla⁵¹ widniał ciemny kadłub i nagie maszty „Jaskółki”.

Lionel siedział w milczeniu, ponury i zamyślony, ciągle jeszcze bijąc się z myślami. Ale sprytny marynarz, widząc jego rozterkę, w obawie, by go nie minęła gratka, ułatwił mu wreszcie zadanie.

— Wydaje mi się, że pan chce mi coś powiedzieć — ozwał się chytrze. — No, śmiało, nie ma człowieka, który by tak jak ja mógł panu usłużyć.

— Rzeczywiście — odparł Lionel, patrząc z ukosa na marynarza — jestem w ciężkim położeniu, panie Leigh.

— I ja wiele razy byłem w ciężkim położeniu — zaśmiał się kapitan — ale nigdy jeszcze w takim, z którego bym się nie wykaraskał. No, śmiało, podziel się pan ze mną, postaram się panu pomóc tak jak sobie samemu.

— Otóż rzecz wygląda tak — zaczął Lionel. — Mego brata z pewnością powiesz, jak sam pan twierdzi, o ile tu będzie siedział. Gdy przyjdzie do procesu, jest zgubiony. W takim wypadku hańba spada na mnie i cały ród.

— Istotnie, istotnie! — potwierdził marynarz zachęcająco.

— Chciałem go stąd wyrwać — ciągnął Lionel dalej, przeklinając równocześnie szatana, który mu podsuwał piękne słowa. — Chciałem go stąd wyrwać, jednak byłoby niezgodne z moim sumieniem, by miał całkowicie ująć kary. Bo przysięgam panu, panie Leigh, brzydzę się tym czynem, tym niecnym, haniebnym mordem!

— Ach! — wyrwało się kapitanowi, lecz w obawie, by ten okrzyk nie spłoszył ryby idącej na przynętę, dodał pośpiesznie: — Naturalnie, naturalnie!

Lionel spojrzał mu prosto w oczy, oparty plecami o konia. Byli zupełnie sami, w miejscu tak ustronnym, jakie tylko sobie spiskowiec wymarzyć może. Za nimi rozciągało się bezładne wybrzeże, przed nimi czerwone skały wznosiły się łagodnie ku pokrytym lasami wyniosłościom Arwenack.

— Chcę być całkiem szczery i otwarty wobec pana, panie Leigh. Piotr Godolphin był moim przyjacielem. Sir Oliver jest tylko moim przyrodnim bratem. Dałbym bardzo wiele temu, kto by zechciał usunąć stąd skrycie Olivera, by go uchronić przed zgubą, która nad nim wisi, tak jednak, aby został ukarany, jak na to zasłużył.

Dziwił się, że słowa, do których serce jego czuło wstręt, przechodzą mu tak gładko.

Kapitan wydawał się zakłopotany. Przyłożył palec do piersi Lionela w okolicy jego fałszywego serca.

— Ja właśnie jestem tym, którego pan potrzebuje — oświadczył. — Ale ryzyko jest ogromne. Jednak mówi pan, że dałby wiele.

— Niech pan sam wymieni sumę — odpowiedział szybko rozgorączkowany Lionel.

— O, już ja się tym zajmę, nie ma obawy — oświadczył kapitan. — Wiem dokładnie, o co panu chodzi. A co pan na to, gdybym go wywiózł za morza do plantacji, gdzie potrzebują robotników z takimi tęgimi⁵² mięśniami? — zniżył głos, mówił z pewnym wahaniem, w obawie, czy nie proponuje więcej, aniżeli od niego oczekiwano.

— Może wrócić — brzmiała odpowiedź, która rozproszyła wszelkie wątpliwości.

— Ach! — wykrzyknął marynarz. — A cóż pan w takim razie powie o berberyjskich⁵³ korsarzach? Oni potrzebują niewolników i zawsze są gotowi do kupna, choć podle płacą. Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś od nich z galer⁵⁴ powrócił. Niejeden zrobiłem z nimi interes, wymieniając ludzki towar na korzenie, dywany wschodnie i tym podobne.

Lionel oddychał ciężko.

— To straszny los, nieprawda?

Kapitan pogładził się po brodzie.

Zdrada

⁵¹kabel — jednostka odległości stosowana w nawigacji, równa 1/10 mili morskiej, tj. ok. 1800 m. [przypis edytorski]

⁵²tęgi — mocny, dzielny, dobry w swojej dziedzinie. [przypis edytorski]

⁵³berberyjski (daw.) — związany z Berberią; *Berberia* a. *Barbaria*: w XVI–XIX w. europejska nazwa zachodniej i środkowej części Afryki Płn., pochodząca od koczowniczego plemienia Berberów, rdzennych mieszkańców tych terenów. [przypis edytorski]

⁵⁴galera — dawny okręt wojenny lub statek handlowy mający żagle, ale napędzany głównie wiosłami, często przez niewolników, jeńców lub skazańców; *galery*: przymusowa ciężka praca przy wiosłowaniu na galerze. [przypis edytorski]

— Ale to jedyny pewny sposób i prawdę mówiąc, nie jest to tak straszne, jak zostać powieszonym, no a przy tym nie tak hańbiące dla rodziny. Chce pan przecież ratować i Olivera, i siebie?

— Tak, właśnie tak! — zawołał Lionel gwałtownie. — A cena?

Kapitan przestąpił z nogi na nogę — nogi miał krótkie, mocne — i zamyślił się.

— Sto funtów? — zaczął, badając grunt.

— Zgoda! Sto funtów! — brzmiała odpowiedź, tak szybka, że kapitan zmiarkował⁵⁵, iż zrobił zły interes i należało cenę podwoić.

— To znaczy sto funtów dla mnie — objaśnił. — Poza tym trzeba będzie liczyć załogę, żeby milczała i pomogła, czyli drugie sto funtów.

Lionel namyślał się chwilę.

— To więcej, niż mogę w krótkim czasie wydostać. Ale słuchaj pan: wypłacę gotówką sto pięćdziesiąt funtów, a resztę w kosztownościach. Nie straci pan na tym, ręczę. A gdy pan powróci i przyniesie mi pomyślną wiadomość, wypłacę drugie tyle.

Wobec tego targ został ubity. Przy omawianiu zaś szczegółów Lionel przekonał się, że los zesłał mu człowieka, który zna swoje rzemiosło na wylot. Jedyną pomocą, jakiej kapitan od niego żądał, było zwabienie ofiary na jakieś umówione miejsce, oczywiście blisko morza. Leigh będzie tam z łodzią i ludźmi w pogotowiu — reszta należy już do niego.

Lionel od razu znalazł odpowiednie miejsce. Obrócił się i wskazał poprzez rzekę na wzgórze Trefusis i szary dwór Godolphin, skąpany teraz w blasku słońca.

— Tam, na wzgórzu Trefusis, pod Godolphin, jutro o ósmej wieczorem, przed wschodem księżyca. Moja w tym głowa, żeby on tam był. Lecz na miłość boską, niech go pan nie przegapi!

— Proszę mi zaufać — odparł Leigh. — A pieniądze?

— Gdy będzie go pan już miał na pokładzie, proszę przyjść do mnie do Penarrow — odpowiedział Lionel, zdradzając się, że mimo wszystko niezupełnie ufa kapitanowi.

Kapitan jednak był zupełnie zadowolony. Gdyby Lionel mu nie wypłacił, zawsze mógł jeszcze odstawić Olivera na wybrzeże.

Wreszcie pożegnali się. Lionel dosiadł konia i odjechał, a Leigh, zwinąwszy dłonie w trąbkę, zawołał w stronę statku.

Gdy czekał na łódź, jakiś dziwny uśmiech pojawił się na jego kudłatej twarzy. Gdyby Lionel ten uśmiech zobaczył, zastanowiłby się pewnie, jak dalece oplacają się interesy z szelmą, który dochowuje wiary o tyle, o ile ma z tego zysk. A właśnie w tej sprawie widział Jasper Leigh możliwość zarobienia na wyprowadzeniu Lionela w pole. Sumienia nie miał, ale jak wszyscy hultaje, lubił jeszcze większemu od siebie hultajowi wypłacać figla. Chciał go wystrychnąć na dudka w sposób tak chytry, że na samą myśl o tym śmiał się w kulak⁵⁶.

VII. W POTRZASKU

Lionela nie było w Penarrow prawie cały następny dzień; wyjechał pod pozorem pewnych zakupów w Truro. Dochodziło wpół do ósmej, gdy wrócił i spotkał Olivera w hallu.

— Mam dla ciebie wiadomość z Godolphin — oznajmił. Widział, jak Oliver zbladł. — Spotkałem przy bramie chłopca, który mnie prosił, bym ci powtórzył, że panna Rozamunda chce się natychmiast z tobą zobaczyć.

Serce w Oliverze zamarło, a potem zaczęło gwałtownie bić. Wzywa go! Widocznie żałuje swego okrucieństwa! Nareszcie chce się z nim widzieć!

— Niech cię Bóg błogosławi za radosną nowinę! — odpowiedział w najwyższym uniesieniu. — Już idę. — I spiesźnie wyszedł z domu.

Tęsknota jego była tak wielka, że w pośpiechu nie wziął nawet owego dokumentu, który był przecież jego najwymowniejszym obrońcą. To zaniedbanie miało pociągnąć za sobą poważne następstwa.

Lionel nie odezwał się ani słowem, gdy brat odchodził. Schował się tylko w cień, by ukryć śmiertelną bladłość, która pokryła nawet usta. Miał uczucie, że się dusi. Gdy

⁵⁵miarkować (daw.) — domyślać się, wnioskować; orientować się. [przypis edytorski]

⁵⁶kulak — mocno zaciśnięta dłoń, pięść; śmiać się w kulak: śmiać się skrycie, ukradkiem. [przypis edytorski]

drzwi się zamknęły, wstał gwałtownie. Rzucił się za Oliverem — z całej duszy chciał go zawrócić. Ale strach stłumił szybko jego chwilowy wybuch. Skoro dopuścił do tego, życie jego będzie karą.

Powłókł się na drżących nogach do jadalni.

Zastał stół nakryty do wieczery, jak owej nocy, kiedy przywłókł się z raną w boku, by stać się przedmiotem najtkliwszej opieki Olivera. Podeszedł do kominka i usiadł, zasłaniając oczy przed blaskiem. Zimno mu było i nie mógł się pozbyć dreszczy.

Wszedł Mikołaj, pytając, czy można już podać wieczerzę. Odpowiedział drżącym głosem, że mimo późnej godziny będzie czekał na powrót sir Olivera.

— Czy sir Oliver wyszedł? — zagadnął zdziwiony Mikołaj.

— Właśnie w tej chwili, nie wiem dokąd — odparł Lionel. — Ale ponieważ jeszcze nie jadł, przypuszczam, że zaraz wróci.

Odprowadził służącego i siedział, trzęsąc się, wydany na łup dusznych uderzeń. Czynił ogromne wysiłki, by nadać myślom inny bieg; powracał do niezachwianej miłości, jaką go Oliver zawsze tak szczerze obdarzał, i do ofiar, jakie ponosił w związku ze śmiercią Godolphina, by go osłonić. Ogrom miłości i samozaparcie Olivera natchnęły go wiarą, że nawet w największej potrzebie nie byłby go zdradził. Lecz powracająca fala strachu, który uczynił go nikczemnikiem, podsunęła mu myśl, że nie ma przecież bezwzględnej pewności, że gdyby mimo wszystko Oliver zawiódł go w krytycznej chwili, byłby naprawdę zgubiony.

Ostateczny sąd o bliźnim opiera się wszak na znajomości samego siebie; Lionel przeto, sam niezdolny do poświęceń, nie mógł uwierzyć w tak daleko idące poświęcenie Olivera. Znowu powrócił do słów brata, wypowiedzianych przed dwoma dniami w tym samym pokoju, i doszedł jeszcze raz do niezłomnego przekonania, że były zupełnie jednoznaczne.

Potem znowu opadły go wątpliwości — wreszcie przyznał, że sam siebie okłamuje, by się rozgrzeszyć z tego, co zrobił. Ujął głowę w dłonie i boleśnie westchnął. Jest szubrawcem o czarnej duszy, najpodlejszym z podłych! Znowu począł przeklinać siebie. W pewnym momencie zerwał się, zdecydowany choć w ostatniej chwili pognać za bratem i uchronić go przed okropnością, która tam w nocy na niego czyhała.

Lecz i tym razem zrezygnował pod wpływem samolubnego strachu. Powłókł się z powrotem do krzesła, a jego myśli pobiegly teraz w innym kierunku. Przypomniał sobie swoje rozważania z owego dnia, gdy Oliver pognał do Arwenack, by żądać satysfakcji od sir Johna Killigrewa. Uświadomił sobie, że po usunięciu Olivera będzie prawnie posiadał to wszystko, co dotąd zawdzięczał łasce brata. Ta myśl przyniosła mu pewną ulgę. Jeżeli będzie cierpiał z powodu swojej podłości, to przynajmniej za cierpienia te otrzyma pewne wynagrodzenie.

Zegar nad stajniami wybił ósmą. Zadrżał, słysząc ten dźwięk. Teraz właśnie się zaczyna. Oczyma duszy widział wszystko — widział, jak brat pędzi stęskniony do bram Godolphina, jak wyłaniają się z mroku jakieś ciemne postacie i bez słowa opadają go. Widzi go jeszcze jakiś czas rzucającego się po ziemi, potem wiążą mu ręce i nogi, wpychają knebel w usta i niosą szybko w dół po nadbrzeżnej pochyłości do czekającej łodzi.

Mija jeszcze pół godziny. Teraz już po wszystkim — ta pewność uspokaja go nieco.

Znowu wchodzi Mikołaj, opowiadając o jakimś nieszczęśliwym wypadku, który może pana spotkał.

— Jakież nieszczęście mogło go spotkać? — burknął Lionel, jakby sama myśl o tym budziła w nim gniew.

— Nie chcę wymówić w złą godzinę — odpowiedział sługa — ale sir Oliver ma teraz wielu wrogów i nie jest całkiem bezpiecznie dla niego chodzić po nocy.

Lionel przyjął tę uwagę z lekceważeniem. Dla pozorów oświadczył, że nie będzie czekał dłużej. Mikołaj wniósł więc wieczerzę i zostawił go samego. Stary sługa był jednak niespokojny, kręcił się koło bramy, wpatrywał w ciemność, wyglądając Olivera i nadsluchując, czy nie wraca. Zajrzał do stajen i stwierdził, że Oliver poszedł pieszo.

Tymczasem Lionel, który nie mógł nawet patrzeć na wieczerzę, udawał, że je. Wypił za to chciwie cały puchar wina. Potem, udając niepokój, zszedł na dół do Mikołaja. Tak spędzili całą noc, czekając na przyjście człowieka, który zgodnie z planami Lionela miał już nie wrócić.

Ledwo słońce weszło, pobudzili służbę i rozesłali ją na wszystkie strony, by przeszukała okolicę i zasięgnęła wieści o zaginionym. Lionel oczywiście pojechał do Arwenack zapytać sir Johna Killigrewa, czy nie wie czego w tej sprawie.

Sir John, zdumiony, zapewnił go jednak, że od wielu dni nie widział Olivera. Był wobec Lionela bardzo uprzejmy, lubił go, jak zresztą wszyscy. Zachowanie młodzieńca było lak skromne i ugrzecznione, że porównanie z Oliverem wypadło zawsze na jego korzyść.

— Uważam to za rzecz zupełnie naturalną, że przyszedł pan do mnie — oświadczył sir John — lecz daję słowo honoru, że nic o nim nie wiem. Nie mam zwyczaju napadać swoich wrogów w ciemności.

— Ależ oczywiście, sir Johnie, ani przez chwilę nie miałem tego na myśli — usprawiedliwiał się Lionel. — Proszę mi darować, że przyszedł z tak niegodnym pytaniem. Proszę to złożyć na karb mojego zdenerwowania. Od czasu zajścia w parku Godolphin nie mogę przyjść do siebie. Dręczyło mnie to jak zmora. To potworny ciężar wiedzieć, że brat... dzięki Bogu, że tylko brat przyrodni... dopuścił się tak szkaradnego czynu.

— Jak to? — zawołał Killigrew zdumiony. — Pan to mówi? I pan w to wierzy?

W spojrzeniu Lionela odmalowało się zmieszanie, które sir John zupełnie źle zrozumiał, tłumacząc je na korzyść młodzieńca. W takich to okolicznościach zostało posiane ziarno przyjaźni między tymi dwoma, ziarno, które miało wzejść na gruncie współczucia dla chłopca pokaranego tak nikczemnym i występny bratem.

— Tak — westchnął sir John. — Pan wie, że każdego dnia wyglądamy rozkazu królowej, by trybunał wytoczył pańskiemu... by wytoczył sir Oliverowi proces, czego dotąd odmawiał — zmarszczył brwi i zamyślił się. — Czy pan przypuszcza, że Oliver wiedział o tym?

Lionel pojął w lot, o co Johnowi chodzi.

— Oczywiście, że wiedział — odparł. — Ja sam mu tę wiadomość przyniosłem. Ale dlaczego pan pyta?

— Czyż nie wyjaśnia nam to tajemnicy jego zniknięcia? Boże! Przecież byłby skończonym głupcem, gdyby tu siedział i czekał na nadejście rozkazu królowej. Bo nie ma dwóch zdań, że skończyłby na szubienicy.

— Boże święty! — zawołał Lionel z szeroko rozwartymi oczami. — Pan... pan myśli więc, że uciekł?

Sir John wzruszył ramionami.

— Wszelkie inne przypuszczenie jest wykluczone.

Lionel zwiesił głowę.

— Tak, wykluczone... — szepnął, żegnając się. Wyglądał na człowieka zupełnie załamane, jakim też był w istocie. Nie przypuszczał nigdy, że zniknięcie Olivera spotka się z tak prostą, a jednocześnie usuwającą wszelkie domysły i wątpliwości interpretacją.

Wrócił do Penarrow i opowiedział Mikołajowi o podejrzeniach sir Johna, które, jak się obawiał, istotnie tłumaczą zniknięcie Olivera. Służący jednak nie dał się tak łatwo przekonać.

— I pan wierzy, że on to zrobił?! — zawołał Mikołaj. — Pan naprawdę w to wierzy? — w głosie służącego była surowa nagana, a nawet oburzenie.

— Wielki Boże! A cóż innego można przypuszczać, jak nie to, że naprawdę uciekł?

Mikołaj zacisnął usta, przytknął dwa kościste palce do ramienia Lionela.

— On nie uciekł, panie Lionel — oświadczył z naciskiem. — On nigdy nie odwracał się tyłem do wrogów. Sir Oliver nie boi się ni człowieka, ni diabła i gdyby rzeczywiście był zabójcą pana Godolphina, nigdy by się tego nie zapierał. Proszę nie wierzyć sir Johnowi. On go zawsze nienawidził.

Ale stary sługa był odosobniony w swojej opinii. Jeżeli ktokolwiek żywił jakieś wątpliwości co do winy Olivera, to jego zniknięcie całkiem je rozwiało, jeszcze zanim nadeszły oczekiwane rozkazy królowej.

Wieczorem zjawił się w Penarrow kapitan Leigh, pytając o Olivera.

Mikołaj powiadomił Lionela o jego przybyciu i otrzymał polecenie wprowadzenia gościa.

Krępy, niezgrabny Jasper Leigh kolebał się na swoich krzywych nogach i gdy zostali sami, tyknął chytrze okiem ku Lionelowi.

— Jest bezpieczny na statku — oznajmił. — Poszło jak po maśle i bez hałasu.
— Dlaczego pan o niego pytał? — zagadnął Lionel.
— Dlaczego? — Znowu filuterny błysk oka. — Miałem do niego interes. Mówił kiedyś, że chciałby ze mną wypłynąć na morze. W Smithick doszła mnie wieść, że zniknął. Tym lepiej. — Dotknął palcem czubka nosa. — Proszę mi wierzyć, jak się wiadomość rozejdzie, tym lepiej dla nas. Byłaby to gruba nieostrożność pytać wprost o pana. Teraz wie pan, czym wytłumaczyć moją wizytę.

Lionel wypłacił mu umówioną sumę i pożegnał, otrzymawszy zapewnienie, że „Jaskółka” w najbliższym czasie wypłynie na morze.

Gdy wieść, że Oliver pertraktował z Leighem w sprawie rejsu, obiegła okolicę, nawet Mikołaj zaczął chwiać się w swym niezłomnym przekonaniu.

W miarę jak mijały dni, Lionel stopniowo odzyskiwał spokój. To, co się stało, było nie do cofnięcia i żal na nic się nie zda. Nie przypuszczał nawet, jak bardzo sprzyjał mu los, częsty sprzymierzeniec lajdaków.

Królewscy posłańcy przybyli mniej więcej w sześć dni później i pan Baine otrzymał z królewskiej kancelarii rozkaz udania się do Londynu celem złożenia wyjaśnień dotyczących stanowiska, jakie zajął w sprawie Olivera. Niestety, sir Andrew Flack, proboszcz, zmarł wskutek zaziębienia przed kilku miesiącami. Gdyby nie to, sędziemu Baine przysłoby łatwo oczyścić się z czynionych mu zarzutów. Teraz jednak jego głoślowne twierdzenia nikogo nie przekonywały. Nie pomogło nawet powoływanie się na niezbite dowody, jakie mu zostały przedstawione, ani opowieść o podjętym przez siebie badaniu, któremu sir Oliver dobrowolnie się poddał. Nie wątpiono, że jest to tylko wykręt człowieka, który w ten sposób tłumaczy swą opieszałość w spełnianiu obowiązków i usiłuje wywinąć się przed następstwami. W tym przeświadczeniu utwierdzał sędziów jeszcze fakt, że jako drugiego świadka podawał człowieka nieżyjącego. Zawieszono go w urzędowaniu i nałożono nań wysoką karę pieniężną. W ten sposób sprawa upadła zupełnie, bo cały aparat puszczony w ruch, by odkryć jakiś ślad zaginionego Olivera, zawiódł.

Od tego dnia rozpoczął się dla Lionela nowy okres życia. Ubolewano nad nim powszechnie z powodu obciążających go win brata i usiłowano osłodzić mu ciężką dolę. Podnoszono z naciskiem, że był tylko przyrodnim bratem Olivera, a niektórzy w swej uprzejmości posuwali się nawet do przypuszczenia, że nie łączyły ich żadne więzy krwi, co byłoby zupełnie naturalne wobec haniebnych zdrad małżeńskich Ralfa Tressiliana, któremu żona mogła odpłacić pięknym za nadobne. Kierunek ten nadał opinii publicznej sir John Killigrew, a wersja obiegła wkrótce całą okolicę, tak że Lionel, przyjmując to wszystko jak należną sobie dań⁵⁷, płał w ciepłej ludzkiej sympatii, której ród Tressilianów nigdy dotąd nie zażywał.

VIII. HISZPAŃSKI STATEK

„Jaskółkę” zaskoczyła w Zatoce Biskajskiej⁵⁸ ciężka burza. Statek jednak przetrwał sztorm, jak gdyby był beczką, z którą fala może igrac⁵⁹ bez szkody. Opłynął przylądek Finisterre⁶⁰ i wydostał się z burzy w ciszę, spod ołowianych chmur i spośród kipieli bałwanów na lazurową gładź, oblaną słońcem. Byłoby to jakby nagłe przejście z zimy w wiosnę. Teraz „Jaskółka” sunęła, gnana łagodną wschodnią bryzą, lekko przechylając się na lewą burtę.

Jasper Leigh wcale nie zamierzał zapędzać się aż tak daleko bez porozumienia z jeńcem. Ale wiatr był silniejszy niż jego chęci; musiał przeto pędzić wraz z nim, trzymając się południowego kursu. Tak więc na razie do rozmowy nie doszło i szczęściem dla Lionela — jak się później okazało — musiał ją kapitan odłożyć, póki nie znaleźli się na wysokości, acz w pewnym oddaleniu od portugalskiego wybrzeża, które podówczas nie było zbyt bezpieczne dla angielskich żeglarzy.

⁵⁷dań (daw.) — danina; dar. [przypis edytorski]

⁵⁸Zatoka Biskajska — otwarta zatoka Oceanu Atlantyckiego, położona pomiędzy wybrzeżami Hiszpanii i Francji. [przypis edytorski]

⁵⁹igrac (daw.) — bawić się. [przypis edytorski]

⁶⁰przylądek Finisterre — skalisty przylądek na zachodnim wybrzeżu hiszpańskiej Galicji; w starożytności błędnie uznawany za najdalej wysunięty na zachód punkt Płw. Iberyjskiego, „kraniec ziemi” (łac. *finis terrae*). [przypis edytorski]

Kapitan siedział w wąskiej kajucie na rufie⁶¹ przy brudnym stole, nad którym kołysała się w takt lekkich przechyłów statku lampa. Palił cuchnącą fajkę, której dym osiadał ciężkimi chmurami w ciasnym pomieszczeniu, a tuż pod ręką miał butelkę brandy.

Przed siedzącego wprowadzono sir Olivera ze związanymi w tył rękami. Był wynędzniały, miał zapadnięte oczy, a policzki pokrywał niegolony od tygodnia zarost. Ubranie, porwane w czasie walki i wygniecione, wyglądało nie lepiej.

Był tak wysoki, że nie mógł stać prosto w tej niskiej kajucie; jeden z kompanów Leigha, który go tu przyprowadził, podsunął mu więc stół.

Oliver usiadł, zobojętniały na wszystko, i patrzył na kapitana nic niewidzącym wzrokiem. Leigh, przygotowany na wybuchy złości, był nieco zbity z tropu. Odprawił obu marynarzy, zamknął drzwi i zwrócił się do jeńcy.

— Sir Oliverze — ozwał się, gładząc rudą brodę — został pan haniebnie oszukany!

Przez jedną z rogowych szyb sączyło się światło słońca, igrając na kamiennej twarzy Olivera.

— Czyż trzeba było, ty łotrze, aż tu mnie sprowadzać, by mi to powiedzieć?

— Naturalnie — odparł Leigh. — Ale muszę coś jeszcze dodać. Pan myśli, że miał na pańską szkodę. Krzywdzi mnie pan. Dzięki mnie zyskał pan możliwość odróżnienia prawdziwych przyjaciół od ukrytych wrogów. Na przyszłość będzie pan wiedział, komu ufać, a komu nie.

Widoczne było, że Oliver, rozdrażniony bezczelnością draba, budzi się z odrętwienia. Wyciągnął nogę i uśmiechnął się złośliwie.

— Uważasz pewnie, że jestem twoim dłużnikiem? — rzekł.

— Na końcu sam pan to powie — zapewnił go kapitan. — Czy pan wie, co mi polecono z panem zrobić?

— Do licha, nie wiem i nie chcę wiedzieć! — brzmiała odpowiedź. — Jeżeli zamierza mnie pan w ten sposób rozerwać, to proszę, oszczędź sobie trudu.

Odpowiedź ta była kapitanowi nie w smak. Przez chwilę w milczeniu pykał fajkę.

— Polecono mi — zaczął — wywieźć pana w dzikie kraje i sprzedać Maurom⁶² jako niewolnika. Udałem, że się na to godzę, by oddać panu przysługę.

— Do stu diabłów! — zaklął Oliver. — Za wiele pan żąda ode mnie, bym w takie brednie uwierzył!

— Burza pokrzyżowała moje plany. Nie zamierzałem wcale wywozić pana aż tak daleko na południe. Lecz huragan rzucił mnie aż tu. A teraz, jeżeli mi pan da słowo, że nie będzie mnie za to ścigał i wynagrodzi moją stratę, zmienię kurs, rezygnując z pewnego dobrego ładunku, i w przeciągu tygodnia odwiozę pana do domu.

Oliver przyglądał mu się z szyderczym wyrazem twarzy.

— Co za łotr! — wykrzyknął. — Nikomu nie może dochować wiary! Najpierw bierze pieniądze za to, by mnie porwać, a teraz żąda zapłaty za to, aby mnie odwieźć z powrotem.

— Krzywdzi mnie pan, daję słowo! Mogę dochować wiary, jeżeli otrzymam polecenie od uczciwego człowieka, przekona się pan, sir Oliverze! Ale kto dochowuje wierności szubrawcom, jest głupcem, a że nim nie jestem, w to chyba pan nie wątpi. Podjąłem się tego, by zdemaskować łajdaka i popsuć mu szyki, o ile rzecz prosta coś niecoś na tym zarobię. Mówię z panem zupełnie otwarcie. Dostałem dwieście funtów w gotówce i kosztownościach od pańskiego brata. Daj mi pan tyle samo, a...

Zobojętnienie Olivera nagle przyszło. Zrzucił je z siebie jak płaszcz; zerwał się na równe nogi, oczy błysnęły mu groźnie.

— Co mówisz?! — wykrzyknął.

Kapitan spojrzał mu w oczy, wypuścił fajkę z ust.

— Mówię, że jeśli zapłaci mi pan tyle, ile dał mi pański brat za porwanie pana...

— Mój brat?! — ryknął. — Mój brat, mówisz?

— Powiedziałem: pański brat.

— Lionel? — dopytywał się.

— Jakiegoż innego ma pan jeszcze brata? — odparł Leigh.

⁶¹rufa — tył statku. [przypis edytorski]

⁶²Maurowie (hist.) — od średniowiecza do pocz. XIX w.: europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego i płn.-zach. Afryki, z pochodzenia w większości Berberów (rdzennych mieszkańców Afryki Płn.). [przypis edytorski]

Nastała cisza. Oliver utknął oczy w przestrzeń i pochylił głowę.

— Czy dobrze rozumiem? — rzekł wreszcie. — Twierdzi pan, że mój brat Lionel zapłacił panu za uwięzienie mnie... że moja obecność tu, na tym starym pudle, jest jego sprawką?

— A kogoż innego pan podejrzewał? Czy może myślał pan, że zrobiłem to dla własnej przyjemności?

— Odpowiadaj! — ryczał Oliver, rzucając się w swych pętach.

— Powiedziałem przecież już kilka razy. No, ale ponieważ trzeba panu łopatą kłaść do głowy, powtarzam raz jeszcze: brat pański, pan Lionel Tressilian, dał mi dwieście funtów, bym wywiózł pana między pogan i sprzedał jako niewolnika. Czy to jasne?

— Jasne, że to nikczemne kłamstwo! Łżesz, psie!

— Powoli! Powoli! — odrzekł Leigh, nie tracąc dobrego humoru.

— Powtarzam, że to łgarstwo!

Leigh namyslał się chwilę.

— Aha, więc to tak — ozwał się wreszcie i bez słowa podszedł do marynarskiej skrzyni, przytwierdzonej do drewnianej ściany kajuty. Otworzył ją i wydobył skórzany mieszek. Wyjął z niego garść kosztowności. Podsunął je Oliverowi pod nos. — Na szczęście pozna je pan. Dostałem to tytułem wyrównania należności, bo brat pański nie miał całych dwustu funtów w gotówce. Proszę im się przyjrzeć.

Oliver poznał pierścień i duży kolczyk z pereł w kształcie gruszki, własność brata; poznał medalion, który sam mu darował przed dwoma laty — po kolei poznał każdy z położonych przed nim klejnotów.

Głowa mu opadła na piersi, siedział chwilę jak rażony gromem.

— Chryste Panie! — jęknął z rozpaczą. — Więc któż mi pozostał! Lionel także! Lionel!

Łkanie wstrząsnęło jego ogromną postacią. Dwie łzy stoczyły się z wolna po wychudzonej twarzy i znikły w gąszczu brody.

— Jestem przeklęty! — zawołał.

Bez takiego dowodu nie byłby nigdy w coś podobnego uwierzył. Od chwili, gdy go pojmano przy bramie Godolphin, był święcie przekonany, że to dzieło Rozamundy. Jego apatia zrodziła się z myśli, że przeświadczenie dziewczyny o jego winie i nienawiść popchnęły ją aż do takiego kroku. Nie miał ani cienia wątpliwości, że owo wezwanie, przyniesione przez Lionela, pochodziło od Rozamundy. I ponieważ wierzył święcie, że śpiesząc do Godolphin, spełnia jej polecenie, tym samym utwierdzał się w przekonaniu, że go zwabiła, by dać mu odprawę za wczorajszą próbę zobaczenia się z nią, by się zabezpieczyć na przyszłość przed podobną zuchwałością.

Świadomość ta była dla niego męczarnią, zatrula mu życie, wprawiła w stan apatycznej obojętności na wszystko, cokolwiek przeznaczenie miało mu jeszcze przynieść, nie była jednak tak gorzka jak obecne odkrycie. Mimo wszystko ona mogła mieć jeszcze pewne powody do nienawiści. Ale Lionel? Motywem takiego postępu mógł być tylko potworny egoizm, chęć zabezpieczenia się przed odpowiedzialnością za śmierć Piotra Godolphina, którą obciążony był teraz człowiek niewinny; pragnienie zyskania korzyści materialnych przez usunięcie Olivera, który był mu bratem, ojcem i wszystkim. Wzdrygnął się z oburzenia i wstrętu. To wprost nie do wiary — a jednak była to prawda ponad wszelką wątpliwość. Tak wyglądała podzięką Lionela za poświęcenie, za miłość, którą mu zawsze okazywał. Choćby cały świat opowiedział się przeciwko niemu, wierzyłby niezłomie w szczerość Lionela. Ale teraz... Ogarnęło go uczucie bezgranicznego osamotnienia, świadomość, że jest sam jeden na świecie. Potem powoli zrodziło się z tego silne pragnienie zemsty, które rosło gwałtownie, ogarniając całą jego istotę. Odrzucił głowę w tył i utknął w Leighu nabiegłe krwią, pałające oczy. Kapitan siedział na skrzyni, obserwował go spokojnie i czekał cierpliwie, aż się otrząśnie z potwornego wrażenia.

— Panie Leigh — zaczął Oliver — ile pan żąda za odstawienie mnie z powrotem do Anglii?

— Hm — odparł — sędzę, że suma wypłacona mi za wywiezienie nie była za wysoka. Odwiezienie warte chyba tyle samo.

— Dostaniesz pan dwa razy tyle, gdy mnie wysadzisz przy Trefusis — brzmiała odpowiedź.

Małe oczka kapitana łypnęły, zmarszczył krzaczaste rude brwi.

Zbyt pospiesznie zgodził się Oliver. Musi w tym być jakiś podstęp — albo Jasper Leigh nie zna ludzi.

— Cóż pan knuje? — zapytał z ironią.

— Ja knuję?! Wobec pana? — Oliver zaśmiał się ochryple. — Człowieku! Czy wyobrażasz sobie, do pioruna, że ja teraz myślę o tobie, że mając w głowie tamtą zemstę, znajdę miejsce na takie głupstwa?

Miał rację. Taka była potęga jego nienawiści do Lionela, że kapitan mógł być o siebie spokojny.

— Czy daje mi pan słowo?

— Słowo? Już je dałem. Przysięgam panu, że z chwilą wylądowania w Anglii wypłacę wymienioną sumę. Czy to wystarcza? Proszę więc przeciąć moje pęta i zakończyć tę komedię!

— Dalibóg, jestem szczęśliwy, że mam do czynienia z tak rozumnym człowiekiem. Traktuje pan sprawę właściwie. Widzi pan, to, co zrobiłem, wynika niejako z mojego zawodu, byłem tylko narzędziem, a hańba spada na tych, którzy mnie do tego wynajęli.

— Tak, tak, tylko narzędziem, brudnym narzędziem, wyostrzonym na złoć. To prawda. Proszę mi przeciąć te postronki, do licha! Już mam dosyć roli spętanego barana.

Kapitan wyciągnął nóż, zbliżył się do więźnia i bez słowa przeciął powrozy. Oliver podniósł się tak gwałtownie, że wyrzucił głowę o pułap kajuty i usiadł znowu. W tej chwili z zewnątrz rozległ się krzyk, na który kapitan wypadł z kabiny. Przez rozwarte drzwi ulatywał dym i przenikało słońce. Jasper Leigh, a w ślad za nim uwolniony Oliver, podążali na pokład. Grupa kudłatych marynarzy stłoczyła się przy relingu, wypatrując czegoś na morzu. Koło przedniego kasztelu⁶³ było drugie takie samo zbiegowisko. Wszyscy w ogromnym napięciu śledzili coś oczyma. „Jaskółka” znajdowała się na wysokości przylądka Roca⁶⁴. Jasper Leigh, spostrzegłszy, jak bardzo zbliżyli się do brzegu od momentu, kiedy oddał ster w ręce sternika, począł go obrzucać straszliwymi przekleństwami. Ku nim od strony lewej burty pędził od ujścia Tagu⁶⁵ — gdzie zapewne czatował na zbłąkane jednostki — wielki statek o wysokich masztach, z rozpiętymi żaglami, w które dął wiatr.

„Jaskółka” robiła jeden węzeł⁶⁶ na pięć Hiszpana — bo że był to statek hiszpański, nie ulegało żadnej wątpliwości, wnosząc z portu, z którego nadchodził⁶⁷.

— Ster na wiatr! — ryknął kapitan i przypadł do koła, odtrącając sternika, tak że się o mało nie przewrócił.

— Pan sam ten kurs podał — zaprotestował marynarz.

— Nicponiu jeden! — krzyczał Jasper Leigh. — Kazałem ci się trzymać w równej odległości od wybrzeża. A jak nagle łódź ci wyskoczy naprzeciw, to będziesz prosto nań walił, by się nadziać? — Przerzucał w rękach szprychy steru i obracał go pod wiatr. Potem oddał znowu sternikowi. — Trzymać się tego kursu — zakomenderował i wydając rozkazy, zbiegł na dół, by dopilnować ich wykonania.

⁶³ *kasztel* (żegl.) — nadbudowa na dawnych żaglowcach, znajdująca się na dziobie lub rufie statku (kasztel dziobowy i rufowy). [przypis edytorski]

⁶⁴ *przylądek Roca* — przylądek na Płw. Iberyjskim, w pld. Portugalii, najdalej na zachód wysunięty punkt lądu stałego Europy. [przypis edytorski]

⁶⁵ *Tag* — rzeka w Hiszpanii i Portugalii, najdłuższa na Płw. Iberyjskim, uchodząca do Atlantyku w Lizbonie. [przypis edytorski]

⁶⁶ *węzeł* — jednostka prędkości morskiej, wynosząca milę morską (ok. 1,8 km) na godzinę. [przypis edytorski]

⁶⁷ *statek hiszpański (...) wnosząc z portu, z którego nadchodził* — port u ujścia Tagu, w Lizbonie, był wówczas pod kontrolą hiszpańską: od 1580 król Hiszpanii Filip II był również królem Portugalii, unia personalna między oboma państwami istniała do 1640. [przypis edytorski]

Majtkowie rzucili się do wyblinek⁶⁸ i wspinali się w górę, by wciągnąć topsle⁶⁹; inni pobiegli zrobić to samo z bezanem⁷⁰: i wkrótce statek zrobił zwrot i począł pruć zielony przestwór z napiętymi płachtami żagli, sunąc na pełne morze.

Oliver śledził ruchy Hiszpana. Widział, jak zatoczył lekki łuk, chcąc zejść „Jaskółkę” z boku. Zauważył, że skutkiem tego manewru szedł dalej na wiatr niż ich statek; jednak zaopatrzonego w żagle dwukrotnie przewyższające liczbą korsarski szkuner⁷¹ Leigha, stale zmniejszał odległość.

Kapitan przeszedł na tył i wpatrywał się zaniepokojony w nadpływający statek, przeklinając siebie, że dał się wciągnąć w zasadzkę, i jeszcze siarczyściej kląć sternika.

Oliver tymczasem oceniał zapasy broni, zastanawiając się nad wyposażeniem „Jaskółki”. Zagadnął nawet kapitana, tonem najzupełniej obojętnym, nie bacząc na rolę, w jakiej znajdował się na pokładzie.

— Czyż gonilibym tak teraz z wiatrem, gdybym był zaopatrzonego, jak należy? — mruknął kapitan zdenerwowany. — Nie należę do tych, co uciekają przed hiszpańskimi statkami. Chcę go po prostu wywabić nieco dalej od lądu.

Oliver zrozumiał i umilkł. Przyglądał się bosmanowi i innym majtkom, jak się uginali pod naręczami szabel i drobnej broni, którą rzucali na górnym pokładzie, obok głównego masztu. Kanonier, ogorzały, tęgi chłop, z wypłowiałą chustką uwiązaną jak turban na głowie, oderwał się od grupy i podszedł z dwoma marynarzami ku karonadzie⁷² przy lewej burcie.

Jasper Leigh krzyknął na bosmana, polecając mu objąć ster, sternika zaś posłał do przedniego kasztelu, gdzie znajdowała się druga gotowa do strzału armata.

W końcu krzątania ustała. Odległość między „Jaskółką” a hiszpańskim statkiem stale się zmniejszała, ląd oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie nad lśniąca wodą widać było tylko zamgloną linię wybrzeża. Nagle przy burcie tamtego statku wykwitła biała chmurka dymu, potem huknął strzał i po chwili w odległości jednego kabla przed „Jaskółką” trysnęła fontanna wody.

Potężny kanonier stał na pokładzie z lontem w ręce, gotów do odpowiedzi, gdy tylko padnie komenda. Z tyłu przybiegł majtek, donosząc, że wszystko w porządku i że czekają polecenia.

Buchnął drugi strzał, również wymierzony w dziób „Jaskółki”.

— To wyraźne zaproszenie, byśmy się zatrzymali — rzekł Oliver.

Kapitan burknął coś, targając rudą brodę.

— Ma silniejsze działa niż zwykle hiszpańskie statki. Szkoda prochu. Musimy oszczędzać.

Zaledwie to powiedział, huknął trzeci strzał. Nad ich głowami rozległ się świst, potem trzask i łomot i główny maszt runął na pokład, zabijając na miejscu dwóch majtków. Rozgorzała bitwa. Lecz kapitan nigdy nie robił nic w pośpiechu.

— Czekać! — zawołał do kanoniera, który właśnie zamierzał podpalić lont.

Wskutek złamania głównego masztu „Jaskółka” zaczęła tracić na szybkości i wrogi statek się przybliżał. Wreszcie kapitan uznał, że jest w odległości strzału, i z przekleństwem zakomenderował ognia. Był to pierwszy i ostatni strzał „Jaskółki” w tym spotkaniu. Po ogłuszającym grzmocie Oliver dojrzał poprzez chmurę duszącego dymu, że wysoki przedni kasztel Hiszpana został strzaskany.

Leigh klął kanoniera, że celował za wysoko. Potem dał znak bosmanowi, by wypalił z małej armatki. Był to sygnał dla pozostałych dział. Lecz Hiszpan uprzedził Leigha. Właśnie w chwili, gdy kapitan komenderował, cały bok nieprzyjacielskiego statku zakwitł ogniem i dymem.

„Jaskółka” zachybotała się, uniosła na chwilę, a potem poczęła się z wolna przechylać na lewy bok.

⁶⁸wyblinka (żegl.) — krótkie, poziome linki łączące dwie sąsiednie wanty (liny stabilizujące maszt), tworzące w ten sposób szczeble drabiny linowej przeznaczonej do wspinania się na maszt. [przypis edytorski]

⁶⁹topsle (żegl.) — dodatkowy, górny, trójkątny żagiel przymaszty, podnoszony przy niezbyt silnym wietrze. [przypis edytorski]

⁷⁰bezan (żegl.) — tylny żagiel żaglowca. [przypis edytorski]

⁷¹szkuner — żaglowiec mający dwa lub więcej masztów o ożaglowaniu skośnym. [przypis edytorski]

⁷²karonada — dawne działo okrętowe o krótkiej lufie i dużym kalibrze, strzelające ciężkimi pociskami na małą odległość. [przypis edytorski]

— Na Lucyfera! Dostaliśmy! — ryknął Jasper Leigh.

Oliver widział, jak Hiszpan oddała się, jakby zadowolony z tego, co zrobił. Milczące lufy dział „Jaskółki” chyliły się ku wodzie i po upływie trzech minut były już równo z jej poziomem. Statek otrzymał śmiertelny cios i powoli szedł na dno.

Spokojny już i bezpieczny Hiszpan stanął w dryf⁷³, oczekując końca, gotów zasilić rozbitkami szeregi galerników Jego Katolickiej Mości⁷⁴ władającego wodami Morza Śródziemnego.

Tak więc los, przeznaczony mu przez Lionela, miał Oliver dzielić ze sprzedajnym Leighiem — wbrew przewidywaniom tego ostatniego.

⁷³stanąć w dryf — zatrzymać statek na miejscu. [przypis edytorski]

⁷⁴Jego Katolicka Mość — tytuł króla Hiszpanii. [przypis edytorski]

CZĘŚĆ DRUGA

I. JENIEC

Sakr-el-Bahr, sokół morski, bicz Morza Śródziemnego, postrach hiszpańskich wód, leżał wyciągnięty na wysokim przylądku Spartel⁷⁵. Ponad nim, wzdłuż grzbietów górskich, biegła ciemnozielona linia gajów pomarańczowych Araish — ogród Hesperyd⁷⁶ starożytnych, gdzie miały rosnąć złote jabłka. Na przestrzeni mili na wschód pstrzyły się budy i namioty obozowiska Beduinów, położonego na żyznym szmaragdowym pastwisku, ciągnącym się w stronę Ceuty⁷⁷, jak okiem sięgnąć. Opodal siedział okrakiem na szarym cyplu skalnym pasterz, smagły, gibki chłopak, prawie nagi. Jego krótko ostrzyżoną głowę opasywała taśma z wielbłądziej sierści. Od czasu do czasu na puszczalce z trzciny wydawał melancholijne, niemelodijne dźwięki. Z góry, od niebieskiego sklepienia, dochodził radosny śpiew skowronka, a od strony spokojnego morza miękki szept fal.

Sakr-el-Bahr leżał na wołoku z sierści wielbłądziej wśród bujnych paproci i morskiego kopru⁷⁸, na samym skraju występu skalnego. Po obu jego stronach siedzieli w kucki dwaj Murzyni w przepaskach na biodrach; ich muskularne ciała lśniły w oślepiającym majowym słońcu jak heban⁷⁹. Wymachiwali prymitywnymi wachlarzami, sporządzonymi z pożółkłych liści palmy daktylowej, do ich obowiązków bowiem należało chłodzić i opędzać od much ich pana.

Sakr-el-Bahr był to mężczyzna w kwiecie wieku, ogromnego wzrostu, z torsem niemal herkulesowym⁸⁰, znamionującym siłę olbrzyma. Śniadość twarzy o orlim nosie, zakończona czarną rozwidloną brodą, podkreślał śnieżny turban. Oczy przez kontrast z cerą wydawały się szczególnie jasne. Na białej koszuli nosił długą, zieloną tunikę z cieniutkiego jedwabiu, ozdobioną szlakiem złotych arabesk⁸¹; szerokie, płócienne spodnie sięgały do kolan, brązowe łydki były nagie; na nogach miał mauretańskie trzewiki z purpurowej skóry, z ostrymi, wygiętymi w górę nosami. Jedyń jego bronią był nóż z mocną klingą i rękojeścią wysadzaną drogimi kamieniami, wetknięty za pas z plecionej skóry.

Na lewo, w odległości jarda⁸², leżała druga postać, wsparta łokciami o ziemię, i osłaniając dłońmi oczy, patrzyła w morze. Był to również wysoki i silny mężczyzna. Za każdym jego poruszeniem migotała kolczuga, opancerzająca pierś, i stalowy hełm, dokoła którego owinięty był zielony turban. Obok niego spoczywała ogromna krzywa szabla w pochwie z brązowej skóry, ciężkiej od stalowych ornamentów. Był przystojny, brodaty, o jeszcze ciemniejszej cerze niż jego towarzysz, a wierzchy jego długich, kształtnych dłoni były niemal czarne.

Sakr-el-Bahr prawie nie zwracał na niego uwagi. Leżąc, patrzył w dół stromego zbocza, porośłego skarłowaciałymi korkowcami⁸³ i wiecznie zielonymi dębami. Tu i ówdzie złocił się janowiec⁸⁴; z rozpadlin skalnych wзираł szkarłat kwitnącego kaktusa. Dalej

⁷⁵przylądek Spartel — przylądek niedaleko Tangeru w Maroku, u wejścia do Cieśniny Gibraltarskiej, najdalej na płn.-zach. wysunięty punkt Afryki. [przypis edytorski]

⁷⁶ogród Hesperyd (mit. gr.) — ogród pilnowany przez siostry Hesperyd, nimfy zachodzącego słońca, w którym rosła jabłoń rodząca złote jabłka; jednym z dwunastu zadań Heraklesa (łac. Herkules) było zdobycie jabłek z ogrodu Hesperyd. [przypis edytorski]

⁷⁷Ceuta — miasto na afrykańskim cyplu tworzącym Cieśninę Gibraltarską, niemal naprzeciw Gibraltaru; w 1580 zajęte przez Hiszpanów. [przypis edytorski]

⁷⁸koper morski — kowniatek, jadalna roślina, rosnąca dziko na wybrzeżach Morza Śródziemnego i Czarnego oraz wzdłuż atlantyckich wybrzeży Europy Zachodniej. [przypis edytorski]

⁷⁹heban — cenne drewno egzotyczne o naturalnym czarnym kolorze, bardzo twarde i ciężkie. [przypis edytorski]

⁸⁰herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

⁸¹arabeska — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych; tradycyjnie wykorzystywany w architekturze i sztuce arabskiej (stąd nazwa). [przypis edytorski]

⁸²jard — anglosaska miara długości równa ok. 0,9 m. [przypis edytorski]

⁸³korkowiec — dąb korkowy, drzewo o grubej, spękanej korze, z której pozyskuje się korek. [przypis edytorski]

⁸⁴janowiec — niski krzew o intensywnie żółtych kwiatach, rosnący w Eurazji i północnej Afryce. [przypis edytorski]

przed nim, opodal Jaskiń Herkulesa⁸⁵, ciągnął się przestwór morza, którego jasna toń za każdym lekkim powiewem mieniła się wszystkimi odcieniami opalu aż do ciemnej zieleni szmaragdu. Nieco dalej w bok wyskakująca w morze skalna ściana tworzyła maleńką zatoczkę, w której kołysały się lekko na wodzie dwie galery⁸⁶ o wysokich masztach — każda z pięcioma rzędami wiosł i jedna mniejsza z trzema. Duże, żółte wiosła sterczały z ich burt prawie poziomo, nadając statkom wygląd olbrzymich ptaków z rozpostartymi skrzydłami. Widoczne było, że albo się tu kryły, albo czatowały. Ponad nimi krążyła gromada krzykliwych, zuchwałych mew. Sakr-el-Bahr patrzył na morze poprzez zatokę ku Tarifie⁸⁷ i mającej w oddali linii europejskiego wybrzeża, dostrzegalnej w przezroczystym letnim powietrzu. Ale wzrok jego nie zatrzymywał się na zamglonym horyzoncie. Ściągał zgrabny statek z białymi żaglami, który w odległości kilku mil walczył z silnym wiatrem, zbliżając się ku zatoce. Wschodnia bryza wydymała jego podniesione żagle. Szedł lewym halsem⁸⁸, a jego kapitan badał wrogie wybrzeże afrykańskie, czy nie dostrzeże grasujących tu morskich rabusiów, ściągających ciężki haracz z każdego chrześcijańskiego statku, który się tu zapędził. Sakr-el-Bahr uśmiechnął się na myśl, że nikt nie może nawet podejrzewać obecności jego galer i jak niewinnym musi się wydawać pilnie wypatrującej lunecie chrześcijańskiego kapitana to afrykańskie wybrzeże skąpane w słońcu. Niby sokół kołyszący się w lazurze nieba, by spaść nagle na swą ofiarę, śledził ze swego wzniesienia wielki, biały statek i czekał, aż zbliży się tak, by już nie mógł mu uciec.

Przylądek, wrzynający się na milę w głąb morza, tworzył od wschodu rodzaj zasłony przed wiatrem. Ze swego punktu obserwacyjnego Sakr-el-Bahr widział dokładnie linię oddzielającą białe grzywacze⁸⁹ od obszaru morskiej ciszy. Jeżeli nieprzyjacielski statek zapuści się na południe, poza linię wiatru, ciężko mu będzie wydostać się stamtąd i wtedy nadejdzie dla nich chwila działania. Nie domyślając się czyhającego niebezpieczeństwa, kapitan statku nie zmieniał kursu, tak że już tylko pół mili dzieliło go od zgubnej gładi.

Korsarz w pancerzu był podniecony. Poruszył niecierpliwie nogami i zwrócił się ku spokojnie obserwującemu Sakr-el-Bahrowi.

— Wejdz! Wejdz! — zawołał w żargonie frankijskim, *lingua franca*⁹⁰ wybrzeża Afryki.

— *Inszallah!* — brzmiała lakoniczna odpowiedź. — Jak Bóg da.

Zapadło znowu pełne napięcia milczenie. Statek był coraz bliżej, tak że przy każdym jego przechyle widzieli błysk białego dna pod czarnym kadłubem. Sakr-el-Bahr przysłonił oczy i skupił całą ich siłę na kwadratowej fładze, powiewającej u głównego masztu. Rozpoznał nie tylko czerwone i żółte pola, lecz także emblematy — zamek i lwa.

— Hiszpański statek, Biskaine — mruknął Sakr-el-Bahr. — Znakomicie. Chwała Jedynemu!

— Czy odważy się wjechać? — odparł z powątpiewaniem Biskaine.

— Niewątpliwie — brzmiała pewna odpowiedź. — Nie podejrzewa niebezpieczeństwa, bo nasze galery nie zapuszczają się nigdy tak daleko na zachód. O, patrz, jak dumnie płynie! Prawdziwy Hiszpan!

Gdy to mówił, statek osiągnął ową granicę ciszy i minął ją, gnany do zawietrznej⁹¹ ku południowi lekką bryzą.

— Teraz! — krzyknął Biskaine (zwany z powodu swej zapalczywości w bitwach Biskaine-el-Borak), rzucając się niecierpliwie jak gończy pies na smyczy.

⁸⁵*Jaskinie Herkulesa* — zespół jaskiń na przylądku Spartel, związanych z osobą mitycznego Herkulesa, który miał się w nich zatrzymać na nocny spoczynek przed zdobyciem jabłek z ogrodu Hesperyd. [przypis edytorski]

⁸⁶*galera* — dawny okręt wojenny lub statek handlowy mający żagle, ale napędzany głównie wiosłami, często przez niewolników, jeńców lub skazańców. [przypis edytorski]

⁸⁷*Tarifá* — miasto w pld. Hiszpanii; nazwa stosowana także na określenie przylądka Marroquí, na którym leży to miasto, najdalej na południe wysuniętego punktu Płw. Iberyjskiego i równocześnie lądu stałego Europy. [przypis edytorski]

⁸⁸*hals* (żegl.) — położenie żaglowca względem wiatru; jeśli wiatr wieje z lewej strony, statek płynie lewym halsem; jeśli z prawej, prawym halsem. [przypis edytorski]

⁸⁹*grzywacz* — duża, spieniona fala morska. [przypis edytorski]

⁹⁰*lingua franca* (wł.: język Franków) — uproszczony gramatycznie język używany od średniowiecza w basenie M. Śródziemnego w kontaktach handlowych i dyplomatycznych między Arabami a Europejczykami, będący mieszaniną francuskiego, włoskiego, greckiego, hiszpańskiego i arabskiego. [przypis edytorski]

⁹¹*zawietrzna* (żegl.) — strona statku przeciwna do tej, z której wieje wiatr, osłonięta od wiatru. [przypis edytorski]

— Jeszcze nie — brzmiała spokojna, powściągliwa odpowiedź Sakr-el-Bahra. — Im bliżej przysunie się do lądu, tym pewniejsza jego zguba. Wystarczy wydać rozkaz, gdy zacznie zawracać. Daj mi się napić, Abiadzie — zwrócił się do jednego z Murzynów, którego żartobliwie nazywał Białym.

Niewolnik odwrócił się, odgarnął gąszcz paproci, wyjął dzbanek z czerwonej porowej gliny i usuwając liście palmowe, które zasłaniały otwór, nalał wody do kubka. Sakr-el-Bahr pił wolnymi łykami, nie spuszczać z oczu statku, którego każdy szczegół rysował się już wyraźnie w przezroczystym powietrzu. Widzieli ludzi chodzących po pokładzie i obserwatora siedzącego w bocianim gnieździe⁹². Nie dzieliło go więcej niż pół mili od wybrzeża, gdy począł zawracać.

Wtedy Sakr-el-Bahr zerwał się i machnął długą, zieloną szarfą. Na jednej z galer, osłoniętych skałami, ozwała się w odpowiedzi trąba — rozległy się gwizdki bosmanów, plusk wiosel i obie większe galery wypadły z ukrycia. Długie, opancerzone rufy roily się od wojowników, których zbroje połyskiwały w słońcu; z tuzin ludzi zbrojnych w łuki obsiadł reje⁹³; burty były aż czarne od korsarzy, przypominających szarańczę, która ma za chwilę spaść na swoją ofiarę, by ją pochłonąć i zniszczyć.

W nagłym ataku Hiszpanie potracili głowy. Na pokładzie powstało straszne zamieszanie; ryczały trąby, wśród załogi podniósł się krzyk, biegano na wszystkie strony, by zająć stanowiska wyznaczone przez kapitana, przez którego nieostrożność statek wpadł w zasadzkę. W zamęcie walki wszystkie usiłowania zawrócenia statku poszły na marne; żagle zwisły bezwładnie, a cenny czas mijał. W desperackim pośpiechu kapitan ustawił statek tyłem do wiatru, mniemając, że w ten sposób wydostanie się z pułapki. Wiatr był jednak zbyt słaby, by ta próba mogła się powieść. Tymczasem galery waliły prosto, mając hiszpański statek na trawersie⁹⁴, żółte wiosła smagały wodę jak szalone, a kańczugi⁹⁵ dozorców świstały, zmuszając niewolników do ostatecznego wysiłku.

Wszystko to widział Sakr-el-Bahr, gdy zerwawszy się ze swej kryjówki, która mu tak znakomite oddała usługi, pędził w dół z Biskainem i Murzynami. Skakał z dębu na korkowiec, spuszczał się ze skały na skałę, czepiając się wrzosów i wystających kamieni ze zwinnością małpy. Gdy się wreszcie znalazł nad zatoką, przebiegł piaszczystą plażę długimi susami i przystanął obok skalnego urwiska na wprost galery, która czekała na głębinie, w odległości wiosła od brzegu. Wiosła podniosły się w poziom, tak że mógł jak po trapie⁹⁶ dostać się po nich wraz ze swymi towarzyszami na łódź. Przerzucił nogę przez burtę i znalazł się na pokładzie między dwoma rzędami niewolników.

W ślad za nim wskoczył Biskaine, a na końcu niewolnicy Sakr-el-Bahra. Właśnie przekraczali burtę, gdy z jego ust padło słowo komendy. Środkiem przebiegł dozorca z dwoma marynarzami, w których rękach świstały bykowce. Rozległ się plusk wiosel, galera drgnęła i po chwili mknęła w ślad za dwiema poprzednimi, by wziąć udział w walce.

Ze sztyltem w ręce stał Sakr-el-Bahr na dziobie, wysunięty nieco przed gromadę żywo gestykulujących korsarzy, żądnych szybkiego starcia z chrześcijańskim wrogiem. U góry na rejach i wśród olinowania roilo się od łuczników. Na głównym maszcie powiewała purpurowa chorągiew z zielonym półksiężycem.

Nadzy chrześcijańscy niewolnicy, ociekający potem, dobywali ostatków sił, jęcząc pod uderzeniami muzułmańskich biczów, którymi ich popędzano do ataku na chrześcijańskich braci.

Na morzu bitwa była już w pełni. Statek hiszpański oddał w pośpiechu jeden jedy-ny, chybiony zresztą, strzał — i już haki korsarskie zaczepiły o jego lewą burtę. Posypał się grad śmiertelnych pocisków, na pokład hiszpański wyroilo się mrowie zażartych Maurów, tym bardziej zażartych, że chodziło o hiszpańskich psów, którzy wygnali ich

⁹²bocianie gniazdo (żegl.) — platforma obserwacyjna umieszczona wysoko na głównym maszcie statku. [przypis edytorski]

⁹³reja (żegl.) — poziome drzewce przymocowane do masztu, służące do mocowania górnego brzegu żagla. [przypis edytorski]

⁹⁴trawers (żegl.) — kierunek prostopadły do podłużnej osi statku. [przypis edytorski]

⁹⁵kańczug — skórzany pleciony bicz z krótką rękojeścią. [przypis edytorski]

⁹⁶trap (żegl.) — skośnie zawieszone, składane schody lub wąska kładka, służące do wchodzenia na pokład z nabrzeża oraz schodzenia z pokładu na brzeg lub inną jednostkę pływającą. [przypis edytorski]

z andaluzyjskiego kalifatu⁹⁷. Druga galera przybiła do prawej burty statku, a procarze i łucznicy szerzyli śmierć i zniszczenie.

Była to krótka, ale zażarta walka. Zaskoczeni zniemacka Hiszpanie, nieprzygotowani do obrony, byli zupełnie zbici z tropu. Robili jednak, co mogli. Mężnie stawiali opór zawziętym napastnikom. Lecz korsarze atakowali wściekle, nie dbając o życie, gotowi mordować w imię Allaha i jego Proroka⁹⁸, gotowi ginąć, jeśli taka jest wola Litościwego. Kastylijczycy⁹⁹ ulegli, mając przeciw sobie siłę dziesięć razy większą.

Gdy nadpłynęła galera Sakr-el-Bahra, krótka bitwa miała się ku końcowi; jeden z korsarzy wdrapał się na główny maszt, z którego zerwał hiszpański sztandar i drewniany krzyż, przybity nad sztandarem. Jeszcze chwila i wśród gromkiego „*Alhamdulillah*”¹⁰⁰ wciągnięto na to miejsce zielony półksiężyc.

Sakr-el-Bahr przecisnął się przez tłum na górnym pokładzie. Korsarze rozstąpili się przed nim, wymachując nożami i z zachwytem wykrzykując imię Sokoła Morskiego, najdzielniejszego ze sług islamu. Wprawdzie nie brał on czynnego udziału w spotkaniu — trwało ono zbyt krótko — ale jego to przedsiębiorczości zawdzięczali tę dobrze obmyśloną zasadzkę w punkcie tak daleko wysuniętym na zachód i jego też geniusz umożliwił błyskawiczne, upajające zwycięstwo w imię Allaha Jedyne.

Pokład był zbryzgany krwią i usiany rannymi i konającymi chrześcijanami, których muzułmanie — żywych czy martwych — wyrzucali za burtę, na cóż by im się zdali bowiem ranni niewolnicy?

Pozostali przy życiu Hiszpanie, bezbronni i upadli na duchu, zbili się koło głównego masztu jak stado spłoszonych owiec.

Sakr-el-Bahr postąpił naprzód, mierząc ich groźnym wzrokiem. Liczyli około stu głów — przeważnie awanturnicy, którzy wyruszyli z Kadyksu¹⁰¹, łudząc się nadzieją, że znajdą szczęście w Indiach¹⁰². Podróż ich była nad wyraz krótka. Wiedzieli, jaki los ich spotka: będą wiosłować na muzułmańskich galerach albo w najlepszym razie zostaną przewiezieni do Algieru lub Tunisu¹⁰³ i sprzedani zamożnym Maurom w niewolę.

Sakr-el-Bahr przyglądał im się, taksując każdego z osobna, wreszcie zatrzymał się przy kapitanie, który stał z przodu z wyrazem pogardy, wściekłości i zgrzyzoty. Ubrany był czarno, według kastylijskiego zwyczaju, a jego aksamitny kapelusz w kształcie naparstka był zdobny w pióra i złoty krzyż.

Sakr-el-Bahr oddał mu ceremonialny salaam¹⁰⁴.

— *Fortuna de guerra, señor capitán*¹⁰⁵ — ozwał się po hiszpańsku. — Pańskie nazwisko?

— Jestem don Paulo de Guzman — odpowiedział kapitan, prostując się dumnie, z wyraźną pogardą dla pytającego.

⁹⁷kalifat andaluzyjski a. kalifat Kordoby — państwo obejmujące muzułmańską część Płw. Iberyjskiego (*Al-Andalus*), istniejące w latach 929–1031, rządzone przez dynastię Umajjadów; tu ogólnie: muzułmańskie państwo na Płw. Iberyjskim, istniejące od 711 do 1492; po zajęciu przez armie katolickiej Hiszpanii ostatniego z nich, emiratu Grenady, wydano dekrety (1501, 1526) zobowiązujące muzułmanów do przyjęcia chrześcijaństwa albo opuszczenia kraju; później wygnano także ich potomków (1609, 1614); większość wyemigrowała z Andaluji do Afryki Płn. [przypis edytorski]

⁹⁸Prorok — Mahomet (ok. 570–632): arabski przywódca religijny i polityczny, założyciel islamu, najważniejszy prorok tej religii, uważany za ostatniego z wysłanników Boga, założyciel pierwszej wspólnoty muzułmańskiej. [przypis edytorski]

⁹⁹Kastylijczycy — mieszkańcy Kastylii, krainy hist. w środkowej Hiszpanii; od XIII w. Kastylija stanowiła największe państwo na Płw. Iberyjskim, w XV w. utworzyła z Aragonią zjednoczone królestwo Hiszpanii, w którym do pocz. XVIII w. zachowała odrębność ustrojową. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*Alhamdulillah* (ar.) — chwała niech będzie Bogu; tłumaczone też niekiedy jako: Bogu dzięki; wyrażenie często używane przez muzułmanów. [przypis edytorski]

¹⁰¹Kadyks — miasto portowe w pld.-zach. Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹⁰²Indie — tu: tzw. Indie Zachodnie, dawna nazwa Karaibów, wysp w basenie M. Karaibskiego, nadana w XV w. przez wyprawiających się na zachód Europejczyków, którzy uważali, że wyspy te leżą blisko wybrzeży Indii; niekiedy Indianami Zachodnimi nazywano ogólnie Amerykę. [przypis edytorski]

¹⁰³Algier, Tunis — miasta portowe w zach. części Afryki Płn.; w XVI w., kiedy rozgrywa się akcja powieści, oba należały do muzułmańskiego Imperium Osmańskiego. [przypis edytorski]

¹⁰⁴salaam (ar. *salām*: pokój) — muzułmańskie pozdrowienie; przen.: ukłon, uniżone powitanie. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*Fortuna de guerra, señor capitán* (hisp.) — losy wojny, panie kapitanie. [przypis edytorski]

— O, zacna rodzina! Zapewne też dobrze odżywiony i silny. Na targu w Algierze dostałbym za pana dwieście filipów¹⁰⁶. Ale może się pan wykupić za pięćset.

— *Por las entrañas de Dios!*¹⁰⁷ — zaklął don Paulo, który jak wszyscy świątobliwi Hiszpanie lubił przekleństwa typu anatomicznego.

Nie wiadomo, co jeszcze miał zamiar dodać, bo Sakr-el-Bahr pokazał ręką, by go zabrano.

— Za bezbożność i brak uprzejmości podnoszę okup na tysiąc filipów — powiedział. A do swoich ludzi dodał: — Precz z nim! A postarać się o grzeczną rozrywkę dla niego, nim okup przyjdzie.

Hiszpan miotał przekleństwa, gdy go prowadzono.

Z innymi Sakr-el-Bahr sprawił się krótko. Przywilej okupu ofiarował kilku takim, którzy mogli go zapłacić, a których zgłosiło się trzech. Resztę powierzył Biskainemu, który pełnił funkcję *kayai*, czyli porucznika. Nim ich zabrano, kazał wystąpić bosmanowi i zapytał o niewolników. Było ich, jak się dowiedział, zaledwie tuzin — pełnili najniższe posługi: trzech Żydów¹⁰⁸, siedmiu muzułmanów i dwu heretyków; wszystkich zamknęto pod pokładem, gdy statek znalazł się w niebezpieczeństwie.

Na rozkaz Sakr-el-Bahra wyciągnięto ich z ciemnicy. Muzułmanie, widząc, że wpadli w ręce rodaków i że ich niewola się skończyła, wydali okrzyk radości i żarliwego dziękczynienia dla Allaha, obwołując go jedynym Bogiem. Żydzi, młodzi chłopcy, krzepcy i zgrabni, w sięgających aż po kolana chałatach¹⁰⁹ i w czarnych jarmułkach¹¹⁰ na kędzierzawych głowach, uśmiechali się przymilnie, pełni dobrej myśli, widząc się w mocy ludzi bliższych im niż chrześcijanie i złączonych z nimi węzłami wspólnej nienawiści i wspólnej niedoli pod jarzmem hiszpańskim. Obaj heretycy natomiast stali apatycznie, zdawali sobie bowiem sprawę, że dla nich był to wybór między Scyllą a Charybdą¹¹¹, że nie mogli spodziewać się nic dobrego ani ze strony pogan, ani Hiszpanów. Jeden z nich, krępy, o pałąkowatych nogach, odziany był w istne łachy; jego twarz nabrała od wiatrów morskich koloru mahoni¹¹², nad ciemnoniebieskimi oczyma zaś stroszyły się krzaczaste brwi, niegdyś czerwone — jak włosy i broda — teraz mocno posiwiałe. Ręce miał jak cętkowana skóra lamparcia — usiane ogromnymi ciemnobrązowymi piegami.

Spośród całego tuzina on jeden ściągnął na siebie uwagę Sakr-el-Bahra. Stał przed korsarzem apatycznie, z pochyloną głową, z oczami spuszczonej w dół, z wyrazem wyczerpania i przygnębienia. Dobrych kilka chwil przyglądał mu się dzielny Sakr-el-Bahr, wreszcie pod wpływem jego spojrzenia niewolnik podniósł tępy wzrok. Nagle ożywił się, oczy mu pojaśniały, nabrały dawnej bystrości. Postąpił naprzód i teraz on z kolei zaczął się wpatrywać w Sakr-el-Bahra. Potem powiódł zdziwionymi oczami po mrowiu ciemnych twarzy pod różnobarwnymi turbanami.

— Wielkie nieba! — przemówił wreszcie po angielsku, dając wyraz swemu bezgranicznemu zdumieniu. Po chwili, odzyskawszy zimną krew, swym zwykłym cynicznym tonem dodał: — Dzień dobry panu, sir Oliverze. Przypuszczam, że nie odmówi pan sobie tej przyjemności, by mnie powiesić.

— Allah jest wielki — odrzekł Sakr-el-Bahr z niewzruszonym spokojem.

II. RENEGAT

Jak to się stało, że owym Sakr-el-Bahrem, Sokołem Morskim, korsarzem muzułmańskim, Biczem Morza Śródziemnego, postrachem chrześcijan i ulubieńcem Asada-ed-

¹⁰⁶*filip* — tu zapewne: hiszpańska złota lub srebrna moneta z wizerunkiem króla Filipa II (1527–1598). [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Por las entrañas de Dios!* — na wewnętrznosci Boga! [przypis edytorski]

¹⁰⁸*Żydzi-niewolnicy* — prześladowania żydowskiej ludności w chrześcijańskich państwach Płw. Iberyjskiego nasilały się od końca XIV w., w 1492 nakazano wszystkim wyznawcom judaizmu przyjęcie chrztu lub opuszczenie Hiszpanii pod karą śmierci, w 1497 taki sam edykt królewski wydano w Portugalii; uciekinierzy udali się głównie do Afryki Płn. i Europy pld.-wsch. [przypis edytorski]

¹⁰⁹*chałat* — długie, luźne okrycie, element tradycyjnego stroju żydowskiego. [przypis edytorski]

¹¹⁰*jarmulka* — okrągła sukienna czapka na czubek głowy, charakterystyczna dla Żydów. [przypis edytorski]

¹¹¹*Scylla i Charybda* (mit. gr.) — dwa potwory morskie, opisane przez Homera w *Odysei*, czyhające na żeglarzy w wąskiej cieśninie: jeden po jednej, drugi po drugiej stronie cieśniny; stąd wyrażenie *znaleźć się między Scyllą i Charybdą*: znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. [przypis edytorski]

¹¹²*mahoń* — cenione czerwono-brunatne drewno tropikalne. [przypis edytorski]

-Dina, baszy¹¹³ Algieru, okazał się Oliver Tressilian, szlachcic kornwalijski z Penarrow, o tym opowiada długo i szeroko jego kronikarz, lord Henryk Goade. W swoim opisie, który krok za krokiem ze skrupulatną szczegółowością śledzi tę dziwną metamorfozę, daje wyraz piorunującemu wrażeniu, jakie to na nim wywarło. Z jedenastu tomów, jakie nam pozostawił, dwa poświęca tej sprawie. Spróbujemy streścić to wszystko w jednym krótkim rozdziale.

Sir Oliver i Jasper Leigh znaleźli się w liczbie tych, którzy po zatonięciu „Jaskółki” zostali wyłowieni z morza przez załogę hiszpańskiego statku. Wszystkich ich przewieziono do Lizbony¹¹⁴ i postawiono przed trybunał świętej inkwizycji. Jako heretyków poddano ich przede wszystkim misjonarskiej działalności braci dominikanów. Sir Oliver pochodził z rodziny, która nie odznaczała się nigdy zbyt pryncypialnością w sprawach wiary, nie miał więc zamiaru ginąć na stosie, o ile mogło go przed tym uchronić przyjęcie poglądów innych ludzi na życie przyszłe uchodzące i tak w jego przekonaniu za coś wysoce problematycznego. Przyjął chrzest katolicki z pogardliwą niemal obojętnością. Co się zaś tyczy Jaspiera Leigha, to nietrudno sobie wyobrazić, że elastyczność jego sumienia nie była ani trochę mniejsza i że nie należał do ludzi, którzy dla tak błahej sprawy jak wiara pozwalają się upiec żywcem.

Z okazji uratowania tych dwu nieszczęsnych dusz od wiecznego zatracenia, które niewątpliwie stałoby się ich udziałem, panowała w świętym trybunale wielka radość. Neofitów¹¹⁵ przygarnięto czule do serca, a łzy dziękczynienia lały się rzęsiście. Zostali oczyszczeni całkowicie z herezji, odbywszy pokutę w czasie uroczystego *auto-da-fé*¹¹⁶ na Rocio¹¹⁷ w Lizbonie, ze świecami w rękach, odziani w *sanbenito*¹¹⁸. Kościół pożegnał ich wśród błogosławieństw i z surowym zaleceniem, by nie opuszczali nigdy drogi zbawienia, na którą ich wprowadzono z taką łagodnością.

Ale to pożegnanie równało się zgubie, wpadli bowiem z kolei w objęcia władz świeckich, które miały ich jeszcze ukarać za przewinienia, jakich dopuścili się na morzu. Winy wprowadzić im dowieść nie mogli, władze jednak stały na stanowisku, że brak winy stanowi tylko logiczną konsekwencję braku sposobności, czyli, odwracając rozumowanie, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że przy pierwszej okazji byliby się dopuścili wykroczenia. Pewność ich opierała się na tym, że gdy hiszpański statek oddał strzał, będący wezwaniem do zawrócenia, „Jaskółka” nie zmieniła kursu. Tak więc żelazna hiszpańska logika dowiodła złych intencji kapitana Leigha, który ze swej strony oświadczył, iż postąpił tak dlatego, że nie ma zaufania do Hiszpanów. Jest przekonany, że wszyscy Hiszpanie są korsarzami, których winien unikać każdy uczciwy żeglarz, o ile nie czuje się na siłach podjąć walki. Wywody te nie mogły nastroić życzliwie sędziów, odznaczających się umysłowym ograniczeniem.

Sir Oliver z całym naciskiem podkreślał, że nie należał do załogi „Jaskółki” i że znalazł się na jej pokładzie wbrew swojej woli, jako ofiara przekupnego kapitana, który go zwałbił w zasadzkę, przykładając ręki do dokonanego na nim łotrostwa. Trybunał wysłuchał jego obrony z należnym szacunkiem i zapytał go o nazwisko i godność. Sir Oliver był na tyle nieostrożny, że wyjawiał prawdę. Wynik tej lekkomyślności okazał się dla niego wysoce pouczający; dowiódł mu, z jaką skrupulatnością były prowadzone hiszpańskie archiwa. Trybunał wyszperał dokumenty, które dały sędziom możliwość przypomnienia mu wszystkiego, co zrobił w pewnym okresie życia spędzonym na morzu, i przytoczenia mu pewnych okoliczności, bynajmniej w jego sytuacji nie łagodzących.

¹¹³basza a. *pasza* (z tur.) — wysoki urzędnik turecki; pan. [przypis edytorski]

¹¹⁴Lizbona — miasto nad rzeką Tag, stolica Portugalii; w 1580 król Hiszpanii Filip II narzucił Portugalii unię personalną, jednocząc cały Płw. Iberyjski pod jednym berłem; Portugalia odzyskała niepodległość po powstaniu przeciwko Hiszpanom w 1640. [przypis edytorski]

¹¹⁵neofita — osoba, która niedawno przyjęła jakąś wiarę. [przypis edytorski]

¹¹⁶auto-da-fé (port.: akt wiary) — końcowy etap procesu inkwizycyjnego: publiczna deklaracja potwierdzenia lub odrzucenia religii katolickiej przez oskarżonego przed jego spaleniem na stosie; także: publiczne wykonanie wyroku śmierci na heretyku przez spalenie na stosie. [przypis edytorski]

¹¹⁷Rocio (daw. pisownia port.), dziś: *Rossio* (pot.) — plac w centrum Lizbony, przy którym znajdowała się siedziba portugalskiej inkwizycji i na którym odbywały się publiczne egzekucje; ob. plac Pedra IV. [przypis edytorski]

¹¹⁸sanbenito (hiszp.) — rodzaj stroju pokutnego, przywdziewany przez pokutników oraz skazanych przez inkwizycję w celu ich upokorzenia. [przypis edytorski]

Czy to przypadkiem nie on na Barbados¹¹⁹, w roku tym a tym, napadł na statek „Maria de las Dolores”? I jak to nazwać, jeśli nie aktem najpodlejszego rozbójcu?! Czyż nie on zatopił przed czterema laty w zatoce Funchal¹²⁰ hiszpański statek płynący do Indii? Czy wraz z korsarzem Hawkinsem nie brał udziału w pewnym zajściu w San Juan de Ulloa¹²¹? I tak dalej, i dalej, pytania padały jedno za drugim, pograżając go coraz bardziej.

Żałował nieomal swojego trudu nawrócenia i wysiłków braci dominikanów. Było dla niego oczywiste, że niepotrzebnie tracił czas i że uszedł kościelnego ognia po to jedynie, by zawisnąć na świeckim stryczku jako ofiara mściwych, obrażonych Hiszpanów.

Los jednak nie był aż tak okrutny. Na galerach Morza Śródziemnego dawał się w tych czasach odczuć wielki brak ludzi i tej to właśnie okoliczności mieli do zawdzięczenia sir Oliver, kapitan Leigh i kilku innych członków nieszczęsnej załogi „Jaskółki”, że zostali przy życiu, które Bogiem a prawdą nie było pozazdroszczenia godne. Skuci parami za nogi, tak że dzieliła ich jedynie odległość kilku ogniw łańcucha, tworzyli sporą gromadę nieszczęśliwców, których pędzono przez całą Portugalię i Hiszpanię aż na południe do Kadyksu. Kapitana Leigha widział sir Oliver po raz ostatni owego ranka, kiedy razem opuszczali cuchnące lizbońskie więzienie. W czasie tej okropnej podróży wiedzieli o sobie tyle tylko, że się gdzieś znajdują w tej potępieńczej karawanie galerników, nie spotkali się jednak ani razu.

W Kadyksie spędził sir Oliver cały miesiąc w zamknięciu bez dachu, zdany na brud, zarazę i nędzę przechodzącą ludzką wyobraźnię. Kto ciekaw, niech szuka na własną rękę szczegółów w kronice lorda Henryka. Są zbyt przerażające, by je tu opisywać.

Po upływie miesiąca znalazł się w liczbie tych, których pewien oficer wybrał na załogę statku, mającego odwiedzić infantkę¹²² do Neapolu¹²³. Zawdzięczał to swej herkulesowej budowie, która nie ucierpiała nic na skutek chorób panujących w owej kaźni, i swoim wspaniale rozwiniętym muskułom. Oficer klepał je i macał, jakby wybierał juczne bydlę, co w rzeczywistości było jego intencją.

Nasz bohater dostał się zatem na statek o pięćdziesięciu wiosłach, z których każde było obsadzone przez siedmiu ludzi. Siedzieli jak gdyby na stopniach schodów, biegnących równolegle do pochyłości wiosła od śródkręcia aż w dół do niskich relingów¹²⁴.

Olivera umieszczono przy samym przejściu. Nagiego, jak go Pan Bóg stworzył, przykuto do ławki łańcuchami i tak spędził całe sześć miesięcy.

Twarda deska, długa na dziesięć stóp¹²⁵, odległa od następnej o cztery stopy, wysłana była tylko cienką, plugawą owczą skórą. Na przestrzeni tych czterdziestu stóp kwadratowych Oliver wraz z sześcioma towarzyszami pędził pożalowania godny żywot we dnie i w nocy, czuwając i śpiąc na przemian — zawsze przy wiosłach.

Oliver jednak prędko przyzwyczaił się do tej przerażającej egzystencji, do tej śmierci za życia, jaką jest los galernika. Ale ta pierwsza daleka podróż do Neapolu pozostała na zawsze najstraszniejszym jego doświadczeniem. Sześć, osiem, a czasem nawet dziesięć niekończących się godzin trzeba było pracować wiosłem bez chwili wytchnienia. Z jedną nogą wspartą o poprzeczkę, a drugą o ławkę przed nim musiał Oliver potwornie ciężkie, piętnastostopowej długości wiosło pchnąć w przód, a potem unieść w górę tak, by się nie zderzyć z siedzącym przed nim jęczącym i oblanym potem niewolnikiem. Aby zanurzyć pióro wiosła w wodzie, należało unieść się z całej siły, wypychając jego rękojeść do góry, a następnie z brzękiem łańcucha opaść na skrzypiącą ławkę i tak dalej od początku to

¹¹⁹Barbados — najdalej na wschód wysunięta wyspa Karaibów; pod koniec XV w. proklamowana posiadłością królestwa Kastylii, w XV w. zgłaszała do niej pretensje Portugalia, od 1627 kolonia angielska. [przypis edytorski]

¹²⁰zatoła Funchal — zatoła, nad którą leży miasto Funchal na portugalskiej wyspie Maderze. [przypis edytorski]

¹²¹bitwa pod San Juan de Ulúa (23 września 1568) — stoczona pomiędzy żołnierzami hiszpańskimi a angielskimi korsarzami w porcie twierdzy San Juan de Ulúa (daw.: San Juan de Ulloa), w ob. Veracruz w Meksyku; z podstępnie schwytanej w pułapkę flotyli sześciu angielskich statków, prowadzonej przez Francis Drake’a i Johna Hawkinsa, którzy w kolonialnych posiadłościach Hiszpanii systematycznie prowadzili nielegalny handel, również niewolnikami, udało się uciec tylko dwóm jednostkom i niewielkiej części załóg. [przypis edytorski]

¹²²infantka — hiszpański tytuł córki królewskiej. [przypis edytorski]

¹²³Neapol — miasto w płd. Włoszech, nad Zat. Neapolitańską; od 1504 do 1714 stolica Królestwa Neapolu pod panowaniem Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹²⁴reling (żegl.) — barierka ochronna biegnąca wokół pokładu statku. [przypis edytorski]

¹²⁵stopa — dawna jednostka długości, równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

samo, aż do oblędu, aż oczy powlokły się mgłą, aż wyszło w ustach, a całe ciało stało się jednym żywym, nieustannym bólem. Gdy sił zbrakło, spadały na nich okrutne razy biczów, zostawiając często krwawe pręgi na karku.

I tak dzień po dniu przeżył Oliver okropne miesiące, prażąc się w bezlitosnym południowym słońcu, które pokrywało całe ciało bąblami, a w nocy podczas nieprzynoszącego pokrzepienia spoczynku, drżąc od chłodnej rosy, skulony na ławce, brudny, z włosami i brodą zbitymi od potu, myty tylko przez deszcze, aż nazbyt rzadkie o tej porze roku, duszący się w wyziewach nieszczęsnych współtowarzyszy, żarty przez robactwo, lęgnące się w przegniłych owczych skórkach, unurzany w plugastwie tego pływającego piekła. Odżywiano ich nader skąpo — robaczywe suchary i szczupłe porcje ryżu z lojem, do picia zaś letnia woda, nierzadko stęchła. Tylko wówczas, gdy trzeba było wiosłować dłużej niż zwykle, dozorczy wkładali niewolnikom w usta kawałki chleba umoczone w winie, by ich podtrzymać na siłach.

Podczas podróży wybuchł szkorbut¹²⁶, nadto szerzyły się inne zakaźne choroby, pomijając już tak powszechne u wszystkich galerników ropiejące wrzody, które powstawały z wszelkiego rodzaju starć i które każdy musiał znosić, jak umiał. Z chorymi i wyczerpanymi do ostatka załatwiano się w sposób bardzo prosty: pierwszych wyrzucano za burtę, drugich wywlekano na środek statku albo na mostek i bito aż do odzyskania przytomności, a gdy to nie pomagało, przedłużano egzekucję tak, że w końcu zmasakrowani dzielili los swoich chorych towarzyszy.

Parę razy, gdy płynęli pod wiatr, odór niewolników dostał się aż na rufę, gdzie w pięknej, złoczonej nadbudówce odbywała podróż infantka ze swoją służbą. Wówczas sternicy otrzymali rozkaz obrócenia statku i przez długie, mozolne godziny niewolnicy musieli utrzymywać galerę w tym położeniu, pilnując, by nie zboczyła z kursu.

Liczba zmarłych w pierwszym tygodniu podróży doszła do jednej czwartej załogi. Ale pod pokładem były rezerwy, którymi zapełniano luki. Tylko najsilniejsi mogli przetrwać tę straszną próbę i do nich właśnie należał sir Oliver oraz jego najbliższy sąsiad przy wiosle, silnie zbudowany, krzepki młody Maur, który ze stoicką¹²⁷ biernością, bez słowa skargi, znosił swój los, budząc tym podziw Olivera. Całymi tygodniami nie zamieniali ze sobą ani słowa — mimo wspólnego trudu uważając się za wrogów z powodu dzielącej ich różnicy wyznań. Ale pewnego wieczoru, gdy wywleczono na chłostę starego Żyda, który popadł w stan miłosiernego omdlenia, sir Oliver ujrzał przypadkiem ubranego w purpurę pralata¹²⁸ ze świty infantki, który wychylony przez balustradę, przyglądał się scenie wzrokiem pozbawionym cienia litości. Na widok tej bezduszości zawodowego sługi „dobrego i miłosiernego Zbawiciela” wezbrała w nim taka wściekłość, że począł kląć głośno wszystkich chrześcijan w ogóle, a tego szkarlatnego księcia kościoła w szczególności.

Zwrócił się po hiszpańsku do swego sąsiada Maura:

— Zapewne piekło zostało stworzone dla chrześcijan, bo usiłują je przenieść na ziemię.

Na szczęście skrzypienie i plusk wiosel, brzęk łańcuchów i razy świszczące nad nieszczęsnym Żydem zagłuszyły jego słowa. Ale Maur go usłyszał i jego czarne oczy rozbłyły.

— O mój bracie, siedem razy rozpalony ognisty piec ich czeka — odpowiedział tonem głębokiej wiary, która okazała się źródłem jego stoicyzmu. — Ale czyż ty nie jesteś chrześcijaninem?

Mówił dziwacznym językiem północnoafrykańskiego wybrzeża, zwanym *lingua franca*, który przypominał jakiś francuski dialekt, wzbogacony arabskimi wyrazami. Ale Oliver intuicyjnie rozumiał sens. Odpowiedział znów po hiszpańsku, bo choć Maur zdawał się nie mówić tym językiem, najwidoczniej go rozumiał.

— Wyrzekam się tej wiary z chwilą obecną — odpowiedział w pasji. — Nie chcę wyznawać religii, która sankcjonuje podobne rzeczy. Spójrz na ten czerwony owoc piekła, tam w górze. Patrz, jak wchłania swoje pachnidła, aby jego świątobliwych nozdrzy nie

¹²⁶szkorbut — choroba spowodowana długotrwałym niedoborem witaminy C w żywieniu, objawiająca się m.in. krwawieniem dziąseł, wypadaniem zębów i ogólnym osłabieniem, niegdyś często dotykająca marynarzy wskutek złej diety. [przypis edytorski]

¹²⁷stoicki — zalecany przez staroż. filoz. szkołę stoików: charakteryzujący się umiarem, opanowaniem i spokojem wewnętrznym niezależnie od sytuacji życiowych. [przypis edytorski]

¹²⁸pralat — wyższy dostojnik w Kościele katolickim. [przypis edytorski]

drażniły wyziewy naszej nędzy. A przecież i my jesteśmy dziećmi Boga, stworzonymi na jego obraz i podobieństwo, tak samo jak ten prałat. Ale co on wie o Bogu? On poznaje religię poprzez dobre wino, sutą kuchnię i piękne kobiety. Zaleca samozaparcie jako drogę do nieba i własną nauką skazuje się na potępienie. Ja chrześcijanin? — zawołał i zaśmiał się po raz pierwszy od chwili, kiedy go przykuto do tej ławy tortur.

— Zaprawdę jesteśmy dziećmi Boga i do niego powrócimy — odparł Maur.

Taki był początek przyjaźni między Oliverem a tym człowiekiem, który się nazywał Jusuf-ben-Moktar. Muzułmanin był przekonany, że w Oliverze spotkał człowieka, na którego zstąpiła łaska Allaha i który miał uszy otwarte na posłannictwo Proroka. Jusuf z całą żarliwością swej religijnej duszy zabrał się do nawracania towarzysza. Ale Oliver słuchał go obojętnie. Odrzuciwszy jedną religię, musiał się dobrze zastanowić nad przyjęciem innej, tym bardziej że te wspaniałe rzeczy, które głosił Jusuf w imię swojej wiary, słyszał już kiedyś z ust głosicieli chrystianizmu. Nie zdradzał się jednak ze swoim poglądem, a jego obcowanie z muzulmaninem miało tę dobrą stronę, że nauczył się *lingua franca* tak, iż po sześciu miesiącach posługiwał się tym językiem jak rodowity Maur z typową muzulmańską kwiecistością.

Pod koniec szóstego miesiąca zdarzył się wypadek, który przywrócił Oliverowi wolność. Tymczasem jego ciało, prężne ponad zwykłą miarę, nabrało siły olbrzyma. Taki był los galernika — albo padał w jarzmie, albo jego mięśnie osiągały taką sprawność, że mogły sprostać ogromnemu wysiłkowi. W ciągu tych sześciu miesięcy Oliver stał się człowiekiem z żelaza i stali, niepodatnym na znużenie, nadludzkiej wprost wytrzymałości.

Wracali właśnie z Genui¹²⁹, gdy pewnego wieczora, spoczywających koło Minorki¹³⁰, jednej z Wysp Balearskich, napadły cztery muzulmańskie galery, które znienacka wysunąwszy się spoza przylądka, poczęły ich otaczać.

Na pokładzie hiszpańskiego statku podniósł się straszliwy krzyk: „Asad-ed-Din”. Było to nazwisko jednego z najgroźniejszych muzulmańskich korsarzy od czasów włoskiego renegata¹³¹ Occhialego¹³², zwanego Alim Paszą, który poniósł śmierć w bitwie pod Lepanto¹³³. Zagrały trąby, zawarczały bębny i Hiszpanie w hełmach i pancerzach, zbrojni w arkebuzach¹³⁴ i piki, stłoczyli się na pokładzie, by bronić swego życia i wolności. Kanonierzy skoczyli do armat, trzeba było jednak dopiero rozniecić ogień, by zapalić lonty. W zamieszaniu ani jeden strzał nie został oddany, gdy haki pierwszej galery spadły z chrzęstem na burty hiszpańskie. Wstrząs spowodowany tym zderzeniem był straszny. Druga galera, należąca do Asada-ed-Dina, najechała dziobem z ukosa, trafiając w sam środek kadłuba i łamiąc od razu piętnaście wiosel jak piętnaście suchych patyków.

Wśród niewolników rozległy się przeraźliwe wycia i rozdzierające, potępińcze jęki. Obydwa rzędy zostały przygniecione własnymi wiosłami. Kilku poniosło śmierć na miejscu, inni wili się w mękach z połamanymi krzyżami, strzaskanymi nogami i zmiażdżonymi kłatkami piersiowymi.

Sir Oliver byłby niewątpliwie znalazł się w liczbie tych nieszczęśliwych, gdyby nie przestroga, wskazówka i przykład Jusufa, który był obeznany z tego rodzaju bitwami

¹²⁹*Genua* — miasto portowe w pñ.-zach. Włoszech; w XVI w. stolica Republiki Genui, silnie powiązanej z imperium hiszpańskim, odgrywającej ważną rolę w finansowaniu i wspieraniu Hiszpanii, zwłaszcza poprzez swoją flotę i bankowość. [przypis edytorski]

¹³⁰*Minorka* — hiszpańska wyspa na Morzu Śródziemnym, druga co do wielkości w archipelagu Balearów. [przypis edytorski]

¹³¹*renegat* — odstępcą, odszczepieniem; osoba, która odrzuciła dotychczasowe przekonania i przeszła na stronę nieprzyjaciela. [przypis edytorski]

¹³²*Occhiali* (wł.), *Uluch Ali* (tur.), zw. *Ali Pasza*, właśc. *Giovanni Dionigi Galeni* (1519–1587) — korsarz pochodzenia włoskiego, który przeszedł na islam, szybko awansował w państwie osmańskim, otrzymał stanowisko namiestnika Aleksandrii, a następnie paszy (zarządcy) korsarskiego Algieru; dowodził lewym skrzydłem floty osmańskiej podczas bitwy pod Lepanto, w obliczu klęski zebrał wokół siebie pozostałości floty, z którymi dotarł do Stambułu; nagrodzony rangą wielkiego admirała, uczestniczył w odbudowie floty, dowodził kolejnymi kampaniami wojennymi. [przypis edytorski]

¹³³*bitwa pod Lepanto* (7 października 1571) — wielka bitwa morska, w której hiszpańsko-włoska flota Ligi Świętej rozgromiła flotę turecką; jedna z najkrwawszych bitew morskich w historii; *Occhialego, zwanego Alim Paszą, który poniósł śmierć w bitwie pod Lepanto*: w bitwie pod Lepanto zginął naczelný dowódca wszystkich morskich sił osmańskich, admirał Müezzinzade Ali Pasza, zaś Occhiale, tj. Uluch Ali Pasza, dowodził w niej lewym skrzydłem osmańskim i wrócił z resztkami floty do Stambułu. [przypis edytorski]

¹³⁴*arkebuz* — dawna ręczna długa broń palna, używana od XV do pocz. XVII w.; wyparta przez muszkiet. [przypis edytorski]

i wiedział bardzo dobrze, jakie straszne niebezpieczeństwo im grozi. Pchnął wiosło w górę i w przód jak najdalej, zmuszając towarzyszy do tego samego. Potem opadł na kolana i zgiął się tak, że jego plecy znalazły się na poziomie ławki. Krzyknął na Olivera, by poszedł za jego przykładem. Oliver usłuchał, nie wiedząc wprawdzie, co ten manewr oznacza, ale odgadując jego doniosłość z tonu Maura. W chwilę później wiosła odskoczyły, roztrzaskując jednemu z niewolników czaszkę i raniąc śmiertelnie innych — lecz przemykając bez szkody ponad głowami Olivera i Jusufa. Po chwili ciała wiosłarzy siedzących przed nimi zostały wśród wycia i przekleństw wyrzucone w górę.

Gdy Oliver podniósł się, bitwa już wrzała. Hiszpanie strzelali z arkebuzów na oślep, a z wykwitłych nad burtami obłoków dymu wyłoniły się zastępy korsarzy, prowadzone przez chudego, wysokiego starca z rozwianą białą brodą i ciemną twarzą o orlim nosie. Na jego białym turbanie połyskiwał półksiężyc ze szmaragdów, nad turbanem wznosił się stalowy hełm, pierś osłaniała kolczuga. Wywijał wielką szablą, a Hiszpanie ścielili się u jego nóg jak pszenica padająca pod sierpem żniwiarza. Walczył za dziesięciu zachęcany okrzykami podziwu coraz to nowych zastępów muzułmanów: „*Din! Om! Allah, J'Allah!*”¹³⁵ Przed jego natarciem, któremu nie sposób było się oprzeć, Hiszpanie cofali się coraz dalej i dalej...

Oliver spostrzegł, jak Jusuf na próżno usiłuje uwolnić się od łańcucha, i przyszedł mu z pomocą. Pochylił się, ujął łańcuch obiema rękami, wparł się nogami mocno w ławkę, wyteżył wszystkie siły i wyrwał hak z drzewa. Jusuf był wolny, tylko drugi koniec łańcucha opasywał jeszcze stalowym pierścieniem jego kostkę. Maur oddał tę samą przysługę Oliverowi, jakkolwiek nie z taką łatwością. Wreszcie i Oliver był wolny. Teraz nogę z łańcuchem oparł o ławkę i hakiem wiszącym na drugim końcu rozerwał obręcz opasującą kostkę.

Nadeszła chwila zemsty. Z głośnym okrzykiem „*Din!*”, jakby był jednym z Maurów, Oliver wpadł na tyły Hiszpanów, wywijając łańcuchem, który w jego rękach stał się straszliwą bronią. Używał go jak pletni¹³⁶, wałąc na prawo i lewo, rozbijając głowy, miażdżąc twarze, aż wyrąbał sobie drogę wśród hiszpańskich szeregów, przerażonych tym atakiem galernika. W ślad za nim sunął Jusuf, rąbiąc dziesięciostopowym szczątkiem wiosła.

Później Oliver przyznał, że niewiele pamięta z tego, co się wówczas działo. Pełną świadomość odzyskał dopiero, gdy bitwa miała się już ku końcowi i gromada korsarzy w barwnych zawojach stała na straży stłoczonej garstki Hiszpanów. Jedni wywalali drzwi kabin i wyciągali stamtąd skrzynie, drudzy z dłutami i młotkami uwijali się wśród galerników, rozkuwając pozostałych jeszcze przy życiu. Większość z nich były to dzieci islamu.

W pewnym momencie Oliver znalazł się oko w oko z białobrodym dowódcą korsarzy. Starzec, wsparty na swej szabli, przyglądał mu się wzrokiem, w którym podziw walczył z rozbawieniem. Nasz bohater nagi, cały zbрызgany krwią, ciągle jeszcze ścisnął w prawej ręce łańcuch, który był narzędziem straszliwej masowej egzekucji. Jusuf stał u boku wodza i coś do niego szybko mówił.

— Na Allaha! — zawołał Din. — Takiego strasznego wojownika jeszcze nie było! Sam Prorok wlał w niego swe siły, by mordował niewierne wieprze!

Oliver wyszczerzył dziko zęby.

— Oddałem im tylko z nawiązką cięgi, które odebrałem — rzekł.

W takich okolicznościach spotkał się Oliver po raz pierwszy ze strasznym Asadem-ed-Dinem, baszą Algieru, i takie były pierwsze słowa, które zamienili.

W drodze do Algieru, na galerze samego baszy, Oliver został wykąpany i ogolony tak, że zostawiono mu tylko jeden kosmyk włosów na przodzie, za który miał go Prorok kiedyś wciągnąć do nieba, gdy wypełnią się dni jego ziemskiego żywota. Nie protestował; umyto go przecież, nakarmiono i pozwolono odpocząć — poza tym mogą z nim robić, co im się podoba. Wreszcie przebranego w miękkie szaty, z turbanem na głowie, zaprowadzono go na tył statku, gdzie pod baldachimem siedzieli Asad i Jusuf. Zrozumiał teraz, że traktowanie go, jak gdyby był wiernym wyznawcą Proroka, zawdzięcza poleceniu Jusufa.

¹³⁵ *J'Allah!*, skrócone: *Ja Allah!* (ar.) — o Boże! [przypis edytorski]

¹³⁶ *pletnia* — bicz spleciony z rzemieni. [przypis edytorski]

Okazało się bowiem, że Jusuf-ben-Moktar był wysoką osobistością, bratankiem Asada-ed-Dina, wybrańcem wielkiego Allaha i wzięcie go do niewoli przez chrześcijan było źródłem wielkiej żaloby, podobnie jak teraz jego powrót przyczyną ogromnego wesela. Nie zapomniał o swoim towarzyszu przy wiosle, na widok którego Asad-ed-Din objawił najwyższe zainteresowanie. Stary korsarz cenił nade wszystko dzielnych wojowników, a oświadczył uroczyście, że jak żyje, nie widział równego temu muskularnemu galernikowi, i że nigdy nie był świadkiem takiego widowiska, jak jego walka z łańcuchem w ręku. Jusuf zakomunikował mu, że ten człowiek to owoc dojrzały do Allahowego żniwa, że łaska jest z nim i że w duchu jest już naprawdę sprawiedliwym muzułmaninem.

Gdy czysty, uperfumowany, przebrany w biały kaftan i turban, który go czynił jeszcze wyższym, Oliver stanął przed obliczem Asada-ed-Dina, dano mu do zrozumienia, że czekają go zaszczyty, dostatki i wielkie łaski, o ile tylko zechce wstąpić w szeregi wiernych, a siły i męstwo, którymi go Allah obdarzył, poświęci szerzeniu prawdziwej wiary i ściganiu wrogów islamu.

Ze wszystkich tych propozycji, uczynionych mu w kwiecistym wschodnim stylu, jedno tylko utkwiło w jego pełnym jeszcze zamętu mózgu, a mianowicie ściganie wrogów islamu. Wrogowie islamu byli jego własnymi wrogami — należało ich przeto za wszelką cenę tępić, a przyłożenie do tego ręki było niewątpliwie ogromną zasługą. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że odmowa równała się powrotowi na galery, tym razem muzułmańskie. To jednak było zajęcie, którego miał zupełnie dosyć. Odkąd poczuł się znów czystą ludzką istotą, mimo swojej niezwyklej odwagi nie potrafiłby znów stawić czoła temu straszному losowi. Widzieliśmy, z jaką łatwością porzucił religię, w której go wychowano, i jak strasznie poczuł się oszukany. Z podobną łatwością przechodził teraz na islam, ale z większym pożytkiem. Nadto religię mahometańską przyjmował z wewnętrznym przekonaniem, czego nie można powiedzieć o jego poprzednim odstępstwie.

Na galerze hiszpańskiej doszedł mianowicie, jak już wspomnieliśmy, do wniosku, że chrześcijaństwo w praktyce jest tylko okrutnym szyderstwem, od którego należy świat uwolnić. Nie znaczyło to bynajmniej, że islam uważał za prawdziwą religię. Przyjęcie wiary mahometan było zupełnie powierzchowne. Zmuszony jednak do wyboru między ławką galernika a górnym pokładem, między wiosłem a mieczem, śmiało i bez wahania zdecydował się na to, co zapewniało mu wolność i życie.

Tak więc został przyjęty w szeregi wyznawców Allaha, na których czekają w raju namioty, wzniesione w sadzie rodzącym wieczne owoce, wśród rzek płynących mlekiem, winem i miodem. Został mianowany *kayą*, czyli porucznikiem Jusufa na galerze będącej pod jego rozkazami i towarzyszył mu w licznych wyprawach, w których zręcznością i męstwem zdobył sobie wkrótce sławę jednego z najdzielniejszych korsarzy na Morzu Śródziemnym. W sześć miesięcy później, niedaleko sycylijskich wybrzeży, Jusuf otrzymał śmiertelną ranę już po osiągnięciu zwycięstwa w walce z jedną z galer Wiary, jak nazywano statki kawalerów maltańskich¹³⁷. W godzinę zmarł na rękach Olivera, na którego przelał swoją władzę, przykazując wiernym posłuszeństwo aż do powrotu do Algieru i chwili, kiedy basza objawi swoją wolę.

Basza potwierdził wybór poległego bratanka i sir Oliver stał się samodzielnym kapitanem statku. Od tej chwili nazywał się Oliver-Reis, ale jego odwaga i męstwo wkrótce zjednały mu przydomek Sakr-el-Bahra, czyli Sokoła Mórza. Sława jego rosła, ogarnęła całe Morze Śródziemne i dotarła aż do europejskich wybrzeży. Asad mianował go swoim namiestnikiem i drugim wodzem całej algierskiej floty. W rzeczywistości równało się to wyniesieniu do godności wodza naczelnego, Asad bowiem zestarzał się i coraz rzadziej brał udział w wyprawach. W jego imieniu wypadu prowadził Sakr-el-Bahr, a odznaczały się one taką śmiałością, przedsiębiorczością i szczęściem, że nigdy nie wracał z próżnymi rękami.

¹³⁷*Zakon Maltański, kawalerowie maltańscy* (pot.) — katolicki zakon rycerski powstały na Bliskim Wschodzie na fali pierwszych wypraw krzyżowych w średniowieczu; po podboju przez muzułmanów kolejnych miejsc na Wschodzie, do których przenosili swoje siedziby, w 1530 otrzymali od cesarza Karola V Maltę, wyspę w środkowej części M. Śródziemnego, pomiędzy Sycylią a Afryką Płn.; w 1565 odparli wielką osmańską armię inwazyjną, a dzięki strategicznemu położeniu wyspy prowadzili akcje morskie przeciwko muzułmanom, zwłaszcza piratom berberyjskim; panowali na Malcie do 1798. [przypis edytorski]

Nie ulegało wątpliwości, że łaską Allaha został wybrany na prawdziwą chlubę islamu. Asad zawsze go bardzo wysoko cenił — teraz pokochał go szczerze. Czyż ten człowiek, niezwykle wprost pobożności, mógł być inny wobec tego, któremu sam Najłitościwszy okazywał tak wyraźną miłość? Było oczywiste, że gdy wypełnią się dni Asada-ed-Dina, na algierskim tronie zasiądzie po nim Sakr-el-Bahr i że Oliver w ten sposób pójdzie w ślady Barbarossy¹³⁸, Occhialego i innych chrześcijańskich renegatów, którzy stali się w muzułmańskim świecie udziałnymi władcami.

Pomijając pewne antagonizmy, jakie obudziło jego niezwykle szybkie wyniesienie, a o których później więcej się dowiemy, raz jeden jego potęga została poważnie zagrożona. W jakieś pół roku po nominacji na wodza naczelnego wszedł do więzienia, gdzie odnalazł garstkę rodaków. Natychmiast dał rozkaz zdjęcia z nich więźwów i wypuszczenia na wolność.

Wezwany przed baszę, by się usprawiedliwić ze swojego postępowania, uderzył w jedyny możliwy w tym wypadku ton butnej pewności siebie. Zaklął się na brodę Proroka, że jeżeli ma być mieczem mahometan i służyć na morzach islamowi, to będzie to czynił wedle własnego uznania, a wolą jego jest, by jego rodacy byli oszczędzani. Islam — przysięgał — na tym nie straci, bo za każdego Anglika wypuszczonego na wolność weźmie do niewoli dwu Hiszpanów, Francuzów, Greków lub Włochów.

Wygrał, ale odtąd jeńcy mieli stanowić własność państwa. Chcąc pozbawić państwo jakiegoś jeńca, musi za niego zapłacić. Dopiero wówczas będzie mógł z nim robić, co mu się podoba. W ten sposób rozstrzygnął mądry i sprawiedliwy Asad trudne zagadnienie, a Oliver-Reis ugiął się roztropnie przed jego wolą.

Wszystkich angielskich jeńców, którzy dostali się później do Algieru, kupował, darował wolnością, a ponadto ułatwiał im powrót do ojczyzny. Dużo go to wprawdzie kosztowało, ale zgromadził takie skarby, że nietrudno mu było tym wydatkom podołać.

Czytając kronikę lorda Henryka Goade, ma się wrażenie, że w wirze nowego życia sir Oliver całkiem zapomniał o tym wszystkim, co się zdarzyło w jego ojczystej Kornwalii, że zapomniał nawet o kochanej niegdyś kobiecie, która tak pochopnie oskarżyła go o zbrodnię. Wrażenie to jednak pryska, gdy dojdziemy do miejsca, w którym lord Henryk opowiada o tym, jak Oliver wśród kilku angielskich jeńców, pojmanych i przywiezionych do Algieru przez Biskaine-el-Boraka, pełniącego teraz funkcję jego zastępcy, odkrył pewnego młodzieńca z Helston, nazwiskiem Pitt, którego ojca niegdyś znał.

Zabrał tego młodzieńca ze sobą do wspaniałego pałacu w pobliżu Bab-el-Oued¹³⁹, przyjął go jak dostojnego gościa i spędził z nim całą letnią noc na rozmowie, dopytując się o wielu znajomych i wydobywając w ten sposób z niego całą historię rodzinnych stron z ostatnich dwu lat, spędzonych na obczyźnie. Daje nam to wyobrażenie, jaka tajemna tęsknota i okrutna nostalgia musiały jednak nurtować jego duszę. Nie kończące się pytania miały przynajmniej w części zaspokoić jego pragnienia. Ten chłopak cofnął go znowu gwałtownie i boleśnie w świat przeszłości, do którego zamknął sobie drzwi jako muzułmanin i korsarz. Niewątpliwie tej letniej nocy obudził się w nim palący żal i nieukożone pragnienie powrotu. Rozamunda miała mu znowu otworzyć te drzwi, które zatrzaskał za sobą, wiedziony złym losem. Nie wątpił ani chwili, że ona to zrobi, gdy się dowie prawdy. Teraz nie widział już powodu, dla którego miałby ukrywać tę prawdę i osłaniać niegodnego tchórza, swego brata, którego teraz tak samo z całej duszy nienawidził, jak niegdyś kochał.

Napisał długi list, w którym opowiedział szczegółowo wszystko, co się z nim działo od chwili porwania, niczego nie ukrywając, wyjaśniając sprawę mordu, który stał się przyczyną wszystkich nieszczęść. Kronikarz wyraził się, że list ów nawet kamień by poruszył. Ale nie było to tylko namiętne zapewnienie o niewinności i niczym niepoparte

¹³⁸ Hayreddin, z ar. *Hayr ad-Din*, zw. w źródłach zach. *Barbarossa* (wł.: rudobrody) (1478–1546) — syn tureckiego muzułmanina i prawosławnej greckiej matki, korsarz, następnie admirał w służbie Imperium Osmańskiego; zdobył Algier, razem z bratem, Arudżem Barbarossą, zbudował w Afryce Płn. potężne państwo muzułmańskie, które na jego prośbę zostało oficjalnie przyłączone do państwa osmańskiego jako na wpół niezależna prowincja; przekształcił Algier w kwitnący ośrodek korsarski; dzięki jego morskim zwycięstwom Imperium Osmańskie uzyskało dominację na Morzu Śródziemnym w poł. XVI w. [przypis edytorski]

¹³⁹ *Bab el Oued* (ar.: brama rzeki) — nazwa bramy miejskiej w mieście Algier; ob. nazwa dzielnicy tego miasta położonej za tą bramą, na płn. od centrum. [przypis edytorski]

oskarżenie brata: Oliver wspominał o istnieniu niewzruszonych dowodów, o dokumencie spisany przez pana Baine'a i potwierdzonym przez proboszcza, który to dokument miał być przesłany Rozamundzie wraz z listem. Prosił ją dalej, aby w razie wątpliwości zwróciła się o potwierdzenie tego dokumentu do samego pana Baine'a. W końcu błagał, by przedłożyła całą sprawę królowej i umożliwiła zmuszonemu przez okoliczności renegowi powrót do Anglii. Zaopatrzył młodzieńca w środki pieniężne, dał mu list, który miał być osobiście Rozamundzie wręczony, i udzielił wskazówek, jak znaleźć dokument. Bezcenne to pismo znajdowało się między kartkami starej książki o sokolnictwie w bibliotece w Penarrow, gdzie z pewnością dotąd bezpiecznie spoczywa. Lionel bowiem poza tym, że nie domyśla się jego istnienia, nie jest miłośnikiem książek. Pitt miał się zwrócić do starego Mikołaja i przy jego pomocy odnaleźć owo pismo, jeżeli jeszcze istniało.

Sakr-el-Bahr umożliwił Pittowi dostanie się do Genui, skąd zabrał go do ojczyzny angielski statek.

Po trzech miesiącach otrzymał odpowiedź — list, który dotarł przez Genuę, będącą w owym czasie w pokojowych stosunkach z Algierem i łączącą go ze światem chrześcijańskim. W liście tym Pitt donosił, że wykonał wszystko, co mu Oliver polecił, że przy pomocy Mikołaja odszukał dokument i osobiście wręczył go wraz z pismem Rozamundzie, która mieszka teraz u sir Johna Killigrewa w Arwenack, a która na wiadomość, w czym przychodzi imieniu, przy nim wrzuciła nieprzeczytany list i dokument w ogień, nie dając mu nawet okazji ustnego przekazania posłannictwa Olivera.

Sakr-el-Bahr spędził całą noc pod gołym niebem w przesyconym woniami ogrodzie, a niewolnicy opowiadali sobie z przerażeniem, że słyszeli, jak jęczał i płakał. Jeżeli płakał rzeczywiście, było to po raz ostatni; odtąd stał się nieprzenikniony, chmurny, okrutny i nielitościwy, jakim go dotąd nie znano. Nigdy już nie troszczył się o angielskich jeńców.

Jego serce stało się twarde jak kamień.

Tak upłynęło pięć lat od tej wiosennej nocy, której porwał go podstępnie Jasper Leigh. Sława jego rosła, a imię stało się postrachem mórz. Z Malty, Neapolu, Wenecji całe flotylle urządzały na niego oblawy, by położyć kres jego dzikim wyprawom korsarskim. Lecz Allah czuwał nad nim; Sakr-el-Bahr nigdy nie wydawał bitwy, ale zawsze zapewniał zwycięstwo islamskiemu orężowi.

Piątego roku na wiosnę przyszedł od Pitta drugi list, który był dowodem, że wdzięczność nie zniknęła jeszcze ze świata, jak to skłonny był przypuszczać. Wiedziony wdzięcznością Pitt przysyłał wieści o sprawach dotyczących Olivera. Ten list otworzył dawną ranę, a ponadto zadał mu nową. Autor bowiem donosił, że sir John Killigrew zmusił go do złożenia świadectwa o przejściu Olivera na islam, co umożliwiło sądom uznanie go za zmarłego wobec prawa i przyznanie spadku jego przyrodniemu bratu Lionelowi Tresilianowi. Pitt dawał wyraz swej strasznej rozpacz, że nieświadomie pozwolił się użyć jako narzędzia do wyrządzenia mu takiej krzywdy — w zamian za dobrodziejstwa, jakich od niego doznał. Gdyby przewidział, jakie następstwa zeznanie jego pociągnie, dałby się raczej powiesić, niżby go ktoś zmusił do otwarcia ust.

Aż dotąd czytał Oliver obojętnie, jedynym zaś uczuciem, jakie te wiadomości w nim obudziły, było uczucie pogardy. Ale doczytał się czegoś więcej. List informował dalej, że Rozamunda wróciła świeżo z Francji, gdzie spędziła dwa lata, że zaręczyła się z Lionelem i że ślub ma się odbyć w czerwcu. Oliver dowiedział się dalej, że małżeństwo to skojarzył sir John Killigrew, który gorąco pragnął zapewnić Rozamundzie przyszłość i opiekę męża, sam bowiem ekwipuje zacy statek i wybiera się w podróż do Indii. Pitt dodał, że małżeństwo znalazło uznanie w całej okolicy i że jest uważane za niezwykle korzystne dla obu stron, bo łączy sąsiadujące z sobą posiadłości Penarrow i Godolphin.

Oliver, czytając to, zaśmiał się gorzko. A więc małżeństwo miało wartość nie jako sam związek, lecz jako połączenie dwu bogatych połaci ziemi! To było małżeństwo dwóch parków, dwóch posiadłości, dwóch obszarów lasu i gleby ornej, a że wchodziły jeszcze w grę dwie ludzkie istoty — czysty przypadek!

Okrutna ironia losu przepełniła jego duszę goryczą. Odrąciwszy go za domniemane zabójstwo, rzuca się teraz w objęcia prawdziwego mordercy! A on — ten łotr, ten nędznik — z jakich głębin piekła czerpie swą odwagę, by odegrać do końca tę łajdacką maskaradę? Czy nie ma w nim ani krztu serca, sumienia, uczciwości, bojaźni Boga?

Podarł list w strzępy, usiłując wymazać całą sprawę z pamięci. Pitt chciał dla niego jak najlepiej, postąpił jednak okrutnie. By pozbyć się potwornych, dręczących obrazów, które ciągle nasuwała mu wyobraźnia, wypłynął na morze z trzema galerami — i w ten to sposób spotkał się w dwa tygodnie później z Jasperem Leighiem na pokładzie hiszpańskiego statku, który zajął koło przylądka Spartel.

III. DO OJCZYZNY

Nad wieczorem w kajucie zdobytego statku Jasper Leigh stanął przed obliczem Sakr-el-Bahra, sprowadzony przez dwóch olbrzymich Nubijczyków¹⁴⁰.

Sakr-el-Bahr nie objawiał dotąd swych zamiarów względem małego kapitana piratów, a Jasper Leigh, poczuwając się do winy, obawiał się najgorszego, co go spotkać mogło, i spędził kilka nieszczęsnych godzin w przednim kasztelu, oczekując śmierci, którą uważał za nieuniknioną.

— Nasze sytuacje się zmieniły od ostatniej rozmowy, panie Leigh — przywitał go Oliver.

— W istocie — przyznał jeniec. — Ale chyba pan nie zapomniał, że wówczas występowałem jako pański przyjaciel.

— Za wynagrodzeniem — przypomniał mu Sakr-el-Bahr. — I za wynagrodzeniem może pan też dziś odnaleźć we mnie przyjaciela.

Serce hultaja zabiło nadzieją.

— Proszę, proszę powiedzieć, o co chodzi — odparł pospiesznie. — A jeżeli leży to tylko w moich skromnych możliwościach, przed niczym się nie cofnę, przysięgam. Mam dosyć tej niewoli — mówił dalej płaczącym głosem. — Pięć lat! A z nich cztery spędzone na hiszpańskiej galerze! Nie było dnia, w którym nie modliłbym się o śmierć. Ale pan wie najlepiej, jakie męki musiałem przejść.

— Nigdy cierpienie nie było bardziej zasłużone, nigdy kara nie spotkała bardziej winnego, nigdy sprawiedliwość nie była wznioślejsza — odpowiedział Sakr-el-Bahr tonem, który sprawił, że w kapitanie zastygła krew. — Chciałeś mnie sprzedać, mnie, który cię uważałem za swego przyjaciela, chciałeś mnie zaprzedać w niewolę za marnych dwieście funtów...

— Nie, nie! — zawołał Leigh przerażony. — Bóg mi świadkiem, że taki zamiar nigdy mi w głowie nie powstał. Chyba nie zapomniał pan mojej gotowości odwiezienia pana z powrotem do domu!

— Tak, za wynagrodzeniem, to prawda — powtórzył Sakr-el-Bahr. — Dziś jesteś w tym szczęśliwym położeniu, że możesz się okupić, odwołując zawarcie znajomości ze strykiem. Potrzebuję kapitana — dodał dla wyjaśnienia — i co miałeś przed pięciu laty zrobić za cenę dwustu funtów, dziś musisz zrobić za cenę życia. Jak więc? Chcesz być kapitanem tego statku na moich usługach?

— Panie! — zawołał Jasper Leigh, który wprost uszom nie wierzył, że to wszystko, czego od niego żądano. — Na pański rozkaz popłynę na tym statku do piekła!

— Nie ma to być wyprawa przeciw Hiszpanom — odparł Sakr-el-Bahr. — Masz mnie zawieźć dokładnie tak, jak miałeś przed pięciu laty, do ujścia Falu w Kornwalii, i tam mnie wysadzić. Zgoda?

— Ach, z jaką rozkoszą! — zawołał Leigh bez chwili namysłu.

— W nagrodę otrzymasz życie i wolność — dodał Oliver. — Ale nie wyobrażaj sobie, że zaraz po przyjeździe do Anglii będziesz wolny. Musisz mnie odwieźć z powrotem; dopiero potem znajdę sposób, by cię odesłać do domu, jeżeli takie będzie twoje życzenie, a może kapnie i jakaś nagroda za wierną służbę do ostatka. Tylko niech ci zgodnie z twymi zwyczajami nie przyjdzie chętka spłatać mi jakiegoś psikus, bo wtedy śmierć. Nieodstępnyymi twymi towarzyszami będą te dwie lilie pustyni. — Tu wskazał na kolosalnych Nubijczyków, dostrzegalnych w cieniu tylko dzięki białkom oczu i błyskom śnieżnych zębów. — Będą nad tobą czuwać i dbać o to, by ci się co złego nie stało, jak długo będziesz wobec mnie uczciwy, ale przy pierwszym dowodzie zdrady ukręcą ci

¹⁴⁰ *Nubijczyk* — człowiek pochodzący z Nubii, krainy hist. na pld. od Egiptu, w średniowieczu chrześcijańskiej, w XVI w. podbitej, włączonej do osmańskiego Egiptu i szybko zislamizowanej; dawniej w jęz. angielskim także ogólnie: czarnoskóry Afrykanin. [przypis edytorski]

kark. Możesz odejść. Masz zupełną swobodę poruszania się po statku, ale nie wolno ci go opuścić, chyba że na mój wyraźny rozkaz.

Jasper Leigh wyszedł z kabiny, uważając się za człowieka szczęśliwego ponad wszelkie oczekiwanie. Ani mu w głowie było uciekać. Nubijczycy szli za nim krok w krok jak olbrzymi bliźniaczy cień.

Do Sakr-el-Bahra wszedł teraz Biskaine z raportem o pojmanej zdobyczy. Poza jeńcami i statkiem, który w bitwie zupełnie nie ucierpiał, ładunek był bezwartościowy. Ponieważ dopiero udawali się w podróż, nie można się było spodziewać wielkich łupów. Znalezione zapasy broni i prochu oraz trochę pieniędzy, ale nic takiego, co by miało dla korsarzy większą wartość.

W krótkich słowach wydał Sakr-el-Bahr zdumiewający rozkaz:

— Biskaine, weźmiesz na pokład jednej galery wszystkich jeńców i odwieziesz ich do Algieru na sprzedaż. Prócz tego każesz spośród załogi wybrać dwustu korsarzy, dobrych marynarzy i wojowników, by mi towarzyszyli w wyprawie na morza.

— Nie wracasz więc do Algieru, o Sakr-el-Bahrze?

— Teraz nie. Wybieram się w dalszą podróż. Oddaj uniżony pokłon Asadowi, którego oby Allah strzegł i otaczał opieką, i powiedz mu, żeby się mnie spodziewał z powrotem za sześć tygodni.

To nagłe postanowienie Olivera-Reisa wywołało na pokładzie galery niemałe poruszenie. Korsarze nie mieli pojęcia o żegludze na oceanie, żaden z nich nie był nigdy poza granicami Morza Śródziemnego, a niewielu tylko dotarło do przylądka Spartel i wątpliwe, czy pod innym wodzem chcieliby się narażać na niebezpieczeństwa grożące na Atlantyku. Ale Sakr-el-Bahr, dziecko szczęścia, ulubieniec Allaha zawsze ich prowadził do zwycięstw. Wystarczył rozkaz, by poszli za nim, dokąd tylko chciał. Nie było więc kłopotu z wyszukaniem dwustu muzułmanów, których potrzebowali jako załogi i żołnierzy równocześnie; trudność polegała raczej na utrzymaniu się w granicach tej liczby, bo wszyscy byli żądni przygód pod wodzą Sakr-el-Bahra.

Nie należy sądzić, że Oliver działał według z góry ułożonego planu. Gdy leżąc na występie skalnym, obserwował wspaniały statek, mknący pod wiatr, przyszło mu na myśl, że byłoby to oryginalne przedsięwzięcie popłynąć takim statkiem do Anglii, spać na kornwalijskie wybrzeże nagle jak piorun i dokonać obrachunku z nędznikiem Lionelem. Igrał z tą myślą, puszczając wodze wyobraźni i budując zamki na lodzie. Wir walki stłumił tę myśl zupełnie, powróciła jednak jako postanowienie po spotkaniu z Jasperem Leighiem.

Mając do dyspozycji kapitana i statek, Oliver mógł wreszcie urzeczywistnić swe marzenia. Nie było nikogo, kto by się jego woli sprzeciwił, kto by jego fantastycznym zachciankom przeciwstawił rozumne argumenty. Może chciał także zobaczyć Rozamundę? Zmusić ją, by się z jego ust dowiedziała prawdy? No i pozostał jeszcze sir John Killigrew. Nigdy nie miał pewności, czy sir John był początkowo jego przyjacielem, czy wrogiem, ale odkąd się dowiedział, że to właśnie on skłonił sąd do uznania go za nieżyjącego jako renegata i że stara się doprowadzić do małżeństwa między Rozamundą i Lionelem, uznał, że i jemu warto byłoby złożyć wizytę i pouczyć go o istocie jego postępowania.

Ponieważ miał nieograniczoną władzę wzdłuż całego afrykańskiego wybrzeża, powzięcie planu było zarazem wstępem do jego wykonania. A że miał zwyczaj szybkiego wprowadzania w czyn wszelkich postanowień, zwyczaj ten przyszedł mu teraz z pomocą.

Poczynił szybko przygotowania i już nazajutrz rano statek hiszpański — noszący starannie dziś usunięte miano: „Nuestra Señora de las Llagas” — podniósł kotwicę i popłynął ku Atlantykowi pod rozkazami kapitana Leigha. Trzy galery zaś pod wodzą Biskaine-el-Boraka posuwały się ostrożnie na wschód do Algieru, zwyczajem korsarzy trzymając się brzegu.

Wiatr sprzyjał Oliverowi, tak że opłynąwszy przylądek św. Wincentego¹⁴¹, po dzieściu dniach ujrzał przylądek Lizard na południowym zachodzie Anglii.

¹⁴¹przylądek św. Wincentego — przylądek w pld. Portugalii, najbardziej na pld-zach. wysunięty punkt lądu stałego Europy. [przypis edytorski]

IV. NAJAZD

W delcie Falu nie opodal Smithick, w cieniu wzgórz uwieńczonych okazałym dworem Arwenack, kołysał się dumnie na kotwicy wspaniały okręt — dzieło najlepszych fachowców, na które nie szczędzono środków pieniężnych. Gotował się do dalekiej drogi i od kilku dni znoszono na pokład zapasy i amunicję. Niezwykły gwar ożywiał miejsce, gdzie stała niewielka kuźnia i szereg domów, które zmieniły charakter małej osady rybackiej, zapowiadając ruch handlowy, który miał już w niedalekiej przyszłości dać początek wymarzonemu przez sir Johna portowi.

Do tego stanu rzeczy przyczyniła się niemało przyjaźń sir Johna Killigrewa z Lionelem. Protest Olivera, popierany przez Truro i Helston, przeciw projektowi sir Johna — został przez Lionela wycofany; co więcej, poszedł on w przeciwnym kierunku tak daleko, że nawet wstawiał się pisemnie za projektami Johna w parlamencie i u królowej. W istocie nieprzychylnie stanowisko Olivera wobec tych planów było właściwym źródłem złych stosunków między Arwenack a Penarrow, poparcie ich zatem przez Lionela stało się teraz kamieniem węgielnym przyjaźni, jaka połączyła go z sir Johnem.

Brak wybitnej inteligencji brata pokrywał Lionel sprytem. Zdawał sobie sprawę, że wskutek rozwoju portu o tak dogodnym położeniu mogą kiedyś, choć z pewnością nie za jego życia, ucierpieć Helston, Truro i posiadłości Tressilianów. Tymczasem zaś uzyska pomoc sir Johna w swoich staraniach o Rozamundę Godolphin i w ten sposób posiadłości jego złączą się z jej dziedzictwem. Ta bezpośrednia pewna korzyść wydała się Lionelowi ważniejsza niż przyszłe straty.

Nie należy jednak sądzić, że w swych konkurach Lionel nie napotkał na żadne przeszkody. U Rozamundy nie był w łaskach i właśnie celem uniknięcia niemiłych jej zalotów tak długo nalegała, aż wreszcie sir John zezwolił, by towarzyszyła do Francji jego siostrze, dokąd udawała się z mężem, który został mianowany angielskim ambasadorem na francuskim dworze. Powaga sir Johna jako opiekuna wzrosła od śmierci Piotra Godolphina.

Lionel boczył się z powodu wyjazdu Rozamundy, lecz zapewniony przez sir Johna, że niewątpliwie wszystko dobrze się skończy, opuścił Kornwalię i wybrał się w świat. Spędził jakiś czas w Londynie na dworze, ale tu, zdaje się, nie odniósł sukcesu, następnie zaś udał się do Francji, by pani swego serca złożyć czolobitność.

Jego stałość i skromność, z jaką zabiegał o jej względy, oraz widoczna głębia uczuć poczęły wreszcie robić wyłomy w murze jej obojętności, podobnie jak krople wody drążą kamień. Trudno jednak było jej zapomnieć, że jest on bratem Olivera — bratem człowieka, którego kochała i który zabił jej brata. Dzieliły ich dwie rzeczy: widmo dawnej miłości i krew Piotra Godolphina.

Wróciwszy do Kornwalii po dwuletniej nieobecności, Rozamunda użyła tych właśnie argumentów, by przekonać sir Johna, że jej związek z Lionelem Tressilianem jest niemożliwy.

Sir John wszelako nie dał się przekonać.

— Moja droga — mówił — trzeba myśleć o przyszłości. Jesteś teraz pełnoletnia, jesteś panią swej woli. Niewskazane jednak, by kobieta, i to kobieta z zanego rodu, była sama. Wszystko dobrze, jak długo ja żyję i jak długo bawię w Anglii. Możesz siedzieć, dokąd zechcesz, u mnie, w Arwenack — słusznie, żeś porzuciła tę samotnię w Godolphin. Ale zastanów się, samotnia znowu się zacznie, gdy mnie tu nie będzie.

— Wolę samotność niż towarzystwo, które mi chcesz narzucić — odpowiedziała.

— Niewdzięczne słowa! — zaprotestował. — I to ma być podzięką za przywiązanie tego chłopca, za jego cierpliwość, delikatność i objawy serdecznego uczucia?

— Jest bratem Olivera Tressiliana — odpowiedziała.

— Czy myślisz, że nie dość cierpiał z tego powodu? Czy nie ma końca tej pokucie za cudze winy? Nadto zastanów się, oni właściwie nie są braćmi. Są tylko braćmi przyrodnimi.

— Ale pokrewieństwo jest zbyt bliskie — odparła. — Jeżeli chcesz koniecznie, bym wyszła za mąż, to wyszukaj mi innego męża.

Sir John odparł, że nie wyobraża sobie lepszego wyboru, zwracając jej uwagę na korzyści płynące z połączenia obu posiadłości.

Nie ustępował, a jego upór został w końcu nagrodzony, do czego przyczynił się projekt podróży do Indii. Sumienie mu nie pozwalało podnieść kotwicy, póki nie ujrzy Rozamundy zabezpieczonej przez małżeństwo. Lionel także był wytrwały, ale spokojny, nienarzucający się, a więc tym trudniejszy do pokonania.

Pod naciskiem obu tych mężczyzn Rozamunda ustąpiła wreszcie, postanawiając wyrwać z serca jedyną istotną przeszkodę, o której ku swemu zawstydzeniu nie wspomniała ani słówkiem sir Johnowi. W rzeczywistości bowiem mimo wszystko jej miłość do Olivera, choć przytłumiona i podświadoma, była żywa. Często łapała się na tym, że myśli o nim z tęsknotą; porównywała go z innymi i choć prosiła sir Johna, by jej upatrzył innego małżonka, zdawała sobie sprawę, że każdy kandydat w porównaniu z Oliverem musi ponieść klęskę. Robiła sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty, biczowała się wprost ciągłym przywożeniem sobie na pamięć, że to on był zabójcą Piotra. Ale wszystko na próżno — usiłowała go tylko usprawiedliwić: został przecież przez Piotra sprowokowany, dla niej znosił afronty, jeden po drugim, aż wreszcie przebrała się miara jego cierpliwości — jest wszak tylko człowiekiem — i mając dość już znoszenia razów, w gniewie wyrównał rachunek.

Gardziła sobą za takie myśli, ale nie miała siły ich odpędzić. Potrafiła być surowa, czego dowodziło jej zachowanie, gdy Pitt wręczył jej list Olivera, ale nie mogła ujarzmić swych myśli, które wypowiadały jej posłuszeństwo. W sercu zagościła niepokonana tęsknota za Oliverem i tlił się płomyk nadziei, że on jeszcze wróci, choć uświadamiała sobie, że jego powrót w niczym by sytuacji nie zmienił.

Sir John nie zdawał sobie nawet sprawy, jak znakomitym taktycznym posunięciem było zabicie w niej wszelkiej nadziei powrotu Olivera. Od chwili jego zniknięcia nie wiedzieli o nim nic aż do przybycia Pitta. O korsarzu Sakr-el-Bahrze, głośnym na cały świat, słyszeli oczywiście, ale nikomu do głowy nie przyszło, że Sakr-el-Bahr i Oliver to jedno. Teraz, gdy świadectwo Pitta stwierdziło jego identyczność, nietrudno było skłonić trybunał, by go uznano za nieżyjącego i scedowano na Lionela dziedzictwo, tak przezeń pożądane.

Nie miało to dla Rozamundy wielkiego znaczenia; o wiele donioślejszym faktem było ogłoszenie Olivera za zmarłego wobec prawa, bo jako taki nie miał już powrotu do kraju. Okoliczność ta ostatecznie położyła kres podświadomym nadziejom Rozamundy, zmuszając ją jednocześnie, by spojrzała w twarz przyszłości, którą zdecydowała się przyjąć taką, jaką jej sir John narzucał.

Zaręczyny podano do publicznej wiadomości. Nie objawiając oczywiście gorętszych uczuć, Rozamunda była dla Lionela poprawną narzeczoną. Lionel z kolei miał dość rozsądku, by na razie nie żądać nic więcej; pocieszał się nadzieją każdego zakochanego, że sposobność i czas zrobią swoje i że kiedyś zdobędzie wzajemność. I rzeczywiście, pewne okoliczności zdawały się potwierdzać jego przewidywania. Rozamunda była samotna, a on osładzał jej tę samotność całkowitym oddaniem. Jego powściągliwość i taktyczna rezerwa — tam gdzie można by oczekiwać natarczywości — umożliwiały im obcowanie, a nawet czyniły jej miłym jego towarzystwo. Z czasem obudził w niej nawet iskrę sympatii, co widząc, sir John zacierał ręce i ekwipował dalej swój wspaniały okręt, „Srebrną Czapłę”, którym miał wypłynąć na morze.

Do ślubu pozostał już tylko tydzień. Sir John był rozgorączkowany, bo weselne dzwony miały być zarazem hasłem do podniesienia kotwicy. Gdy przebrzmiał — „Srebrna Czapla” będzie już prula fale.

Było to pierwszego czerwca; dźwięki dzwonów wieczornych rozplynęły się w powietrzu, w jadalni w Arwenack zapalono światła i nieliczne towarzystwo zasiadło do wieczerzy. Obecni byli tylko sir John, Rozamunda, Lionel, który się nieco spóźnił, i lord Henryk Goade, nasz kronikarz, namiestnik królowej w Kornwalii, wraz z żoną. Bawili u sir Johna w gościnie i mieli pozostać jeszcze tydzień, by zaszczyścić swoją obecnością uroczystość weselną.

Na piętrze odbywały się gorączkowe przygotowania do dwóch podróży: sir John wybierał się na morza, jego pupilka w podróż poślubną. W narożnej komnacie pracował

nad ślubną suknią tuzin szwaczek pod kierownictwem tej samej Sally Pentreath, która w chwili przyjścia Rozamundy na świat była niezmordowana w przygotowywaniu dla niej pieluszek i innych niemowlęcych akcesoriów.

W momencie gdy sir John prowadził towarzystwo do stołu, sir Oliver Tressilian schodził na ląd w odległości niecałej mili.

Uważał, że bezpieczniej będzie zatrzymać się w zatoce w pobliżu Swanpool¹⁴², po zachodniej stronie przylądka Pendennis¹⁴³, tu więc w gęstych mrokach wieczoru zarzucono kotwicę. Na widok ojczystej ziemi łzy wzruszenia nabiegły Oliverowi do oczu. Spuszczono dwie łodzie, którymi przeprowiono na ląd trzydziestu kilku ludzi. Łodzie wracały jeszcze dwa razy, aż stu korsarzy znalazło się na wybrzeżu. Druga setka pozostała na statku jako straż. Wprawdzie jedna czwarta tej siły byłaby sprostą przedsięwzięciu, lecz Oliver chciał uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

Przez nikogo niespostrzeżony prowadził ich w coraz głębszych ciemnościach stokiem w górę ku Arwenack. Jak dokładnie znał tę ścieżkę, którą szedł w nocy z taką pewnością! Każdy krzak, każdy kamień, obok którego przechodził ze swym niemy orszak, był mu dobrym znajomym. Kto by zdołał przewidzieć, że w takich okolicznościach tu powróci? Gdy w latach swej młodości hasał tu z psami i strzelbą, czy mógł pomyśleć wówczas, że kiedyś będzie się skradał nocą jako renegat, muzułmanin prowadzący horde niewiernych, by uderzyć na dom sir Johna Killigrewa z Arwenack?

Myśli te zachwiały na moment jego decyzją, ale wspomnienie dawnych krzywd, świadomość, że przychodzi jako mściciel, przywróciły mu pewność siebie.

Najpierw pójdzie do Arwenack, do sir Johna i Rozamundy, by ich wreszcie zmusić do wysłuchania prawdy, a potem do Penarrow, aby się porachować z Lionelem. Ten plan działania zagrzeł go do czynu, pozwolił przezwyciężyć chwilową słabość, dodał mu bodźca. Oliver jednym tchem przebył całe zbocze i stanął przed dworem na wzgórzu, obwarowanym jak forteca.

Potężna, żelazem okuta brama była zamknięta, czego się o tak późnej godzinie należało spodziewać. Zastukał i zaraz otworzyła się mała boczna furtka, a w szparze zabłysła latarnia. W tej samej chwili jednak latarnia została rozbita, a Oliver chwycił odźwiernego za gardło, by krzykiem nie ściągnął pomocy, i podał go swoim ludziom, którzy mu zakneblowali usta.

Następnie wsunęli się bezszelestnie na dziedziniec. Oliver prowadził ich prosto ku wysokim oknom, które zdawały się zapraszać rześzystym światłem.

Ze służbą napotkaną po drodze załatwili się równie cicho i błyskawicznie jak z odźwiernym. Ich ruchy były tak szybkie i tak ostrożne, że ich obecność zdradziło dopiero wyważenie drzwi.

Zapanowała ogólna konsternacja. Lord Henryk opowiada, że z początku myślał, iż to jakaś maskarada przygotowana dla młodej pary przez ludzi ze Smithick i Penycumwick. W mniemaniu tym utwierdziła go jeszcze, jak mówi, okoliczność, że u nikogo nie widać było obnażonej broni. Mieli ją wprawdzie przy sobie, ale na rozkaz wodza spoczywała w pochwach. Wszystko miało być załatwione gołymi rękami, bez rozlewu krwi. Taki był rozkaz Sakr-el-Bahra, któremu wszyscy byli bezwzględnie posłuszni.

On sam stał na czele orszaku ciemnoskórych ludzi, przystrojonych w szaty we wszystkich kolorach tęczy, z głowami owiniętymi w turbany wszelkich możliwych odcieni. Najpierw mierzył zebranych bez słowa, ale groźnie; ci z kolei w zdumieniu przyglądali się temu z muzułmańska wyglądającemu olbrzymowi z czarną przedzieloną brodą, o imponującej twarzy koloru mahoni i dziwnie jasnych oczach, błyszczących pod czarnymi brwiami jak stal.

Chwilę panowała przeraźliwa cisza — i nagle Lionel Tressilian opadł bezwładnie jak omdlały w tył.

Oczy koloru agatu spoczęły na nim z okrutnym wyrazem.

¹⁴²Swanpool — niewielka przybrzeżna laguna na zach. od ujścia rz. Fal w poł. Kornwalii, z kamienistym pasem, oddzielającym ją od plaży o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

¹⁴³przylądek Pendennis — przylądek w poł. Kornwalii, ograniczający od zachodu ujście rz. Fal; z fortem artyleryjskim na szczycie, zbudowanym w 1540–1545. [przypis edytorski]

— Widzę, żeś mnie wreszcie poznał — ozwał się Sakr-el-Bahr swoim niskim głosem. — Byłem spokojny, że twych kochających braterskich oczu nie zmyli zmiana, jakieś dokonał we mnie czas i warunki.

Sir John zerwał się, rzucając przekleństwo, a jego ciemna, szczupła twarz nabiegła krwią. Rozamunda, skamieniała z przerażenia, wpiła w Olivera nieprzytomne, rozszerzone źrenice, rękami zaś kurczowo chwyciła się stołu. Oni go poznali, oni wiedzieli dobrze, że to nie maskarada. Sir John zdawał sobie sprawę, że zawisło nad nim niebezpieczeństwo, nie mógł jednak odgadnąć, z jakimi zamiarami Oliver przychodzi. Po raz pierwszy berberyjscy piraci pojawili się w Anglii. Ich głośny napad na Baltimore¹⁴⁴ w Irlandii miał miejsce jakieś trzydzieści lat później.

— Sir Oliver Tressilian! — wyrwało się z ust Killigrewa.

— Sir Oliver Tressilian! — powtórzył jak echo lord Henryk Goade. — Wielki Boże!

— Nie sir Oliver Tressilian — brzmiała odpowiedź — ale Sakr-el-Bahr, bicz mórz, postrach chrześcijańskiego świata, niegdyś szlachcic z Kornwalii, którego korsarzem uczyniła rozpacz, wasze podle kłamstwa, chciwość, zatwardziałość fałszywych serc. — Groźnie wyciągnął ku nim rękę. — Jestem tu z moimi sokołami morskimi, by przedstawić wam rachunek, którego termin płatności dawno już upłynął.

Opisując tę scenę, której był naocznym świadkiem, lord Henryk wspomina, jak sir John porwał się ku ścianie, by ściągnąć z niej broń, jak Sakr-el-Bahr rzucił coś po arabsku i sześciu zwinnych Maurów spadło nań niby charty na zająca i szamocącego się powaliło na ziemię.

Lady Goade wydała okrzyk trwogi; jej mąż, zdaje się, nie przedsięwziął nic, w każdym razie skromnie o tym milczy. Rozamunda ciągle patrzyła na Olivera z pobielalymi ustami, a Lionel w obłędnym strachu zakrył twarz dłońmi. Wszyscy oczekiwali jakiegoś potwornego, krwawego czynu, dokonanego bezlitośnie, z zimną krwią. Ale nic podobnego się nie stało. Korsarze obrócili tylko sir Johna twarzą na dół, związali mu ręce i dokonawszy tego sprawnie i bez hałasu, zostawili go w spokoju.

Sakr-el-Bahr przyglądał się temu z okrutnym uśmiechem, po czym wskazał na Lionela, który zerwał się w przerażeniu z jakimś nieartykułowanym okrzykiem. Otoczyły go zaraz brązowe ramiona, gibkie jak węże. Niebroniącego się nawet dźwignięto w górę i wyniesiono. Na krótką chwilę znalazł się tuż obok brata. W zbielełą, wykrzywioną strachem twarz wpiły się oczy korsarza jak dwa sztylety. Powoli, z typowym muzułmańskim spokojem Sakr-el-Bahr napluł w tę twarz.

— Precz! — syknął i w tej chwili zbici w tłum korsarze utworzyli przejście i Lionel zniknął z oczu zgromadzonych.

— Jaką zbrodnię chcesz popełnić?! — zawołał sir John gwałtownie. Zerwał się i wyprostował dumnie mimo więzów.

— Czy chcesz pan zamordować własnego brata, jak zamordowałeś mojego? — zapytała Rozamunda, zdobywając się na pierwsze podczas całej tej sceny słowa. Jej blade policzki oblał lekki rumieniec. Widziała, jak się wzdrygnął, jak zniknął z jego twarzy gniew i malujące się na niej okrutne zadowolenie, jak straciła na chwilę wszelki wyraz. Ale tylko na chwilę, bo wkrótce znów skurczyła się w jakimś powziętym nagle złym postanowieniu. Słowa Rozamundy zmieniły zupełnie kierunek jego zamysłów. Obudziły w nim szalony gniew, obaliły pierwotny zamiar wyjaśnienia wszystkiego. Po tych szyderczych słowach Oliver zaciął się.

— Widać kocha pani tego nędznika, który był kiedyś moim bratem — rzekł z ironią. — Ciekaw jestem, czy będziesz go kochać, gdy go lepiej poznasz. Choć co prawda nic w kobiecie nie powinno mnie już dziwić. Ale chciałbym to wiedzieć, doprawdy chciałbym — roześmiał się. — Dlatego też mam zamiar dla własnego ukontentowania¹⁴⁵ zrobić próbę. Nie rozłączę was, jeszcze nie teraz. — Podszedł do niej. — Chodź, moja pani — przemówił rozkazującym tonem i wyciągnął rękę.

¹⁴⁴*piracki napad na Baltimore* (20 czerwca 1631) — napaść piratów berberyjskich z Algieru na niewielką nadmorską wioskę Baltimore w Irlandii; piraci porwali w niewolę i wywieźli do Algieru ponad sto osób, pozostali mieszkańcy opuścili wioskę, która przez pokolenia pozostawała niezamieszkała; napastnikami dowodził niderlandzki kapitan Murat Reis (Jan Janszoon), były chrześcijanin, który wzięty w 1618 do niewoli przeszedł na islam i dołączył do piratów berberyjskich. [przypis edytorski]

¹⁴⁵*ukontentowanie* (daw.) — zadowolenie, satysfakcja. [przypis edytorski]

To, zdaje się, skłoniło wreszcie lorda Henryka do zupełnie bezcelowej interwencji.

„Na to — pisze — rzuciłem się między nich, by ją zasłonić.

— Ty psie! — zawołałem — nie minie cię kara!

— Kara? — rzekł i roześmiał mi się w twarz. — Już ją odcierpiałem i dlatego właśnie tu jestem.

— Nie koniec na tym, ty nędzny piracie! — pogroziłem mu. — Ten gwałt nie ujdzie ci płazem, jak Bóg na niebie!

— Doprawdy? — zapytał nieprzejęty groźbą, z ponurym wyrazem twarzy. — A z czyich rąk spotka mnie kara, jeśli wolno spytać?

— Z moich, mój panie — krzyknąłem wyprowadzony z równowagi.

— Z twoich? — szydził. — Ty chcesz ścigać sokoła morskiego? Ty? Niedołężny szczeniaku! Precz! Nie przeszkadzaj mi!”

I znowu, jak pisze lord Henryk, wymówił to krótkie arabskie słowo, po czym tuzin Maurów zakręciło się wokół królewskiego namiestnika, przywiązując go do krzesła.

Stali teraz z Rozamundą oko w oko po raz pierwszy od pięciu lat i Oliver nagle uświadomił sobie, że przez cały ten czas ani na chwilę nie opuszczała go pewność, że takie spotkanie musi kiedyś nastąpić.

— Chodź, pani — poprosił.

Przez moment patrzyła na niego z nienawiścią i wstrętem malującym się w niebieskich oczach. Naraz z błyskawiczną szybkością porwała ze stołu nóż, mierząc w jego serce. Ale w tej samej chwili chwycił ją za rękę — nóż wypadł na ziemię, nie spełniwszy swego przeznaczenia.

Bolesne westchnienie wydarło jej się z piersi. Była przerażona swoim postępkami, przerażała ją ten człowiek, który nie puszczał jej ręki — i zemdlona padła w jego objęcia.

Objął ją odruchowo i trzymał chwilę, wspominając, jak pewnego wieczoru przed pięciu laty ostatni raz tulił ją w ramionach. Czy jakiś prorok byłby w stanie mu wówczas przepowiedzieć, że następnym razem przytuli ją w takich okolicznościach? Wydawało się to groteskowe, niewiarygodne, niby jakiś fantastyczny sen. A jednak była to rzeczywistość.

Ujął ją mocno wpół i zarzucił na potężne plecy jak worek zboża, następnie skierował się do wyjścia.

— W drogę! W drogę! — zawołał do swoich ludzi i w tej chwili zaczął się odwrót tak szybki i cichy jak przybycie. Żaden głos nie ozwał się, by ich zatrzymać.

Ludzka fala minęła hall, dziedziniec, wypadła za bramę, sforsowała wzgórze i zboczem w dół zeszła ku wybrzeżu, gdzie stały łodzie. Sakr-el-Bahr poruszał się z taką swobodą, jak gdyby zemdlona kobieta na jego ramionach była zarzuconym na nie płaszczem. Przed nim sześciu korsarzy niosło zakneblowanego i skępowanego brata.

Raz tylko zatrzymał się Oliver, nim spuścili się w dół ze wzgórz Arwenack. Stanął, by poprzez migocącą w ciemności rzekę rzucić okiem ku lasom po drugiej stronie, za którymi rozciągało się jego rodzinne Penarrow. Ciężko mu było na duszy, czuł gwałtowną potrzebę ujżenia raz jeszcze swego domu. I właśnie w tej chwili, jakby dla nadania jego myślom innego kierunku, dopędzili go dwaj oficerowie, Othmani i Ali. Othmani dotknął jego ręki i wskazał na dół w kierunku migocących światła Smithick i Penycumwick.

— Panie — ozwał się — tam są chłopcy i dziewczęta, za których można by dostać grube pieniądze na targu niewolników w Algierze.

— Bez wątpienia — odparł Sakr-el-Bahr, prawie nie zwracając na niego uwagi. Poza pragnieniem ujżenia Penarrow nic dla niego w tej chwili nie istniało.

— A zatem czy mogę wziąć pięćdziesięciu wiernych i urządzić tam brankę? Pójdzie jak z płatką, nikt się nas nie spodziewa.

Sakr-el-Bahr obudził się z zamyślenia.

— Othmani — rzekł — jesteś głupcem, jesteś ojcem wszystkich głupców, jeżeli dotąd nie pojąłeś, że członkowie tego narodu, z którego sam pochodzę, urodzeni na ziemi, która i mnie zrodziła, są dla mnie święci. Tu nie bierzemy niewolników prócz tych, których już mamy. Dalej, naprzód, w imię Allaha.

Ale Othmani nie dawał za wygraną.

— A czyż tych dwoje marnych niewolników wynagrodzi naszą niebezpieczną podróż po nieznanych morzach do tego dalekiego pogańskiego kraju? Czy to łup godny Sakr-el-Bahra?

— Niech Sakr-el-Bahr sam o tym wyrokuję — brzmiała krótka odpowiedź.

— Ale zważ, o panie, że będzie o tym wyrokował jeszcze ktoś drugi. Jak przywita cię nasz basza, przesławny Asad-ed-Din, gdy wrócisz z tak nędną zdobyczą? O co cię będzie pytał i jak usprawiedliwisz przed nim wystawienie tylu wiernych na niebezpieczeństwo w tej dalekiej wyprawie dla tak lichego zysku?

— Może mnie pytać, o co mu się podoba, a ja mu odpowiem, co mnie się będzie podobało i co mi szepnie do ucha Wielki Allah. Dalej, w drogę, powtarzam!

I szli dalej. Nie czuł ciężaru, czuł tylko ciepło jej ciała, a w gmatwaniu uczuć nie wiedział, czy ją kocha, czy nienawidzi.

Dopadli wybrzeża i wsiedli na statek, którego dotąd nie zauważono. Wiał rzeński wiatr, podnieśli więc kotwicę. Gdy wschodziło słońce, nie było po nich śladu. Jakby nagle spadli z obłoków.

Sakr-el-Bahr umieścił Rozamundę w górnej kabinie, zamknąwszy starannie drzwi, które prowadziły na korytarz rufowy. Lionela kazał zamknąć w ciemnicy pod pokładem, aby tam rozpamiętywał niespodziewaną zmianę swego losu, póki Oliver nie postanowi, co z nim dalej robić.

Sam spędził noc pod wygwieżdżonym niebem, rozmyślając nad wieloma sprawami, z których jedna, choć niewiele jej uwagi poświęcił, miała zaważyć na dalszym przebiegu historii. Chodziło mianowicie o to, jak przyjmie go Asad, gdy wróci do Algieru, nie przywołując na usprawiedliwienie tej dalekiej podróży i narażenia życia dwustu wiernych nic więcej prócz tych dwojga, których i tak miał zamiar zachować dla siebie. Cóż to będzie za wspaniała szansa dla jego wrogów w Algierze, a szczególnie dla żony Asada, Sycylijki, która nienawidziła go z całą mocą nienawiści wyrosłej na żyznej glebie zazdrości.

Te myśli zapewne popchnęły go nad ranem do zuchwałego i desperackiego wprost przedsięwzięcia, które mu podszeptał sam los w postaci holenderskiego statku o wysokich masztach, wracającego do ojczyzny. Sakr-el-Bahr puścił się za nim w pogoń, choć zdawał sobie sprawę, że jego ludzie nie mają doświadczenia w otwartej bitwie, którą tu ryzykował i na którą pod każdym innym wodzem nigdy by się nie odważyli. Ale zwycięska gwiazda Sakr-el-Bahra i wiara w Oszczep Allaha rozwiały wszelkie wahanie, jakie mogło w nich obudzić i wzburzone, nieznane morze, i obcy statek.

Bitwę tę opisuje lord Henryk ze wszystkimi szczegółami, których mu dostarczył później Jasper Leigh. Ponieważ jednak nie różni się ona zasadniczo od innych, opis ten pominię. Powiem tylko, że była strasznie zaciekle i przyniosła ogromne straty obu stronom. Armat prawie nie użyto, bo Sakr-el-Bahr, znając swoich ludzi, parł do tego, by jak najprędzej dopłynąć do nieprzyjacielskiego statku i zarzucić haki. Cel został osiągnięty — jak zawsze dzięki sile jego osobowości i potędze przykładu. Pierwszy znalazł się na nieprzyjacielskim pokładzie, odziany w kolczugę, i puścił w ruch swoją szablę. Jego ludzie wyroili się za nim z okrzykiem „Allah! Allah!” i „Sakr-el-Bahr!”.

Jak w każdej bitwie uderzył niby huragan, porywając za sobą towarzyszy. Holendrzy od razu zdali sobie sprawę, że mózgiem tej pogańskiej hordy jest właśnie on. Poczuli więc atakować grupami, by go za wszelką ceną powalić. Instynktownie czuł, że gdy jego nie stanie¹⁴⁶, szala zwycięstwa przechyli się na ich stronę. Wreszcie udało się. Holenderska pika przerwała kilka ogniw pancerza i zadała Oliverowi płytką ranę, której w ferworze walki nawet nie zauważył. Potem rapier¹⁴⁷ dokończył dzieła, zbrozonego krwią powalając na pokład. Lecz Oliver, choć osłabiony, zerwał się znowu; wiedział dobrze, że gdy on zginie, wszystko przepadnie. Uzbrojony w krótki topór, który porwał z pokładu, wyrąbał sobie przejście do burty. Tam, oparłszy się plecami o deski, ochrypłym głosem, z twarzą upiora, cały skrwawiony dodawał ducha swym ludziom aż do zwycięstwa. Zwycięstwo przyszło w samą porę, trzymając się bowiem dotąd tylko siłą woli, Sakr-el-Bahr runął nagle między trupy i rannych.

¹⁴⁶nie stanie (daw.) — zabraknie, nie będzie. [przypis edytorski]

¹⁴⁷rapier — długa broń obosieczna z osłoną dłoni w kształcie kosza drucianego, popularna w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

Przerażeni korsarze przenieśli go na własny statek. Gdyby umarł, zwycięstwo nie miałoby dla nich żadnej wartości. Ułożyli go na głównym pokładzie, na specjalnie przygotowanym posłaniu. Przyszedł chirurg, by opatrzyć ranę, i stwierdził, że jest bardzo ciężka, ale nie do tego stopnia, by wykluczała wszelką nadzieję.

To wystarczyło korsarzom. Było przecież nie do pomyślenia, aby Ogrodnik chciał już teraz zerwać ten wonny owoc. Litościwy Allah musiał przecież oszczędzić Sakr-el-Bahra, by szerzył sławę islamu.

Dopiero gdy minęli Cieśninę Gibraltarską¹⁴⁸, gorączka opuściła go na tyle, że mógł się dowiedzieć, jaki był wynik tej ryzykownej walki, do której poprowadził dzieci Proroka.

Statek holenderski — opowiadał Othmani — płynął za nimi z Alim i kilkoma innymi na pokładzie, trzymając się dokładnie kursu ich statku, który w dalszym ciągu prowadził ten chrześcijański pies, Jasper Leigh. Gdy Sakr-el-Bahr dowiedział się, jak bezcenną wartość przedstawia zdobycz, gdy mu powiedziano, że prócz stu zdrowych mężczyzn, zamkniętych pod pokładem, znaleziono nieprzebraną obfitość złota, srebra, bursztynu, korzeni i kości słoniowej oraz wiele innych rzeczy mniej kosztownych, jak wspańiałe tkaniny jedwabne, że łup przewyższa wszystko, co dotąd kiedykolwiek na morzu zdobyto, uczuł, że nie przelał krwi nadaremnie.

Mógł więc spokojnie płynąć do Algieru z tymi dwoma statkami, zdobytymi w imię Allaha i jego Proroka, z których jeden był istnym pływającym skarbem, i nie obawiać się, co jego wrogowie, a przede wszystkim chytra i przewrotna Sycylijka, która była nieustrudzona w knuciu przeciw niemu podłych intryg, mogli w czasie jego nieobecności przedsięwziąć.

Następnie zapytał o jeńców wziętych w Anglii. Powiedziano mu, że zajął się nimi Othmani, który traktuje ich zgodnie z jego wolą.

Sakr-el-Bahr był zadowolony, zapadł w błogi, pokrzepiający sen, podczas gdy na pokładzie jego towarzysze zanosili dzięki do Allaha Litościwego i Współczującego, Najwyższego Sędziego, który jeden jest Wszechwiedzą i Wszechmądrością.

V. LEW WIARY

Asad-ed-Din, Lew Wiary, basza Algieru, przechadzał się w chłodzie wieczoru po sadach Kasby¹⁴⁹, rozciągających się na wzgórzach nad miastem, a obok niego stąpała z gracją żona Fenzileh, pierwsza kobieta w jego haremie¹⁵⁰, którą przed osiemnastu laty uprowadził w potężnych ramionach z okolic Cieśniny Mesyńskiej¹⁵¹, z małej wioski o bielonych domach, którą złupili jego następcy.

Była wówczas żywą szesnastoletnią dziewczyną, dzieckiem gminu¹⁵² i całkiem bez żalu poszła za swoim ciemnoskórym zdobywcą. I teraz jeszcze, w trzydziestym piątym roku życia, była piękna, może nawet piękniejsza niż wówczas, gdy obudziła pierwsze miłosne w Asadzie-Reisie, jednym z kapitanów sławnego Alego-Baszy. Jej ciężkie, czarne włosy miały złotawy odcień, cera przypominała delikatność i przejrzystość perły, w dużych, brązowych oczach czał się tajony żar, usta były pełne i zmysłowe. Odznaczała się tą smukłością, która w Europie uchodziłaby za skończenie harmonijną, to znaczy, że na wschodni gust była cokolwiek za chuda; poruszała się u boku swego pana z wdziękiem, płynąc i kołysząc się, poruszając przy tym wytwornie wachlarzem ze strusich piór. Twarz jej nie była zasłonięta; miała ten nieskromny zwyczaj obnażać ją częściej, niż wypadało. Był to zresztą jeden z mniej groźnych pogańskich narowów, które w niej przetrwały mi-

¹⁴⁸ *Cieśnina Gibraltarska* — łącząca M. Śródziemne z Atlantykiem i oddzielająca Afrykę od Europy. [przypis edytorski]

¹⁴⁹ *Kasba* (ar.: cytadela) — ufortyfikowana, położona na wzgórzu część miasta Algier, mieszcząca cytadelę i pałac władcy. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *harem* — w starożytnych krajach wschodnich i w krajach muzułmańskich: odosobniona część domu zamieszkała przez kobiety (żony, nałożnice i służące) oraz ich dzieci, do której nie mają wstępu obcy mężczyźni; także: ogół żon i nałożnic mężczyzn. [przypis edytorski]

¹⁵¹ *Cieśnina Mesyńska* — rozdzielająca Sycylię od pld. krańca Płw. Apenińskiego, łącząca wody M. Tyrreńskiego i M. Jońskiego. [przypis edytorski]

¹⁵² *gmin* — lud, pospólstwo; warstwa społeczna ludzi biednych i niewykształconych. [przypis edytorski]

mo przyjęcia islamu, co było niezbędnym warunkiem poślubienia jej przez nadmiernie pobożnego Asada. Asad przekonał się później, że Fenzileh jest kobietą nienadającą się zupełnie na małżonkę. Nie poprzestawała na tym, by być rozrywką jego wolnych chwil, lecz mieszała się do publicznych spraw, domagała wtajemniczenia we wszystko, dopinając nawet celu i rządząc Asadem tak, jak niejedna Europejka swym koronowanym małżonkiem. Pozostając pod urokiem jej kwitnącej piękności, przez długie lata basza godził się bez buntu z takim stanem rzeczy; później, gdy chciał ukrócić jej wpływy, było już za późno. Ujęła ster silną ręką i Asad znalazł się w położeniu wielu europejskich władców — z tą różnicą, że u baszy z domu Proroka była to sytuacja nienormalna i poniżająca, dla Fenzileh zaś niebezpieczna. Gdyby bowiem z czasem brzemię to okazało się dla niego za ciężkie, rozporządzał łatwym sposobem zrzucenia go. Fenzileh nie była tak naiwna, żeby sobie z tego nie zdawać sprawy, wiedziała o tym dobrze, ale jej zuchwały sycylijski temperament ponosił ją i swą nieprzeciętną odwagą zdobywszy raz władzę, za wszelką cenę starała się ją utrzymać.

I teraz igrała zuchwale z niebezpieczeństwem, przechadzając się ze swym małżonkiem po ogrodzie, w którym rzeźwiący chłód rozlewał się wśród różowo i biało kwitnących moreli, wśród płonących szkarłatem kwiatów granatu i pomarańczowych gajów, gdzie poprzez ciemną zielen liści żarzyły się złote owoce. Pracowała nad dziełem, w którym od lat nie ustawała — starała się wsączyć w duszę Asada jad, który by zatruił jego miłość do Sakr-el-Bahra. Powodowana zazdrością matki wyzywała niebezpieczeństwo, zdawała sobie bowiem dokładnie sprawę, jak drogi sercu Asada był ten korsarz. I właśnie to przywiązanie baszy do młodego namiestnika, większe chyba niż miłość do ich syna, syciło jej nienawiść do Sakr-el-Bahra i stało się źródłem powszechnego mniemania, że Asad przeznaczył go do wyższych celów, wyznaczając na swego następcę.

— Mówię ci, że on cię oszukuje, o źródło mego życia.

— Już słyszałem — odparł opryskliwie. — I gdyby uszy twoje nie były porażone głuchotą, kobieto, byłabyś już nieraz słyszała moją odpowiedź, że słowa twoje nie mają u mnie żadnej wagi wobec jego czynów. Słowa mogą maskować nasze myśli, ale czyny zawsze są najprawdziwszym tych myśli wyrazem. Zapamiętaj to sobie, Fenzileh.

— Czyż ja nie przechowuję w duszy każdego twego słowa, o krynico¹⁵³ mądrości? — zaprotestowała, pozostawiając go w niepewności, czy mu schlebia, czy też drwi. — W tym wypadku chciałam się powołać na jego czyny, a nie, zaprawdę, na moje marne słowa, a tym mniej na jego słowa.

— A więc, na głowę Allaha, pozwól, niech jego czyny mówią za niego, i zamknij usta. Pod wpływem szorstkiego tonu i marsa na czole zamilkła.

— Chodź! — rzekł Asad. — Zbliża się pora modlitwy. — I skierował się w stronę żółtych murów Kasby, górującej nad zielenią wonnego ogrodu.

Był wysokim, chudym mężczyzną, zgarbionym już nieco pod brzemieniem lat; orla twarz pełna była majestatu, a niewygasły jeszcze ogień młodości żarzył się w czarnych oczach. Palcami jednej ręki, przystrojonymi w klejnoty, przeczesywał długą, białą brodę, drugą rękę z przyzwyczajenia raczej niż z potrzeby wsparł na jej gładkim, pulchnym ramieniu.

Wysoko nad nimi śpiewał w błękitach skowronek, a z gęstwy ogrodu dolatywało ciche gruchanie gołębi. Słońce zniżało się szybko ku krańcom świata, cienie coraz bardziej się wydłużały, a ptaszce pienia brzmiały jak dziękczynienie za spływający na ziemię chłód.

Znowu ozwała się Fenzileh, głosem jeszcze miększym i bardziej melodyjnym, sącząc pełne jadu słowa jak truciznę podaną w miodzie.

— O, mój drogi panie, znowu gniewasz się na mnie. Biada mi! Za me rady, których celem jest twoje dobro, każesz mi zbierać żniwo swej niechęci.

— Nie tykaj tego, którego kocham — odparł basza szorstko.

Przytuliła się do niego jeszcze mocniej, a jej głos stał się jeszcze miększy, jeszcze bardziej podobny do miłosnego gruchania gołębi.

— A czyż ja ciebie nie kocham, o władco mej duszy? Czy jest na całym świecie drugie serce tak oddane tobie jak moje? Czy twoje życie nie jest moim życiem? Czym¹⁵⁴ wszyst-

¹⁵³krynica (daw., poet.) — źródło. [przypis edytorski]

¹⁵⁴Czym (...) nie poświęciła — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czy nie poświęciłam. [przypis edytorski]

kich mych dni nie poświęciła jednemu tylko zadaniu, by dopełnić twego szczęścia? Czyż więc możesz chmurzyć czoło za to, że boję się, by cię z ręki tego intruza co złego nie spotkało?

— Boisz się, by mnie co nie spotkało? — powtórzył i zaśmiał się szyderczo. — A czegoż ty się boisz? Cóż mogłoby mi grozić ze strony Sakr-el-Bahra?

— To, czego obawiać się muszą wszyscy wierni ze strony człowieka, który nie jest prawym muzułmaninem, który dla zysku wykorzystuje naszą świętą wiarę, robiąc z niej parodię.

Basza aż stanął i obrócił na nią zagniewaną twarz.

— Oby ci zgnił język, ty matko kłamstwa!

— Jestem pyłem u twoich nóg, o mój słodki panie, ale nie jestem tym, czym mnie w swym lekkomyślnym gniewie nazywasz.

— Lekkomyslnym? — zapytał. — Nie lekkomyślnym, ale sprawiedliwym. Gdy słucham, jak znieważasz i łżysz lego, którego sam Prorok strzeże, który jest mieczem islamu, wymierzonym w piersi niewiernych, który dzierży w ręce bicz Allaha — ani słowa, ostrzegam cię! Abym ci nie kazał odwołać tych słów i zapłacić za łgarstwa, których nie potrafisz dowieść.

— Myślisz, że nie zdołam przeprowadzić dowodu? — odparła niestrwożona. — Ojcie Marzaka, powiadam ci, będę szczęśliwa, gdy uzyskam na to zezwolenie. Słuchaj mnie. Miarą wartości są dla ciebie czyny, nie słowa, jak powiadasz. Osądź więc, czy to jest czyn prawowitego sługi islamu rujnować się dla niewiernych niewolników? Kupować ich, by im potem dawać wolność?

Asad szedł dalej, milcząc. Dotknęła czulej struny. Tęgo rzeczywiście nie mógł Sakr-el-Bahrowi przebaczyć. To była jedyna sprawa, w której Sakr-el-Bahr nie działał po jego myśli. Nieraz czynił mu z tego powodu wymówki, odpowiedź jednak zawsze była ta sama: „Za każdego wypuszczonego na wolność niewolnika bierze tuzin innych w niewolę”.

— Nie miał wyjścia, inaczej byłby pociągany do odpowiedzialności. To mydlenie oczu wiernym. Jego postępowanie dowodzi tkwiącego w nim przywiązania do pogańskiego kraju, z którego pochodzi, a czyż może być na to miejsce w sercu wiernego członka nieśmiertelnego domu Proroka? Czy we mnie pozostała jakakolwiek słabość dla sycylijskiego kraju, skąd zabrała mnie moc twoja? Czy przez wszystkie te lata mej wiernej służby choć raz prosiłam cię o życie jednego niewiernego Sycylijczyka? Takie postępowanie zdradza jego uczucia, a na podobne uczucia nie powinno być miejsca w sercu człowieka, który wyrzekł się herezji. A ta jego wyprawa za morza, w której naraża na szwank statek zdobyty na odwiecznym wrogu islamu?! I to nawet nie jest narażanie siebie, ale ciebie, bo w twoim przecież imieniu statek został zdobyty! Nadto igra z życiem dwustu wiernych. I w jakim celu? By hasać po dalekich morzach, a może nawet ujrzyć znowu ów bezbożny kraj, w którym życie jego się poczęło. Taką relację zdał Biskaine. A jeżeli w tej wyprawie zatonię?

— To wreszcie byłabyś rada¹⁵⁵, ty fontanno wszelakiej złości — mruknął Asad.

— Możesz mnie obrzucać najgorszymi wyzwiskami, bo przecież jestem twoją własnością, z którą możesz się obchodzić według upodobania. Rań moje serce i syp sól na moje rany, nie będę szemrać ani się skarżyć. Tylko nie lekceważ mnie, moich słów, ale — że słowa u ciebie nic nie ważą — nie lekceważ jego postępów, które ci stawiam przed oczy, byś je, choć późno, ujrział w należytych świetle. Weź je pod ocenę, mówię tak, jak mi moja miłość nakazuje, choćbyś mnie miał wydać na chłostę i śmierć za zuchwalstwo.

— Kobieto, język twój jest jak serce dzwonu, za którego sznur ciągnie diabeł. Cóż jeszcze powiesz?

— Nic już, skoro szydzisz ze mnie, odmawiając miłości swej wiernej niewolnicy.

— Chwała bądź Allahowi! Nareszcie! Chodź już, czas na modlitwę.

Ale za wcześnie basza złożył dzięki Allahowi. Zwyczajem wszystkich kobiet mimo zapewnień, że już skończyła, zaczynała właśnie dopiero.

— Oto twój syn, ojcie Marzaka.

— Tak, to on, matko Marzaka.

— A syn powinien być częścią duszy ojca. Twego syna jednak usunął w cień obcy

Syn, Ojciec

¹⁵⁵rad (daw.) — zadowolony; chętny. [przypis edytorski]

przybłąda, wczoraj jeszcze chrześcijanin, który zajmuje w twym sercu miejsce Marzaka.
— A czy Marzak może go zastąpić? — odparł Asad. — Czy ten gołowąs poprowadzi tak wojowników jak Sakr-el-Bahr, czy jak on będzie razić mieczem wrogów islamu i pomnażać sławę świętych praw Proroka na ziemi?

— Jeżeli Sakr-el-Bahr to robi, to tylko z łaski twojej, o władco mego życia. To samo robiłby i Marzak, choć młody. Sakr-el-Bahr jest tylko tym, czym ty go uczyniłeś.

— Mylisz się, matko wszelkiego błędu. Sakr-el-Bahr jest tym, czym go sam Allah uczynił. Tym, czym Allah chce go widzieć — i tym zostanie. Czy jeszcze raz muszę ci tłumaczyć, że los każdego człowieka zawisł od Allaha?

Wtem złota luna oblała szafir nieba, wieszcząc zachód słońca i kładąc kres tej słownej utarczce, którą Fenzileh prowadziła z odwagą równą jego cierpliwości. Asad spiesźnie wszedł na dziedziniec. Jak szybko rozbłysły owe topazowe blaski, tak szybko zgasły i zapadła noc, nagle, jakby ktoś spuścił zasłonę.

W purpurowym mroku białe krużganki dziedzińca nabrały delikatnego perłowego odbłasku. Ciemne postacie niewolników poruszyły się, gdy wszedł Asad w towarzystwie Fenzileh, której twarz zasłaniał teraz delikatny niebieski welon. Przemknęła się przez podwórzec i zniknęła pod arkadą. W zamyśloną ciszę wieczoru wdarł się daleki płaczliwy głos muezina¹⁵⁶: „*La ilaha, illa Allah! Wa Muhammad er Rasul Allah!*”¹⁵⁷ Jeden niewolnik rozesał dywan, drugi postawił srebrną miednicę, do której trzeci nalał wody. Basza, dokonawszy ablucji¹⁵⁸, zwrócił się twarzą do Mekki¹⁵⁹ i złożył akt wiary Allahowi Li-tościwemu, Allahowi Miłosiernemu, Sędziemu Najwyższemu, a głos muezina niósł się echem od minaretu¹⁶⁰ do minaretu.

Gdy po skończonej modlitwie Asad powstał, zatętniły na zewnątrz szybkie kroki i ozwały się donośne głosy. Tureccy janczarzy¹⁶¹ z gwardii baszy, prawie niewidzialni w swych czarnych, powłóczystych szatach, wyszli, by zbadać przyczynę tego gwaru.

Przez otwarte drzwi wpadł blask pochodni — małych glinianych lampek, w których płonęły knoty przesyczone koźlim tłuszczem, Asad stanął na najniższym stopniu białych, lśniących schodów, czekając na wiadomość; przez drzwi i kraty pałacu tryskały światła, zalewając dziedziniec i skrząc się na murach.

Weszło dwunastu nubijskich włóczników i ustawiło się po dwóch stronach. W oświetloną przestrzeń wkroczył wezyr¹⁶² Asada, Tsamanni, mężczyzna okazałej postaci, wspańiale przystrojony. Za nim pojawił się drugi wojownik w pancerzu z łusek, który chrząścił i łnił przy każdym poruszeniu.

— Pokój i błogosławieństwo Allaha z tobą, potężny Asadzie — ozwał się wezyr.

— I z tobą, Tsamanni — brzmiała odpowiedź. — Jakie przynosisz wieści?

— Przynoszę wieść o wielkim szczęściu i sławie, o wspaniały Asadzie! Sakr-el-Bahr powrócił.

— Chwała Najwyższemu! — zawołał basza, podniósłszy w górę ręce.

Nie mogło być wątpliwości co do znaczenia tego wykrzyknika.

Rozległy się lekkie kroki i przez otwarte drzwi padł cień. Asad odwrócił się; ze schodów schodził w ceremonialnych salaamach zgrabny młodzieniec w turbanie i kaftanie z żółtej tkaniny. Gdy się zbliżył, blask pochodni oświetlił jego twarz o miękkich rysach, gładką, niemal kobiecą w swej nienagannej piękności.

Białobrody Asad uśmiechnął się znacząco, odgadł, że wiecznie czujna matka wysłała chłopca na zwiady, kto przybył i z jakimi wiadomościami.

¹⁵⁶*muezin* — w islamie: mężczyzna, który śpiewnie nawołuje z minaretu wszystkich wiernych pięć razy dziennie do modlitwy. [przypis edytorski]

¹⁵⁷*La ilaha, illa Allah! Wa Muhammad er Rasul Allah!* (ar.) — Nie ma boga prócz Allaha, a Mahomet jest wysłannikiem Allaha; muzułmańskie wyznanie wiary (*szahada*), będące częścią składową każdej modlitwy muzułmańskiej. [przypis edytorski]

¹⁵⁸*ablucja* (z łac.) — rytualne obmycie ciała lub jego części. [przypis edytorski]

¹⁵⁹*Mekka* — miasto w zach. części Płw. Arabskiego, centrum religijne islamu i najświętsze miasto muzułmanów; *zwrócił się twarzą do Mekki*: w islamie do głównych obowiązków każdego wiernego należy odmawianie pięć razy dziennie modlitwy z twarzą zwróconą w stronę Mekki. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*minaret* — wysoka wieża przy meczecie (świątyni muzułmańskiej), z której wierni są nawoływani do modlitwy. [przypis edytorski]

¹⁶¹*janczarzy* — doborowe oddziały piechoty tureckiej. [przypis edytorski]

¹⁶²*wezyr* — dostojnik państwowy w państwach muzułmańskich, często najwyższy rangą urzędnik dworu. [przypis edytorski]

— Słyszaleś, Marzaku? — zapytał. — Sakr-el-Bahr powrócił.
— Spodziewam się, że jako zwycięzca — odparł chłopiec przebiegle.
— Jako zwycięzca, który zaćmił wszystkie dotychczasowe sukcesy — odparł wezyr.
— Wpłynął do przystani o zachodzie słońca, a jego załoga na dwóch potężnych statkach, które stanowią tylko nikłą częśćkę łupu.
— Allah jest wielki — odparł Asad uszczęśliwiony, że tak w porę przyszła odpowiedź na podstępne knowania jego sycylijskiej małżonki.
— Czemu on sam nie przychodzi z wiadomościami?
— Obowiązki zatrzymały go jeszcze na statku, o panie — odpowiedział wezyr. — Ale przysłał swego porucznika Othmaniego, który ma zdać relację.

— Po trzykroć bądź mi pozdrowiony, Othmani! — Asad klasnął w dłonie i gdy ułożono przed nim na ziemi poduszki, usiadł, dając znak Marzakowi. — Teraz opowiadaj!

Othmani wysunął się naprzód i opowiadał, jak popłynęli najpierw statkiem zdobytym przez Sakr-el-Bahra do dalekiej Anglii, przez morza, na których nie był dotąd żaden korsarz, jak wracając, zaatakowali holenderski statek, który ich przewyższał i wielkością, i liczbą załogi; jak nikt inny tylko Sakr-el-Bahr wydarł losowi zwycięstwo przy pomocy Allaha, swego najwyższego opiekuna, jak otrzymał ranę, która dla każdego innego byłaby śmiertelna, i jak cudem został uratowany na jeszcze większą chwałę islamu; opowiadał wreszcie o niezmierzonym bogactwie łupu, który nazajutrz rano zostanie złożony u stóp Asada celem dokonania rozdziału.

VI. NAWRÓCONY

Więści Othmaniego Marzak przekazał Fenzileh; były dla jej zawistnej duszy żółcią i piodunem. Sam fakt, że Sakr-el-Bahr w ogóle wrócił na przekór jej żarliwym modlitwom, zasylanym i do Boga jej przodków, i do boga przybranej wiary, już był nad wyraz przykry; ale że wrócił w triumfie i z wielkimi łupami, co jeszcze umocni miłość Asada i poważanie w narodzie, to już było wprost straszne. Oniemiała do tego stopnia, że nawet nie była w stanie go przeklinać.

Po jakimś czasie, gdy minął wstrząs i przyszła nieco do siebie, poczęła się zastanawiać nad pozornie nic nieznającym szczegółem.

— To zastanawiające, że puścił się w tę daleką podróż do Anglii, by przywieźć tylko dwie osoby; że będąc tam, nie urządził branki, jak nakazywał obowiązek prawdziwego korsarza, i nie wyładował statku niewolnikami — ciekawe!

Byli sami za zielonymi kratami okien, przez które wpadały wonie ogrodu i pieśń słowika, wyśpiewującego hymn miłosny do róży. Fenzileh spoczywała na otomanie¹⁶³ pokrytej jedwabnymi tureckimi dywanami; z jednej nogi zsunął jej się złotem haftowany pantofel, odsłaniając barwione henną¹⁶⁴ paznokcie. Toczonymi ramionami podparła głowę i leżała wpatrzona w kolorową lampę, zwieszającą się z rzeźbionego sufitu.

Marzak chodził po komnacie, w której panowała zupełna cisza, zmącona jedynie szelestem jego kroków.

— No? — zapytała wreszcie niecierpliwie. — Czy ci się to nie wydaje podejrzanę?

— O tak, w istocie, matko — odparł młodzian, stając przed nią.

— A czy nic ci nie przychodzi do głowy, co to może oznaczać?

— Co to może oznaczać? — powtórzył, a jego twarz, stanowiąca jak gdyby wierną kopię jej twarzy, miała wyraz bezmyślny.

— Tak, co to może znaczyć?! — zawołała niecierpliwie. — Czy nie umiesz nic więcej, tylko oczy wytrzeszczać? Czy jestem matką głupca? Czy potrafisz tylko bezmyślnie się uśmiechać, gapić i baraszkować, gdy tymczasem ten Europejczyk z psiego rodu depte cię nogami i używa jako stopnia, by wspiąć się po należną tobie władzę. Tak jest. Marzaku, bodajże się był udusił raczej w moim łonie!

Cofnął się przed wybuchem jej wściekłości. Choć niezbyt wrażliwy z natury, wyczuł w jej słowach coś, co przynosiło hańbę jego męskości.

¹⁶³*otomana* — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

¹⁶⁴*henna* — czerwony barwnik roślinny, używany do zdobienia ciała i farbowania włosów. [przypis edytorski]

— Cóż mam robić? — zawołał.

— Ty mnie pytasz? Czy nie jesteś mężczyzną, który powinien sam umieć myśleć i działać? Powtarzam ci: ten chrześcijańsko-żydowski bękart chce cię zdeptać, zetrzeć w proch. Jest żarłoczny jak szarańcza, chytry jak wąż, a okrutny jak pantera. Na Allaha! Obym była nigdy syna nie porodziła! Niechby ludzie wytykali mnie z pogardą palcami, niechby mówili, że mam matkę wiatru, wołałabym to, niż urodzić syna, który nie umie być mężczyzną!

— Wskaż mi drogę! — zawołał. — Wyznacz mi zadanie, powiedz, co mam robić, a nie zawiodę cię. Ale do tego czasu, matko, oszczędź mi obelg, bo inaczej nigdy nie przyjdę do ciebie.

Na tę groźbę kobieta podniosła się z miękkiego posłania, przypadła do niego, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła policzki do jego twarzy. Osiemnaście lat spędzonych w haremie baszy nie zabiły w niej instynktu matki europejskiej, nie stłumiły sycylijskiego ognia, który robił z niej groźną tygrysyce w jej macierzyńskiej miłości.

— O moje dziecko, mój chłopcze drogi — szlochała. — To wszystko przez moją bojaźń o ciebie. Przez tę wściekłość przemawia miłość matki, która się lęka, że ktoś inny zajmie należne ci miejsce. Ale my będziemy górą, mój jedyny! Znajdę sposoby, żeby ten przybłąda wrócił na śmietnik, z którego przyszedł. Ufaj mi, Marzaku! Pst! Ojciec nadchodzi! Odejdź! Zostaw nas samych.

Fenzileh była sprytna. Wiedziała, że ma większy wpływ na Asada, gdy są sami, nie narażała wtedy wobec świadków jego autorytetu. Właśnie gdy Marzak zniknął za kratą z rzeźbionego drzewa sandałowego¹⁶⁵, maskującego jedne drzwi, w drugich ukazał się Asad.

Wszedł uśmiechnięty, głaszcząc cienkimi palcami długą brodę; za nim włókł się po ziemi tren płaszcz.

— Niewątpliwie już wiesz, Fenzileh — ozwał się. — Czy to ci wystarczy?

Opadła z powrotem na poduszki i obojętnie przeglądała się w stalowym lustrze, oprawionym w srebro.

— Czy wystarczy? — powtórzyła przeciągle, z bezgranicznym lekceważeniem w głosie, w którym zadźwięczał pogardliwy śmiech. — O tak! Wystarczy! Sakr-el-Bahr naraża życie dwustu synów islamu i statek, by sobie zrobić przejażdżkę do Anglii celem ujęcia dwóch niewolników — dwóch, powtarzam, zamiast dwustu, gdyby jego intencje były szczerze.

— I to wszystko, co słyszałaś? — Teraz z kolei w jego głosie zabrzmiała ironia.

— Wszystko, co najważniejsze — odparła, nie przestając się przeglądać. — Słyszałam nadto, ale to już sprawa mniejszej wagi, że wracając, natknął się przypadkiem na dość bogaty statek holenderski i zajął go w twoim imieniu.

— Przypadkiem, mówisz?

— A cóż? — Opuściła lustro i spojrzała mu zuchwale w oczy. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że leżało to w jego planach, gdy wyruszał?

Asad zmarszczył brwi i zamyślony pochylił głowę. Fenzileh wiedziała, że trafiła w sedno, że szala chyli się na jej stronę.

— Szczęśliwy wiatr przygnał mu ten holenderski statek, który szczęśliwym przypadkiem wiozł tak bogaty ładunek, teraz będzie mógł olśnić twoje oczy widokiem złota i drogich kamieni i uczynić cię ślepym na właściwy cel swojej wyprawy.

— Właściwy cel? — zapytał ponuro. — Jakiż był ten właściwy cel?

Uśmiechnęła się jak ktoś dokładnie wtajemniczony, by pokryć swą całkowitą niewiedzę, niemożność podania jakiegokolwiek powodu, który by miał choć pozory prawdopodobieństwa.

— Ty mnie pytasz, o domyślny Asadzie? Czy twoje oczy, twój rozum nie są przynajmniej tak przenikliwe jak moje, by ci odsłonić to, co dla mnie jest zupełnie jasne? Czy może zaczarował cię ten Sakr-el-Bahr babilońskimi zaklęciami?

Podszedł do niej i żyłastą dłonią jak kleszczami chwycił ją za rękę.

— Jaki cel, ty żmijo?! Wypłuj z siebie jad twej duszy! Mów!

Zerwała się zaczerwieniona.

¹⁶⁵ *drzewo sandałowe* (bot.) — sandałowiec, drzewo tropikalne, dostarczające cenionego drewna o pięknym zapachu, używanego do wyrobu kadzidel i olejków eterycznych, a także mebli i galanterii. [przypis edytorski]

— Nie powiem! — odparła wyzywająco.

— Nie powiesz? Na głowę Allaha! Śmiesz tu stać przede mną i naigrawać się ze swego pana? Każe cię oćwiczyć, Fenzileh! Byłem zbyt miękki dla ciebie przez te wszystkie lata, tak miękki, żeś zapomniała o różgach, którymi się smaga nieposłuszne żony. Mów więc, nim ciało twe pokryje się sińcami i ranami — albo, jak wolisz, będziesz mówić potem.

— Nie chcę — powtórzyła. — Choćbyś mnie kazał szarpać hakami, nie powiem ani słowa o Sakr-el-Bahrze. Mam ci wyjawić prawdę po to, byś mnie kopał nogami, poniewierał, drwił ze mnie i nazywał matką wszelkiego kłamstwa? — Nagle zmieniając ton, poczęła zawodzić. — O, źródło mego życia! — szlochała — jak potwornie jesteś dla mnie niesprawiedliwy! — Czołgając się po ziemi jak uosobienie pokory i skruchy, ciągnęła wśród łkań: — To moja miłość do ciebie każe mi mówić o tym, co widzę, ale w zamian spotyka mnie tylko twój gniew, gniew, pod którego ciężarem omdlewam.

Odrzucił ją od siebie, zniecierpliwiony.

— Jak język kobiety może wyprowadzić z równowagi! — zawołał i opuścił komnatę, wiedząc z doświadczenia, że gdyby dłużej pozostał, zalałaby go potokiem słów.

Ale trucizna była sprytnie podana, toteż zaczęła działać z wolna, ale skutecznie. Zagnieździła się w mózgu baszy tysiącem wątpliwości. Żadne, choćby najbardziej obciążające posunięcie Sakr-el-Bahra nie podziałałoby tak skutecznie jak myśl o domniemanym celu wyprawy. Asad bez przerwy gubił się w domysłach. Osaczyły go jak coś nieuchwytnego, czego nie mógł się pozbyć. Niecierpliwie czekał rana i przybycia Sakr-el-Bahra, ale nie było to pragnienie ojca oczekującego ukochanego syna.

Sakr-el-Bahr tymczasem, przechadzając się po pokładzie, obserwował, jak w małym, rozłożonym przed nim na wzgórzach mieście gasło jedno światło po drugim. Wszedł księżyc i zalał okolicę białym, ostrym blaskiem. Szumiące palmy daktylowe i spiczaste minarety rzuciły atramentowo czarne cienie, a srebrne smugi kładły się na ton cichej zatoki. Rana prawie zupełnie się już zgoiła i Sakr-el-Bahr odzyskał dawne siły. Przed dwoma dniami po raz pierwszy od bitwy z holenderskim statkiem wyszedł na pokład, gdzie od tej pory przeważnie spędzał czas. Pewnego razu odwiedził jeńców. Zwłókł się z posłania, by pójść do kabiny, gdzie była zamknięta Rozamunda. Zastał ją bladą i poważną, ale nieugiętą. Ród Godolphinów odznaczał się sztywnym karkiem, a w delikatnym ciele Rozamundy krył się męski duch. Spojrzała, gdy wszedł, i wzdrygnęła się na jego widok; stał przed nią po raz pierwszy od czterech tygodni, czyli od momentu porwania. Z wolna odwróciła oczy i podparta łokciami siedziała jak rzeźba, ślepa i głucha na jego słowa.

Na jego ubolewania — w tej chwili bowiem szczerze żałował swego nierozważnego względu na jej postępek — nie odpowiedziała słowem. Widząc, że usiłowania jego są daremne, stał chwilę z zaciśniętymi ustami. Powoli zaczął w nim zbierać gniew. Zawrócił i wyszedł złożyć wizytę bratu; w milczeniu przyglądał się wymizerowanemu, zarośniętemu nędznikowi, który w poczuciu winy wstrząsnął się na jego widok i zasłonił twarz. Wrócił potem na pokład i tu głównie spędził ostatnie trzy dni tej dziwnej podróży, leżąc na słońcu i chłonąc jego dobroczynne ciepło.

Tej nocy, gdy przechadzał się w świetle księżycy, jakiś cień przemknął ku nadbudówce i ktoś szepnął po angielsku:

— Sir Oliverze!

Zerwał się, jakby nagle duch przed nim stanął. Był to Jasper Leigh.

— Zbliż się — rzekł Oliver. — Mówiłem już — ciągnął — że nie ma tu żadnego sir Olivera. Jestem Oliver-Reis albo Sakr-el-Bahr, jeśli wolisz, jeden z wiernych członków rodziny Proroka. Czego sobie życzysz?

— Czyż nie służyłem panu wiernie i dobrze? — zapytał Jasper Leigh.

— A któż temu przeczy?

— Nikt. Ale też nikt tego nie uznaje. Gdy pan leżał ranny, bez trudności mogłem pana zdradzić. Mogłem z tymi statkami wjechać w ujście Tagu. Mogłem, dalibóg!

— Zostałbyś rozszarpany na miejscu — odparł Sakr-el-Bahr.

— Mogłem trzymać się ładu i zaryzykować niewolę, by potem żądać wypuszczenia.

— I znaleźć się znowu na galerach Jego Katolickiej Mości. Ale dosyć! Przyznaję, że służyłeś mi wiernie. Dotrzymałeś warunków układu. Więc i ja dotrzymam, nie bój się.

— Nie boję się. Ale według pańskich zobowiązań winienesz mnie odesłać do domu.

Noc

— No?

— Cały kłopot w tym, że nie wiem, gdzie jest mój dom. Nie wiem, gdzie go szukać po tylu latach. Gdy pan mnie stąd odeśle, stanę się bezdomnym tułaczem.

— A cóż innego mogę zrobić?

— Bogiem a prawdą, tak samo mam dosyć chrześcijan jak pan wówczas, gdy muzułmanie zajęli galerę, do której pan był przykuty. Mam głowę na karku, panie O... Sakr-el-Bahr. Nie było lepszego ode mnie wśród angielskich kapitanów. Przeżyłem moc bitew morskich i znam się na nich dokumentnie. Czy mogę się panu na co przydać?

— Chce pan zostać renegatem jak ja? — zapytał Oliver z goryczą w głosie.

— Ja myślę, że znaczenie słowa „renegat” ściśle zależy od tego, po której stoimy stronie: chcę przyjąć wiarę Mahometa.

— Wiarę korsarstwa, łupiestwa i rozboju, to pan miał na myśli? — mówił dalej Sakr-el-Bahr.

— Nie. Na to nie trzeba mnie nawracać, to wszystko wyznawałem już przedtem — przyznał. — Chcę przejść pod muzułmańską flagę.

— Musiałby pan przestać pić — tłumaczył mu Sakr-el-Bahr.

— Powetuję to sobie czym innym — odparł.

Sakr-el-Bahr zamyślił się. Prośba łotrzyka trąciła czulą strunę. Dobrze byłoby mieć przy sobie rodaka, choćby takiego opryszka.

— Niech i tak będzie — zgodził się wreszcie. — Zasłużyłeś na powieszenie mimo wszelkich moich obietnic. Ale mniejsza z tym. Ponieważ chcesz przyjąć islam, zatrzymam cię przy sobie jako jednego z poruczników i jak długo zachowasz wobec mnie lojalność, nieźle ci się będzie wiodło. Ale za pierwszą próbą zdrady — stryczek, mój przyjacielu, i — do piekła.

Leigh pochylił się, wzruszony, chwycił rękę Sakr-el-Bahra i przycisnął ją do ust.

— Zgoda — rzekł. — Pan mi okazał litość, choć najmniej na nią u pana zasłużyłem. O moją lojalność proszę być spokojnym. Moje życie należy do pana, a choć ono niewiele warte, może pan z nim robić, co się panu podoba.

Mimo woli Sakr-el-Bahr ścisnął rękę zbója; Jasper odszedł, poruszony do głębi, może pierwszy raz w życiu, okazaną mu litością, na którą nie zasłużył, ale na którą poprzysiągł sobie zasłużyć.

VII. MARZAK-BEN-ASAD

Potrzeba było aż czterdziestu wielbłądów, by przewieźć ładunek holenderskiego statku z przystani do Kasby, a pochod, umiejętnie wyreżyserowany przez Sakr-el-Bahra, który wiedział, jak podobne widowiska działają na tłum, odznaczał się taką pompą, jakiej nie widziały jeszcze wąskie ulice Algieru. Był on godny największego muzułmańskiego zdobywcy, który nie poprzestając na spokojnym Morzu Śródziemnym, wyłącznym dotychczas terenie wypraw, odważył się wypłynąć na szeroki ocean.

Przodem maszerowało stu żołnierzy w krótkich kaftanach wszelkich możliwych barw, przepasanych wspinałymi szarfami, za którymi tkwiła wszelkiego rodzaju sieczna broń; wielu miało na sobie pancerze z łusek i hełmy z lśnącymi kolcami, nasadzone na turbany. Za nimi wlokło się w pięciu oddziałach stu niewolników, ujętych wraz z holenderskim statkiem, ponurych, zakutych w łańcuchy, popędzanych biczami przez dozorców. Potem maszerował drugi pułk korsarzy, a za nimi długi szereg flegmatycznych wielbłądów, szydyczko uśmiechniętych, kolebiących się z boku na bok, pędzonych przez pokrzykujących Numidyjczyków¹⁶⁶. Za nimi — nowy oddział korsarzy, a na końcu, na białym arabskim dzianecie¹⁶⁷ Sakr-el-Bahr w turbanie ze złotej tkaniny. W wąskich uliczkach, między rzędami białych i żółtych domów, których ślepe nieomal ściany znaczyły z rzadka rozsiane szczeliny pełniące rolę okien, tłoczyły się do sieni tłumy gapiów w obawie, by wielbłądy, objuczone tak, że zajmowały całą szerokość ulicy, nie stratowały ich na śmierć. Wolniejsze przestrzenie, jak wybrzeże po obu stronach przystani, skwer przed halą tar-

¹⁶⁶ *Numidyjczyk* — mieszkaniec Numidii, krainy hist. w Afryce Płn., zamieszkwanej przez plemiona berberyjskie. [przypis edytorski]

¹⁶⁷ *dzianet* — piękny, rasowy koń. [przypis edytorski]

gowę i podjazdy fortecy Asada, były nabite pstrą, krzykliwą ciżbą¹⁶⁸. Poważni Maurowie w bufiastych szatach tłoczyli się wraz z czarnymi z Sus i Draa¹⁶⁹; chudzi, flegmatyczni Arabowie w białych jak śnieg dżalabijach¹⁷⁰ mieszały się z berberyjskimi góralami w czarnych kaftanach z wielbłądziej sierści; byli tu i lewantyńscy¹⁷¹ Turcy, i zbiegli z Hiszpanii Żydzi, odziani ostentacyjnie w europejskie szaty, zbratani z Maurami wspólnym prześladowaniem i wspólną dolą wygnańców.

Pod prażącymi promieniami słońca zebrał się ten tłum, by podziwiać i witać Sakr-el-Bahra — witać tak grzmiącymi okrzykami, że echo szło od przystani aż do wznoszącej się na szczycie wzgórza Kasby.

Nim orszak osiągnął fortecę, stopniał do połowy. Przy hali targowej podzielono się: korsarze, którzy pod wodzą Othmaniego eskortowali jeńców, skierowali się prosto do więzień, wielbłądy zaś popędzono na wzgórze. Przez ogromną bramę wyległy na obszerny dziedziniec, gdzie, ustawione przez poganiaczy w dwa szeregi, leniwie opadły na kolana. Za nimi ciągnęły dwa oddziały korsarzy stanowiące straż honorową wodza. Oddawszy głęboki pokłon Asadowi, ustawili się po obu stronach bramy. Basza siedział w cieniu namiotu, na poduszkach, w towarzystwie wezyra Tsamanniego i Marzaka oraz w asyście sześciu janczarów, których czarny strój stanowił malownicze tło dla jego zielonych szat, przetykanych złotem i usianych drogimi kamieniami. Na białym turbanie baszy połyskiwał wspinały półksiężyc ze szmaragdów.

Przyglądając się karawanie objuczonych wielbłądów, Asad był chmurny i zamyślony. Dręczyły go podejrzenia, podstępnie wszczepione przez Fenzileh. Lecz na widok Sakr-el-Bahra twarz jego pojaśniała, a oczy zabłyśły radością. Wstał, by go powitać, jak ojciec wita syna, który w drogiej im obu sprawie zwycięsko stawiał czoło wielkim niebezpieczeństwom.

Sakr-el-Bahr zsiadł przed bramą z konia i wszedł pieszo na dziedziniec. Wysoki i okazały, z podniesioną głową i podaną naprzód brodą kroczył poważnie i z godnością aż do stóp tronu. Towarzyszył mu Ali i rudobrody korsarz w turbanie i o mahoniowej twarzy, w którym nietrudno było poznać morskiego rozbójnika Jaspiera Leigha, obecnie już najprawdziwszego muzułmanina.

Sakr-el-Bahr ukląkł i rzucił się uroczyście na twarz przed władcą.

— Błogosławieństwo Allaha i pokój jego niech będzie z tobą — brzmiała formuła powitalna.

Asad pochylił się i podnosząc młodzieńca, uściśkał go tak serdecznie, że aż podglądająca przez rzeźbioną furtkę Fenzileh zazgrzytała zębami.

— Chwała Allahowi i Prorokowi naszemu, Mahometowi, żeś powrócił zdrow, mój synu. Moje serce zabiło radośnie na samą wieść o twoich zwycięstwach, odniesionych w służbie wiary.

Potem rozłożono przed Asadem skarby, zdobyte na holenderskim statku, a ich bogactwo przeszło wszelkie oczekiwania baszy, przygotowanego już uprzednio przez Othmaniego.

Wreszcie precjoza odniesiono do skarbcza, Tsamanni zaś otrzymał polecenie oszacowania łupu i ustalenia wysokości udziału każdego z uczestników wyprawy. W podziale zdobyczy uczestniczyli bowiem wszyscy — począwszy od baszy, reprezentującego państwo, aż do najskromniejszego członka załogi zwycięskiego statku. Każdy otrzymywał swą dolę, większą lub mniejszą, stosownie do rangi; dwudziesta zaś część całości przypadła wodzowi.

Na dziedzińcu zostali tylko Asad, Marzak, janczarzy i Sakr-el-Bahr z Alim i Jasperem. Sakr-el-Bahr uznał ten moment za odpowiedni, by przedstawić baszy nowego oficera, wielkiego wojownika i starego marynarza, na którego zstąpiła łaska Allaha i który oddaje swe siły i życie na służbę islamu, prosząc pokornie Asada o błogosławieństwo.

¹⁶⁸ciżba — tłum, mnóstwo stłoczonych ludzi. [przypis edytorski]

¹⁶⁹Sus i Draa — regiony w ob. Maroku, graniczące z Algierią. [przypis edytorski]

¹⁷⁰dżalabija a. galabija — szerokie, luźne okrycie noszone przez Arabów, rodzaj długiej, białej szaty. [przypis edytorski]

¹⁷¹lewantyński — pochodzący z krajów na wsch. wybrzeżu Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

Marzak brutalnie przerywając tę scenę, oświadczył, że wysoce lekkomyślnym byłoby pomnażać i tak już zbyt wielką liczbę psów chrześcijańskich w szeregach bojowników świętej wiary i popierać w ten sposób samowolę Sakr-el-Bahra.

Sakr-el-Bahr zmierzył go wzrokiem, w którym pogarda łączyła się ze zdziwieniem.

— Twierdzisz więc, że to akt samowoli nawrócić niewiernego i zaciągnąć go pod sztandar naszego Proroka? — zapytał. — Idź, przeczytaj Koran¹⁷² i dowiedz się, jaki obowiązek nakłada na każdego wiernego. I pamiętaj, o synu Asada, że łącz tych, którym Allah pobłogosławił i których z nocy wyprowadził na pełne światło wiary, lżysz mnie i swoją własną matkę, a co więcej, bluźnisz przeciw błogosławionemu imieniu Allaha, wstępując na drogę do piekła.

Marzak był wściekły, ale ta replika zbiła go z tropu i zamknęła mu usta. Cofnął się, zagryzając wargi i obrzucając Sakr-el-Bahra nienawistnymi spojrzeniami. Asad skinął głową i uśmiechnął się.

— Zaprawdę, jesteś biegły w przepisach naszej świętej wiary, Sakr-el-Bahrze. Jesteś zarówno ojcem mądrości, jak męstwa.

Następnie Jasper Leigh został przyjęty do grona wiernych pod imieniem Jasper-Reis.

Po skończonej ceremonii neofita wraz z Alim zostali oddaleni, janczarzy zaś stanęli przy bramie. Basza klasnął w dłonie i niewolnikom, którzy się na to wezwanie pojawili, dał rozkaz, by przynieśli jadło; Sakr-el-Bahrowi wskazał miejsce obok siebie.

Przyniesiono wodę do mycia, po czym ustawiono przed nimi pieczone mięso, jaja z oliwkami, owoce i korzenie.

Asad łamał chleb, powtarzając z namaszczeniem „*Bismillab*”¹⁷³ i maczając palce w glinianej misie. Sakr-el-Bahr zaś na wyraźne życzenie baszy zaczął swą opowieść.

Asad nie szczędził mu słów pochwały i gorącej miłości.

— Czy celem tej niebezpiecznej wyprawy było zdobycie tych dwóch jeńców? — zapytał podstępnie Marzak.

— Owszem, leżało to w moich planach — brzmiała chłodna odpowiedź. — Puściłem się jednak na ocean w służbie Proroka, czego dowodem łup.

— A skąd mogłeś wiedzieć, że spotkasz holenderski statek? — powtarzał za matką Marzak.

— Skąd mogłem wiedzieć? — odparł Sakr-el-Bahr z uśmiechem. — Czyż nie ufam Allahowi, Wszechwiedzącemu i Wszechwidzącemu?

— Na Koran, świetna odpowiedź! — wykrzyknął Asad, uwalniając się od brzemienia wątpliwości, które tak bardzo mu ciążyły.

Ale Marzak nie dał się tym razem zbić z tropu. Instrukcje chytrej matki były bardzo szczegółowe.

— Jest jedna rzecz, której zrozumieć nie mogę — rzekł z obłudną uprzejmością.

— U Allaha wszystko jest możliwe! — odparł Sakr-el-Bahr nie bez ironii, dając Marzakowi do zrozumienia, iż nie wyobraża sobie takiej rzeczy, której bystry młodzieniec pojąć by nie mógł.

Marzak skłonił się z uznaniem.

— Powiedz mi, potężny Sakr-el-Bahrze — ciągnął — jak to się stać mogło, że odbywszy tak daleką podróż, zadowolileś się tymi dwoma marnymi jeńcami, skoro z pomocą swych towarzyszy i Allaha Wszechwiedzącego mogłeś wziąć pięć, dziesięć razy tyle? — Młodzieniec spojrzał chytrze w opaloną, zarośniętą twarz korsarza.

Asad spochmurniał; nurtowała go ta sama myśl.

W tej sytuacji należało uciec się do kłamstwa. Żaden z górnolotnych frazesów o świętej wierze na nic się tu nie zda.

— Jeśli chodzi o tę sprawę — zaczął Sakr-el-Bahr — porwaliśmy ich w pierwszym napadniętym domu, co narobiło trochę hałasu. Nadto wylądowaliśmy w nocy i nie śmiałem narażać moich towarzyszy, zapuszczając się zbyt głęboko w osadę, której mieszkańcy mogli nam odciąć odwrót.

¹⁷²Koran — święta księga islamu, wg tradycji muzułmańskiej powstała w latach 610–632, zawierająca nauczanie objawione prorokowi Mahometowi. [przypis edytorski]

¹⁷³bismillab (ar.) — w imię Boga; początek formuły religijnej, którą pobożni muzułmanie wypowiadają przed rozpoczęciem każdej ważniejszej czynności, przed każdym posiłkiem, podróżą, początkiem wykonywania pracy itp.; także nazwa tej formuły. [przypis edytorski]

Chmura nie ustąpiła z czoła Asada, co nie uszło uwagi Marzaka.

— Ale Othmani — rzekł — doradzał ci, byś napadł na śpiącą, nieświadomą niczego osadę, tyś jednak się sprzeciwił.

Asad podniósł nagle oczy, a Sakr-el-Bahr z niepokojem w sercu stwierdził, że wszelkie wyjaśnienia mogłyby obrócić się przeciwko niemu.

— Czy tak w istocie było? — zapytał Asad, przenosząc wzrok z syna na namiestnika.

Sakr-el-Bahr postawił wszystko na jedną kartę. Wyzywająco spojrzał Asadowi w oczy.

— A jeśli było, to co?

— Pytałem, czy było.

— Znając twą mądrość, nie wierzę uszom — odparł Sakr-el-Bahr. — Odkąd to decydujący głos ma Othmani? Ja wydaję rozkazy czy on? Jeżeli on, to niech zajmie moje miejsce, oddaj mu dowództwo i odpowiedzialność za życie wiernych.

— Zbyt prędko się unosisz — przyganił mu wciąż chmurny Asad.

— Na głowę Allaha! Czyż nie mam powodu? Czy ktokolwiek mógłby twierdzić, że mój gniew jest niesprawiedliwy? Czy po to dokonałem tego zuchwałego przedsięwzięcia i powróciłem z łupami, jakich przez cały rok zdobyć nie sposób, by mnie ten młodzik pytał, dlaczego nie usłuchałem Othmaniego?

Zerwał się, potężny, groźny, pełen rzekomego oburzenia. Trzeba było gorącymi słowy i odpowiednią gestykulacją zażegnać niebezpieczeństwo.

— Co mogłem osiągnąć, słuchając Othmaniego? — rzekł z pogardą. — Czy można było osiągnąć więcej niż to, co złożyłem dziś u twoich stóp? Moje czyny same za mną przemawiają. Gdybym poszedł za jego radą, ponieśliśmyby klęskę. A wtedy — czyż odpowiedzialność spadłaby na Othmaniego? Nie, na Allaha! Ja byłbym winien! Niechże więc nikt nie śmie czynić mi bezpodstawnych zarzutów.

Były to zuchwałe słowa, ale jeszcze zuchwalszy był ton, gniewne błyski w oczach i pełne wzgardy gesty, które tym słowom towarzyszyły. Efekt jednak został osiągnięty. Asad skulił się nieomal pod tym wybuchem. Chmura gniewu ustąpiła z jego czoła, a na twarzy pojawił się wyraz zmieszania.

— Ależ, synu, cóż znowu! Co za ton!

Teraz z kolei Sakr-el-Bahr spokojnie i rzekł:

— Przebac, docenń bezwzględne oddanie twego sługi tobie i świętej wierze, którym służy, nie dbając o własne życie. W tej wyprawie odniosłem śmiertelną niemal ranę. Bliżna jest niemym, lecz wymownym dowodem mojej gorliwości. A gdzie twoje blizny, Marzaku?

Pytanie to spadło na Marzaka tak nagle i wypowiedziane zostało takim tonem, że młodzieniec aż się wzdrygnął. Sakr-el-Bahr zaśmiał się z pogardą.

— Usiądź — poprosił Asad. — Byłem dla ciebie niesprawiedliwy.

— Ty jesteś źródłem i początkiem wszelkiej sprawiedliwości, o panie, czego dowodzą twoje słowa — odparł Sakr-el-Bahr, siadając. — Przyznam — ciągnął — że gdy znalazłem się tak blisko Anglii, przysłała mi ochota wylądować i porwać człowieka, który przed laty ciężko mnie skrzywdził i z którym chciałem wyrównać rachunki. Posunąłem się do tego, żem pojął drugą jeszcze osobę. Ci niewolnicy — ciągnął dalej, przygotowując grunt do tego, by wyluszczyć swą prośbę — nie są w zamknięciu razem z innymi. Przebywają jeszcze na pokładzie zdobytego statku.

— Czemuż to? — zapytał bez żadnych już podejrzeń Asad.

— Bo, o panie, w nagrodę za oddane ci usługi chcę się prosić o jedną łaskę.

— Wymień ją, mój synu.

— Pozwól mi zatrzymać tych jeńców dla siebie!

Asad znów zmarszczył czoło.

Wbrew woli, wbrew miłości do Sakr-el-Bahra jad, wsączony przez Fenzileh, znów począł działać.

— Pozwolenie masz, ale tylko moje — odparł — nie prawa, które zakazuje przywłaszczania sobie czegokolwiek przed dokonaniem podziału łupu.

— Prawo? — zapytał Sakr-el-Bahr. — Przecież ty sam, o dostojny panie, jesteś prawem!

— Nie, mój synu. Prawo jest ponad baszą, który musi sam się do niego stosować, by być sprawiedliwym i okazać się godnym wysokiego swego powołania. A prawo, na

Prawo, Władza

które się powołałem, obowiązuje nawet wówczas, gdy zwycięzcą jest sam basza. Odstaw natychmiast swoich jeńców do więzienia, by wraz z innymi niewolnikami zostali jutro wystawieni na sprzedaż.

Sakr-el-Bahr chciał dalej prosić, ale dostrzegłszy złośliwy błysk oczu Marzaka, po-
niechał dalszych słów i pochylił głowę na znak posłuszeństwa.

— Wymień więc cenę, bym ją zaraz wpłacił do skarbcu.

Lecz Asad potrząsnął głową.

— Nie moją rzeczą jest ustalanie cen, to sprawa kupców. Zrób, jak ci mówię.

— Twoja wola — rzekł Sakr-el-Bahr, nie nalegając już dłużej i starając się ukryć niezadowolenie.

Wkrótce też oddalił się, by polecenie wykonać. Dał jednak rozkaz, by Rozamundę i Lionela umieszczono osobno, a połączono z innymi dopiero przed samym rozpoczęciem sprzedaży.

Do pozostałych na dziedzińcu ojca i syna przyszła wkrótce Fenzileh, kobieta, o której mówiono, że przyniosła ze swej ojczyzny do Algieru metody szatana.

VIII. MATKA I SYN

Na drugi dzień, wczesnym rankiem, zaledwie przebrzmiał głos muezina, przybył do baszy Biskaine-el-Borak. Wysiadł właśnie z galery, która zawinęła do portu. Spotkali po drodze hiszpańską łódź rybacką, którą płynął do Algieru młody Maur. Wieści, jakie przywoził, były tak pilne, że Biskaine kazał niewolnikom pracować wiosłami bez ustanku przez dwadzieścia godzin, aby jak najprędzej dotrzeć do Algieru.

Maur miał kuzyna, świeżo ochrzczonego, który tak jak on sam, mimo chrztu w duchu pozostał wierny islamowi. Otóż kuzyn ten, zatrudniony przy hiszpańskim skarbcu w Maladze¹⁷⁴, posiadał cenną wiadomość: mianowicie, że wysyłano do Neapolu galereę z żołdem dla znajdującej się tam hiszpańskiej załogi. Dla oszczędności transport miał się odbywać bez eskorty, ale ze względów bezpieczeństwa statek miał rozkaz trzymać się europejskich wybrzeży. Załadunek, jak przewidywano, potrwa jeszcze z tydzień, po czym galera podniesie kotwicę. Z tą wieścią Maur wybrał się natychmiast w drogę do swych algierskich braci.

Asad podziękował młodzieńcowi za gorliwość, polecił go starannej pieczy i w razie powodzenia przyrzekł znaczny udział w łupach. Następnie posłał po Sakr-el-Bahra, zaś Marzak, który był obecny przy rozmowie, pobiegł z wieścią do matki. Fenzileh wpadła we wściekłość. Najwyraźniej Asad zamierzał powierzyć dowództwo Sakr-el-Bahrowi, co było dowodem, że wszystkie jej plany i podstępne knowania poszły na marne.

Ciągnąc za sobą Marzaka, jak furia wpadła do przyciemnionej komnaty, gdzie Asad zażywał spoczynku.

— Co ja słyszę, o panie? — zawołała tonem europejskiej jędzy, a nie pokornej niewolnicy Wschodu. — Czyż Sakr-el-Bahr ma prowadzić tę wyprawę na hiszpańską galereę?

Obrzucił ją od stóp do głów znudzonym spojrzeniem.

— Czy możesz zaproponować kogoś bardziej odpowiedniego? — spytał.

— Mogę, i to tego, którego mój pan z obowiązku powinien stawiać wyżej niż przybłądę i awanturnika. Tego, który jest prawdziwym muzułmaninem i którego można obdarzyć pełnym zaufaniem. Tego, który nie będzie usiłował zatrzymać dla siebie łupów, zdobytych w imię islamu.

— Aha — odparł Asad. — Masz na myśli tych dwóch niewolników? Ale któż to jest ten twój wzór doskonałości?

— Marzak — odparła namiętnie, popychając syna naprzód. — Czyż ma zmarnować swą młodość w bezczynności i zniewieściałości? Dopiero wczoraj ten nędznik kpił z niego, że nie ma blizn. Gdzież ma je zdobyć? W ogrodzie Kasby? Czy ma się zadowolić draśnięciami agrestu, czy też ma się kierować na wojownika i wodza dzieci świętej wiary, aby mógł wstąpić w ślady swego ojca i zająć kiedyś jego miejsce?

¹⁷⁴Malaga — miasto portowe nad M. Śródziemnym, w pld. Hiszpanii. [przypis edytorski]

— Czy je zajmie — odparł Asad — zależeć będzie od woli sułtana w Stambule i od Wysokiej Porty¹⁷⁵. Jesteśmy tylko namiestnikami.

— Ale czyż wielki sułtan będzie mógł mianować Marzaka, jeśli go odpowiednio nie przygotujesz? Gorzki wyrzut ci robię, ojcze Marzaka, że go nie doceniasz, że brak ci za jednego aspra¹⁷⁶ dumy, jaką cię taki syn napępiać powinien.

— Niech mi Allah da cierpliwość, bym mógł wytrzymać z tobą! Przecież ci mówiłem, że jeszcze za młody!

— W jego wieku ty sam już odbywałeś wyprawy morskie pod wodzą wielkiego Ochialego.

— W jego wieku byłem z łaski Allaha wyższy i silniejszy niż on. Znadto go kocham, bym go mógł narażać na zgubę, nim dojrzeje.

— Spójrz na niego! On już jest mężczyzną, Asadzie, to syn, z którego każdy byłby dumny. Czy nie czas, by z szablą u boku stanął pod żaglami jednej z twych galer?

— Tak, to prawda, mój ojcze! — prosił Marzak.

— Co?! — zawołał stary Maur. — Chcesz iść na Hiszpanów? Czy ty wiesz, co to znaczy? Czego potrzeba, by sprostać takiemu zadaniu?

— Skąd może wiedzieć, skoro go ojciec nie nauczył? — odparła Fenzileh. — Szydzisz z jego braków, za które sam jesteś przecież odpowiedzialny.

— Jestem cierpliwy — rzekł Asad, którego cierpliwość była już na wyczerpaniu. — Zadam ci tylko jedno pytanie: czy uważasz, że Marzak zdolny jest odnosić zwycięstwa dla chwały islamu? Mów szczerze!

— Wyznaję otwarcie, że nie. Ale niemniej otwarcie zaznaczam, że już najwyższy czas, by był zdolny. Twoim obowiązkiem jest puścić go na tę wyprawę, by się nauczył rzemiosła, które go w przyszłości czeka.

Asad myślał chwilę.

— Dobrze więc, niech się tak stanie. Pojedziesz z Sakr-el-Bahrem, mój synu — odparł poważnie.

— Z Sakr-el-Bahrem?! — zawołała Fenzileh.

— Trudno o lepszego nauczyciela.

— Czy twój syn ma jechać jako jego podwładny?

— Jako uczeń — poprawił Asad. — Jakże inaczej?

— Gdybym ja była mężczyzną, o źródło mej duszy — mówiła — i gdybym miała syna, nikt inny nie mógłby być jego nauczycielem prócz mnie samej. Tak bym go urabiała, aż by mnie przypominał. To, mój drogi panie, twoja powinność wobec Marzaka. Nie powierzaj kierownictwa nad nim obcemu, któremu nie sposób zaufać, choć ty go kochasz. Idź sam na tę wyprawę, a Marzak niech będzie przy tobie.

Asad zmarszczył czoło.

— Jestem już za stary — odpowiedział. — Przez ostatnie dwa lata nie byłem na morzu. Każdy to powie, że wyszedłem z wprawy. Nie, nie! — Potrząsnął głową. Myśli jego powędrowały daleko w przeszłość, na morze, twarz złagodniała. — Teraz będzie dowodził Sakr-el-Bahr i jeżeli Marzak pójdzie, pójdzie z nim.

— Mój panie... — zaczęła Fenzileh, ale przerwała.

Wszedł Nubijczyk, oznajmiając przybycie Sakr-el-Bahra, który na dziedzińcu oczekiwał rozkazów. Asad powstał. Fenzileh, zuchwała jak zawsze, usiłowała go zatrzymać, ale odrzucił ją, zniecierpliwiony, i wyszedł.

Patrzyła za odchodzącym z płomieniami gniewu w cudownych czarnych oczach. Ze złości omal nie wybuchnęła płaczem. W chłodnej, przyciemnionej komnacie zapanowała cisza, którą mąciły dalekie srebrzyste śmiechy pozostałych żon baszy. Ten śmiech drażnił jej rozstrojone nerwy. Zakłęła i uderzyła w dłonie. Weszła Murzynka, gibka i muskularna jak zapaśnik, obnażona do pasa. Kółko w jej uchu, znamię niewolnictwa, było ze szczerzego złota.

— Ucisz je — rozkazała, korzystając z okazji, by dać upust nagromadzonej złości. — Powiedz im, że każe je osmagać, jeżeli mi będą przeszkadzały.

¹⁷⁵ *Wysoka Porta* (hist.) — rząd, dwór lub ogólnie państwo tureckie za panowania sułtanów; określenie stosowane szczególnie w kontekście dyplomatycznym. [przypis edytorski]

¹⁷⁶ *aspr*, tur. *akçe* — srebrna moneta osmańska; warta pod koniec XVI w. ok. 1/120 włoskiego dukata. [przypis edytorski]

Murzynka znikła i w tej chwili zapanowała cisza, bo w haremie bardziej słuchano Fenzileh aniżeli samego baszy.

Matka pociągnęła syna do kraty, zza której widać było wszystko, co się działo na dziedzińcu. Asad wydawał właśnie Sakr-el-Bahrowi polecenia.

— Jak prędko możesz wypłynąć? — spytał na koniec.

— Tak prędko, jak tego wymaga służba Allaha i twoja — brzmiała odpowiedź.

— Dobrze, mój synu. — Asad położył mu serdecznie rękę na ramieniu, ujęty jego gotowością. — Najlepiej, gdybyś wyjechał zaraz o świcie. Tyle czasu na przygotowania ci wystarczy.

— Pozwól mi więc teraz odejść, bym wydał odpowiednie zarządzenia — odparł Sakr-el-Bahr, któremu nie w smak był ten nagły wyjazd.

— Jakie zabierzesz galery?

— Aby zdobyć jedną hiszpańską? Tylko moją własną, to zupełnie wystarczy. Niewątpliwie sprostą zadaniu, a łatwiej mi będzie ją ukryć.

— Jesteś odważny, ale i przezorny — pochwalił Asad. — Niech ci w tej podróży sprzyja łaska Allaha!

— Czy mogę już odejść?

— Jeszcze chwilę. Mój syn Marzak dochodzi już do pełni lat i czas, by zaczął służyć Allahowi i państwu. Jest moim życzeniem, aby ci towarzyszył jako twój porucznik, byś mu był mistrzem, jak ja za dawnych czasów byłem twoim.

Nie podobało się to Marzakowi, ale i w Sakr-el-Bahrze nie wzbudziło zachwyty. Znając wrogie uczucia syna Fenzileh, miał wszelkie powody lękać się intryg i wicherzeń podczas wyprawy.

— Jak ty za dawnych czasów byłeś moim! — powtórzył chytrze. — A czy nie chciałbyś, Asadzie, wypłynąć jutro z nami na morze? Co by to była za rozkosz stać przy tobie na rufie statku, jak za dawnych czasów, gdy się zewrzemy z Hiszpanami!

Asad spojrzał na niego.

— I ty żądasz tego ode mnie? — zapytał.

— Czyżbym nie był pierwszy? — Dzięki wrodzonej bystrości, wyostrzonej jeszcze ciężkimi przeżyciami, Sakr-el-Bahr pojął w lot, o co chodzi. — Jeśli już inni ci to radzili, to mieli słuszość, ale nikt tak jak ja nie zna szczęścia walki z niewiernymi pod twoim dowództwem i rozkoszy odznaczenia się w twojej przytomności. Wybierz się, panie, na tę wyprawę i bądź sam mistrzem twego syna, bo to największy zaszczyt, jaki go może spotkać.

Asad w zamyśleniu pogłodził długą, białą brodę, a jego sokołe oczy przymknęły się na chwilę.

— Kusisz mnie, na Allaha!

— Pozwól więc jeszcze...

— Nie, to niemożliwe. Jestem już za stary, a ponadto tu mnie potrzebują. Czy stary lew może dogonić młodą gazelę? Spokój, teraz już tylko spokój! Słońce mej bitewnej chwały zaszło. Niech teraz synowie wojowników, których sam okryłem sławą, utrzymują zdobycze mego ramienia i głoszą na dalekich morzach moje imię i świętą wiarę naszą. — Wsparł się na Sakr-el-Bahrze i westchnął. — To zaiste wyprawa, do której serce mi się rwie... ale nie, moje postanowienie jest niezłomne. Idź, zabierz Marzaka i odwieź mi go szczęśliwie z powrotem.

— Bez niego bym nie wrócił — odparł. — Ale ufam Wszechwiedzącemu Allahowi.

Oddalił się, nie dając poznać po sobie niezadowolenia zarówno z powodu wyprawy, jak i towarzystwa. Poszedł wydać rozkaz Othmaniemu, by przygotował galeryę do drogi; miała otrzymać karonady, trzystu niewolników do wiosłowania i trzystu zbrojnych.

Asad-ed-Din powrócił do swej przyciemnionej komnaty, skąd widać było dziedziniec. Zastał tam jeszcze Fenzileh i Marzaka. Oświadczył im, że zgodnie z życzeniem obojga Marzak ma wziąć udział w wyprawie, by dać dowód swej dojrzałości.

O ile Asad zostawił ich zniecierpliwionych, o tyle zastał ledwo hamujących wściekłość.

— O słońce, które mnie ogrzewa — przywitała go Fenzileh. Wiedział z doświadczenia wielu lat, że im czulszymi witała go słowy, tym większa kryła się za nimi złość. — Czy moje rady nic już u ciebie nie znaczą, czy są tylko pyłem na twym obuwu?

— Jeszcze gorzej — odparł Asad, wyprowadzony z równowagi zuchwałością jej słów.

— To prawda, na Allaha! — krzyczała, gestykulując, zaś piękna twarz stojącego za nią syna spochmurniała.

— Tak jest — potwierdził Asad. — O świecie, Marzaku, wypłyniesz na galerze Sakr-el-Bahra, by pod jego opieką odbyć wyprawę i wstąpić w ślady tego, którego zręczność i męstwo uczyniły najpotężniejszą twierdzą islamu, prawdziwym mieczem Allaha.

Lecz Marzak czuł, że w tej sprawie należy przyjść matce z pomocą, nadto jego nienawiść do niebezpiecznego uzurpatora, który chciał wydrzeć należne mu miejsce, skłoniła go do ostatecznej zuchwałości.

— Jeżeli mam się znaleźć na morzu razem z tym potomkiem chrześcijańskich psów — krzyknął ochryply z wściekłości — to on ma być tam, gdzie jego miejsce: na ławie niewolników.

— Co?! — ryknął wściekły Asad. Jego twarz wykrzywiła się z gniewu tak, że para intrygantów zlekła się na dobre. — Na brodę Proroka! Czy ja dobrze słyszę?

Ruszył ku Marzakowi, a Fenzileh, zdjęta nagłym przerażeniem, wpadła między nich i stanęła przed Asadem jak lwica broniąca swego szczenięcia. Ale basza, doprowadzony do szału zuchwałością syna i żony, chwycił ją w swe muskularne ręce i śmignął tak, że się zatoczyła i wpadła bez tchu między poduszki jak piłka.

— Przekleństwo Allaha na ciebie! — syknął.

Marzak umknął przerażony.

— Ta jędza, która cię urodziła, nie będzie cię już więcej judziła przeciw ojcu. Na Koran! Za długo już znośm jej cudzoziemskie narowy! Widzę, że wstępujesz w jej ślady i bezczelnie stawiasz się swemu ojcu! Jutro wypłyniesz na morze z Sakr-el-Bahrem. Rzekłem. Jeszcze jedno słowo, a znajdziesz się na galerach, tam gdzie jego chciałbyś widzieć wśród niewolników, by cię batog dozorczy nauczył pokory.

Zdrętwiały ze strachu, stał Marzak bez słowa. Nigdy w życiu nie widział ojca w takim gniewie, który jednak nie zdawał się robić najmniejszego wrażenia na Fenzileh, jędzy, której języka nie była w stanie uciszyć nawet groźba chłosty i kaźni.

— Będę się modlić do Allaha, by powrócił światło twej oślepionej duszy, ojcie Marzaka! — rzuciła ze złością — abyś się nauczył widzieć różnicę między tymi, którzy cię kochają, a tymi, którzy cię oszukują, siebie tylko mając na względzie.

— Co?! — huknął Asad. — Jeszcze nie koniec?

— Nie będzie końca, póki nie uciszy mnie śmierć, którą poniosę za moją troskliwość o ciebie, wielka miłości moja, światło moich nieszczęsnych oczu.

— Postępuj tak dalej — rzekł — a wkrótce cię spotka to, o czym mówisz.

— Nie dbam o to, bylebym tylko zdołała zdrzeć wreszcie fałszywą maskę z twarzy tego psiego miotu. Niech mu Allah kości połamie! A cóż będzie z tymi dwoma niewolnikami, Asadzie? Doniesiono mi, że jest tam kobieta smukła, białolica, piękna tą pięknnością, jaką Eblis¹⁷⁷ obdarza mieszkanki Północy. Jakież on ma zamiary, skoro nie chce wystawić jej na sprzedaż, jak żąda tego prawo? Gadam na próżno! Ha! Próżne moje słowa! Odsłoniłam przed tobą gorsze rzeczy, które niezbicie dowodzą jego złej woli, lecz ty schlebiasz mu, poniżając swą godność, a podnosząc rękę na własnego syna.

Asad zbliżył się do niej, chwycił ją za rękę i szarpnął do góry.

Śniada twarz baszy pobiełała. Jego wygląd przeraził wreszcie Fenzileh, kładąc kres jej zuchwałości.

Fenzileh wstrzymała oddech i pobladła z przerażenia.

— *Ja anta!*¹⁷⁸ Ajub! — zawołał.

— Mój panie, mój panie! — poczęła skomleć. — Rzeko życia mego, nie gniewaj się! Co zamierzasz uczynić?

Uśmiechnął się złośliwie.

— Uczynić?! — warknął. — To, co powinienem był zrobić przeszło dziesięć lat temu: wychłostać cię. Ajub! — powtórzył jeszcze donośniej.

— Mój panie, mój panie! — wołała bez tchu, trzęsąc się ze strachu. — Litości! Litości! — Czołgała się, obejmując go za kolana. — Zaklinam cię na miłosiernego Allaha, miej

¹⁷⁷Iblis a. Eblis (ar.) — w wierzeniach muzułmańskich: przywódca złych duchów, szatan. [przypis edytorski]

¹⁷⁸*Ja anta!* (ar.) — Hej ty! [przypis edytorski]

litość nade mną, daruj mi to przewinienie, do którego popchnęła mój język tylko miłość do ciebie! O najśłodszy panie! O ojcie Marzaka!

Jej rozpacz, piękność, a przede wszystkim nieznaną mu dotąd pokora wzruszyły go. Ajub, krzepki eunuch¹⁷⁹, który był jego wezyrem i szambelanem, zjawił się w niskich ukłonach, ale w tej samej chwili zniknął, odprawiony gestem przez baszę.

Asad zmierzył swoją małżonkę spojrzeniem, w którym był bezmiar pogardy.

— W tej pozie bardziej ci do twarzy, nie zmieniaj jej na przyszłość. — Wyrwał się z obejmujących go ramion, odwrócił i wyszedł majestatycznym krokiem, obnosząc swój gniew jak płaszcz królewski i pozostawiając oboje w niemym przerażeniu.

Zapanowało długie milczenie. Wreszcie Fenzileh dźwignęła się i podeszła do rzeźbionej skrzyni pod oknem. Wydobyla z niej gliniany dzban, umieszczony tam dla ochrony przed słońcem. Nalała sobie wody do kubka i piła chciwie. To, że nie wyręczyła się służbą, gdy jednym kłasińciem mogła przywołać niewolnicę, było dowodem jej zupełnego rozstroju nerwowego.

Zamknęła okienko i zwróciła się do Marzaka.

— Co teraz? — zapytała.

— Teraz? — odparł chłopiec.

— Tak, co teraz? Co mamy począć? Siedzieć bezczynnie, zmiażdżeni jego gniewem, aż nadejdzie nasza zguba? On jest zaczarowany. Ten szakał go urzekł, tak że wszystko, co zrobi, wydaje mu się dobre. Niech Allah przyjdzie nam z pomocą, Marzaku, bo inaczej Sakr-el-Bahr zetrze cię w proch.

Marzak zwiesił głowę. Ociężałym krokiem podszedł do otomany i rzucił się na poduszki. Leżał, podparłszy brodę rękami.

— Co ja mogę zrobić? — zapytał wreszcie.

— To właśnie chciałabym wiedzieć. Musimy działać, i to zaraz! Oby kości jego zgniły! Jeżeli on będzie żył, jesteś zgubiony.

— Tak! — zawołał Marzak z nagłym ożywieniem. — Jeśli będzie żył! — Zerwał się. — Skoro jedynym efektem naszych spisków i planów jest gniew mego ojca, obierzmy lepiej krótszą drogę.

Stała na środku komnaty, oczy jej płonęły.

— I ja już o tym myślałam. Mogłabym najać ludzi, którzy za garść złota chętnie to zrobią, ale niebezpieczeństwo...

— Jakież niebezpieczeństwo nam grozi, gdy on będzie trupem?

— Mogłoby nas to pograżyć razem z nim, a wówczas, jaki zysk z jego śmierci? Ojciec straszliwie by go pomścił!

— Gdybyśmy zrobili to sprytnie, nie zostalibyśmy odkryci.

— Nie zostalibyśmy odkryci? — powtórzyła i zaśmiała się cierpko. — Jakiś ty jeszcze młody i ślepy, Marzaku! Na nas w pierwszym rzędzie padłoby podejrzenie. Nie ukrywałam mej nienawiści do niego, a naród mnie nie lubi. Zmuszono by ojca do wymiaru sprawiedliwości, nawet gdyby sam nie chciał. Ten Sakr-el-Bahr, żeby go Allah dotknął paraliżem, to ich bożyszcze. Przypomnij sobie, jak go ojciec witał po powrocie. Czy kiedy jaki basza wracający w triumfie doznał takiego przyjęcia? Te zwycięstwa, to jego szczęście utwierdziło we wszystkich wiarę, że sam Allah mu sprzyja i ma go w swej pieczy. Mówię ci, gdyby jutro zmarł twój ojciec, Sakr-el-Bahr zostałby w jednej chwili obwołany baszą Algieru — wówczas biada nam! A Asad-ed-Din się starzeje. Prawda, że już nie chodzi na wyprawy, jest przywiązany do życia i może jeszcze długo pociągnąć. Gdyby jednak los zrządził przeciwnie i gdyby Sakr-el-Bahr był jeszcze między żywymi, kiedy dopełni się ziemskie przeznaczenie Asada — to wprost pomyśleć nie śmiem, jaki byłby nasz los.

— Oby grób jego został splugawiony! — zaklął Marzak.

— Jego grób? Trudność w tym, że najpierw trzeba go wykopać, a nie można tego zrobić bez naszej szkody. Szatan obdarza łaską tego psa!

— Oby znalazł swe łożo w piekle! — złorzeczył Marzak dalej.

— Przekleństwa na nic nam się nie zdadzą. No, Marzaku, pomyśl, jak by to zrobić.

Marzak zerwał się zwinnie i lekko jak chart.

¹⁷⁹eunuch (gr. dosł.: strażnik łoża) — wykastrowany, pozbawiony jąder mężczyzna lub chłopiec pełniący rolę strażnika haremu. [przypis edytorski]

— Słuchaj, matko! — rzekł — ponieważ nieodwołalnie muszę z nim iść na tę wyprawę, może więc tam na morzu jakiej ciemnej nocy nadarzy się sposobność.

— Czekaj! Niech rozważę. Oby mi Allah pomógł znaleźć sposób! — Kłasnęła w dłonie na niewolnicę, której kazała wezwać swego wezyra Ajuba; poleciła mu, by lektyka była w pogotowiu. — Pójdziemy na rynek, synu, aby obejrzeć niewolników. Kto wie, może przy ich pomocy da się co zrobić! Przeciw temu bękartowi bezwstydu lepsze usługi może nam oddać chytrność niż siła.

— Niech ród jego zginie i przepadnie! — rzekł Marzak.

IX. WSPÓŁZAWODNICY

Wielki plac przed bramą Sôk-el-Abeed¹⁸⁰ był zapchany pstrym, tłoczącym się, hałaśliwym tłumem, który ciągle jeszcze pochłaniał rzeki nowych ludzi, płynące z licznych niebrukowanych, ciasnych uliczek.

Byli tu brunatni Berberowie¹⁸¹ w czarnych płaszczach z kapuzami¹⁸² z koziej sierści, sporządzonych z jednej sztuki i przyozdobionych z tyłu czerwonym lub pomarańczowym wzorem. Na ogolonych głowach mieli mycki lub opaski plecione z wielbłądziej sierści. Byli tu czarni mieszkańcy Sahary, prawie całkiem nadzy, poważni Arabowie, spowici w białe, powłóczyste burnusy z kapturami, osłaniającymi ich ciemne twarze o szlachetnych rysach; byli pełni godności, dostatnio wyglądający Maurowie w szerokich kolorowych szatach, na mulach bogato przybranych; byli i Tagarejczycy, Maurowie wypędzeni z Andaluzji¹⁸³, trudniący się przeważnie handlem niewolnikami; byli Żydzi-tubylcy na czarno odziani i tak zwani Żydzi chrześcijańscy, urodzeni w chrześcijańskich krajach, których strój zachowali; byli Turcy lewantyńscy, ubrani z przepychem i butni w obejściu, wreszcie skromni Kololowie, Kabyłowie i Biskarowie¹⁸⁴. Tu dzwonił małym dzwonkiem sprzedawca wody, dźwigający bukłak z koziej skóry; tam znowu handlarz pomarańczy, z koszem pełnym złotych owoców na podartym turbanie, zachwalał głośno swój towar. Jedni przyszli pieszo, inni przyjechali na mulach, osłach, smukłych koniach arabskich. Była to różnokolorowa ciżba kołysząca się i tłocząca, śmiejąca się, przeklinająca, złana żarem afrykańskiego słońca. W błękicie, wysoko, latały stadami gołębie. W cieniu żółtego muru, jęcząc, siedzieli w kucki długim szeregiem żebracy i kaleki. Na wolnej przestrzeni, niedaleko bramy, tłum słuchaczy otoczył *meddaba*, wędrownego śpiewaka, który przy akompaniamencie dwóch uczniów, przygrywających mu na *gimbri* i *ghaicie*¹⁸⁵, cienkim, nosowym głosem śpiewał smętną balladę.

Ci, co pilnowali porządku na targowisku, przeciskali się wytrwale i energicznie przez tłum, a następnie zostawiając wierzchowce na zewnątrz, ginęli w bramie, której nie wolno było przestąpić pospólstwu i gawiedzi. Za bramą rozciągała się obszerna prostokątna przestrzeń, zamknięta szarymi murami. Tu było więcej miejsca. Giełda miała się rozpocząć dopiero za dwie godziny. Tymczasem przy budach wzniesionych w uprzywilejowanych miejscach, czyli wzdłuż ścian, odbywały się drobne targi. Byli tu handlarze wełny, owoców, korzeni, a kilku sprzedawało drogie kamienie i kosztowności.

W samym środku stała studnia kształtu dużego ośmioboku, otoczona niskim parapetem, do której wiodły trzy stopnie. Na najniższym siedział stary, brodaty Żyd w czarnym chałacie, z głową owiniętą kolorową chustą. Na kolanach miał dużą, płaską, czarną skrzynkę z przegródkami, w których znajdowały się rzadkie drogie kamienie na sprzedaż. Dokoła niego stała garstka młodych Maurów i kilku tureckich oficerów. Stary Izraelita¹⁸⁶ targował się ze wszystkimi jednocześnie.

¹⁸⁰*Sôk-el-Abeed* (ar.) — targ niewolników. [przypis edytorski]

¹⁸¹*Berberowie* — rdzenna ludność Afryki Północnej i Sahary. [przypis edytorski]

¹⁸²*kapuza* — kaptur. [przypis edytorski]

¹⁸³*Andaluzja* — kraina hist. obejmująca pld. część Płw. Iberyjskiego; od arab. *Al-Andalus*, oznaczającego ogół terytoriów muzułmańskich na Płw. Iberyjskim. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*Kololowie, Kabyłowie i Biskarowie* — ludy berberyjskie, z których najważniejszym są Kabyłowie, zamieszkujący tereny ob. płn. Algierii. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*gimbri* i *ghaita* — ludowe instrumenty muzyczne: *gimbri* (*sintir*): trójstrunowa lutnia, używana w Maroku; *ghaita* (*rhaita*): instrument dęty z podwójnym stroikiem, z zach. części Afryki Płn. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*Izraelita* — przedstawiciel narodu żydowskiego w czasach opisywanych w Biblii; tu ogólnie: Żyd. [przypis edytorski]

Wzdłuż całej północnej ściany biegł długi okap, z którego zwieszały się derki z wielbłądziej sierści, całkowicie zasłaniające wnętrze, skąd dochodziły przytłumione szmery ludzkich głosów. Były to zagrody, w których znajdowali się niewolnicy przeznaczeni tego dnia na sprzedaż. Na zewnątrz stał tuzin korsarzy i kilku czarnych do pomocy i pilnowania towaru.

Za murem i ponad nim lśniły ściany świątyni, otoczonej strzelistymi minaretami, i wznosiły się czubki kilku smukłych palm daktylowych, których długie liście wisiały nieruchomo w upalnym powietrzu.

Nagle w tłumie za bramą powstał ruch. Z jednej z ulic nadciągnęło sześciu Nubijczyków, wrzeszcząc:

— *Oak! Oak! Warda!* Z drogi!

Mieli w rękach kije, którymi torowali sobie drogę przez tłuszcę, roztrzaskując ludzi na prawo i lewo, obrzucani gradem przekleństw.

— *Balak!* Z drogi! Rozstąpić się przed władcą Asad-ed-Dinem, wybrańcem Allaha! Z drogi!

Tłum, cofając się, runął na kolana i upadł twarzą w proch. Na mlecznobiałym mule, eskortowany przez wezyra Tsamanniego i orszak czarno ubranych janczarów z dobytymi szablami, przejeżdżał Asad-ed-Din.

Namiętne przekleństwa, jakimi powitano torujących drogę Murzynów, w jednej chwili umilkły, natomiast podniosły się żarliwe błogosławieństwa.

— Niech Allah pomnoży twoją moc! Niech Allah przedłuży dni żywota twego! Niech łaska Proroka spoczywa na tobie! Niech ci Allah ześle jeszcze więcej zwycięstw!

Takimi błogosławieństwami obsypywano go ze wszystkich stron. Odwzajemniał je, jak przystało na człowieka w najwyższym stopniu bogobojnego i trzymającego się religijnych przepisów.

— Pokój Allaha wszystkim wiernym, zebranim w rodzinie Proroka — rzucał od czasu do czasu w odpowiedzi, aż znalazł się przy bramie. Tam między czolgających się żebraków kazał Tsamanniemu rzucić sakiewkę, bo czyż nie jest napisane w najświętszym Koranie, że co tylko zdołamy oszczędzić, należy rozdać biednym, gdyż tylko tym Allah szczęści, którzy potrafią się ustrzec przed chciwością? A dalej, czyż nie jest powiedziane, że wszelka jałmużna, która jest poszukiwaniem oblicza Allaha, będzie ofiarodawcy w dwójnasób oddana?

Posłuszny prawom, jak najniższy z poddanych, Asad zsiadł z mufa i wszedł pieszo na rynek. Zatrzymał się przy studni i z twarzą zwróconą ku okapowi błogosławił klęczący tłum, a na koniec kazał wszystkim powstać.

Skinął na Alego, któremu poruczono dozór nad niewolnikami z ostatniej wyprawy, i obwieścił mu, że wołą jego jest ujrzyć jeńców. Na znak Alego Murzyni rozsunęli zasłony z wielbłądziej sierści, tak że światło słońca padło na zamkniętych biedaków; byli tam nie tylko jeńcy Sakr-el-Bahra, ale kilku innych, zdobytych w dwóch pomniejszych wyprawach Biskainego.

Asad ujrzał stłoczoną gromadę mężczyzn i kobiet, których zresztą było stosunkowo mało, różnego wieku, wszystkich ras i stanowisk społecznych. Byli tu biali, jasnowłosi mieszkańcy krajów północnych, Włosi o oliwkowej cerze, ciemni Hiszpanie, Murzyni i mieszańcy; byli starzy, młodzi i dzieci — jedni w strojnych szatach, drudzy prawie całkiem nędzy lub okryci łachmanami. Wszystkich łączył jeden wyraz twarzy: bezdenne smutku i rozpacz. Ale rozpacz ta nie mogła obudzić litości w bogobojnym sercu Asada. Byli to niewierni, którym nigdy nie będzie dane oglądać oblicza boskiego Proroka; byli przekłeci, niegodni, by prawy człowiek mógł im okazać miłosierdzie. Na chwilę wzrok jego przykuła ładna czarnowłosa hiszpańska dziewczyna; siedziała skulona, ze splecionymi rękami — obraz rozdzierającej serce niedoli. Piękno jej oczu podkreślały ciemne obwódki — pozostałość bezsennych nocy. Asad przyglądał jej się chwilę, wkrótce jednak wzrok jego powędrował dalej. Nagle ścisnął mocniej ramię Tsamanniego, a blada jego twarz zajaśniała blaskiem zainteresowania.

Na wprost niego, w całej glorii¹⁸⁷ swej kobiecości, siedziała dziewczyna, o jakich istnieniu słyshał, ale jakiej nigdy jeszcze dotąd nie widział. Była smukła i pełna wdzięku jak cyprys¹⁸⁸; twarz miała białą jak mleko, oczy jak dwa szafiry, zaś miedzianozłote włosy, gdy słońce na nie padło, zdawały się płonąć. Miała na sobie obcisły, biały płaszcz, a nisko wycięty stanik¹⁸⁹ odsłaniał niepokalane piękno jej karku.

Asad-ed-Din zwrócił się do Alego.

— Co to za perła, rzucona na to śmietnisko?

— To kobieta, którą Sakr-el-Bahr przywiózł z Anglii.

Powoli oczy Asada powróciły do niej i badały ją z takim uporem, że choć robiła wrażenie zupełnie zubożonej, to jednak pod zniewagą tego natarczywego spojrzenia policzki poczęły jej płonąć. Rumieniec ten uwydatnił jeszcze jej piękność, zacierając ślady zmęczenia.

— Wyprowadzić — rozkazał Asad krótko.

Chwycili ją dwaj Murzyni. By uniknąć ich brutalnego dotknięcia, dumnie prostując się, wyszła sama, obojętna na to, co ją miało spotkać. W oczach stojącego przy niej złotowłosego młodzieńca o wymizerowanej twarzy, pokrytej dawno niegolonym zarostem, odmalowało się przerażenie; jęknął i wykonał taki ruch, jakby ją chciał zatrzymać. Ale w tej chwili bicz spadł na wyciągnięte ramiona i zmusił je do cofnięcia.

Asad myślał nad czymś głęboko. Fenzileh nalegała, by sam obejrzał tę niewierną, którą Sakr-el-Bahr z takim narażeniem dzieci Proroka porwał z Anglii; mówiła, że to najlepszy dowód złych intencji korsarza, które ciągle podkreślała. Teraz, gdy zobaczył tę kobietę, nie mógł w niej odkryć nic z tego, co Fenzileh z taką pewnością siebie mu wmawiała. Niechętnie ulegając jej namowom, stał teraz pogrążony w zachwycie nad wspaniałym okazem kobiety północnej, wyglądającej w przerażeniu jak posąg. Asad zapomniał o wszystkim. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia, a ona cofnęła je gwałtownie, jakby jego palce paliły ogniem.

— Jakież niezbadane są wyroki Allaha — westchnął — skoro dopuszcza, aby taki ponętny owoc wisi na zgniłym drzewie niewiary!

Tsamanni chytrze go obserwował. Był to mistrz pochlebstwa, biegły w sztuce grania na nastrojach swego pana.

— Może dlatego tak się dzieje, aby wierny członek rodziny Proroka mógł go zerwać — odparł. — U Jedynego wszystko możliwe!

— A czy nie napisano w księdze nad księgami, że córki odszczepieńców nie są dla wiernych? — rzekł Asad i znowu westchnął.

Ale Tsamanni, wiedząc dobrze, jakiej basza pragnie odpowiedzi, dostosował ją zrzęcznie do tego życzenia.

— Allah jest wielki i co zdarzyło się raz, może się zdarzyć po raz drugi, o panie.

Gorejące oczy Asada spojrzały szybko na wezyra.

— Masz na myśli Fenzileh? Ale wówczas łaską Allaha stałem się narzędziem jej oświecenia.

— A może w księdze przeznaczeń jest zapisane, że masz się nim stać po raz drugi, o panie — wyszeptał sprytny Tsamanni, który knował coś w duszy i któremu w tej chwili chodziło o coś więcej niż o odegranie tylko roli układowego dworaka. Między nim a Fenzileh toczyła się od dłuższego czasu podstępna walka, której źródło tkwiło u obojga w zazdrości o względy Asada. Jeżeli uda mu się pokonać Fenzileh, to jego wpływ znacznie wzrośnie. Marzył o tym ciągle, ale lękał się, że marzeń swych nigdy nie urzeczywistni, Asad bowiem się starzał, ogień, tak żywo płonący za młodych lat, przygasł i spopielili myśl o kobietach. Ale tu jakby cudem stanęła przed nim dziewczyna o tak olśniewającej piękności, tak odmienna od wszystkich, na jakich kiedykolwiek oko baszy spoczęło, że od razu oczarowała jego zmysły.

¹⁸⁷gloria — zjawisko optyczne: wielobarwne kręgi poświaty wokół postaci; chwała, sława otaczająca kogoś. [przypis edytorski]

¹⁸⁸cyprys — iglaste, strzeliste drzewo ozdobne, charakterystyczne dla krajobrazu śródziemnomorskiego. [przypis edytorski]

¹⁸⁹stanik (daw.) — gorset; górna część sukni od ramion do pasa (bez rękawów). [przypis edytorski]

— Jest biała jak śniegi Atlasu¹⁹⁰, a słodka jak daktyle z Tafilalt¹⁹¹ — szeptał z zachwytem, a jego płomienny wzrok ciągle spoczywał na stojącej przed nim nieruchomo dziewczynie. Nagle Asad posmutniał, obrócił się gwałtownie ku Tsamanniemu. — Twarz jej była odsłonięta! Spoglądały na nią tysiące oczu! — zawołał.

— Poprzednio było tak samo — odparł Tsamanni.

Wtem tuż obok nich ozwał się głos, z natury miękkiej i muzykalny, ale teraz dziwnie zachrypły.

— Co to za kobieta?

Niemile zaskoczeni odwrócili się i basza, i wezyr. Przed nimi stała Fenzileh, jak nakazywał zwyczaj zasłonięta, w towarzystwie Marzaka.

Nieco w tyle stali eunuchowie i lektyka, która ją przyniosła aż tu, niepostrzeżoną przez Asada. Przy lektyce stał jej wezyr, Ajub-el-Samin.

Asad zmarszczył brwi; jeszcze nie był ochłonął z gniewu, w jaki go żona wraz z synem wprowadziła. Ponadto choć w domu nieraz puszczał płazem brak należącego dla siebie szacunku, to jednak tu, publicznie, nie mógł godności swojej na szwank wystawić, pozwalając na tak zuchwałe pytania. Nigdy dotąd na coś podobnego się nie odważyła — nie byłaby się odważyła i teraz, gdyby nagły niepokój nie zabił w niej wszelkiej ostrożności. Widziała łakome spojrzenia, jakimi Asad obrzucał tę śliczną niewolnicę, i to obudziło w niej nie tylko zazdrość, ale konkretny strach. Jej wpływ na Asada stawał się coraz niklejszy i wystarczył jeden kaprys mężczyzny, który przez lata nie poświęcił myśli ani spojrzenia innej kobiecie, by znalazł następczynię. Stąd jej rozpaczliwa śmiałość, z jaką stanęła teraz przed Asadem.

— Jeżeli to jest ta niewolnica, którą Sakr-el-Bahr przywiózł z Anglii, to wieść o niej okazała się kłamliwą — oświadczyła. — Szkoda było trudu tak dalekiej drogi i narażania tyłu dzielnych muzułmanów na utratę życia, by przywozić do Algieru tę żółtą jędzę na szczudłach, tę córkę zatracenia.

Zdziwienie Asada przemogło jego gniew. Nie był domyślny.

— Żółtą jędzę? Na szczudłach? — powtórzył. Nagle zrozumiał i uśmiechnął się złośliwie. — Już dawno spostrzegłem, żeś ogłuchła, a teraz widzę, żeś jeszcze rażona ślepotą. Starzejesz się. — Zmierzył ją pełnym niesmaku wzrokiem, tak że aż się cofnęła. Basza podszedł do niej. — Za długo już rządziłaś w moim haremie, do którego wprowadziłaś metody niewiernych Europejczyków — syknął cicho, tak że słyszeli tylko najbliżsi. — Stałaś się solą w oku wiernych — dodał w pasji. — Najwyższy czas, by temu położyć kres.

Dał Alemu znak, by niewolnicę odprowadzić na miejsce. Oparty na ramieniu Tsamanniego, ruszył ku wyjściu; nagle stanął i obrócił się ku Fenzileh.

— Do lektyki! — rozkazał ostro wobec wszystkich — i do domu, jak przystoi przyzwoitej muzułmance! Żebyś cię więcej nie widział włóczącej się pieszo w publicznych miejscach!

Usłuchała natychmiast, bez słowa sprzeciwu. Stał przy bramie z Tsamannim, aż przeszła jej lektyka, której towarzyszył z jednej strony Ajub, z drugiej Marzak, nie śmiejący podnieść oczu na zagniewanego baszę.

Asad patrzył za lektyką nachmurzony, z ironicznym śmiechem na ustach.

— W miarę jak znika jej piękność, staje się coraz bardziej agresywna — mruknął gniewnie. — Ona się starzeje, Tsamanni, robi się chuda, kłótniwa, nie zasługuje na to, by być towarzyszką członka domu Proroka. Może byłoby nawet miłe Allahowi, żeby ją kim innym zastąpić. — Po czym, przenosząc się widocznie myślami do drugiej kobiety i zwracając oczy ku okapowi, który właśnie zasłonięto, ozwał się całkiem już innym tonem: — Czy zauważyłaś, Tsamanni, z jakim ona porusza się wdziękiem? Lekko i szlachetnie jak młoda gazela. Zaprawdę, nigdy jeszcze Wszechmądrość nie stworzyła takiej piękności, by strącić ją potem do piekieł.

— A może ona została stworzona po to, by uradować serce wiernego? — podsunął sprytny wezyr. — U Allaha nie ma nic niemożliwego.

¹⁹⁰Atlas — łańcuch górski w płn.-zach. Afryce, na płn. od Sahary. [przypis edytorski]

¹⁹¹Tafilalt — region w pld.-wsch. Maroku, ośrodek uprawy palmy daktylowej. [przypis edytorski]

— A jakżeby inaczej? — odparł Asad. — Tak zostało zapisane w księdze przeznaczeń, a jak nikt nie osiągnie tego, co mu nie jest pisane, tak też nikt nie uniknie tego, co mu jest zapisane. Powziąłem postanowienie. Zostaniesz tu, Tsamanni. Zaczekaj, aż rozpocznie się targ, i kupisz ją. Trzeba ją nauczyć prawdziwej wiary, trzeba ją uratować przed wiecznym ogniem.

Tak więc został wydany rozkaz, którego Tsamanni pragnął z całej duszy. Obliznął się.

— A cena, panie? — zapytał cicho.

— Cena? — odparł Asad. — Czy nie kazałem ci jej kupić? Masz mi ją dostawić, choćby kosztowała tysiąc filipów.

— Tysiąc filipów! — powtórzył Tsamanni w najwyższym zdumieniu. — Allah jest wielki!

Ale Asad już się oddalił; przechodził właśnie pod łukiem bramy, gdzie tłum znów rzucił się przed nim na twarz.

Dobrze było mówić Asadowi, aby Tsamanni czekał na rozpoczęcie targu. Ale dalał¹⁹² nie chciał wydać żadnego niewolnika bez pieniędzy, a Tsamanni nie miał takiej sumy przy sobie. Że jednak sprzedaż miała się zacząć za godzinę, Tsamanni puścił się zaraz po odejściu swego pana do Kasby.

Tsamanni był złośliwy, a jego nienawiść do Fenzileh, objawiająca się w obłudnie pochlebnych uśmiechach i najpokorniejszych salaamach, obejmowała także jej służbę. Nie było jednak na całym świecie człowieka, którym by więcej pogardzał niż bezwłasnym, otyłym eunuchem Ajub-el-Saminem o majestatycznym, kołyszącym się chodzie i grubych, dumnie wydętych wargach.

Ale było Tsamanniemu pisane, że na dziedzińcu Kasby natknie się właśnie na Ajuba, któremu pani jego poruciła śledzenie wezyra. Tłusty ten osobnik wytoczył się naprzód, podtrzymując rękami olbrzymi brzuch i łypiąc małymi oczkami.

— Niech Allah stale polepsza twoje zdrowie, Tsamanni — powitał wezyra uprzejmie. — Przynosisz jakie wiadomości?

— Wiadomości? Co za wiadomości? — odrzekł Tsamanni. — W każdym razie nie takie, które by mogły twoją panią uradować.

— Litościwy Allahu! Cóż to takiego? Czy dotyczą tej europejskiej niewolnicy?

Tsamanni uśmiechnął się, co mocno Ajuba zaniepokoiło, poczuł bowiem, że grunt, po którym stąpa, staje się niepewny. Jeśli jego pani straci wpływy, jest wraz z nią zgubiony i będzie jako pył na sandałach Tsamanniego.

— Na Koran, ty drżysz, Ajubie! — dworował z niego Tsamanni. — Twoje delikatne sadelko trzęsie się jak galareta, i nie bez powodu, albowiem dni twoje są policzone, ojczu, który nic nie płodzisz.

— Drwisz ze mnie, psie?! — krzyknął przeraźliwie eunuch, nie posiadając się ze złości.

— Ty mnie będziesz nazywał psem? Ty? — I Tsamanni splunął na jego cień. — Idź, powiedz twojej pani, że basza mi polecił kupić tę dziewczynę. Powiedz jej, że chce ją wziąć za żonę, tak jak niegdyś Fenzileh, aby ją wprowadzić na łono prawdziwej wiary i odebrać szatanowi tak kosztowny klejnot. Dadaż jeszcze, że mi ją polecił kupić, choćby go kosztowała tysiąc filipów. Zanieś jej tę wieść, ojczu wiatru, i niech Allah powiększy twój kالدun! — Z tymi słowy Tsamanni oddalił się.

— Niech synowie twoi poginą, a córki staną się ulicznicami! — darł się za nim eunuch, doprowadzony do wściekłości i groźną wiadomością, i obelgami, które jej towarzyszyły.

— A twoi synowie niech zostaną wszyscy sułtanami, Ajubie! — odparł Tsamanni.

Dysząc jeszcze pasją, której nawet na chwilę nie przytłumił niepokój wywołany złą wieścią, Ajub wtoczył się do komnaty swej pani i począł zdawać jej relację z tego, co zaszło.

Wysłuchiwała go bez słowa, mimo że dygotała ze złości. Poczęła jednym tchem miotać przekleństwami na Asada i niewolnicę, życzyła im obojgu, aby Allah połamał im kości, skaził ich twarze i ciała ich obrócił w zgniliznę — a czyniła to z ogniem kobiety urodzonej i wychowanej w „prawdziwej wierze”. Ochłonawszy nieco po tym wybuchu, siedziała jakiś

¹⁹²dalał (ar.) — handlarz, pośrednik; człowiek prowadzący licytację. [przypis edytorski]

czas w tępych zamyśleniu. Naraz zerwała się i poleciła Ajubowi zbadać, czy ktoś się nie czai za drzwiami i nie podsłuchuje.

— Musimy działać, Ajubie, i to działać szybko, bo inaczej jestem zgubiona, a ze mną będzie zgubiony Marzak, który sam nie potrafi stawić ojcu czoła. Sakr-el-Bahr w proch nas zetrze — urwała pod wpływem jakiejś nagłej myśli. — Tak, specjalnie przywiózł tu tę białą jędzę. Ale musimy go przechytryć, jego i Asada, bo inaczej i ty, Ajubie, jesteś zgubiony.

— Przechytryć? — powtórzył eunuch, zdumiony energią jej ducha i ciała, niespożykaną wprost u kobiety. — Przechytryć?...

— Najpierw, Ajubie, trzeba usunąć tę dziewczkę, aby jej nie mógł dostać.

— No dobrze, ale jak?

— Jak? Czy twój dowcip¹⁹³ tak jest ograniczony, że ci żadnego sposobu nie podsunie? Musisz Tsamanniego przelicytować, a właściwie, jeszcze lepiej, podstawić kogoś, kto tę niewolnicę dla mnie kupi. Potem — nasza już w tym głowa, aby przepadła jak kamień w wodę.

Ajub zbladł, zęby mu szczękały ze strachu.

— A... a... ryzyko? Czyś wzięła pod uwagę ryzyko, o Fenzileh? Co się stanie, gdy Asad wpadnie na trop?

— Nie wpadnie — zapewniła. — A nawet gdyby, to znalazłszy się wobec faktu dokonanego, któremu nie można zapobiec, podda się temu, co było napisane. Zaufaj mi, wiem, jak do tego doprowadzić.

— Pani, pani! — wołał, załamując tłuste ręce, eunuch. — Ja nie mam odwagi!

— Nie masz odwagi! Na co? Ja ci każę tylko iść i kupić dziewczynę za moje pieniądze, co ci więcej obchodzi, ty psie? Resztę załatwi kto inny. Chodź, dostaniesz pieniądze, wszystkie, jakie mam, około tysiąca pięciuset filipów. Co ci z kupna zostanie, jest twoje.

Ajub myślał chwilę i doszedł do przekonania, że Fenzileh ma rację. Nikt nie może uczynić mu zarzutu, że wykonuje rozkazy swej pani. I zarobi na tym — a jakże, i jaka to będzie rozkosz przelicytować tego psa Tsamanniego, aby stanął z próżnymi rękami w obliczu gniewu swego pana, wystrychniętego na dudka.

Rozłożył ręce i zupełnie już uspokojony zgął się w pokornym salaamie.

X. TARG NIEWOLNIKÓW

W Sôk-el-Abeed nadeszła chwila licytacji. Obwieścił ją wrzask trąb i warkot bębnow. Kupcy, którzy mieli pozwolenie uprawiać handel w obrębie murów, pozamykali swe kramiki. Żydowski handlarz kosztowności zatrzasnął wieko swej skrzynki i zniknął, robiąc na stopniach dokoła studni miejsce dla najdostojniejszych patronów targu. Ustawili się śpiesznie dokoła studni, twarzami zwróceni na zewnątrz, pospólstwo zaś stłoczyło się wzdłuż południowej i zachodniej strony dziedzińca.

Weszli Murzyni w białych turbanach z naczyniami wody i kropidlami sporządzonymi z palmowych liści, którymi poczęli skrapiać ziemię, by zapobiec podnoszeniu się kurzu pod nogami kupujących i niewolników. Trąby ucichły na chwilę, potem ozwał się jeszcze jeden mocny sygnał, wreszcie wszystko umilkło. Koło bramy ciżba rozstała się w prawo i w lewo i wolnym, uroczystym krokiem weszli na dziedziniec trzej dalalowie w białych szatach i turbanach niepokalanej czystości.

Zatrzymali się u zachodniego krańca długiego muru; główny zaś dalal wysunął się odrobinę naprzód.

Na ich widok gwar przycichł, przechodząc stopniowo w szmer szeptu, potem jak gdyby w brzęczenie pszczół, wreszcie w zupełną ciszę. W dostojnym, uroczystym zachowaniu dalalów było coś kapłańskiego, tak że z nastaniem ciszy scena przypominała obrządek religijny.

Główny dalal stał chwilę w głębokim skupieniu, ze spuszczonymi oczyma, następnie wyciągając przed siebie ręce jak do błogosławieństwa, począł się modlić monotonnym, śpiewnym głosem.

— W imię Allaha litościwego i pełnego miłosierdzia, który stworzył człowieka z krwi! Wszystko, co jest w niebiosach i co jest na ziemi, niech wielbi Allaha, który jest mądrością

¹⁹³dowcip (daw.) — inteligencja, bystrość umysłu. [przypis edytorski]

i mocą! Jego jest królestwo niebios i ziemi. On ożywia i zabija i on włada wszystkim. On jest pierwszy i ostatni, widzialny i niewidzialny i on zna wszystko.

— Amen — odpowiedział chórem tłum.

— Chwała jemu, który zesłał nam Mahometa, swego Proroka, by dał światu prawdziwą wiarę, a przekleństwo zatwardziałemu szatanowi, który prowadzi wojnę z Allahem i dziećmi jego.

— Amen.

— Błogosławieństwo Allaha i pana naszego Mahometa temu targowi i wszystkim, którzy tu będą kupować i sprzedawać. Oby Allah pomnożył ich mienie i wydłużył dni ich żywota, by go wielbić mogli.

— Amen — odpowiedział tłum, który powoli zaczął falować. Modlitewne skupienie zastąpiły szmery rozmów i każdy zaczął sobie szukać miejsca.

Dalal klasnął w dłonie i na ten znak rozsunęły się zasłony, ukazując zbitą ciżbę niewolników. Było ich około trzystu, w trzech zagrodach.

W środkowym pomieszczeniu — w którym przebywali także Rozamunda i Lionel — stała na samym przodzie para dorodnych młodych Nubijczyków, gibkich i muskularnych, którzy patrzyli na siebie z największą obojętnością, zupełnie nieprzejęci własnym losem. Wpadli oni dalalowi w oko i choć zwykłym porządkiem rzeczy kupujący sam wskazywał niewolnika, którego sobie upatrzył, tym razem, by zrobić dobry początek, dalal sam wskazał korsarzom stojącym na straży tę dorodną parę i obaj Murzyni zostali wyprowadzeni.

— Tu jest piękna para — obwieścił dalal — o silnych mięśniach i długich członkach, jak to każdy widzi, wstyd byłoby ich rozdzielać. Kto potrzebuje dwójki do ciężkiej roboty, niech wymieni cenę.

Szedł powoli wzdłuż muru, a za nim obaj Murzyni popędzani przez korsarzy, aby każdy kupujący mógł ich dokładnie obejrzeć.

W tłumie, w pobliżu bramy, stał Ali wysłany przez Othmaniego, by kupić kilku tęgich ludzi, potrzebnych do uzupełnienia liczby galerników na statku Sakr-el-Bahra. Przykazano mu kupować tylko najlepszy towar — z jednym zastrzeżeniem: wśród załogi nie ma miejsca na słabeuszów, którzy mdlejąc, trudzą tylko dozorców. Ali z góry zapowiedział, czego szuka.

— Mam nabyć kilku niewolników, zdrowych i silnych, dla Sakr-el-Bahra — oświadczył głośno i chętnie, gdy z podziwem i szacunkiem zwróciły się na niego oczy zebranych jako na jednego z oficerów uwielbianego Olivera-Reisa, który był chlubą islamu i ostrzem miecza wymierzonego przeciw niewiernym.

— Ci świetnie nadają się na galerników, o Ali-Reisie — odpowiedział dalal uroczysto. — Ile dasz za nich?

— Dwieście filipów za obu.

Dalal począł obchodzić zebranych poważnym krokiem, a niewolnicy szli za nim.

— Ofiarowano mi dwieście filipów za parę najtęższych niewolników, jakich kiedykolwiek zesłała na ten targ łaska Allaha. Kto da pięćdziesiąt filipów więcej?

Jakiś dobrze wyglądający Maur w luźnej, niebieskiej szacie powstał ze stopnia przy studni, gdy dalal go mijał, a niewolnicy, czując w nim kupca i przekładając każdą inną służbą nad galery, które im groziły, przypadli do niego, by mu ucałować dłonie i łasić się jak psy.

Ze spokojem i godnością przesuwając po nich rękami, obmacując mięśnie, na koniec otworzył im siłą usta, by zbadać zęby.

— Dwieście dwadzieścia za obu — wyrzekł, a dalal poszedł z towarem dalej, obwołując ostatnią cenę.

Skończywszy okrażenie, stanął znowu przed Alim.

— Obecnie cena wynosi dwieście dwadzieścia, o Ali! Ale, na Koran, oni są warti co najmniej trzysta. Czy dasz trzysta?

— Dwieście trzydzieści — brzmiała odpowiedź.

Dalal wrócił do Maura.

— Ofiarowano mi teraz dwieście trzydzieści, o Hamecie. Czy dodasz jeszcze dwadzieścia?

— Na Allaha, nie! — odparł Hamet i zasiadł z powrotem. — Niech on ich bierze.

— A może jeszcze z dziesięć filipów? — targował się dalal.
— Ani jednego aspra¹⁹⁴!
— Są więc twoi, o Ali, za dwieście trzydzieści. Podziękuj Allahowi za takie dobre kupno.

Nubijczyków oddano ludziom Alego, a dwaj towarzysze dalala wystąpili naprzód, by uregulować rachunek z korsarzem.

— Zaczekajcie trochę — rzekł Ali — czy imię Sakr-el-Bahra nie jest dostateczną rękojmią?

— Niewzruszone prawo mówi, że należność musi być wypłacona, zanim kupiony niewolnik opuści halę, o potężny Ali!

— I tak też się stanie — odparł Ali zniecierpliwiony — zapłacę, nim stąd odejdą. Ale ja potrzebuję jeszcze innych, więc zrobimy rachunek razem, jeśli nie masz nic przeciwko temu. O ten! Mam polecenie kupić go dla mego wodza — wskazał na Lionela, stojącego obok Rozamundy jako uosobienie fizycznej niemocy.

W spojrzeniu dalala odmalowała się pogarda i zdziwienie — ale tylko na chwilę. Szybko ukrył je pod maską spokoju i powagi.

— Wyprowadzić tego ryżego niewiernego — rozkazał.

Korsarze chwycili Lionela za ręce. Usiłował się bronić, ale kobieta stojąca obok niego nachyliła się i szepnęła mu coś do ucha, po czym bez oporu dał się wyprowadzić.

— Potrzebujesz go do wiosła, Ali? — zawołał Ajub-el-Samin przez cały plac. Dowcip ten wywołał ogólny śmiech.

— Czemu nie? — odparł Ali. — Przynajmniej niedrogi.

— Niedrogi? — powtórzył dalal z udanym zdziwieniem. — To niewolnik wcale niczego, a przy tym młody. Ile więc dasz? Sto filipów?

— Sto filipów? — zawołał Ali drwiąco. — Sto filipów za te kości powleczone skórą? Daję pięć filipów.

Znowu rozległ się śmiech w tłumie. Ale dalal uciszył go wyniosłą miną. Zdawało mu się, że ten śmiech dotyczył jego osoby, no, a on nie mógł przecież na to pozwolić.

— To był żart, mój panie — odparł, ruchem ręki przebacząc, ale i karcąc. — Popatrz, jaki on zdrow! — skinął na jednego z korsarzy, który w tej chwili rozciął Lionelowi kaftan, obnażając go po pas i odsłaniając ciało nadszpodziewanie harmonijnej budowy. Rozwścieczony tą zniewagą Lionel zaczął się szamotać, ale lekki cios w plecy uświadomił mu szybko, co go czeka, jeżeli się nie uspokoi.

— Popatrz na niego teraz — przemówił dalal, wskazując na białą tors. — Czy widzisz, jaki on zdrow? Zobacz, jakie ma wspaniałe zęby.

— Ale popatrz na te suche nogi i na te ramiona jak u kobiety — odpowiedział Ali.

— Ten niedostatek wyrówna wiosło — dowodził dalal.

— Wy plugawe czarnuchy! — wybuchnął wściekły Lionel.

— Ciska jakieś przekleństwa w swej pogańskiej mowie — zauważył Ali. — Widzisz, usposobienie ma gwałtowne. Powiedziałem, pięć filipów, ani aspra więcej.

Wzruszając ramionami, dalal począł znowu obchodzić plac, a korsarze popychali Lionela za nim. Tu podniosła się jedna ręka, by go obmacać, tam druga, ale nikt się z kupnem nie kwapił.

— Ofiarowano mi niedorzeczną cenę pięciu filipów za tego młodego cudzoziemca! — wołał dalal. — Czy żaden wierny nie da za takiego niewolnika dziesięć? Może ty, Ajubie? A ty, Hamecie, nie dasz dziesięciu filipów?

Ale wszyscy tylko potrząsali głowami. Chuda twarz Lionela nie była zachęcająca. Znali już takich niewolników i wiedzieli z doświadczenia, że źle się na nich wychodzi. Był wprawdzie nieźle zbudowany, ale mięśnie miał za wiotkie, ciało zbyt gładkie i delikatne. Co komu przyjdzie z niewolnika, którego trzeba najpierw trenować i odkarmiać, aby nabrał sił, a który tymczasem może zemrzeć? Nawet i pięć filipów było za wiele. Zniechęcony dalal wrócił do Alego.

— Jest więc twój za pięć filipów i niech ci Allah sknerstwo przebaczy!

¹⁹⁴*asper*, tur. *akçe* — srebrna moneta osmańska, warta pod koniec XVI w. ok. 1/120 włoskiego dukata. [przypis edytorski]

Ali wyszczerzył zęby w uśmiechu, a jego ludzie ujęli Lionela i zaprowadzili go do poprzednio kupionych dwóch Murzynów.

Zanim Ali zdążył zażądać pokazania innych niewolników, do dalala podszedł wysoki stary Żyd w czarnym kaftanie i spodniach, z kryzą¹⁹⁵ na szyi, jak kastylijski szlachcic, w czapce przybranej piórami na siwych włosach i ze sztyletem u pasa z kutego złota.

W jednej z zagród, wśród niewolników zdobytych przez Biskainego w pomniejszych wyprawach, siedziała może dwudziestoletnia andaluzyjska dziewczyna, czysty typ hiszpańskiej piękności. Jej twarz odznaczała się ciepłym odcieniem kości słoniowej, bujne włosy czernią hebanu, brwi tworzyły pięknie zarysowane łuki, oczy miały miękkość i barwę ciemnobrązowego aksamitu. Ubrana była w malowniczy ludowy kastylijski strój. Czerwono-żółta chusta na staniku odsłaniała wdzięczną linię karku. Była bardzo blada, miała dziki błysk w oczach, co zresztą nie ujmowało nic z jej piękności.

Dziewczyna zwróciła uwagę Żyda; niewykluczone, że obudziła się w nim chęć pomszczenia na niej okrutnych tortur, palenia na stosie, konfiskat i wygnań, jakich doznawali jego współwynawcy ze strony jej ziomeków. Może przypomniał sobie pogromy gett¹⁹⁶, gwałcenie żydowskich dziewcząt i żydowskich dzieci w imię Boga, którego czcili hiszpańscy chrześcijanie — dość, że w jego czarnych oczach i w ruchu ręki, gdy wskazywał dziewczynę, była pełna pogardy zaciekłość.

— Za tę kastylijską dziewczkę dam pięćdziesiąt filipów, dalalu — ozwał się.

Dalal dał znak i korsarze wyprowadzili szamoczącą się dziewczynę.

— Takiej piękności nie kupisz za pięćdziesiąt filipów, Ibrahimie — rzekł. — Jusuf da przynajmniej sześćdziesiąt — zatrzymał się wyczekując przed Maurem, którego okazały strój jaśniał przepychem.

Ale Maur potrząsnął głową.

— Na Allaha, mam trzy żony, które by się w jednej chwili z jej piękną uporały. Rezygnuję.

Dalal poszedł dalej, a dziewczyna za nim, ciągle wydzierając się korsarzom i obrzucając ich namiętnymi przekleństwami w kastylijskiej mowie. Jednemu wbiła w ręce paznokcie, drugiemu z wściekłości napłuła w twarz. Zmęczone oczy Rozamundy ożywiły się, los biednej dziewczyny i poniżająca furia, z jaką bezskutecznie usiłowała się bronić, napawały ją grozą. Zgoła inne jednak wrażenie wywarło zachowanie dziewczyny na pewnym lewantyńskim Turku. Podniósł się ze swego miejsca tuż przy ścianie, niski, przysadzisty, i rzekł:

— Dam sześćdziesiąt filipów za ten rozkoszny owoc, za tę dziką kozicę.

Ale Ibrahim nie dał się przelicytować. Podniósł cenę do siedemdziesięciu, a gdy Turek po pewnym wahaniu zaofiarował osiemdziesiąt, posunął się do dziewięćdziesięciu. Nastąpiła pauza.

Dalal judził Turka.

— Chcesz się dać pobić Żydowi? I ta ślicznotka ma się znaleźć w rękach tego fałszerza Pisma¹⁹⁷, tego dziedzica ognia wiecznego, członka plemienia, które bliźniemu nie odda nawet takiej przysługi, ile warta jest wypłuta pestka daktyla? To byłaby hańba dla wiernego.

Turek, któremu w ten sposób przemówiono do sumienia, dodał jeszcze pięć filipów, lecz z wyraźnym ociąganiem. Ale Żyd, zupełnie niezrażony wygłoszoną przeciw niemu tyradą, nawykły co dzień wysłuchiwać podobnych, wydobył zza pasa ciężką sakiewkę.

— Tu jest sto filipów — oznajmił. — To bardzo dużo. Ale daję.

Zanim bogobojny i uwodzicielski język dalala ozwał się z nową zachętą, Turek usiadł, dając gestem do zrozumienia, że się wycofuje.

— Niech się nią nacieszy — rzekł.

— Więc jest twoją, Ibrahimie, za sto filipów.

¹⁹⁵kryza — kolisty marszczony kołnierz, noszony w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

¹⁹⁶getto — wydzielona dzielnica żydowska. [przypis edytorski]

¹⁹⁷fałszerza Pisma — wg islamu Mojżesz był prorokiem Boga, podobnie jak inni prorocy żydowscy, lecz *Tora* (Pięcioksiąg Mojżeszowy), najważniejszy objawiony tekst judaizmu, jest co prawda „słowem Allaha”, ale przeinaczonym przez dawnych Żydów; niektóre z historii biblijnych przedstawione zostały w *Koranie* w wersjach alternatywnych, rozbudowanych bądź rozbieżnych, lub mają inne interpretacje. [przypis edytorski]

Żyd oddał kieskę¹⁹⁸ biało ubranym pomocnikom dalala i wystąpił naprzód, by odebrać dziewczynę. Pchnięta mocno przez korsarzy, poleciała ku niemu mimo oporu, a jego ramiona zamknęły się na chwilę wokół niej.

— Drogoś mnie kosztowała, córko Hiszpanii — rzekł — ale jestem zadowolony. — Chodź.

Usiłował ją wyprowadzić. Nagle ruchem tygrysicy poderwała ręce w górę i wbiła Żydowi paznokcie w twarz. Krzyknawszy z bólu, puścił ją; dziewczyna z szybkością błyskawicy wyrwała mu zza pasa sztylet, który sam zdawał się o to prosić.

— *Valga me Dios!*¹⁹⁹ — zawołała i nim ktokolwiek zdołał jej przeszkodzić, wbiła sobie ostrze w pierś i runęła u jego nóg, śmiejąc się i rżąc. Ciało jej poczęło konwulsyjnie drgać, a po chwili leżała już martwa.

Ibrahim patrzył na trupa osłupiałym wzrokiem, a na targowisku zaległa uroczyście, pełna szacunku cisza.

Rozamunda zerwała się, lekki rumieniec oblał jej bladą twarz, oczy zapalały. Za pośrednictwem tej biednej hiszpańskiej dziewczyny Bóg wskazał jej drogę i z pewnością Bóg da jej możliwość wejścia na nią, gdy przyjdzie czas. Poczuła nagle ulgę i otuchę. Śmierć była szybkim uwolnieniem, łatwą ucieczką przed tą grozą, która nad nią wisała. Miała pewność, że Bóg w swej dobroci i litości przebaczy samobójstwo i jej, i tej nieszczęsnej andaluzyjskiej dziewczynie.

Wreszcie Ibrahim otrząsnął się z osłupienia. Z premedytacją przestąpił trupa i z twarzą wykrzywioną wściekłością stanął zuchwale przed obojętnym dalalem.

— Nie żyje! — wycharczał. — Zostałem oszukany! Oddaj mi pieniądze!

— Czy naszym obowiązkiem jest zwracać pieniądze za każdego niewolnika, który umrze? — zapytał dalal.

— Ale jeszcze nie była mi oddana — szalał Żyd. — Moje ręce jeszcze jej nie dotknęły. Oddaj mi pieniądze.

— Łesz, psi synu — brzmiała beznamietna odpowiedź. — Była twoja. Podalem to już do publicznej wiadomości. Zabierz ją stąd, bo do ciebie należy.

Żyd zrobił się purpurowy, ledwo mógł złapać oddech.

— Co?! — zawołał zduszonym głosem. — Mam stracić sto filipów?

— Co napisane, to napisane — odpowiedział niewzruszony dalal.

Ibrahim pieniał się, oczy nabiegły mu krwią.

— Ale nigdy nie było napisane...

— Spokój! — rzekł dalal. — Gdyby nie było napisane, nie stałoby się. Taka była wola Allaha. Kto ośmieli się przeciwko niej buntować?

W tłumie ozwały się pomruki.

— Żądam moich stu filipów — nalegał Żyd, a pomruki przeszły stopniowo w groźne okrzyki.

— Słyszysz? — mówił dalal. — Niech ci Allah przebaczy to zakłócenie spokoju. Idź, nim cię co złego spotka.

— Precz, precz! — ryczał tłum, a niektórzy już groźnie przysuwali się do Ibrahima.

— Precz, ty fałszerzu Księgi Świętej! Ty plugawcze! Ty psie! Precz!

Podniósł się taki zgielek, twarze były tak wzburzone, a zaciśnięte pięści tak blisko jego nosa, że wystraszony Ibrahim spuścił z tonu i w przerażeniu zapomniał o stracie.

— Idę już, idę — z tymi słowami zawrócił szybko ku wyjściu.

Ale dalal przywołał go z powrotem.

— Zabierz swoją własność — rzekł, wskazując na ciało.

Na Ibrahima spadły nowe szyderstwa, gdy jego niewolnicy wywlekali trupa, za którego zapłacił szczerym, pięknym złotem. Ale w bramie Żyd zatrzymał się jeszcze.

— Odwołam się do baszy — groził — Asad-ed-Din jest sprawiedliwy, on mi odda pieniądze.

— Tak samo ci odda — odparł dalal — jak ty przywrócisz życie zmarłej.

I pochylił się do tłustego Ajuba, który go pociągnął za rękaw, szepcząc mu coś do ucha. Zgodnie z życzeniem Ajuba dalal kazał wyprowadzić Rozamundę.

¹⁹⁸kieska — zdrobn. od *kiesza*: woreczek do przechowywania pieniędzy, sakiewka, mieszek. [przypis edytorski]

¹⁹⁹*Valga me Dios!* (hiszp.) — Boże, dopomóż! [przypis edytorski]

Nie stawiała najlżejszego oporu, szła machinalnie, bez życia, jak lunatyczka. W skwarze słońca stała przy dalalu, obok studni, a on rozwodził się nad jej fizycznymi przymiotami w owym żargonie różnorodnych ras, jakie się tu zebrały, w żargonie, który dzięki znajomości francuskiego rozumiała ku swemu wstydowi i męce.

Pierwszym, który złożył ofertę, był ten sam okazały Maur, niedoszły nabywca dwóch Nubijczyków. Podniósł się, by ją dokładnie zbadać. Widocznie oględziny go zadowolily, bo od razu wymienił okazałą sumę z pogardliwą pewnością, że nikt go nie przeliczytuje.

— Sto filipów za białolicą dziewczynę.

— To mało. Popatrz na wdzięk jej twarzy, przypominający światło księżyca — rzekł dalal i minął go. — Chigil dostarcza nam pięknych kobiet, ale żadna z nich nie była ani w połowie tak piękna.

— Sto pięćdziesiąt — zawołał energicznie Turek.

— Jeszcze nie dosyć. Spójrz na ten wspaniały wzrost, jakiego jej Allah udzielił! Spójrz, jak dumnie trzyma głowę, jaki blask jej oczu! Zaprawdę, godna jest, by zdobić harem samego sułtana!

Mówił nie więcej, niż było oczywiste, i lekkie podniecenie poczęło ogarniać tak zwykle flegmatyczny tłum. Maur z Tagarii, imieniem Jusuf, ofiarował od razu dwieście.

Ale dalal nie zaprzestawał reklamy. Podniósł jej rękę, by wszyscy mogli ją obejrzeć, a ona pozwalała na wszystko ze spuszczonymi oczyma, nie próbując protestu, z lekkim rumieńcem, który pojawiał się na jej twarzy i znikał.

— Popatrzcie na jej członki, miękkie, jak jedwabie z Arabii, a bielsze od kości słoniowej. Popatrzcie na te usta jak kwiaty granatu. Obecna cena wynosi dwieście filipów. A ty ile dasz, Hamecie?

Hamet był zły, że jego pierwotna oferta tak szybko została podwojona.

— Na Koran, taniej nabyłem trzy krzepkie dziewczęta z Sus.

— Chyba nie będziesz porównywał płaskogębnych dziewczyn z Sus z tą chlubą niewieściego rodu o oczach jak narcyzy — zgromił go dalal.

— Więc dwieście dziesięć — burknął Hamet.

Czujny Tsamanni uznał, że nadeszła chwila, by zgodnie z rozkazem kupić Rozamundę dla jego pana.

— Trzysta — rzucił obojętnie, by sprawę zakończyć.

— Cztery — zapiszczał przeraźliwy głos tuż za nim.

Zdumiony obrócił się i ujrzał złośliwą twarz Ajuba. Po obecnych przeszedł szmer, wszyscy się odwrócili, by ujrzeć tak szczodrego kupca.

Jusuf z Tagarii zerwał się wściekły. Obwieścił oburzony, że nigdy odtąd kurz tutejszego targowiska nie zbruka jego sandałów, że nigdy już nie przyjdzie tu kupować niewolników.

— Na źródło Zem-Zem²⁰⁰ — zaklinał się — wszyscy są tu dziś urzeczeni. Czteryście filipów za europejską dziewczę! Niech Allah przysporzy wam zdrowia, bo bardzo wam jest potrzebne. — I wzburzony zaczął posuwać się ku bramie, torując sobie w tłumie drogę łokciami, aż wreszcie zniknął.

Cena znowu podskoczyła w górę. Jeszcze Tsamanni nie ochłonął ze zdziwienia, odkrywszy swego niespodziewanego współzawodnika, gdy dalal wymógł już na Turku wyższą cenę.

— To szaleństwo — skarżył się Turek — ale ona mi się podoba i jeżeli Allah litościwy pozwoli, bym ją wwiódł w światło prawdziwej wiary, stanie się słońcem mojego haremu. A więc, dalalu, czterysta dwadzieścia filipów i niech mi Allah rozrzutność przebaczy.

Zaledwie przebrzmiały te słowa, gdy Tsamanni zadeklarował pięćset filipów.

— *J'Allah!*²⁰¹ — zawołał Turek, wznosząc ręce ku niebu, i cały tłum powtórzył: *J'Allah!*

— Pięćset pięćdziesiąt — przebił się przez ten pomruk pisk Ajuba.

— Sześćset — odparował Tsamanni flegmatycznie.

Te bezprzykładne ceny wywołały taki tumult, że dalal był zmuszony podnieść głos, wzywając do ciszy.

²⁰⁰*Zamzam* a. *Zemzem* (ar.) — studnia w Mekce, w pobliżu świątyni Al-Kaba, najświętszego miejsca islamu; wg tradycji zasilana cudownym źródłem, które wytrysnęło w czasach Abrahama, gdy Hagar pozostawiona na pustyni z małym synem Izmaelem (wg *Koranu* przodkiem wszystkich Arabów) rozpaczliwie poszukiwała wody. [przypis edytorski]

²⁰¹*J'Allah!*, skrócone: *Ja Allah!* (ar.) — o Boże! [przypis edytorski]

Gdy spokój został przywrócony, Ajub podbił cenę do siedmiuset.
— Osiemset — huknął Tsamanni, zaczynając się gorączkować.
— Dziewięćset — licytował Ajub.
Tsamanni zwrócił się ku niemu gwałtownie, blady z wściekłości.
— Czy to są kpiny, ojcie wiatru? — krzyknął i wywołał głośny wybuch śmiechu swoim epitetem.
— Ten żart drogo cię będzie kosztował.
Wzruszając ramionami, Tsamanni znów obrócił się do dalala.
— Tysiąc filipów — rzekł krótko.
— Cisz tam! — wołał znowu dalal. — Cisz! Chwała Allahowi, który nam zsyła takie dobre ceny!
— Tysiąc sto — rzekł niepokonany Ajub.

Tsamanni znowu został podbity, ale, co gorsza, doszedł już do granicy, oznaczonej przez Asada. Nie miał upoważnienia, by iść dalej, a nie śmiał decydować na własną rękę. Gdyby się jednak choć na chwilę oddalił, Ajub dziewczynę zagarnie. Znalazł się między młotem a kowadłem. Jeżeli pozwoli się przelicytować, to basza się rozgniewa, z drugiej zaś strony, jeśli przekroczy lekkomyślnie wyznaczoną granicę, i tak przechodzącą wszelkie możliwości, skończy się to pewnie nie lepiej.

Odwrócony twarzą do tłumu zaczął gwałtownie gestykulować.

— Na brode Proroka, ten pęcherz napełniony powietrzem i sadłem robi sobie niezłe kpiny. On nie ma zamiaru kupić. Czy słyszał kto, żeby niewolnica kosztowała choć połowę tego?

Odpowiedź Ajuba była wymowna; wydobył tego wypchany mieszek i rzucił go na ziemię. Mieszek spadł, wydając miękki brzęk.

— Oto moja rękojmia — rzekł, szczerząc zęby i pasąc się wściekłością i klęską swego wroga, tym bardziej że zwycięstwo nic go nie kosztowało. — Czy mam wypłacić tysiąc sto filipów, dalalu?

— Jeżeli wezwr Tsamanni nie ma nic przeciwko temu.

— Czy wiesz, dla kogo ją kupuję?! — ryknął Tsamanni. — Dla samego baszy Asad-ed-Dina, wybrańca Allaha! — Przysunął się do Ajuba z podniesionymi pięściami. — Co mu odpowiesz, ty psie, gdy się dowie, że śmiałeś mu udaremnić kupno?

Ale ten wybuch szału zupełnie Ajuba nie wzruszył. Gestem ubolewania rozłożył swe tłuste ręce, zmrużył oczy i wydał usta.

— Skąd ja mogłem o tym wiedzieć, skoro Allah nie uczynił mnie wszystkowiedzącym? Powinieneś być powiedzieć wcześniej. Tak też odpowiem baszy, jeżeli mnie o to zapyta, a basza jest sprawiedliwy.

— Nie chciałbym być tobą, Ajubie, nawet gdyby mi ofiarowywano tron w Stambule.

— Ani ja tobą, Tsamanni, bo z wściekłości żółć ci się rozlała.

Stali tak naprzeciw siebie, obrzucając się groźnymi spojrzeniami, aż dalal wezwał ich do sfinalizowania transakcji.

— Cena wynosi obecnie tysiąc sto filipów, czy dasz się pobić, Tsamanni?

— Tak chce Allah. Nie mam pozwolenia iść wyżej.

— A więc za tysiąc sto filipów, Ajubie, jest...

Ale i tym razem kupno nie miało dojść do skutku. Ze zbitego i ruchliwego tłumu przy bramie doleciał mocny głos:

— Tysiąc dwieście filipów za europejską dziewczynę.

Dalal już dawno uznał, że szaleństwo osiągnęło punkt kulminacyjny — teraz ze zdumienia otworzył usta.

Tłum począł się radować, drwić, huczeć, roznamietniony niebywałą sensacją. Nawet Tsamanni rozchmurzył się na widok wstępującego w szranki nowego zapaśnika, który może pomścić go na Ajubie. Ciżba rozstąpiła się szybko w prawo i w lewo i wszedł Sakr-el-Bahr. Poznano go zaraz i rozmiłowany tłum powitał go hucznymi, pełnymi entuzjazmu okrzykami.

Barbarzyńskie imię Olivera nic nie mówiło Rozamundzie, która odwrócona do wyjścia tyłem nic nie widziała. Ale poznała głos Olivera i wzdrygnęła się na jego dźwięk. Nie mogła się zorientować w tej licytacji ani zrozumieć, co było właściwą przyczyną podniesienia kupujących. Nie mogła dotychczas odgadnąć, jakie nieczne zamiary ma w stosunku

do niej Oliver, ale teraz, gdy usłyszała jego głos, niepewność zniknęła — Rozamunda zrozumiała. Musiał być ukryty gdzieś w tłumie i czekał, aż zostanie tylko jeden licytujący, by wówczas wystąpić i kupić ją dla siebie — jako niewolnicę! Zamknęła oczy i modliła się, by zamiary jego zostały udaremnione. Wolała wszystko inne niż to; chciała go pozbawić nawet tej satysfakcji, by widział, jak wzorem Andaluzyjki odbiera sobie przez niego życie. Przerazenie jej było tak wielkie, że o mało nie straciła przytomności. Na chwilę ziemia zakoleśniała się pod nią i świat zawirował jej w oczach. Osłabienie jednak zaraz minęło.

Usłyszała wrzaski: „*Maszallah!*”²⁰² i „Sakr-el-Bahr!” i głos dalala usiłującego uspokoić tłum. Gdy się wreszcie uciszyło, dalal zawołał:

— Chwała Allahowi, który zsyła nam takich kupców! Co ty na to, Ajubie?

— Właśnie! — drwił Tsamanni. — Co ty na to?

— Tysiąc trzysta — rzekł Ajub z drżeniem w głosie.

— Jeszcze sto, dalalu — odparował spokojnie Sakr-el-Bahr.

— Tysiąc pięćset — zapiszczał Ajub, osiągając w ten sposób nie tylko granicę wyznaczoną mu przez Fenzileh, ale w ogóle granicę jej możliwości finansowych. Gdy ta ostatnia stawka zawiedzie, przepadnie wszelka nadzieja osobistego zysku.

Lecz Sakr-el-Bahr, niewzruszony jak los, nie zniżając się nawet do spojrzenia w stronę roztrzęsionego eunucha, powtórzył znowu:

— Jeszcze sto, dalalu.

— Tysiąc sześćset filipów! — zawołał dalal, bardziej by dać upust swemu zdumieniu, niż by podać tę sumę do ogólnej wiadomości. Na koniec uczynił wyznanie wiary: — Wszystko jest możliwe, jeżeli tak chce Allah. Chwała mu, że zsyła nam bogatych kupców!

Zwrócił się do Ajuba, tak zdruzgotanego, że nawet Tsamanni z tego widoku czerpał pociechę w swej klęsce, rozkoszując się słodyczą zemsty.

— Cóż ty na to powiesz, przesławny wezyr?

— Ja uważam — wyjąkał Ajub — że skoro mu szatan tyle pieniędzy użyczył, to musi być górą.

Lecz zaledwie wymówił te obelżywe słowa, gdy ręka Sakr-el-Bahra spadła na jego kark, a po tłumie przeszedł pomruk aprobaty.

— Z łaski szatana, powiadasz, ty kastrowany pies? — warknął i zacisnął mocniej palce, tak że wezyr zaczął się kurczyć i wić z bólu. Sakr-el-Bahr parokrotnie uderzył jego głowę o ziemię, aż eunuch legł, tarzając się w kurzu targowiska. — Czy mam cię zdeptać, ojcze wszelkiej nieczystości, czy kazać rwać twoje miękkie cielsko hakami, byś się dowiedział, coś winien prawdziwemu mężczyźnie? — mówiąc to, tarł beczelną głową Ajuba o ziemię.

— Łaski! — skomlał wezyr. — Łaski, potężny Sakr-el-Bahrze, jeżeli sam pożądasz łaski Allaha!

— Odwołaj, coś powiedział, śmieciu! Powiedz, żeś łgarz i pies!

— Odwołuję. Podle łąłem. Twoje dostatki są nagrodą zesłaną ci przez Allaha za zwycięstwa nad niewiernymi.

— Wystaw swój plugawy język! — wołał Sakr-el-Bahr — i oczyść go w tym pyłe. Wystaw, mówię!

Przerazony Ajub usłuchał pośpiesznie, po czym Sakr-el-Bahr puścił go, pozwalając wreszcie wstać nieszczęsnemu, duszącemu się od kurzu, wybladłemu eunuchowi, który był przedmiotem okrutnych drwin zgromadzonych.

— A teraz wynoś się, nim cię moje sokoły pochwyć w swe spony. Marsz!

Ajub oddalił się pośpiesznie, żegnany coraz dosadniejszymi uwagami tłumy i docinankami Tsamanniego.

— Za cenę tysiąca sześciuset filipów ta niewolnica jest twoja, o Sakr-el-Bahrze, sławo islamu — rzekł dalal. — Oby Allah pomnożył twoje zwycięstwa!

— Zapłać, Ali — rzekł korsarz krótko i podszedł do Rozamundy, by ją zabrać.

Stali po raz pierwszy naprzeciw siebie od owego dnia poprzedzającego spotkanie z holenderskim statkiem, kiedy to przyszedł do niej do kabiny na swej galerze.

Oburzona go szybkim spojrzeniem, po czym z obłądnym strachem cofnęła się gwałtownie, błada jak śmierć. Scena z Ajubem, której była świadkiem, odsłoniła przed nią

²⁰²*Maszallah* (ar.) — Bóg tak chciał. [przypis edytorski]

ogrom brutalności, do jakiej Oliver był zdolny. Rozamunda nie wiedziała bowiem, że ten akt przemocy obliczony był specjalnie na wzbudzenie w niej lęku.

Patrzył teraz na nią z okrutnym uśmiechem, który jeszcze bardziej ją przerażał.

— Chodź — przemówił po angielsku.

Cofnęła się, jakby szukając opieki u dalala, ale Sakr-el-Bahr chwycił ją za rękę i cisnął niemal Nubijczykom, Abiadowi i Zal-Zerowi, którzy mu towarzyszyli.

— Zasłonić jej twarz! — rozkazał. — I odprowadzić do mego domu! Naprzód!

XI. PRAWDA

Słońce szybko zniżało się ku krańcom świata, kiedy Sakr-el-Bahr przybył z Nubijczykami i małym orszakiem korsarzy do bram swojego białego pałacu, wznoszącego się na niewielkim wzgórzu poza Bab-el-Oued i poza murami miasta.

Rozamunda i Lionel zostali wyprowadzeni przez ciemną, wąską sien na rozległy dziedziniec, gdy w błękicie nieba dopalały się już resztki gasnącego dnia i mącąc nagle ciszę wieczoru, ozwał się głos muezina, wzywającego wiernych do modlitwy.

Pośród dziedzińca biła fontanna, wyrzucając w górę strzelisty, srebrny słup wody, który rozbiwszy się w miliardy klejnotów, opadał następnie deszczem w szeroki marmurowy basen. Niewolnicy przynieśli Sakr-el-Bahrowi wody. Po dokonaniu ablucji ukląkł na rozpostartym przed nim kobierczyku, by odprawić modły; korsarze zaś, rozkładając własne płaszcze, poszli za jego przykładem.

Nubijczycy kazali się jeńcom odwrócić, aby ich spojrzenia nie bezcześciły modlitwy wiernych. Musieli więc stać twarzą do ściany i zielonej furtki, przez którą płynęło z ogrodu chłodne powietrze, wonne od jaśminu i lawendy. Przez szpary w furtce można było dostrzec istną orgię barw w ogrodzie i niewolników śpiewających przy pracy, póki wezwanie do modlitwy nie zakłęło ich w posągi.

Odprawiwszy modły, Sakr-el-Bahr powstał, rzucił krótki rozkaz i wszedł do domu. Nubijczycy postępowali za nim, pędząc przed sobą niewolników wąskimi schodami na dach, gdzie wedle wschodniego obyczaju mieścił się wyłącznie dla kobiet przeznaczony taras — tu nietknięty stopą niewiasty od chwili, gdy dom ten objął Sakr-el-Bahr.

Taras okolony był wysoką na cztery stopy balustradą. Po wschodniej stronie roztaczał się rozległy widok na przytulone do stoków miasto, aż do przystani i wyspy stanowiącej przedłużenie grobli, zbudowanej pracowicie rękami chrześcijańskich niewolników z kamienia zburzonej fortecy Peñon, którą Hayr ad-Din Barbarossa wydarł Hiszpanom. Coraz głębszy mrok wieczoru skrywał okolicę, przemieniając biel i żółtość murów w zmatowiały poblask pereł. Na zachód rozciągały się wonne ogrody należące do pałacu, a spośród morw i lotosów dolatywało pogruchiwanie gołębi. Poza murami ogrodu, wśród łagodnych wzgórz, wił się wąwóz, a ze stawu obrośniętego trzciną i sitowiem, wśród którego przechadzał się uroczyście bocian, dochodził rechot żab.

W południowej stronie tarasu rozpięta była markiza²⁰³, wsparta na dwóch długich włóczniach. Pod markizą stała otomana z jedwabnymi poduszkami i mały mauretański stolicek hebanowy, inkrustowany²⁰⁴ macicą perłową i złotem. Naprzeciw piął się przy kracie krzew róży, roztaczając przepych swych krwistoczerwonych kwiatów, których barwa stąpała się już z szarością wieczoru.

Tu Lionel i Rozamunda patrzyli na siebie w mroku jak dwa widma, strzeżone przez dwa posągi Nubijczyków.

Lionel wdychał i załamywał ręce. Miał na sobie znowu kaftan, który z niego zdarto, a potem zaszyto prowizorycznie palmowym włóknem. Swym wyglądem budził litość. Ale myślami, o ile wierzyć jego pierwszym słowom, był przy Rozamundzie.

— O Boże, że też coś podobnego musiało cię spotkać! — zawołał. — Żeś takie cierpienia musiała znosić! I to straszne upokorzenie twej kobiecej godności, to barbarzyńskie okrucieństwo! Och! — Zakrył rękami wychudzoną twarz.

Woda

Ogród, Śpiew

Kwiaty, Wieczór

²⁰³markiza — ruchomy daszek z płótna chroniący przed słońcem. [przypis edytorski]

²⁰⁴inkrustowany — ozdobiony inkrustacją: dekoracją powierzchni przedmiotu wykonaną przez osadzenie w niej cienkich płytek z innego materiału np. masy perłowej, metalu, rzadkiego rodzaju drewna. [przypis edytorski]

— Moje cierpienia to drobnostka — przemówiła dziwnie spokojnie i miękko, kładąc mu rękę na ramieniu. — Czy nie mówiłam zawsze, że Godolphinowie to silna rasa? Nawet ich kobiety miały w sobie coś męskiego, a nikt nie zaprzeczy, że i Rozamunda złożyła tego dowody. Nie ubolewaj nade mną, Lionelu, bo moje cierpienia wkrótce się skończą. — Uśmiechnęła się dziwnie, tym uduchowionym uśmiechem, jaki można zobaczyć u męczenników w godzinie zgonu.

— Jak to? — zapytał lekko zaniepokojony.

— Jak? Przecież jedno wyjście zawsze stoi nam otworem, jeżeli chcemy zrzucić ciężar, który stał się za wielki, większy, niż Bóg sobie tego życzy.

Westchnął w odpowiedzi. Przez cały ten czas, który spędzili razem od momentu zejścia na ląd, Lionel jęczał i wzdychał. Gdyby okoliczności pozwoliły jej się nad tym zastanowić, zrozumiałaby, jak wielkiej słabości charakteru dowodziło jego zachowanie w chwili próby, w której prawdziwy mężczyzna, miast płakać nad własną niedolą, czyniłby z pewnością jakieś wysiłki, choćby nawet bezskuteczne, by ją podnieść na duchu.

Weszli niewolnicy z czterema olbrzymimi pochodniami, które wetknęli w żelazne świeczniki na ścianach i które zalały taras ponurym, czerwonym światłem. Niewolnicy oddalili się i zaraz po tym w czarnym otworze drzwi, między Nubijczykami, pojawił się Sakr-el-Bahr.

Stał chwilę i patrzył wyniośle. Twarz jego nie zdradzała żadnych uczuć. Z wolna postąpił naprzód. Miał na sobie biały kaftan do kolan, spięty wspaniałym złotym pasem, który w blasku pochodni błyskał ogniem. Ręce miał obnażone do łokci, nogi zaś do kolan; obuty był w czerwone, haftowane złotem tureckie pantofle. U turbana chwiało się czaple pióro, przypięte spinką z drogich kamieni.

Na dany znak Nubijczycy znikli bezszelestnie, zostawiając go sam na sam z jeńcami.

Sklonił się przed Rozamundą.

— To będzie odtąd, pani, twoje mieszkanie — rzekł. — Traktuję cię bowiem jak panią, nie jak niewolnicę, a tę część domu zamieszkują w Algierze żony. Spodziewam się, że ci się tu spodoba.

Lionel zbladł śmiertelnie na widok brata; w poczuciu winy lękał się najgorszego, wyobrażenia malowała przed nim obrazy okropności, które go miały spotkać, a przerażenie zupełnie go obezwładniło. Cofnął się jak najdalej przed Oliverem, który zdawał się go nie widzieć.

Ale Rozamunda spojrzała mu zuchwale w oczy, wyprostowana dumnie, błada, choć opanowana i chłodna jak on, z falującą piersią, która zdradzała jej wewnętrzne wzburzenie. Wzrok jej pełen był jednak pogardy, a pomimo tego głos zabrzmiał spokojnie, gdy mu odpowiedziała pytaniem:

— Co pan zamierza ze mną zrobić?

— Co zamierzam zrobić? — odparł na to Oliver z zagadkowym uśmiechem. Choć mu się zdawało, że jej nienawidzi, choć chciał ją zranić, skruszyć, upokorzyć, nie mógł stłumić w sobie podziwu dla jej charakteru.

Zza wzgórz wyjrzał róg księżycy, jak sierp z polerowanej miedzi.

— Nie pani sprawa pytać o moje względem niej zamiary — odparł. — Był czas, Rozamundo, kiedy na świecie całym nie miałaś niewolnika bardziej oddanego niż ja. Tyś sama przerwała złote więzy niewolniczego przywiązania zakamieniałości serca, brakiem wiary. Nielatwo będzie ci zrzucić kajdany, które ja teraz na ciebie nakładam.

Uśmiechnęła się pogardliwie, ze spokojem i pewnością siebie. Sakr-el-Bahr podszedł do niej.

— Jesteś moją niewolnicą, rozumiesz? Kupioną na targu jak muł, koza czy wielbłąd — i należysz do mnie z duszą i ciałem. Jesteś moją własnością, moją rzeczą, przedmiotem, którego mogę używać i nadużywać, którym mogę się bawić lub zniszczyć według swego upodobania, bo nikt mi się nie śmie sprzeciwić. Życie twoje zależy wyłącznie od mego kaprysu.

Cofnęła się o krok przed tą nienawiścią, która drgała w jego słowach, przed strasliwym szyderstwem, jakie wykrzywiło jego ciemną, brodatą twarz.

— Bydlę! — syknęła.

— No, więc teraz zdajesz już sobie sprawę z niewoli, w jaką popadłaś, w zamian za tę, którą zburzyła twoja lekkomyślność?

Księżyc

— Niech Bóg panu przebaczy! — wykrztusiła.

— Dziękuję za życzenie, niech przebaczy także i tobie.

Z kąta odezwał się nieartykułowany dźwięk — było to ciężkie, przytłumione westchnienie Lionela.

Sakr-el-Bahr powoli odwrócił się w tamtą stronę. Przez chwilę przyglądał się bratu w milczeniu.

— Ha! To ten, który był moim bratem. Dobry ptaszek, nie ma co mówić. Przypatrz mu się, Rozamundo! Widzisz, jak dzielnie dźwiga swoje brzemie ten filar męskości, na którym chciałaś się oprzeć, ten gagatek, któregoś sobie za męża obrała. Spójrz na niego, na mego drogiego brata.

Pod chłostą tego szyderstwa w Lionelu, którym dotąd niepodzielnie władał strach, wezbrała wściekłość.

— Pan nie jesteś moim bratem! — warknął zuchwale. — Pańska matka była ladaczną, która zdradziła mojego ojca.

Sakr-el-Bahr zatrząsł się jak pod uderzeniem, pohamował się jednak błyskawicznie.

— Niech jeszcze raz twój plugawy język wypowie imię mojej matki, a wydrę ci go z korzeniem. Jej pamięci nie dosięgnie, dzięki Bogu, taki pełzający płaz jak ty, ale mimo to radzę ci, strzeż się mówić źle o tej jedynej świętej dla mnie kobiecie.

Nagle Lionel doprowadzony do pasji rzucił się na niego jak rozjuszony zwierzę, usiłując go schwycić za gardło. Ale Sakr-el-Bahr jednym zręcznym ruchem złapał go i rzucił sobie do stóp.

— Jestem silny, co? — zadrwił. — Nic dziwnego, sześć miesięcy długich jak wieczność wiosłowałem na galerze. Widzisz więc, co zmieniło ciało moje w żelazo, wyganiając z niego duszę precz.

Śmignął Lionelem tak, że ten wpadł na kratę i krzew różany, który ją oplatał.

— Czy zdajesz sobie sprawę z okropności galerniczej ławki? Siedzieć tak dzień w dzień, noc w noc, nagi, przykuty do wiosła, wśród wyziewów i smrodu towarzyszy niedoli, nieczesany, nieumyty, chyba tylko przez deszcz, prażony żywcem na słońcu, ropiejący od wrzodów, smagany batami dozorców wtedy, gdy mdlejesz od nadludzkiego wysiłku? Czy ty to pojmujesz? — Od hamowanej wściekłości głos jego przeszedł w krzyk. — A jeśli nie, to pojmiesz! Te okropności, które mi zgotowałeś, staną się teraz twoim udziałem aż do śmierci.

Zrobił pauzę, ale Lionel nie próbował z niej korzystać. Jego odwaga zgasała tak prędko, jak zapłonęła. Siedział skulony tam, gdzie go brat cisnął.

— Nim jednak tam pójdziesz — mówił Sakr-el-Bahr dalej — jest jeszcze coś do załatwienia i po to kazałem cię tu dziś przyprowadzić. Niezaspokojony jeszcze tym, żeś mnie wydał na męczarnie, żeś mnie napiętnował jako zbrodniarza, sponiewierał moje dobre imię, ukradł mi majątek i zgotował piekło za życia, jeszcze sobie uzurpował moje miejsce w fałszywym sercu tej kobiety, którą kiedyś wielce kochałem.

— Mam nadzieję — ciągnął dalej z namysłem — że ją kochasz na swój sposób, że ją kochasz miłością, do jakiej jesteś zdolny. Do czekających cię więc tortur ciała dodam jeszcze tortury twej łajdackiej duszy, tortury myśli, jakie znają chyba tylko potępieni. Dlatego tutaj jesteś. Masz się dowiedzieć, jaki los przeznaczyłem tej kobiecie, pamiętać o tym masz stąd wynieść, by dręczyła twą duszę więcej niż baty dozorców twe wypieszczone ciało.

— Zły duchu! — warknął Lionel. — Szatanie z piekła.

— Skoro sam ludzi zamieniasz w diabły, padalcze, nie miej im za złe, że nimi są.

— Nie zwracaj na niego uwagi, Lionelu — odezwała się Rozamunda. — Dowiodę mu, że jest w tym samym stopniu kłamcą, w jakim okazał się brutalem. Bądź spokojny, nie zdoła przeprowadzić swych niecných zamiarów.

— Teraz ty kłamiesz — rzekł Sakr-el-Bahr. — A zresztą jestem taki, jakim żeście mnie oboje zrobili.

— Ach, więc myśmy zrobili pana kłamcą i tchórzem, którym w istocie jesteś? — odparła.

— Tchórzem? — powtórzył szczerze zdziwiony. — Jeszcze jedno kłamstwo jego i jego popleczników. W czymże okazałem się tchórzem?

— W czym? Choćby w tym, co teraz robisz, torturując i drwiąc z bezbronnych ludzi, którzy są w twojej mocy.

— Miałem na myśli nie to, czym jestem teraz — jestem tym, czym żecie mnie zrobili — myślałem o tym, czym byłem.

Zmierzyła go swym spokojnym, mocnym wzrokiem.

— Ma pan na myśli przeszłość? — powtórzyła cicho. — Mówisz o przeszłości? Do mnie? Masz czelność?

— Po to panią właśnie przywiozłem z Anglii, byśmy sobie mogli porozmawiać, bym jej wreszcie mógł opowiedzieć rzeczy, które tylko z naiwności przed pięciu laty przemilczałem, byśmy znowu podjęli rozmowę w tym miejscu, w którym ją przerwałaś, wyrzucając mnie od siebie.

— Tak, niewątpliwie wyrządziłam panu wówczas potworną krzywdę — odparła z gorzką ironią. — Oczywiście, postąpiłam wówczas bardzo lekkomyślnie. Trzeba mi się było uśmiechać i obsypać pieszczotami mordercę mego brata.

— Przysięgłem pani wówczas, że go nie zamordowałem — odparł drżącym głosem.

— A ja powiedziałam, że pan kłamie.

— Tak, i wypędziłaś mnie wówczas, bo żadnej wagi nie miało u ciebie słowo człowieka, którego według własnych zapewnień kochałaś, człowieka, którego obdarzyłaś swym zaufaniem.

— Obdarzyłaś pana zaufaniem — odparła — w zupełnej niewiedzy, jakim naprawdę jesteś, w uporze, który mi zamykał uszy na wszystko, co świat cały mówił o panu i o jego wybrykach. Za ten ślepy upór zostałam ukarana, jak na to zasłużyłam.

— Kłamstwo! Wszystko kłamstwo! — wybuchnął. — Te wybryki, a Bóg mi świadkiem, że nie były wcale takie straszne, porzuciłem zupełnie, gdym panią pokochał. Odkąd świat istnieje, żadnego kochanka miłość tak nie oczyściła, nie uszlachetniła, nie podniosła jak mnie.

— Proszę mi tego przynajmniej oszczędzić — zawołała z widocznym wstrętem.

— Oszczędzić? — powtórzył. — Czegóż to?

— Wstydu, jaki mi przynosi wspomnienie, że mogła być kiedyś chwila, w której sądziłam, że pana kocham.

Uśmiechnął się.

— Jeżeli możesz czuć jeszcze wstyd, to on cię zmiażdży, nim skończę, co mam ci do powiedzenia. Bo musisz mnie wysłuchać. Tu nikt nam nie przerwie, tu nikt się nie sprzeciwi mojej nieograniczonej woli. Proszę to wziąć pod uwagę i zapamiętać. Proszę, przypomnij sobie, jaką dumą cię to napępiało, że dokonałaś we mnie takiej przemiany. Ten hołd złożony twej piękności sycił twoją próżność. A mimo to w jednej chwili, na podstawie najbłahszych pozorów uwierzyłaś, że zabiłem twego brata.

— Najbłahszych pozorów?! — zaprotestowała.

— Tak błahych, że trybunał w Truro nie chciał nawet przeciw mnie wystąpić.

— Bo ci panowie wychodzili z założenia, że zostałeś sprowokowany w sposób dostatecznie usprawiedliwiający zabójstwo. Bo nie przysięgałeś im tak jak mnie, że żadne prowokacje cię nie złamią. Bo nie wiedzieli, jak jesteś przewrotny i wiarołomny.

Patrzył na nią chwilę. Następnie zaczął chodzić po tarasie. O Lionelu, ciągle jeszcze skulonym przy krzaku róży, całkiem, zdawało się, zapomniał.

— Boże, daj mi cierpliwość! — rzekł wreszcie. — Bardzo mi jej potrzeba. Bo pragnę, byś wiele rzeczy dziś zrozumiała. Chcę ci udowodnić, jak sprawiedliwa jest moja zemsta, jak sprawiedliwa kara, która was spotyka za to, coście zrobili z mego życia i być może z mojej przyszłości. Sędzia Baine i ten drugi, który zmarł, wiedzieli, że jestem niewinny.

— Wiedzieli, że jesteś pan niewinny? — spytała ironicznie. — A czyż nie byli świadkami pańskiej kłótni z Piotrem i przysięgi, że go pan zabije?

— To była przysięga podyktowana przez chwilowe wzburzenie. Później uświadomiłem sobie, że to pani brat.

— Później? Po zabiciu go?

— Powtarzam jeszcze raz — rzekł zimno — że ja tego nie zrobiłem.

— A ja powtarzam jeszcze raz, że pan kłamie.

Patrzył na nią długą chwilę, potem się roześmiał.

— Czy widziałas, pani, kiedy człowieka, który by kłamał bez celu? Ludzie lżą dla korzyści, z tchórzostwa, złośliwości albo z próżnej chętności. Nie znam innych powodów, które by mogły skłonić mężczyznę do kłamstwa, chyba... no, tak! — Zerknął na Lionela — chyba że mężczyzna kłamie, by osłonić drugiego, kłamie z poświęcenia. Oto wszystkie możliwe motywy kłamstwa. Czy którykolwiek z nich mógł dziś mną powodować? Proszę się zastanowić. Cóż miałbym za cel, kłamiąc teraz? Pamiętaj, Rozamundo, że swoim brakiem wiary doprowadziłaś do tego, że jesteś mi wstrętna, że niczego w tej chwili tak bardzo nie pragnę, jak ukarać cię za krzywdę, którą mi wyrządziłaś, i za wszystkie następstwa, jakie to dla mnie miało. Sprowadziłem cię tu, by odebrać sobie ten dług co do grosza. Cóż bym więc teraz zyskiwał przez mówienie nieprawdy?

— A coż byś zyskiwał, mówiąc prawdę? — odpowiedziała mu pytaniem.

— To, że zrozumiesz całą niesprawiedliwość swego postępowania, że ci otworzę oczy na krzywdę, jakie mi wyrządziłaś, byś się nie uważała za męczennicę, że ci dam odczuć w przerażającej nagości, iż wszystko, co cię teraz spotyka, jest tylko nieuniknionym następstwem twojego sprzeniewierzenia.

— Sir Oliverze, czy uważasz mnie pan za pozbawioną rozumu? — zapytała.

— Tak, pani, i jeszcze gorzej — odpowiedział.

— A, to jasne — przyznała z ironią — że tyle zadajesz sobie trudu, by mnie przekonać wbrew rozsądkowi. Ale słowa nie wymażą czynów. I choćbyś pan mówił do dnia sądnego, nie zetrzesz śladów krwi w śniegu, które od ciała zamordowanego wiodły do pańskiej bramy, nie wymażesz nienawiści, jaka między wami dwoma istniała, nie odwołasz własnych gróźb ani głosu opinii publicznej domagającej się kary dla mordercy. Jak pan śmie w ten sposób do mnie przemawiać? Jak pan śmie w obliczu nieba kłamać mi w żywe oczy, by usprawiedliwić swój obecny niegodny postępek — bo to właśnie jest celem pańskich fałszywych słów. Co pan może temu wszystkiemu przeciwstawić, by mnie przekonać, że ręce pańskie są czyste, by mnie skłonić do dochowania przysięgi, którą — Boże, przebac mi! — złożyłam panu?

— Moje słowo honoru — rzekł podniesionym głosem.

— Pańskie kłamstwa — odparła.

— Nie myśl, Rozamundo, że nie jestem w stanie poprzeć swego słowa dowodami, gdyby to było potrzebne.

— Dowodami? — Otworzyła szeroko oczy, wydymając wargi. — Dlatego też zapewne, dla tych właśnie dowodów, uciekł pan na wieść o przybyciu przedstawicieli królowej, którzy czyniąc zadość publicznemu żądaniu, mieli cię pociągnąć do odpowiedzialności.

Oliver oniemiał. Wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc.

— Uciekłem? — zapytał wreszcie. — Cóż to za brednie?

— Teraz pewnie będzie pan twierdził, że to tylko jeszcze jedno nowe oszczerstwo.

— Ach, więc to tak... — powiedział wolno — żem uciekł!

Naraz pojął wszystko, a ten błysk zrozumienia oślepił go, sparaliżował. Przecież taki wniosek był nieunikniony, wynika logicznie ze wszystkich przesłanek — a jemu to nigdy przez myśl nawet nie przeszło! Nieubłagane proste wnioski! W innych okolicznościach zniknięcie Olivera pociągnęłoby za sobą dochodzenie, badania, ale wtedy — dostatecznie przekonująca odpowiedź była tuż pod ręką — nikt nie próbował nawet jej kwestionować. W ten sposób zadanie Lionela było podwójnie łatwe, a jego wina tym bardziej oczywista. Spuścił głowę.

Co zrobiłem? — myślał. — Czy mogłem czynić Rozamundzie zarzuty, że się dała przekonać tak wymownymi dowodami? Czy mógł ją winić za to, że list, doręczony jej przez Pitta, spaliła nierozpieczętowany? Czy mogło komukolwiek przyjść do głowy co innego, jak tylko to, że uciekł naprawdę, przyznając się w ten sposób niejako do winy? Czy miał prawo brać jej za złe, że zajęła jedynie mądre stanowisko?

Nagle ogarnęło go poczucie krzywdy, jaką jej wyrządza.

— Boże, Boże! — jęknął jak człowiek w męce. — Mój Boże! — Spojrzał na nią, ale natychmiast spuścił oczy, nie mogąc wytrzymać jej umęczonego, ale pełnego pogardy, dumnego wzroku. — Tak, istotnie, w coś innego mogłaś uwierzyć — wyszeptał łamiącym się głosem, dając wyraz swej wewnętrznej męce.

— W nic, prócz ohydnej nagiej prawdy — odparła gwałtownie, smagając go słowami jak biczem.

Poderwał się na nowo żądny zemsty. Znów w chwili goryczy pomyślał, że jednak zbyt pochopnie uwierzyła w to, co o nim mówiono.

— Prawdy? — powtórzył jak echo. — A czyż pani ją zna? Owszem, odsłoniemy prawdę, a okaże się ona okropniejsza od wszystkiego, co można sobie wyobrazić.

W jego głosie i w całej postawie było coś zniewalającego. Rozamunda zrozumiała, że to jakaś niewiadoma. Uczuła lekkie podniecenie — zapewne odbicie jego stanu nerwowego.

— Brata pani — zaczął — spotkała śmierć z ręki podłego tchórza, którego niegdyś kochałem i względem którego miałem święte obowiązki. Po dokonaniu tego czynu uciekł prosto do mnie, szukając schronienia. Rana, otrzymana w walce, krwawiła, znacząc jego drogę. — Oliver przerwał, jego głos zabrzmiał spokojniej, przybrał ton rzeczowej relacji. — Nie było w tym nic szczególnego, że nikomu nie przyszło do głowy zbadać, skąd ta krew pochodzi, i stwierdzić jednocześnie, że ja w owych dniach nie miałem żadnej rany. Ale pan Baine o tym wiedział, bo poddałem się jego gruntownym oględzinom. Został nawet spisany protokół, poświadczony przez drugiego świadka. Gdybym był w Penarrow podczas wizyty wysłanników królowej, spuściliby nosy na kwintę i odesłali ten niezbity dowód do Londynu.

Rozamunda przypominała sobie niewyraźnie, że pan Baine powoływał się na istnienie takiego dokumentu, że nawet złożył przysięgę, iż sprawa miała się w ten sposób, jak ją przedstawiał Oliver. Przypomniła sobie dalej, że władze zignorowały to zeznanie Baine'a, uważając je za wymysł zmierzający do odparcia zarzutu niedbalstwa w spełnianiu sędziowskich obowiązków, zwłaszcza że jedyny świadek, na którego się Baine powoływał, proboszcz Andrew Flack, już nie żył. Głos Olivera wyrwał ją z tych rozmyślań i skierował jej uwagę w inną stronę.

— Ale dajmy temu pokój — mówił. — Powróćmy do sedna sprawy. Udzieliłem tej podłej istocie schronienia, skutkiem czego ściągnąłem na siebie podejrzenie; ponieważ jednak nie mogłem się oczyścić, nie zdradzając, milczałem. Podejrzenie to przerodziło się w niezbitą pewność, gdy kobieta, z którą byłem zaręczony, głucha na moje przysięgi, uwierzyła we wszystko, co najgorsze, i zrywając zaręczyny, napiętnowała mnie w oczach świata jako mordercę i kłamcę. Opinia publiczna zwróciła się przeciwko mnie. Przedstawiciele królowej mieli spełnić to, czego trybunał w Truro spełnić nie mógł. Dotąd przytaczałem fakty. Teraz przedstawię swoje przypuszczenia, swoje własne wnioski, które, jak sama pani przyzna, trafiają w sedno prawdy. Ten nędznik, któremu udzieliłem azylu i dla którego byłem płaszczem, mierząc mnie własną miarą, lękał się, że nie sprodam brzemieniu, jakie włożył na moje barki. Bał się, że ten ciężar otworzy mi usta, że wyjawię dowody i zgubię go. Chodziło o ranę i o inne jeszcze niezbite fakty. Drżał, że nie zdołam ich zataić. Wchodziła tu w grę pewna kobieta, ładacznica z Malpas, która zmuszona do świadczenia, mogłaby coś powiedzieć o rywalizacji między mordercą a pani bratem. Bo sprawa, która przyniosła śmierć Piotrowi Godolphinowi, była brudna i hańbiąca.

Po raz pierwszy przerwała mu, oburzona.

— Chce się pan znęcać jeszcze nad umarłym?

— Uspokój się, pani — rzekł. — Nie znęcam się nad nikim. Mówię tylko prawdę o nieboszczyku, aby odkryć prawdę o dwojgu żyjących. Proszę więc słuchać. Długo czekałem i niejedno przeszedłem, by móc wreszcie to wszystko pani powiedzieć. Ten łajdak doszedł więc do przekonania, że stałem się dla niego niebezpieczny, i postanowił mnie usunąć. Opracował plan, zgodnie z którym miałem pewnej nocy zostać porwany i wywieziony statkiem do Afryki, na targ niewolników. Taka jest prawda dotycząca mojego zniknięcia. A morderca, któremu wyświadczyłem największe dobrodziejstwo, którego osłoniłem z narażeniem siebie samego, począł teraz ciągnąć korzyści ze swych niecznych poczyną. Bóg jeden wie, że widoki dalszych zysków stały się dla niego nową pokusą. Z czasem przywłaszczył sobie moje dziedzictwo, a wreszcie zajął miejsce w sercu wiarołomnej kobiety, która niegdyś była moją narzeczoną.

Rozamundę opuścił kamienny spokój, z jakim go dotąd słuchała.

— Chce pan przez to powiedzieć, że... że Lionel?... — zawołała oburzona, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

Wreszcie i Lionel otworzył usta. Podniósł się, krzycząc:

— On kłamie! On kłamie, Rozamundo! Nie słuchaj go!

— Nie słucham — odparła, odwracając się od Olivera.

Ciemną twarz Sakr-el-Bahra powlókł rumieniec. Pobiegł wzrokiem za oddalającą się Rozamundą, a następnie utkwil gniewne spojrzenie w Lionelu. Podeszedł do niego w milczeniu, z takim wyrazem twarzy, że Lionel, zdjęty przerażeniem, cofnął się, jak mógł najdalej. Sakr-el-Bahr ujął rękę brata żelaznym wprost uchwycem.

— Dziś musimy wyjawic prawdę, choćbym ją miał wyszarpać z ciebie rozpalonymi obcęgami — syknął przez zaciśnięte zęby.

Wywłókł go na środek tarasu przed Rozamundą i tak potężnie ścisnął, że Lionel przyklęknął.

— Czy masz choć blade pojęcie o wymyślności mauretańskich tortur? — zapytał. — Słyszałeś coś zapewne o ławie do naciągania, o kole i o kleszczach wyłamujących palce, ale to wszystko są rajskie rozkosze w porównaniu z wyrafinowaniem Maurów, gdy chodzi o uruchomienie opornych języków.

Rozamunda błada, z kurczowo zaciśniętymi dłońmi, zastygła wprost w przerażeniu.

— Podły renegacie! Tchórze! Psie! — wybuchnęła.

Oliver puścił brata i klasnął w dłoń. Nie zważając na jej obelgi, patrzył na Lionela trzęsącego się ze strachu u jego stóp.

— Jak byś się zapatrywał na płonący knot między palcami? A może para rozżarzonych do białości żelaznych bransoletek byłaby na początek lepsza?

Na kłaśnięcie wszedł kołyszącym krokiem przysadzisty mężczyzna z ryżą brodą i turbanem na głowie.

Sakr-el-Bahr trącił brata czubkiem buta.

— Podnieś oczy, psie, obejrzyj sobie tego człowieka, może go poznasz. Podnieś oczy, mówię!

Lionel spojrział na przybyłego, lecz najwyraźniej jego widok nie obudził w nim żadnych wspomnień. Wobec tego Sakr-el-Bahr objaśnił:

— Wśród chrześcijan nazywa się on Jasper Leigh. Był owym kapitanem, któregoś przekupił, by mnie zawiózł między barbarzyńców. Wpadł we własne sidła, gdy jego statek zatopili Hiszpanie. Później dostał się w moje ręce, a ponieważ nie kazałem go powiesić, jest mi teraz oddany duszą i ciałem. Mógłbym kazać opowiedzieć, co wie — ciągnął dalej, zwracając się do Rozamundy — gdybym miał nadzieję, że mu uwierzysz, ale że jej nie mam, muszę się chwycić innych środków. Każ Alemu rozgrzać kajdanki — rzekł do Jaspiera — niech je ma w pogotowiu. Będą mi potrzebne. — Dał mu ręką znak, by się oddalił.

Jasper skłonił się i zniknął.

— Te obrączki otworzą ci buzię, kochany braciszku.

— Nie mam nic do wyznania — zaprotestował Lionel. — Swymi barbarzyńskimi torturami wymusisz co najwyżej kłamstwo.

Oliver uśmiechnął się.

— Niewątpliwie kłamstwo wyjdzie łatwiej z twoich ust aniżeli prawda. Ale nie bój się, na końcu i prawdę wydobędziemy — drwił z pewnym ukrytym celem. — I opowiesz nam całą historię, ze wszystkimi szczegółami, aby u panny Rozamundy znikła wszelka wątpliwość. Opowiesz jej, jak czatowałeś na niego owego wieczoru w parku Godolphin, jak go napadłeś z nienacka.

— To fałsz! — krzyknął Lionel, pod wpływem kłamliwego zarzutu zrywając się na nogi.

Był to istotnie fałsz, o czym Oliver dobrze wiedział. Umyślnie jednak uciekł się do insynuacji jako sposobu wydobywania prawdy. Był chytry jak wszyscy diabli i chyba nigdy nie dał lepszego dowodu swej przebiegłości.

— Fałsz?! — zawołał z pogardą. — Miej swe własne dobro na względzie. Mów prawdę, nim ją męka z ciebie wydusi. Pamiętaj, że ja wiem wszystko, dokładnie, jakieś mi sam opowiedział. No więc, jakże to było? Przyczajony za krzakiem wypadłeś na niego z nienacka i przebiłeś go, nim zdołał sięgnąć po miecz...

— Same fakty dowodzą, że to fałsz — przerwał Lionel wściekły. Wrażliwe ucho mogło wyczuć w tym wykrzykniku akcent szczerości, szczerzego przekonującego oburzenia. — Gdy go znaleziono, miecz leżał przy nim.

— Czyż ja o tym nie wiem? — odparował Oliver. — Ale to ty sam po dokonaniu morderstwa wyciągnąłeś mu miecz z pochwy i rzuciłeś obok.

Lionel połknął haczyk, pograżając się zupełnie.

— Bóg mi świadkiem, że to fałsz! I ty o tym wiesz. Stoczyłem z nim honorową walkę... — urwał z jękiem.

Nastąpiła cisza. Wszyscy troje stali nieporuszeni jak posągi: Rozamunda blada, Oliver pełen sarkazmu, Lionel rozdygotany, przerażony, że dał się zwabić w zasadzkę.

Pierwsza przemówiła Rozamunda, głosem drżącym, choć usiłowała nad nim zapanować.

— Co... coś ty powiedział, Lionelu...

Oliver uśmiechnął się.

— On właśnie miał poprzeć swoje zeznanie dowodem — szydził. — Chciał wspomnieć o ranie, którą otrzymał w walce i od której pochodziły owe ślady na śniegu. Chciał mi udowodnić, iż twierdząc, że napadł Piotra znienacka, kłamałem, jak też w istocie było.

— Lionelu! — krzyknęła, postępując krok naprzód i robiąc taki ruch, jakby chciała wyciągnąć ku niemu rękę, lecz ręka opadła bezwładnie. — Lionelu! — zawołała po raz drugi przeraźliwym głosem. — Czy to prawda?

— Czy pani nie słyszała, jak mówił? — spytał Oliver.

Stała, chwiejąc się, jakby miała za chwilę upaść, i patrzyła na Lionela z nieopisaną męką na twarzy. Oliver skoczył ku niej, lecz go wstrzymała gestem i z największym wysiłkiem zapanowała nad sobą. Kolana jednak odmówiły jej posłuszeństwa; upadła na otomanę, zakrywając twarz rękami.

— Boże, bądź mi miłościw! — załkała.

Na ten rozdzierający serce płacz zerwał się Lionel. Przyczołgał się do niej, a Oliver stał z boku, z gorzkim, sardonicznym²⁰⁵ uśmiechem przyglądając się scenie, którą sam wyreżyserował. Wiedział, że dalsze zeznania Lionela pograżą go do reszty. Radował się tym widokiem.

— Rozamundo! — zaskomlał żałośnie Lionel. — Rózo! Miej litość nade mną! Wysłuchaj mnie, zanim osądzisz. Wysłuchaj, zanim wydasz niesprawiedliwy wyrok.

— Tak, tak, wysłuchaj go — wtrącił Oliver ze złośliwym uśmiechem. — Wysłuchaj go. Spodziewam się nawet, że będzie to bardzo interesujące.

Te szydercze słowa smagały nieszczęśnika jak różgi.

— Rozamundo, wszystko, co on ci opowiedział, to fałsz. Zrobiłem to we własnej obronie. To kłamstwo, że napadłem go znienacka — miotał słowa gwałtownie. — Mieliśmy spór o... o... pewną sprawę i diabeł zrządził, żeśmy się zetknęli owego wieczoru w parku Godolphin. Cisnął mi w twarz obelgę, uderzył mnie, a wreszcie dobył miecza, zmuszając mnie do tego samego. Tak przedstawia się prawda. Przysięgam na kolanach w obliczu Boga! I...

— Dosyć już! Dosyć — przerwała mu, starając się opanować swą odrazę.

— Nie, proszę mnie wysłuchać, błagam cię! Gdy o wszystkim się dowiesz, nie będziesz miała serca mnie potępić, okażesz mi litość!

— Litość?! — zawołała nieomal ze śmiechem.

— Zabiłem go przypadkowo — bredził nieprzytomnie. — Nie chciałem tego. Musiałem się bronić i ratować życie. Ale gdy miecze się skrzyżują, stać się może więcej, niż człowiek zamierzył. Biorę Boga na świadka, że jego śmierć była sprawą przypadku, spowodowanego jego gorącym usposobieniem.

Przestała łkać i spojrzała na niego mrozącym, strasznym wzrokiem.

— Czy i to było przypadkiem, że utrzymywał pan mnie i cały świat w przekonaniu, że czyn ten popełnił pański brat? — zapytała.

Zakrył twarz, nie mogąc znieść jej wzroku.

— Gdybyś wiedziała, jak ja cię kochałem, wtedy już, w skrytości, to może miałabyś dla mnie odrobinę miłosierdzia — skomlał.

— Miłosierdzia?! — Pochyliła się naprzód, jak gdyby plując mu słowami w twarz. — Na Boga! Człowieku! Żebrzesz miłosierdzia — ty?

— Ulitowałabyś się nade mną, gdybyś знаła ogrom pokusy, z jaką musiałem walczyć, zanim uległem!

— Znam ogrom pańskiego fałszu, podłości, nikczemności. Ach!...

²⁰⁵sardoniczny — o uśmiechu, wyrazie twarzy itp.: szyderczy, ironiczny. [przypis edytorski]

Wyciągnął ku niej błagalnie ręce. W jego oczach pojawiły się łzy.

— Błagam twego zmiłowania, Rozamundo! — zaczął, ale Oliver mu przerwał.

— Męczysz panią — rzekł i odsunął go nogą. — Wymień proszę, jeszcze inne przypadki, które ci się zdarzyły. To będzie o wiele ciekawsze. Objaśnij nam, jak to przypadkiem zostałem porwany na sprzedaż i w jaki sposób przywłaszczyłeś sobie moją własność. Mów dokładnie o wszystkich tych nieszczęśliwych przypadkach, których byłeś niewinną ofiarą. No, błysnij swoją inteligencją. To bardzo interesująca historia.

Wszedł Jasper, oznajmiając, że Ali czeka z rozpalonymi kajdankami.

— Już nie trzeba — rzekł Oliver. — Zabierz stąd tego niewolnika. Niech Ali się nim zaopiekuje i niech mi na rano siedzi przykuty do wiosła mojej galery. Precz z nim!

Lionel zerwał się. Jego twarz przybrała kolor popiołu.

— Zaczekaj! Ach, zaczekaj! Rozamundo! — jęczał.

Oliver chwycił go za kark, zakręcił nim i cisnął Jasperowi.

— Precz! — warknął.

Jasper chwycił nieszczęśnika za bary i wypchnął go, zostawiając Rozamundę i Olivera sam na sam z prawdą.

XII. SPRYT FENZILEH

Długą chwilę patrzył Oliver na dziewczynę, jak siedziała skurczona na otomanie z rękami splecionymi, ze spuszczonej oczyma i kamienną twarzą. Westchnął cicho i odwrócił się. Podszedł do bariery i spoglądał na miasto, skąpane w poświacie księżyca, który właśnie wypłynął na niebo. Szły stamtąd ciche szmery, ponad które wzbijał się śpiew słowika w ogrodzie i rechot żab w dolinie.

Gdy prawda została wydobyta ze swych głębin i rzucona niejako Rozamundzie w twarz, nie odczuwał radosnego zadowolenia, którego się po tej chwili spodziewał. Był raczej smutny i przygnębiony. Wyobrażał sobie dawniej, z jaką to rozkoszą wychyli ten puchar radości, który zatruło mu odkrycie, jak bardzo usprawiedliwione było jej zachowanie.

Przytłoczyło go poczucie winy. Świadomość, że w zemście przekroczył miarę, sprawiła, iż jej owoce, tak przedtem upragnione, rozsypały się w ustach na popiół.

Stał tak długo w ciszy, której żadne z nich nie śmiało przerwać. Wreszcie ocknął się ze swych myśli i wolnym krokiem podszedł do otomany.

— Nareszcie znasz prawdę — rzekł, a gdy się nie odezwała, ciągnął dalej: — Całe szczęście, że się tak szybko przyznał, nim zastosowałem tortury, bo byłabyś z pewnością przekonana, że męczarnie wymogły na nim fałszywe zeznania — Rozamunda wciąż milczała, jak gdyby jego słowa do niej nie docierały. — Oto człowiek, którego przełożyłaś nade mnie. Dziś chyba widzisz, że mi to zaszczytu nie przynosiło.

— Dziś widzę, że nawzajem jesteście siebie warci — powiedziała twardo. — Powinnam wiedzieć, że bracia są podobni. O, uczę się wiele i szybko.

Słowa te rozdrażniły Olivera.

— Uczysz się? A czegoż się uczysz, jeśli wolno spytać?

— Poznawać mężczyzn.

Łysnął zębami w uśmiechu.

— Oby tylko ta znajomość nie przyniosła ci tyle goryczy, ile mnie przyniosła znajomość kobiet, a właściwie jednej kobiety. Tak o mnie myśleć, o mnie, któremu wyznawałaś miłość.

— Mam do pana jedną prośbę: proszę oszczędzić mi wstydu tych wspomnień.

— Wspomnień wiarołomstwa i gotowości przypisywania mi rzeczy najgorszych?

— Wspomnienia, iż kiedykolwiek mogło mi się wydawać, że pana kochałam. Na tę myśl oblewam się rumieńcem wstydu. Nic nie upokarza mnie do tego stopnia, nawet wystawienie mnie na sprzedaż, nawet te wszystkie zniewagi, na jakie mnie pan naraził. Wypomina mi pan ciągle tę gotowość poddania się ogólnej opinii...

— Więcej jeszcze — odparł pod wpływem jej wzgardy. — Oskarżam cię o zmarnowanie wielu lat mego życia i o wszystkie straszne tego następstwa, o moje cierpienia, o wszystko to, co straciłem, o to, czym się teraz stałem.

Spojrzała na niego chłodno, zdumiewająco opanowana.

— O to wszystko mnie pan oskarża? — zapytała.

Noc, Księżyc, Miasto

— Tak — odparł gwałtownie. — Gdybyś się tak ze mną nie obeszła, dając posłuch oszczerstwom, ten nędznik nigdy by się tak daleko nie posunął, a ja nie dałbym mu do tego sposobności.

Poprawiła poduszki na otomanie i odwróciła się do niego plecami.

— To wszystko próżne słowa — odpowiedziała, lecz zapewne czując potrzebę usprawiedliwienia się, ciągnęła dalej: — Jeżeli zbyt pochopnie powzięłam o panu zły sąd, to widocznie instynkt mnie ostrzegł przed panem. Dowiódł mi pan dziś, żeś nie zabił Piotra, lecz aby ten dowód przeprowadzić, dopuścił się pan czegoś jeszcze gorszego, jeszcze bardziej haniebnego, co odsłoniło przede mną pański charakter w całej nagości. Czy nie okazał się pan potworem zemsty i zaciekłości? — Wzburzona spojrzała mu w twarz. — Czyż chrześcijanin i kornwalijski szlachcic nie stał się poganinem i zbójem, odszczepieńcem i korsarzem? Czyż prawdziwego Boga nie poświęcił rozkoszy zemsty?

Wytrzymał spojrzenie Rozamundy, a na jej pytania odpowiedział również pytaniem.

— Więc instynkt o tym wszystkim panią ostrzegał? Na Boga, kobieto, nie jesteś już w stanie nic lepszego wymyślić?

Weszli dwaj niewolnicy, niosąc gliniane naczynie.

— Wieczera. Mam nadzieję, że apetyt pani okaże się lepszy niż jej logika.

Naczynie, z którego wydobywała się aromatyczna woń, niewolnicy ustawili na małym stoliku przy otomanie. Obok na ziemi umieścili szeroką glinianą tacę z chlebem i dzbankiem o wąskiej szyi, na którą był nasadzony kubek.

Złożywszy głębokie ukłony, zniknęli bez szelestu.

— Proszę jeść — rzekł Oliver rozkazującym tonem.

— Nie mam ochoty na kolację — odparła flegmatycznie.

Zmierzył ją zimnym wzrokiem.

— Odtąd, moja panno, będziesz miała na względzie nie to, czego ty sama chcesz, ale co ja ci każę. Każę ci jeść, a więc jedz natychmiast.

— Nie chcę.

— Nie chcesz? — powtórzył wolno. — I tak mówi niewolnica do swego pana? Jedz, ja ci każę!

— Nie mogę! Nie mogę! — broniła się.

— Niewolnica, która nie chce spełniać rozkazów swego pana, nie może żyć.

— A więc proszę mnie zabić! — odpowiedziała gwałtownie, zrywając się. — Proszę mnie zabić! Pan jest do tego przyzwyczajony, a ja będę panu choć raz w życiu wdzięczna.

— Zabiję cię, kiedy mi się będzie podobało — odparł głosem zimnym jak stal. — A nie wtedy, kiedy ty sobie życzysz. Jeszcze nic nie rozumiesz. Jesteś moją niewolnicą, moją rzeczą, moją własnością i nie pozwolę, byś zmarniała, chyba że taka fantazja przyjdzie mi do głowy. Jedz zatem, jeśli nie chcesz, by moi Nubijczycy chłostą obudzili w tobie apetyt.

Chwilę stała naprzeciw niego blada, zuchwała, na wszystko zdecydowana. Nagle, jak gdyby poddając się jego woli, usiadła na otomanie. Nieśmiało przysunęła stolik. Śledząc jej ruchy, uśmiechał się w duszy.

Najwidoczniej szukała czegoś, a nie znalazłszy, spojrzała na niego na pół szyderczo, na pół pojeđnawczo.

— Czy mam mięso dzielić palcami? — spytała.

W jego oczach zabłysło podejrzenie. Ale odpowiedział zupełnie spokojnie:

— Jest to wykroczenie przeciw prawom Proroka plugawić mięso przez dotknięcie nożem. Musisz używać rąk, które ci Bóg dał.

— Czy pan drwi ze mnie, mówiąc mi o Proroku i jego prawach? Czym są dla mnie prawa Proroka? Jeżeli mam jeść, to po chrześcijańsku, a nie po pogańsku jak pies.

Aby uczynić zadość jej prośbie, wydobył zza pasa sztylet o kosztownej rękojeści.

— Niech ci to służy jako nóż — rzekł i niedbale położył go na stole.

Z zapartym oddechem porwała sztylet.

— Wreszcie — rzekła — daje mi pan coś, za co jestem panu wdzięczna — z tymi słowy skierowała ostrze w swoją pierś.

Z szybkością błyskawicy ukląkł na jedno kolano, chwytając ją za przegub z taką siłą, że ramię jej opadło bezwładnie jak martwe. Przysunął swoją smagłą twarz do jej twarzy.

Niewola

— Czyś naprawdę przypuszczała, że ci ufam? Czyś naprawdę myślała, żeś mnie oszukała swą nagłą uległością? Kiedy wreszcie pojmiesz, że nie jestem głupcem? Zrobiłem to jedynie, by cię wybać.

— A więc zna pan już mój nastrój — odparła — zna pan moje pragnienia.

— Ostrzeżony, uzbrojony²⁰⁶ — odparł.

Spojrzała na niego niemal rozbawiona, gdyby nie wyraz pogardy w jej oczach.

— Czy to tak ciężko przerwać nić żywota? Czy nie ma już poza nożem innych sposobów, aby umrzeć? Chęłpi się pan, że jest moim władcą, a ja twoją niewolnicą, że kupiona na targu, oddana ci jestem z duszą i ciałem. Co za pogardy godne przechwałki? Ciało moje możesz związać i zamknąć, ale duszę... Bądź przekonany, że na tym kupnie się oszukasz. Mówi pan, że jest pan władcą mego życia i śmierci. Co za chępliwość, co za kłamstwo! Możesz być jedynie panem mej śmierci.

Szybkie kroki zadudniły na schodach i nim zdolał jej odpowiedzieć, nim miał czas pomyśleć, stanął przed nim Ali z dziwną wiadomością, że na dole jest jakaś kobieta, która koniecznie chce się widzieć z Sakr-el-Bahrem.

— Kobieta? — zapytał, marszcząc czoło. — Kobieta chrześcijańska?

— Nie, panie, mużmanka — brzmiało zdumiewające wyjaśnienie.

— Kobieta mużmańska, tu? Niemożliwe!

Właśnie gdy wypowiedział te słowa, ciemna postać pojawiła się w progu jak cień i stanęła na tarasie. Była czarno ubrana od stóp do głów, jej twarz osłaniał czarny welon, obszerny jak płaszcz, nie pozwalający nawet rozróżnić kształtów.

Ali zwrócił się do niej wściekły.

— Czy nie kazałem ci czekać na dole, córko bezwstydu? — wybuchnął. — Szła tuż za mną, o panie, i wcisnęła się tu bez mojej wiedzy. Czy mam ją wyrzucić?

— Nie — odparł Sakr-el-Bahr i skinął na Alego, by ich zostawił samych.

Coś w tej czarnej, nieruchomej postaci przykuło jego uwagę i obudziło podejrzenia. Nie zdawał sobie sprawy dlaczego, ale przywiodła mu ona na pamięć Ajuba i ową licytację o Rozamundę.

Czekał, aż przybyła powie, kim jest. Stała jednak bez ruchu, póki kroki Alego nie przebrzmiały w oddali. Wtedy, z charakterystyczną śmiałością, w sposób zdradzający jej europejskie pochodzenie, uczyniła coś, czego by żadna prawowierna mużmanka nie zrobiła: odsunęła długą, czarną zasłonę i odkryła oblicze. Była to Fenzileh. Twarz miała bladą, oczy pozbawione blasku.

Domyślał się wprawdzie od razu, że to ona, ale teraz, kiedy stanęła przed nim, odsłaniając twarz, cofnął się mimo woli.

— Fenzileh! — zawołał. — Co za szaleństwo!

Dawszy się w ten sposób poznać, zsunęła znowu welon na twarz i przybrała wygląd obyczajnej mużmanki.

— Przychodzić tu, do mego domu! Gdyby to doszło do uszu twego pana, mielibyśmy się z pyszna, ja i ty! Odejdź stąd i to natychmiast — rzekł.

— Nie ma obawy, żeby się o tym dowiedział, chyba że ty sam mu powiesz — odparła.

— A przed tobą nie muszę się przecież tłumaczyć, wiesz bowiem dobrze, że tak samo jak i ty nie urodziłam się mużmanką.

— Algier to nie twoja ojczysta Sycylia i gdziekolwiek byś się urodziła, dobrze jest pamiętać, czym jesteś teraz.

Począł się rozwodzić nad tym, jakie popełnia szaleństwo, ale ona przerwała mu niecierpliwie.

— To próżne gadanie i zbędna strata czasu.

— A więc w imię Allaha, do rzeczy, abyś tym prędzej mogła stąd odejść.

Fenzileh wskazała na Rozamundę.

— Chodzi o tę niewolnicę — rzekła. — Posłałam dzisiaj na targ swojego wezyra, aby ją dla mnie kupił.

— Tak przypuszczałem.

— Ale ona widocznie wpadła ci w oko i głupi dał się przelicytować.

²⁰⁶ *Ostrzeżony, uzbrojony* — tzn. zawczasu ostrzeżony jest na czas uzbrojony; polska wersja sentencji łacińskiej, korzystającej z podobieństwa słów: *praemonitus, praemunitus*. [przypis edytorski]

— A więc?
— Oddasz mi ją za cenę, jaką za nią zapłaciłeś? — w jej głosie drżał lekki niepokój.
— Przykro mi bardzo, że ci muszę odmówić, Fenzileh. Ona nie jest na sprzedaż.
— Czekaj, zaraz — rzekła. — Cena jest bardzo wysoka, kilkakrotnie wyższa od cen, jakie kiedykolwiek płacono za najpiękniejsze niewolnice. Jednak ja chcę ją mieć. Taką mam zachciankę, a nie znoszę, by mi przeszkadzano w ich zaspokajaniu. By więc swemu kaprysowi dogodzić, dam ci za nią trzy tysiące filipów.

Oliver spojrzał na Fenzileh, starając się odgadnąć, jaka podłość mogła się wylać w jej głowie, i do czego Rozamunda była jej potrzebna.

— Chcesz więc dać trzy tysiące? — zapytał wolno. I szybko dodał: — A dlaczego?

— Bo taką mam fantazję.

— Jakież jest powód tak kosztownej zachcianki? — nalegał.

— Chcę ją mieć na własność — odpowiedziała wymijająco.

— A co jest źródłem tego pragnienia? — nie ustępował Oliver.

— Zbyt wiele chciałbyś wiedzieć! — krzyknęła ze złością.

Wzruszył ramionami.

— A ty zbyt mało mówisz.

Ujęła się pod boki i patrzyła mu badawczo w twarz. Przez zasłonę łowił błyski jej oczu i przeklinał przewagę, jaką jej dawał czarny welon.

— Krótko mówiąc, Oliverze-Reisie — zapytała — sprzedasz ją za trzy tysiące?

— Krótko mówiąc, nie — odpowiedział.

— Nie? Za trzy tysiące? — w jej głosie brzmiało zdumienie, nie wiedział tylko, czy rzeczywiste, czy udane.

— Nawet za trzydzieści tysięcy — odparł. — Ona jest moja i nikomu jej nie odstąpię. Skoro zatem już znasz mój pogląd na rzecz i ponieważ przeciąganie tej wizyty jest niebezpieczne dla nas obojga, proszę cię więc, odejść.

Nastąpiła krótka pauza i żadne z nich nie zauważyło najwyższego zainteresowania, jakim ich rozmowa odbiła się na twarzy Rozamundy. Nie wiedzieli, że zna język francuski, i swobodnie posługiwali się *lingua franca*.

Fenzileh podeszła bliżej.

— Nie odstąpisz jej nikomu? — powtórzyła szyderczo. — Nie bądź tak pewny siebie. Zostaniesz zmuszony, mój przyjacielu, jeżeli nie przeze mnie, to przez Asada. Wkrótce tu przyjdzie po nią we własnej osobie.

— Asad?! — zawołał Oliver, tym razem naprawdę zaniepokojony.

— Asad-ed-Din — wyrzekła, wznawiając targ. — Słuchaj, przecież chyba lepiej zrobić ze mną dobry interes aniżeli z Asadem zły.

Potrząsnął głową i tupnął nogą.

— Nie mam zamiaru robić żadnych interesów ani z tobą, ani z nim. Ta niewolnica nie jest na sprzedaż.

— Czy miałbyś odwagę sprzeciwić się Asadowi? Uprzedzam, że on ci ją zabierze, czy ona jest na sprzedaż, czy nie.

— Domyślam się — rzekł, mrużąc oczy. — I twój strach przed tym jest źródłem tego kaprysu, Fenzileh. Mało jesteś sprytna. Zdajesz sobie sprawę, że twoje wdzięki więdną, drżysz więc, aby taka piękność zupełnie cię nie pozbawiła łask twego pana.

Choć nie mógł obserwować skutków swego ciosu na jej twarzy, to jednak zauważył dreszcz, który nią wstrząsnął, i pochwycił nutę wściekłości w głosie.

— A gdyby rzeczywiście tak było, to co tobie do tego?

— Być może dużo, być może mało — odparł zamyślony.

— Chyba raczej dużo — odpowiedziała szybko, jednym tchem. — Czy nie byłam twoją przyjaciółką? Przecież zawsze podnosiłam w oczach Asada twoje zasługi i walczyłam jak wierny druh o twoje wywyższenie.

Zaśmiał się szczerze.

— Doprawdy?

— Śmiej się, jeśli ci to sprawia przyjemność, ale tak było istotnie — Fenzileh obstawała przy swoim. — Jeżeli ja stracę wpływy, to zostaniesz pozbawiony jedyne go sprzymierzeńca, który posiada posłuch u Asada i jego względy. Zważ, Sakr-el-Bahrze, co by

się stało, gdyby inna zajęła moje miejsce i kłamliwymi podszeptami zatruli duszę Asada. Bo chyba ta Europejka, którą oderwałeś od domu, nie darzy cię miłością?

— Niech cię o to głowa nie boli — odparł, na próżno usiłując zgłębić istotę jej zamysłów. — Ta niewolnica nigdy nie zajmie twego miejsca przy Asadzie.

— Głupcze, Asad ją zabierze, czy będziesz chciał, czy nie.

— Jeżeli ją może zabrać mnie, to tym łatwiej zabierze ją tobie. Niewątpliwie przewidywałaś to i w jakiś sycylijski sposób obmyślałaś, aby temu zapobiec. Ale konsekwencje... Czyś to rozważyła? Co powie Asad, gdy się dowie, jak go wyprowadziłaś w pole?

— A co mnie to obchodzi! — zawołała w nagłym ataku pasji. — Ona musi się znaleźć na dnie przystani z kamieniem u szyi. Niech mnie każe za to wychłostać. Niewątpliwie tak zrobi. Ale na tym się skończy. Zapraśnie potem, żebym go pocieszyła, i znów będzie dobrze.

Wreszcie pociągnął ją za język. Odkryła przed nim karty. Miał rację, mówiąc, że nie jest sprytna. Był głupcem, że od razu nie przejrzał planu tak płytkiego i przejrzystego. Wzruszył ramionami.

— Idź spokojnie, Fenzileh — rzekł — nie oddam jej nikomu, czy to będzie Asad, czy sam szatan.

Mówił stanowczo. Najwyraźniej uważał sprawę za załatwioną. Jej odpowiedź, zgodnie z jego decyzją, przyszła bardzo prędko, tak prędko, iż można było przypuszczać, że została z góry obmyślona.

— Ach, zamierzasz się z nią ożenić. — Trudno było sobie wyobrazić głos bardziej niewinny i miły. — Jeżeli tak — ciągnęła — to musi się to stać natychmiast, bo małżeństwo jest jedyną zaporą, której Asad nie przekroczy. On jest bogobojny i przejęty taką czcią dla praw Proroka, że więzy małżeńskie z pewnością uszanuje.

Ale mimo pozorowanej prostoduszności, z jaką mówiła, a może właśnie dlatego, czytał w niej jak w otwartej księdze — nawet poprzez czarną zasłonę na twarzy.

— A czy będzie ci to jednak na rękę? — zapytał, teraz z kolei starając się ją przechytrzyć.

— Jednak — przyznała.

— Powiedz raczej „jeszcze bardziej”, Fenzileh — poprawił. — Mówiłem, że nie jesteś sprytna, ale na Koran, pomyliłem się. Jesteś chytra jak wąż, ale widzę dobrze, w którą stronę pełniesz. Jeżeli pójde za twoją radą, oddam ci dwojaką przysługę: po pierwsze dziewczyna będzie dla niego nieosiągalna, po drugie sam mu się narażę. Cóż mogłoby ci lepiej dogodzić?

— Krzywdzisz mnie — zaprotestowała. — Zawsze byłem twoją przyjaciółką. Chciałabym, żeby... — urwała nagle, nasłuchując.

Ciszę nocy przerwały jakieś głosy, dochodzące od strony Bab-el-Oued. Fenzileh podbiegła do balustrady, skąd widać było bramę, i wychyliła się.

— Patrz, patrz! — zawołała ze strachem. — To on, Asad-ed-Din.

Sakr-el-Bahr zbliżył się do niej i w blasku pochodni ujrzał gromadę ludzi, wchodzących właśnie na dziedziniec.

— Mam wrażenie, o Fenzileh, żeś odstąpiła od swojego zwyczaju i wyjątkowo powiedziałaś prawdę.

Spojrzała na niego i poczuł wprost jadowite spojrzenie, które go trafiło poprzez welon. Ale przemówiła spokojnie:

— Wkrótce nie będziesz miał co do tego najmniejszej wątpliwości. Ale co ja mam ze sobą zrobić? — w pytaniu było naleganie. — On nie może mnie tu zastać. Zabiłby mnie z całą pewnością.

— Niewątpliwie — potwierdził Sakr-el-Bahr. — Ale ktoś cię pozna taką zasłoniętą? A zresztą, uciekaj, nim tu przyjdzie. Skryj się gdzieś na dziedzińcu, póki cię nie minie. Czy jesteś sama?

— Czy mogłabym komukolwiek powierzyć tajemnicę tej wizyty? — Musiał podziwiać jej sycylijską inteligencję, której lata pobytu w haremie baszy nie zdołały zabić.

Ruszyła szybko ku drzwiom.

— Więc jej nie oddasz? — upewniła się u progu.

— Bądź spokojna — odpowiedział z taką bezwzględnością stanowczością, że wyszła zupełnie uspokojona.

XIII. W OBLICZU ALLAHA

Po odejściu Fenzileh Sakr-el-Bahr został pogrążony w myślach. Wążył każde jej słowo i zastanawiał się dokładnie nad tym, w jaki sposób stawić czoło Asadowi, jeżeli Fenzileh nie pomyliła się co do celu jego wizyty.

Czekał w milczeniu, aż mu Ali oznajmi przyjście baszy.

Gdy jednak Ali wszedł, by zapowiedzieć Asada, basza był już na tarasie, taką płonął niecierpliwością.

— Pokój Proroka niech będzie z tobą, mój synu — pozdrowił go basza.

— I z tobą, o panie — odparł Sakr-el-Bahr. — Co za zaszczyt dla mego domu!

Ruchem ręki oddalił Alego.

— Przychodzę do ciebie po prośbie — rzekł Asad, zbliżając się.

— Po prośbie? Ty? Żartujesz, o panie, bo nie ma we mnie żadnej chęci, która by nie była odbiciem twojej własnej.

Badawczy wzrok Asada wyminął Sakr-el-Bahra i rozjaśnił się, spoczawszy na Rozamundzie.

— Przychodzę w wielkim pośpiechu — rzekł jak zakochany młodzik, którego instynkt wie gdzie tam, gdzie znajduje się jego wybrana. — Przychodzę oczarowany przez tę zamorską perłę, tę niewolnicę z ostatniej wyprawy, o twarzy peri²⁰⁷. Nie było mnie w Kasbie, gdy wrócił z targu ten wieprz Tsamanni, ale gdy się dowiedziałem, że jej nie kupił, omal nie rozpląkałem się ze zmartwienia. Bałem się, że ją kupił jakiś handlarz z Sus — wówczas wszystko byłoby stracone, lecz gdy się dowiedziałem — chwała bądź Allahowi! — że ty ją nabyłeś, rozradowało się serce moje, bo ty mi ją odstąpisz, mój synu.

Mówił to z taką pewnością siebie, że Oliver nie mógł znaleźć słów, by go wyprowadzić z błędu. Stał więc chwilę, namyślając się. Asad zaś ciągnął dalej:

— Wynagrodzę oczywiście twoją stratę. Zwrócę ci tysiąc sześćset filipów, które za nią zapłaciłeś, a oprócz tego dam ci pięćset odstępnego. Powiedz, że godzisz się na te warunki, bo płonę z tęsknoty.

Sakr-el-Bahr uśmiechnął się ponuro.

— Znam ją dobrze tę tęsknotę, mój panie — odrzekł cichym głosem. — Palila mnie ona pięć lat, które mi były wiecznością. By ją zaspokoić, odbyłem na hiszpańskim statku, który zdobyłem, daleką, niebezpieczną podróż do Anglii. Tyś o tym nie wiedział, Asadzie, co najwyżej...

— Ba! — przerwał mu Asad. — Ty jesteś urodzony handlarz. Nie ma takiego drugiego, który by ci w czymkolwiek dorównał. No, ale wymień taką cenę, byś na mojej miłosnej tęsknocie nie stracił, i dobijmy targu.

— Mój panie — rzekł Sakr-el-Bahr spokojnie — nie chodzi tu o zysk. Ona nie jest na sprzedaż.

Asad spojrział na niego, nie mogąc znaleźć słów, i powoli jego blade policzki poczęły nabierać rumieńca.

— Nie... nie na sprzedaż? — powtórzył, jękając się ze zdumienia.

— Nawet gdybyś mi za nią cały paszalik²⁰⁸ ofiarował — brzmiała uroczysta odpowiedź.

— Żądaj ode mnie, czego chcesz, a wszystko złożę chętnie u twych stóp jako dowód moich wiernopoddańczych uczuć i mojej miłości do ciebie — dodał już łagodniej i cieplej.

— Ale ja nic innego nie chcę — głos Asada wzbierał zniecierpliwieniem. — Chcę tej niewolnicy.

— W takim razie — odparł Oliver — zdaję się na twoją łaskę i błagam cię, byś w inną stronę oczy swe obrócił.

Asad spojrział ponuro.

— Więc mi odmawiasz? — zapytał, odrzucając w tył głowę.

— Niestety tak! — odparł Sakr-el-Bahr.

²⁰⁷peri (tur.) a. pari (pers.) — nadnaturalna skrzydlata istota o niezwykle pięknej twarzy, występująca w opowieściach i legendach Wschodu; w tradycji tureckiej uważana za dobroczynnego ducha; „o twarzy peri” było jednym z określeń doskonałej urody ukochanej kobiety. [przypis edytorski]

²⁰⁸paszalik — prowincja turecka zarządzana przez paszę. [przypis edytorski]

Nastąpiła pauza. Oblicze Asada coraz bardziej pokrywało się chmurami, coraz groźniej płonęły oczy utkwione w namiestniku.

— Widzę — rzekł wreszcie ze złowróżbnym spokojem, który pozostał w sprzeczności z ciskającym błyskawice wzrokiem — widzę, że prawdą było to, o co cię podejrzewała Fenzileh. Tak jest! — Patrzył chwilę na korsarza swymi głęboko osadzonymi oczyma, w których płonęła nienawiść. Wreszcie przemówił, tłumiąc gniew: — Rozważ, o Sakr-el-Bahrze, czym jesteś, czym ja ciebie zrobiłem. Rozważ te dobrodziejstwa, które w takiej obfitości z moich rąk na ciebie spłynęły. Jesteś moim namiestnikiem i pewnego dnia możesz zostać czymś więcej. W Algierze nie ma nikogo nad tobą, prócz mnie jednego. Czy za to wszystko odpłacisz mi niewdzięcznością i odmówisz pierwszej rzeczy, o którą cię proszę? Sprawiedliwie napisano: „Człowiek jest niewdzięcznikiem”.

— Ty nie wiesz — zaczął Sakr-el-Bahr — co znaczy dla mnie...

— Ani wiem, ani chcę wiedzieć — przerwał Asad gwałtownie. — Cokolwiek by to było, nie może mieć żadnego znaczenia, bo staje w poprzek mej woli. — Nagle, zmieniając ton, położył rękę na ramieniu Sakr-el-Bahra. — No, mój synu. Chcę postąpić z tobą szlachetnie, jak mi nakazuje moja ku tobie miłość. Wyrzucę z pamięci to, żeś mi pierwotnie odmówił...

— Okaż, o panie, swą wspaniałomyślność do tego stopnia, żeby zgoda zapomnieć, żeś mnie o cokolwiek prosił.

— Dalej więc jednak odmawiasz? — głos przed chwilą jeszcze przymilny, zabrzmiał teraz ostro. — Zważ, że na zbyt wielką próbę wystawiasz moją cierpliwość. Jak cię kiedyś podniosłem z błota, tak mogę cię jednym słowem znowu w nie wtrącić. Jak zerwałem łańcuchy, którymi byłeś przykuty do ławki galerniczej, tak samo mogę cię do niej przykuć z powrotem.

— Wszystko to jest w twej mocy — przyznał Sakr-el-Bahr. — Ale ponieważ mimo to trwam przy tym, co jest moim podwójnie: prawem łupu i prawem kupna, widzisz więc, jak potężne mną powodują motywy. Bądź więc litościwy, Asadzie...

— Czy mam ją zabrać przemocą?! — ryknął basza.

Sakr-el-Bahr wyprostował się. Podniósł dumnie głowę i spojrzał baszy prosto w oczy.

— Za życia mego to ci się nie uda — odparł.

— Nieposłuszny, buntowniczy pies! Chcesz się mnie sprzeciwić?

— Właśnie cię błagam, byś był na tyle szlachetny i sprawiedliwy i nie popychał swego wiernego sługi na drogę buntu.

Asad wykonał pogardliwy ruch.

— Czy to ostatnie twoje słowo?

— Tak, lecz w każdej innej sprawie jestem twoim niewolnikiem, Asadzie.

Basza patrzył na niego chwilę, a jego spojrzenie było straszne. Następnie powoli, jak człowiek, który powziął decyzję, ruszył ku drzwiom. Na progu obrócił się.

— Poczekaj! — rzekł i oddalił się, rzuciwszy tę groźbę.

Sakr-el-Bahr stał długą chwilę w milczeniu, następnie wzruszył ramionami i odwrócił się. Spotkał utkwiony w sobie wzrok Rozamundy, którego nie mógł zrozumieć ani wytrzymać. Ogarnęła go rozpacz, świadomość, że zrobił coś strasznego, czego już nie da się cofnąć. Doszedł do przekonania, że pomylił się co do swych uczuć dla Rozamundy; przypuszczał, że jej nienawidzi, a tymczasem widocznie miłość jego nie wygasła, skoro taką męką przejmowała go myśl, że Rozamunda mogłaby paść ofiarą namiętności Asada.

Zastanawiał się, czy jego obecny nastrój jest wyłącznie skutkiem odkrycia, że jednak pozory przemawiające przeciw niemu były tak silne, iż usprawiedliwiały postawę Rozamundy. Tę męczarnię przerwał jej głos, mocny i spokojny.

— Dlaczego pan mu odmówił?

Odwrócił się do niej, zdumiony i przerażony.

— Pani rozumiała? — wyjąkał.

— Wystarczająco — odparła. — *Lingua franca* nie bardzo różni się od francuskiego. Dlaczego pan odmówił? — powtórzyła.

— Pani pyta dlaczego?

— Rzeczywiście — odparła ironicznie — niepotrzebnie pytam. Widocznie pragnienie zemsty jest w panu tak silne, że woli pan raczej narazić własną głowę, niż zrezygnować ze swoich planów.

Oliver spochmurniał.

— Oczywiście, pani tylko tak potrafi sobie czyny moje tłumaczyć.

— Nie. Właśnie nie miałam pewności, dlatego pytałam.

— Czy zdaje pani sobie sprawę, co to znaczy być własnością Asada?

Spuściła oczy, ale odpowiedziała zupełnie opanowana:

— Czy to o wiele gorzej, aniżeli być własnością Olivera-Reisa czy Sakr-el-Bahra, czy jak tam pana nazywają?

— Skoro pani twierdzi, że to wszystko jedno, to nie ma sensu dłużej mu się sprzeciwiać — odpowiedział chłodno. — Proszę iść do niego. Jeżeli mu się sprzeciwiałem, zupełnie zresztą niepotrzebnie, jak widzę, to nie chodziło mi wcale o zemstę; po prostu myśl o tym napelniała mnie przerażeniem.

— W takim razie myśl o sobie samym powinna pana również napelniać przerażeniem — odparła.

Jego odpowiedź zaskoczyła ją.

— Może tak jest — rzekł ledwo dosłyszalnym szeptem. — Może tak jest.

Spojrzała na niego, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale Oliver ją ubiegł.

— O Boże! Aż tego było potrzeba, bym ujrzał cały ogrom wyrządzonego przez siebie zła? Asad działa z innych pobudek, a ja z innych. Mnie się zdawało, że panią ukarzę, ale on... O Boże! — jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

Wstała powoli, dziwnie jakoś poruszona. Nagle niby promień nadziei przyszła mu na myśl rada Fenzileh: jako prawowierny muzułmanin Asad nigdy nie przekroczy tej zapory, jaką wzniesie małżeństwo.

— Jest wyjście! — zawołał. — Jest wyjście, które podała Fenzileh, idąc za podszeptem swej wrodzonej złośliwości. — Chwilę się ociągał, wreszcie zdobył się na odwagę: — Musisz zostać moją żoną.

Miało to taki skutek, jakby ją uderzył. Cofnęła się przed nim. Na nowo obudził w niej podejrzenia, z których zrodziło się przekonanie, że Oliver gra komedię, obliczoną na podstępne wyzyskanie sytuacji.

— Zostać pańską żoną! — wykrzyknęła.

— Tak — potwierdził i zaczął jej tłumaczyć. Jeżeli zostanie jego żoną, będzie dla wszystkich muzułmanów święta i nietykalna, nikt nie śmie podnieść na nią oczu, podeptałby bowiem święte prawo Proroka, a już najmniej skłonny byłby do tego sam Asad jako człowiek fanatycznie bogobojny. — Tylko w ten sposób — zakończył — mogę panią uczynić dla niego nieosiągalną.

— To środek zbyt rozpaczliwy, nawet na tak rozpaczliwe położenie jak moje — rzekła, budząc w nim zniecierpliwienie.

— Musisz, powtarzam — mówił gniewnie. — Musisz, inaczej jeszcze dziś w nocy zostaniesz zawleczona do haremu Asada, ale nie jako żona, lecz jako niewolnica. Och, proszę cię, pani, uwierz mi przez wzgląd na siebie samą. Musisz mi wierzyć!

— Wierzyć panu! — zawołała ironicznie. — Wierzyć! Jak mogę wierzyć człowiekowi, który jest renegatem, a nawet jeszcze gorzej!

Opanował się całą siłą woli, chodziło przecież o przekonanie jej, o uzyskanie jej zgody drogą logicznych argumentów.

— Jesteś bardzo niesprawiedliwa — rzekł. — Potępiając mnie, zapominasz o wszystkich moich cierpieniach, do których w znacznej mierze się przyczyniłaś. Wiesz już, jak fałszywie zostałem oskarżony i jak straszne miało to dla mnie następstwa. Weź dalej pod uwagę, że mój zły los chciał, aby właśnie tych dwoje, których najwięcej kochałem, okazało się niegodnymi mojej miłości. Straciłem wiarę w Boga i ludzi, a jeżeli przyjąłem islam i stałem się renegatem i korsarzem, to dlatego, że nie miałem innego sposobu, by się uwolnić od łańcucha, który mnie przykuwał do wiosła — spojrzał na nią smutno. — Czy nie możesz znaleźć nic na moje usprawiedliwienie?

Rozamunda, nieco wzruszona, porzuciła drwiny, choć nie zeszła z wrogiego stanowiska.

— Żadne przeciwności — mówiła prawie z żalem w głosie — nie mogą usprawiedliwić splamienia szlachectwa i męskiego honoru prześladowaniem bezbronnej kobiety. Jakikolwiek przyczyniły pana do tego, upadł pan za nisko, bym mogła mu wierzyć.

Na te gorzkie słowa, które zresztą nieraz sam sobie powtarzał, Oliver spuścił głowę. Były sprawiedliwe i zasłużone, nie mógł więc się gniewać.

— Wiem — rzekł. — Ale nie żądam od pani, by mi wierzyła dla mojego dobra, lecz dla swego dobra. Proszę, zgódź się ze względu na siebie... — Pod wpływem nagłego impulsu wyciągnął zza pasa ciężki sztylet i podał jej. — Jeśli chcesz dowodu, że można mi zaufać — rzekł — weź ten nóż, którym się dziś chciałaś przebić. Przy pierwszym dowodzie mojej nieszczerości użyj go wedle woli: przeciw mnie lub przeciw sobie.

Przeglądała mu się zdziwiona. Wreszcie powoli wyciągnęła rękę, by wziąć broń.

— Nie boi się pan — spytała — że użyję go teraz, by wszystko zakończyć?

— Ufam ci — odpowiedział — by w zamian za to również zyskać ufność. Daję ci broń na wypadek ostateczności. Bo gdyby przyszło do wyboru między śmiercią a Asadem, nie zdziwię się, gdy wybierzesz to pierwsze. Ale dodam jeszcze, że byłoby szaleństwem wybierać śmierć teraz, kiedy otwierają się widoki życia.

— Jakie widoki? — w jej słowach zabrzmiała nuta dawnej ironii. — Widoki życia z panem?

— Nie — odpowiedział stanowczo. — Nie wiem, czy mi pani uwierzy, ale przysięgam, że będę się starał naprawić to zło, jakie ci wyrządziłem. Proszę posłuchać. O świcie moja galera wypływa na wyprawę. Przewiozę panią potajemnie na statek i znajdę powody, by cię wysadzić w jakimś chrześcijańskim kraju, we Włoszech czy we Francji, skąd łatwo już będzie dostać się do domu.

— Ale tymczasem — przypomniała — muszę zostać pańską żoną.

Uśmiechnął się do swych myśli.

— Ciągle jeszcze boi się pani jakiejsz zasadzki. Czy nic pani o mojej szczerości nie przekona? Przecież małżeństwo muzułmańskie nie obowiązuje w chrześcijańskim świecie, a i ja nie mam zamiaru go za małżeństwo uważać. To ma być tylko pretekst, który panią osłoni, zanim stąd wyjedziemy.

— Jak mogę panu zaufać w tej sprawie?

— Jak może mi pani zaufać? — zawahał się, widząc, że jego usiłowania obracają się wniwecz. — Przecież ma pani sztylet — rzekł z naciskiem.

Rozamunda myślała, zapatrzona w chłodny błysk klingi.

— A ten ślub? — spytała. — Jak to się odbywa?

Wyjaśnił jej, że według praw muzułmańskich najistotniejszą częścią ceremonii ślubnej jest oświadczenie złożone wobec kadiego²⁰⁹ albo jego przełożonego, w obecności świadków. Zaledwie skończył, gdy z zewnątrz doszedł ich gwar głosów i tupot nóg. Zabłyły pochodnie.

— Asad wraca ze zbrojnymi! — zawołał. — Zgadzasz się?

— A kadi? — spytała, dając do zrozumienia, że uznaje jego plan.

— Kadi albo jego zwierzchnik. Asad sam będzie naszym kapłanem, a jego towarzysze świadkami.

— A jeśli on odmówi? Ach, z pewnością odmówi! — zawołała, załamując ręce.

— Nie będę pytał. Zaskoczę go znienacka.

— Wpadnie w złość. Będzie się chciał zemścić.

— I o tym myślałem. Jeżeli nam się nie uda... Ale to już niebezpieczna gra.

— Mam sztylet! — zawołała odważnie.

— A dla mnie będzie powróż albo miecz... Cisza! Idą!

Najpierw dały się słyszeć na schodach pospieszne kroki Alego. Wpadł na taras, podniecony.

— Mój panie, mój panie! — wołał — Asad-ed-Din nadchodzi. Towarzyszą mu zbrojni!

— Nie ma się czego obawiać! — rzekł Sakr-el-Bahr spokojnie. — Wszystko będzie dobrze.

Asad wszedł po schodach na taras i stanął przed zbuntowanym namiestnikiem. Za nim postępowało dwunastu czarno ubranych janczarów z dobytymi szablami, na których igrało światło pochodni błyskami czerwonymi jak krew.

²⁰⁹ *kadi* — sędzia muzułmański. [przypis edytorski]

Basza stanął przed Sakr-el-Bahrem, z rękami założonymi majestatycznie, z głową odrzuconą w tył, tak że biała broda uniosła się nieco do góry.

— Wróciłem — rzekł — by użyć siły, gdy dobrocią nic nie wskóram. Ale modłę się do Allaha, by cię w ostatniej chwili oświecił.

— Tak się też stało, o panie — odparł Sakr-el-Bahr.

— Chwała Najwyższemu! — zawołał Asad radośnie. — A więc gdzie dziewczyna? Dajcie ją!

Sakr-el-Bahr cofnął się i ujawnił dziewczynę za rękę, jakby ją chciał oddać Asadowi, zaczął sakramentalną formułę:

— Wobec oblicza Allaha i jego oczu wszystkowidzących, przed tobą, Asadzie-ed-Din, i w obecności świadków biorę tę oto kobietę za małżonkę według łaskawego prawa Proroka Allaha, który jest Wszechmądrością i Wszechmiłosierdziem.

Słowa zostały wymówione i małżeństwo zawarte, zanim Asad zdołał się zorientować, o co chodzi. Był zdruzgotany. Dyszał ciężko, twarz mu poczerwieniała, oczy ciskały błyskawice.

Sakr-el-Bahr zaś spokojny, niezbity z tropu tym królewskim gniewem, chwycił szal, który Rozamunda miała na ramionach, i zasłonił jej twarz.

— Niech za sprawą Allaha uschnie ręka temu, kto by, lekceważąc święte prawo naszego Proroka Mahometa, ośmielił się tę twarz odkryć, i niech Allah błogosławi temu związkowi, a wtrąci w otchłanie każdego, kto by usiłował zerwać to małżeństwo zawarte w obliczu Wszechwidzącego.

To było straszne. Janczarzy jak psy na smyczy niecierpliwi się, czekając rozkazu. Ale rozkaz nie nadchodził. Asad stał bez tchu; wrzała w nim walka między wściekłością i upokorzeniem z jednej strony, a głęboką religijnością z drugiej.

Sakr-el-Bahr przyszedł mu z pomocą.

— Teraz więc pojmujesz, o potężny Asadzie, dlaczego nie chciałem ci jej oddać — rzekł. — Sam, i słusznie, często mnie ganiłeś, że jestem samotny, przypominając, że Allah tego nie pochwała i że to niegodne prawdziwego muzułmanina. Wreszcie Prorok zesłał mi łaskawie dziewczynę, którą mogę pojąć za żonę.

Asad pochylił głowę.

— Co napisane, to napisane — rzekł jakby do siebie i podnosząc w górę ręce, dodał: — Allah jest wielki. Niech się stanie jego wola!

— Amen! — rzekł Sakr-el-Bahr bardzo uroczyście i z całego serca podziękował swemu dawno zapomnianemu Bogu.

Basza stał jeszcze chwilę, jakby chciał coś powiedzieć. Nagle odwrócił się i skinął ręką na swój orszak.

— W drogę — rzekł i wyszedł z janczarami.

XIV. ZNAK

Jeszcze Fenzileh nie zdołała odetchnąć po gwałtownym biegu, gdy wraz z Marzakiem stali się świadkami powrotu zagniewanego baszy.

Słyszała, jak wzywał Abdula Mohktara, dowódcę janczarów, i widziała, jak oddział żołnierzy szybko zebrał się na dziedzińcu, gdzie czerwone światło pochodni mieszało się z białą poświatą księżycowej pełni, a następnie oddalił się śpiesznie pod wodzą samego Asada. Fenzileh nie wiedziała, czy płakać, lękać się, czy radować.

— No, załatwione — zawołał Marzak radośnie. — Ten pies odmówił ojcu i sam się zgubił. Dziś w nocy będzie z Sakr-el-Bahrem koniec. Chwała bądź Allahowi! — dodał.

Ale Fenzileh nie była tak dziękczynnie nastrojona. Prawda, że Sakr-el-Bahr musi zginąć, i to od miecza, który sama przygotowała. Ale czyż było możliwe, by drugie ostrze tego miecza nie zwróciło się przeciw niej? Na to pytanie szukała odpowiedzi. Jakkolwiek z całej duszy pragnęła zguby korsarza, zaczęła się zastanawiać, jakie by to miało dla niej konsekwencje; nie mogła zamykać oczu na jedno nieuchronne następstwo: że Asad przywłaszczy sobie ową angielską dziewczynę. Uważała jednak, że i tę cenę warto zapłacić za usunięcie Sakr-el-Bahra z drogi Marzaka — Fenzileh jako matka bowiem zdolna była do poświęceń. Pocieszała się, że właściwie ani ona, ani syn nie potrzebują już teraz tak bardzo

wpływów, których umniejszenia należało się obawiać, gdyby rywalka weszła do haremu Asada. Reszta nie była tak ważna. Fenzileh czuła, że wyjdzie z tej walki zwycięsko.

W tym stanie ducha czekała spokojnie, nie zwracając uwagi na radosną i samolubną paplaninę syna, obojętnego na losy matki. Marzak widział tylko własny zysk i zaspokojenie własnych pragnień, bez względu na cenę, jaką miała za to zapłacić Fenzileh.

Tymczasem Asad wrócił z drugiej misji. Widzieli, jak janczarzy stanęli na dziedzińcu, jak nadszedł basza, krokiem powolnym, z pochyloną głową, z rękami założonymi w tył. Czekali, kiedy pojawią się niewolnicy, prowadzący lub niosący dziewczynę. Czekali jednak na próżno, niespokojni, co się mogło stać.

Ushyszeli szorstką komendę: „Rozejść się!”, a potem skrzypienie zamykanej bramy. Widzieli, jak basza chodził sam w świetle księżyca.

Co się stało? Czy zabił ich oboje? Czy dziewczyna opierała się do tego stopnia, że stracił cierpliwość i w przystępie wściekłości zadał jej śmierć?

Takie pytania stawiała sobie Fenzileh, a ponieważ do głowy jej nie przyszło, że Sakr-el-Bahr może jeszcze żyć, doszła do przekonania, że wszystko ułoży się zgodnie z jej planami. Nie mogąc znieść dręczącej niepewności, zawołała Ajuba i poleciła mu wybadać Abdula Mohktara, co się stało. Ajub był bardzo zadowolony, zionął bowiem nienawiścią do Sakr-el-Bahra. Wrócił w bardzo złym humorze, przynosząc wieści, które mocno zaniepokoiły matkę i syna.

Fenzileh jednak bardzo prędko przyszła do siebie. W gruncie rzeczy było to najlepsze, co się mogło stać. Łatwo teraz będzie podjudzić Asada, rozdmuchać niechęć, rozpalić gniew i doprowadzić Sakr-el-Bahra do zguby, nie tracąc przy tym miejsca u boku małżonka. Wykluczone bowiem, by Asad wprowadził teraz Rozamundę do swego haremu. Już sam fakt, że tyłu wiernych widziało jej twarz, musiał godzić w jego dumę osobistą, nie mówiąc o tym, że była żoną poddanego.

Dalsza droga rysowała się jasno przed Fenzileh. Właśnie dlatego, że Asad był taki bogobojny, Sakr-el-Bahr mógł go w ten sposób zażyć. Zresztą poszedł za jej radą, choć nie spodziewała się aż tak zdumiewających rezultatów. Trzeba więc teraz, wykorzystując tę samą pobożność, dokonać reszty.

Wziąwszy lekką, jedwabną zasłonę, poszła ku siedzącemu samotnie pod namiotem wśród ciepłej, przesyconej woniami nocy Asadowi. Przysunęła się do niego miękkiem, kocim ruchem, a gdy zamyślony nie zwrócił na nią uwagi, oparła mu głowę na ramieniu.

— Panie mej duszy — szepnęła — ty masz zmartwienie — jej głos był jak pieszczota.

Obrócił na nią oczy, w których dojrzała dziwny błysk.

— Kto ci to mówił? — zapytał podejrzliwie.

— Moje serce — odpowiedziała głosem melodyjnym jak gra skrzypiec. — Czyż twoje serce może jęczeć pod ciężarem, gdy moje jest wolne? — mówiła. — Czy to możliwe, bym była szczęśliwa, gdy ty jesteś przygnębiony? Wyczułam twój smutek, wyczułam, że mnie potrzebujesz, i przyszłam, by dzielić z tobą ciężar lub całkiem wziąć go na siebie.

Jej dłonie spoczęły na jego ramionach.

Wzrok Asada złagodniał. Istotnie potrzebował pociechy, a nigdy jeszcze Fenzileh nie zjawiała się tak bardzo w porę jak teraz.

Powoli, z ogromnym sprytem, wydobyła z niego szczegóły całego zajścia.

— To pies! — zawołała. — Niewierny, niewdzięczny pies! A ostrzegałam cię przed nim, o światło moich oczu, ale ciebie gniewały te przestrogi, które pochodziły z miłości. Teraz go znasz i nigdy już nie zamąci pogody dni twoich. Usuniesz go, zepchniesz z powrotem w proch, skąd podniosła go dobroć twoja.

Lecz Asad nie odpowiadał. Siedział zamyślony i patrzył prosto przed siebie. Na koniec ciężko westchnął. Był sprawiedliwy i miał sumienie, rzecz równie dziwna, jak kłopotliwa u korsarskiego baszy.

— Cokolwiek się stało — odparł ponuro — nie usprawiedliwiałoby to usunięcia najdzielniejszego bojownika islamu. Mój obowiązek wobec Allaha na to nie pozwala.

— Ale jego obowiązek wobec ciebie pozwolił mu zlekceważyć twą wolę — przypomniała łagodnie.

— Moje pragnienia — odparł z gniewem, który jednak zaraz opanował. — Ale czyż moje osobiste zachcianki mogą mi przeszkadzać w wypełnianiu powinności wobec wiary?

Czy dla jednej niewolnicy mam poświęcić najwaleczniejszego żołnierza islamu, najdzielniejszego bojownika praw Proroka? Czy przez zgubę człowieka, który jest plagą i skorpionem dla niewiernych, mam ściągnąć zemstę Jedyne go na swoją głowę? Dlatego tylko, by zaspokoić swą dumę osobistą i ukarać go za to, że mi odmówił w sprawie tak błahej?

— I ciągle jeszcze mówisz, o życie moje, że Sakr-el-Bahr jest najpotężniejszym bojownikiem Proroka? — zapytała słodko, ale nie bez zdziwienia.

— Nie ja to mówię, ale jego czyny — odpowiedział posępnie.

— Znam jeden jego czyn, którego żaden wierny by się nie dopuścił. Jeżeli dotąd brakło dowodów jego niewierności, to obecnie sam ich dostarczył, biorąc za żonę chrześcijankę. Czy nie napisano w księdze dla wszystkich: „Nie łącz się węzłem małżeńskim z bałwochwalcą”? Takie jest prawo Proroka, a przecież on je złamał, buntując się równocześnie przeciw woli Allaha i twojej, o krynico mej duszy.

Asad zmarszczył brwi. Miała rację, a on tę okoliczność zupełnie przeoczył. Sprawiedliwość jednak nakazywała mu wystąpić w obronie Sakr-el-Bahra.

— Zgrzeszył zapewne bezmyślnością.

— Ojcie Marzaka — zawołała pełna podziwu — jakim jesteś niewyczerpanym źródłem łaski i przebaczenia! Masz słusność jak zawsze. Niewątpliwie grzech był skutkiem bezmyślności, ale czy u prawdziwego muzułmanina podobne wykroczenie byłoby możliwe, u takiego, który naprawdę zasługuje na miano bojownika świętych praw Proroka?

Strzał był celny, przebił pancerz sumienia baszy. Asad zamyślił się, zapatrzył w czarne cienie murów oświetlonych księżycem. Nagle zerwał się.

— Na Allaha, masz słusność! — zawołał. — Nie dbał o to, że występując przeciwko mnie i zatrzymując tę dziewczynę, grzeszy przeciw prawu.

Osunęła się na kolana i objęła go wpół, spoglądając mu w oczy.

— Jesteś zawsze łaskawy, zawsze oględny, nawet w potępiającym sądzie. Czy to już cała jego wina, Asadzie?

— Czy cała? — zapytał. — A czymże jeszcze zawinił?

— Wołałabym, żeby już niczym więcej. Ale jest jeszcze coś, na co uczyniła cię ślepym twoja anielska dobroć. Dopuszczał się czegoś znacznie gorszego. Nie tylko zgrzeszył bezmyślnością przeciwko prawu, ale wypaczył je dla własnej korzyści i przez to je poharbił.

— W jaki sposób? — zapytał Asad skwapliwie.

— Użył go jako parawanu. Żeniąc się, sprzątnął ci ją sprzed nosa, wiedział bowiem dobrze, że ty, Lew i Obrońca Wiary, ugniesz się posłusznie przed tym, co napisano w Księdze.

— Chwała bądź Wszechwiedzącemu, który użyczył mi sił, bym nie uczynił nic niegodnego! — zawołał rad z siebie Asad. — Mógł bym go zabić i w ten sposób przerwać bezbożne więzy, uległem jednak temu, co zostało napisane.

— Twoja wspaniałomyślność raduje aniołów — odpowiedziała — a jednak znalazł się człowiek tak podły, że ją uczynił źródłem swego osobistego zysku, Asadzie!

Niecierpliwym ruchem uwolnił się z jej objęć i zaczął się przechadzać w świetle księżyca. Fenzileh, zadowolona z siebie — obraz niewymownego wdzięku — wsparta o poduszki otomany, śledziła go spod półprzymkniętych powiek, czekając, kiedy trucizna zacznie działać.

Widziała, jak przystanął i wzniosł w górę ręce, wzywając niebo na świadka i pytając gwiazd, rozmigotanych w blasku księżycowym.

W końcu zwrócił się do niej. Jeszcze nie podjął decyzji. To, co mówiła Fenzileh, było prawdą, ale z drugiej strony znał i oceniał jej nienawiść do Sakr-el-Bahra, wiedział, jak dokładała wszelkich starań, by każdy jego czyn przedstawić w jak najgorszym świetle, znał jej zazdrość z powodu Marzaka — nie ufał więc ani jej, ani sobie. Ponadto jego miłość do Sakr-el-Bahra powiększała tylko wewnętrzną rozterkę.

— Dość tego. Modlę się do Allaha, by mi zesłał w nocy dobrą radę — rzekł szorstko i zniknął w pałacu.

Fenzileh poszła za nim. Przez całą noc leżała u jego nóg, by z pierwszym brzaskiem być gotową do dalszej pracy nad dziełem, które wydawało jej się jeszcze bardzo niedojrzałe. Asad spał niespokojnie, ona zaś czuwała z otwartymi oczyma.

Gwiazda, Księżyc

Gdy tylko odezwał się głos muezina, zerwał się, posłuszny jego wezwaniu, i nim przebrzmiały ostatnie dźwięki, był już na nogach. Z rozkazów, jakie wydawał, Fenzileh domyślała się, że Asad wyrusza na przystań.

— Oby Allah natchnął cię dobrą myślą, o mój panie! — zawołała. — Jakie powzięłeś postanowienie?

— Idę szukać znaku — odpowiedział, zostawiając ją w niepewności.

Przywołała Marzaka i kazała mu towarzyszyć ojcu, pouczając szybko, co ma robić.

— Twój los jest w twoich rękach — upominała go. — Uważaj, chwyć go mocno, by ci się nie wymknął.

Wyszedł na dziedziniec w chwili, gdy ojciec dosiadał białego muła. Baszy towarzyszył wezyr Tsamanni, Biskaine i kilku innych oficerów. Marzak przyłączył się do nich i szedł przy strzemienu ojca, nieco przed innymi. Chwilę panowało milczenie, które przerwał syn.

— Modlę się, mój ojcze, o to, byś odebrał niewiernemu Sakr-el-Bahrowi dowództwo nad tą wyprawą.

Asad spojrzał na niego ponuro.

— Statek musi zaraz wypłynąć, jeżeli mamy pochwycić hiszpańską galere — rzekł. — Któż ma dowodzić, na brodę Proroka, jeśli nie Sakr-el-Bahr?

— Wypróbuj mnie, ojcze — napierał się Marzak.

Asad uśmiechnął się złośliwie.

— Czy ci życie niemiłe, mój synu, że chcesz iść na śmierć i statek na zgubę narazić?

— Nie jesteś nadmiernie sprawiedliwy — zaprotestował Marzak.

— Za to nadmiernie łaskawy, mój synu — odparł Asad.

Dalszą drogę aż do przystani odbywali w milczeniu.

Wspaniała galera była przycumowana i wokół panowały gorączkowe przygotowania do drogi.

Po trupie chodzili w jedną i drugą stronę tragarze, dźwigając paki z żywnością, beczki z wodą, prochem i inne rzeczy niezbędne w podróży. Gdy Asad ze swym orszakiem dochodził do mostku, czterech Murzynów wносиło właśnie z wielkim wysiłkiem olbrzymi kosz z palmowego łyka.

Na rufie stał Sakr-el-Bahr z Othmanim, Alim, Jasperem i kilkoma innymi oficerami. Na mostku uwijali się Francuz Larocque i Włoch Vigittello, dwaj bosmani, którzy ostatnio towarzyszyli Sakr-el-Bahrowi we wszystkich wyprawach. Larocque nadzorował załadunek, wydawał rozkazy co do umieszczenia prowiantu, wody, prochu. Vigittello dokonywał ostatecznego przeglądu niewolników przy wiosłach.

Gdy ów kosz palmowy wniesiono na pokład, Larocque polecił ustawić go przy głównym maszcie; na rozkaz Sakr-el-Bahra jednak umieszczono go w nadbudówce rufowej.

Asad zsiadł z muła i właśnie miał wstąpić na mostek, kiedy Marzak począł go prosić, by sam objął dowództwo, jego zaś mianował swoim oficerem, dając mu możliwość poznania morskiego rzemiosła.

Asad spojrzał na niego ciekawie, ale nic nie odpowiedział. Pierwszy wszedł na pokład. Sakr-el-Bahr dopiero teraz spostrzegł jego obecność i wysunął się naprzód, by mu oddać honory. Choć serce biło mu niespokojnie, był chłodny, oczy miał zuchwałe i nieustraszone jak zawsze.

— Oby pokój Allaha był z tobą, potężny Asadzie. Właśnie za chwilę odbijamy, a popłynę tym bezpiecznie, gdy nam udzielisz swego błogosławieństwa.

Asad przyglądał mu się zdumiony. Taka śmiałość i swoboda w zachowaniu po ostatnim zajściu wydawała się baszy czymś nie do wiary, jeżeli nie szedł z nią w parze bezwzględny spokój sumienia.

— Namawiano mnie, żebym uczynił więcej jeszcze: mianowicie, żebym sam objął dowództwo — rzekł, przyglądając się badawczo Sakr-el-Bahrowi, którego niezadowolnienie zdradził jedynie błysk oczu.

— Dowództwo? — roześmiał się Sakr-el-Bahr. — Namawiano cię?

Lecz śmiech ten był taktycznym błędem. Rozdrażnił Asada. Basza ruszył ku głównemu masztowi. Tu stanął i spojrzał idącemu obok Sakr-el-Bahrowi ostro w twarz.

— Dlaczego się śmiałeś? — zapytał szorstko.

— Dlaczego? Bo taka propozycja wydała mi się bardzo niemądra — odpowiedział Sakr-el-Bahr, nie wysilając się na jakąś dyplomatyczną odpowiedź.

Zmarszczka na czole Asada stała się jeszcze groźniejsza.

— Niemądra? — zapytał. — A dlaczegoż to?

Sakr-el-Bahr spostrzegł, że popełnił błąd.

— Dlatego, że nie uważam, by tak nędzna wyprawa godna była twojego uczestnictwa, Lwie Wiary. Ty — ciągnął dalej pełnym pogardy tonem — który zapalałeś męstwem wojowników w setkach sławnych bitew, i to bitew między całymi flotami, ty masz teraz objąć dowództwo jednego statku polującego na jedną hiszpańską galere! To nie byłoby godne twojego wielkiego imienia, to poniżej twej godności! — Wykonał pogardliwy ruch ręką, jakby uważał sprawę za załatwioną.

Lecz Asad ciągle wpatrywał się w niego przenikliwie, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Jak to? Więc od wczoraj nastąpiła taka zmiana?! — rzekł.

— Zmiana? Jaka?

— Jeszcze wczoraj sam nalegałeś, bym wziął udział w wyprawie i objął dowództwo — przypomniał mu Asad z naciskiem. — Sam przywoływałeś pamięć minionych dni, kiedy z szablami w dłoniach nacierałśmy ramię w ramię na niewiernych, sam starałeś się mnie namówić, bym raz jeszcze wziął udział w bitwie u twego boku. A teraz? — Rozłożył ręce. — Skąd ta zmiana? — spytał poważnie.

Sakr-el-Bahr milczał, widząc, że złapał się we własne sidła. Na chwilę wzrok jego powędrował poza Asada i spotkał roziskrzone oczy Marzaka, dalej padł na Biskainego, Tsamanniego i innych. Wszyscy przyglądali mu się ze zdziwieniem; niejedna ogorzała twarz spojrziała z ławki galerniczej z tępą ciekawością.

Sakr-el-Bahr uśmiechnął się, był zupełnie spokojny.

— Stąd, że uznałem za słuszne twoje argumenty, którymi wczoraj tłumaczyłeś odmowę — odparł. — A zresztą, powtarzam raz jeszcze: wyprawa niewarta woda.

Marzak roześmiał się ironicznie, jak gdyby właściwe powody stanowiska Sakr-el-Bahra były mu dobrze znane. Zrozumiał, że jego osobliwe zachowanie było owym poszukiwanym przez Asada znakiem. Bo właśnie w tej chwili basza powziął decyzję.

— Zdaje się — rzekł ze złośliwym uśmiechem — że jestem ci nie na rękę. A jeżeli tak, to bardzo żałuję, lecz dotąd zaniedbywałem obowiązki wobec mego syna i postanowiłem naprawić ten błąd. Będziemy ci towarzyszyć, Sakr-el-Bahrze. Ja jako dowódca, a Marzak jako mój uczeń w sztuce morskiej.

Wobec tego stanowczego oświadczenia Sakr-el-Bahr umilkł. Oddał baszy głęboki ukłon i podjął radośnie:

— Chwała Allahowi, żeś się zdecydował. Nie mnie cię odwozić od tego postanowienia, przez które mogę tylko zyskać.

XV. WYPRAWA

Powziąwszy postanowienie, Asad spędził z Tsamannim kilka chwil na uboczu, dając mu wskazówki na okres swej nieobecności. Gdy wezryr się oddalił, basza sam dał hasło do podniesienia kotwicy.

Mostek został wciągnięty, odezwał się gwizdek bosmana, sternicy zajęli swoje miejsca na rufie. Rozległ się drugi gwizdek i Vigitello z dwoma pomocnikami, wszyscy trzej uzbrojeni w potężne baty z bykowca, zawołali: „Gotuj się!”. Wreszcie na trzeci gwizdek Larocque’a pięćdziesiąt cztery ciężkie wiosła uderzyły o wodę, a dwieście pięćdziesiąt ciał pochyliło się do przodu jak jedno. Kiedy się podnosiły, statek mknął już na spotkanie przygody. Z głównego masztu powiewała na wietrze czerwona chorągiew z zielonym księżycem, a z przystani, gdzie tłoczyły się tłumy widzów, dobiegały pożegnalne okrzyki.

Wiatr wiejący od pustyni sprzyjał dziś Lionelowi. Bez jego pomocy szybko by opadł z sił. Był zakuty w kajdany, jak wszyscy, nagi, z wąską przepaską na biodrach i zajmował miejsce tuż przy głównym przejściu, na pierwszej ławce od steru. Nim statek przebył krótką odległość między przystanią a wyspą, bat dozorczy zdążył go już pobudzić do intensywniejszego wysiłku. Jęknął pod okrutnym uderzeniem, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. By nie ściągnąć na siebie następnych razów, całą energię włożył w pracę. Gdy

dopłynęli do Peñon, pot lał się z niego strumieniem, a serce waliło jak młotem. Było oczywiste, że długo nie wytrzyma, i przerażeniem napawała go myśl o okropnościach, jakie go czekają, gdy opadnie z sił. Z natury nie był mocnej budowy, a ponadto tryb życia, jaki pędził, nie mógł go przysposobić do takiego wysiłku.

Na wysokości Peñon, gdzie ciepły wiatr dął z ogromną siłą, Sakr-el-Bahr, któremu Asad zlecił pieczę nad nawigacją, kazał rozpiąć na masztach olbrzymie żagle łacińskie²¹⁰. Wydęły się mocno i statek ruszył teraz ze zdwojoną szybkością. Polecono zaprzestać wiosłowania, niewolnicy mogli zatem spocząć, choć w łańcuchach, i nabrać nowych sił. Dziób statku zakończony był stalowym taranem i zaopatrzony po obu stronach w armaty. To tu przeważnie gromadzili się korsarze, spędzając wolny czas na odpoczynku. Stali oparci o wysokie burty albo siedzieli grupami, śmiejąc się i rozmawiając. Jedni naprawiali ubrania, inni czyścili broń i części rynsztunku. Jakiś ciemnoskóry młodzieniec brzdąkał na *gimbri* i śpiewał melancholijną pieśń miłosną, gromadząc wokół siebie żądnych krwi zbójów wszelkich odcieni skóry.

Na rufie była obszerna kajuta, do której wiodły dwie pary łukowatych drzwi, zawieszonych czerwonymi zasłonami z zielonym półksiężycem. Nad kajutą wznosiły się trzy wielkie żelazne pozłacane świeczniki z wyobrażeniem globu ziemskiego i księżyca. Aż do środka statku rozpięta była zielona markiza, ocieniająca pół pokładu. Tu, na poduszkach, leżeli Asad i Marzak, Biskaine zaś i kilku innych oficerów, którzy towarzyszyli baszy do przystani i ruszyli z nim na wyprawę, kręciło się koło złożonej balustrady tuż nad ławkami wiosłarzy.

Samotny Sakr-el-Bahr stał oparty o burtę i spoglądał posępnie na oddalające się miasto, które w świetle wschodzącego słońca wyglądało tak, jakby ktoś rozsypał na stoku wzgórza białe sześciiany.

Miasto

Asad przyglądał mu się spod krzaczastych brwi w milczeniu, wreszcie skinął ręką. Sakr-el-Bahr stanął przed władcą w postawie pełnej szacunku.

Oczy Asada badały go uroczyście, a na pięknej twarzy Marzaka igrał złośliwy uśmiech.

— Nie myśl, o Sakr-el-Bahrze — rzekł wreszcie basza — że czuję do ciebie urazę za wypadki ostatniej nocy albo że były one powodem mego postanowienia. Mam wobec Marzaka obowiązki; długo je zaniedbywałem, lecz obecnie postanowiłem zło naprawić.

Wyglądało to na usprawiedliwianie się. Zarówno słowa, jak i ton ojca nie podobały się Marzakowi. Dlaczego — myślał — ten dumny starzec, którego imię stało się postrachem chrześcijańskiego świata, jest zawsze tak miękki i ustepliwy, ilekroć chodzi o tego zuchwałego renegata?

Sakr-el-Bahr skłonił się z powagą.

— Mój panie — przemówił — nie jest moją rzeczą badać twoje postanowienia i motywy, które do nich prowadzą. Wystarczy mi, że znam twoje życzenia, bo one są dla mnie prawem.

— Istotnie? — rzekł Asad cierpko. — Nie zdaje mi się, żeby twoje postęпки szły w parze z twymi zapewnieniami — westchnął. — Boleśnie zostałem zraniony wczoraj, gdyś mi się tak hardo sprzeciwił, uniemożliwiając zabranie tej dziewczyny. Szanuję jednak to małżeństwo, bo jestem muzułmaninem, choć zostało zawarte bezprawnie. Ale niech tam! — zakończył, wzruszając ramionami. — Idziemy znowu razem, jak kiedyś, przeciw Hiszpanom. Niech wszelkie wzajemne niechęci przepadną, niech nie rzucają żadnego cienia na nasze świetne przedsięwzięcie.

— Amen, o panie — rzekł Sakr-el-Bahr uroczyście. — Bałem się...

— Ani słowa — przerwał mu basza. — Ty nie należysz do tych, co się boją, i dlatego pokochałem cię jak syna.

Ale taki finał nie był po myśli Marzaka. Drażniło go ustępstwo ojca, zmierzające do pojednania. Nim Sakr-el-Bahr zdołał cokolwiek odpowiedzieć, zapytał podstępnie.

— A jakże żona znieśie czas twojej nieobecności, o Sakr-el-Bahrze?

— Zbyt mało zadawałem się z kobietami, bym ci mógł na to pytanie odpowiedzieć — odparł korsarz.

²¹⁰ *żagiel łaciński* — rodzaj trójkątnego żagla opartego na krótkim maszcie, używany głównie na M. Śródziemnym. [przypis edytorski]

Ta replika, zawierająca aluzję osobistą, zbiła nieco z tropu Marzaka, który po chwili jednak znów przystąpił do ataku.

— Współczuję ci, że będąc niewolnikiem obowiązku, musiałeś tak prędko wyrzec się rozkoszy jej miękkich ramion. Gdzie ją umieściłeś, namiestniku?

— A gdzież indziej może muzułmanin umieścić swoją żonę, jeśli nie w domu, zgodnie z nakazem Proroka?

— Zaprawdę, podziwiam twoją siłę woli, żeś mógł się tak prędko z nią rozstać — sztychował Marzak.

Asad wyczuł ironię w słowach syna i spojrzał na niego zaskoczony.

— Cóż w tym dziwnego, że prawdziwy muzułmanin poświęca dla wiary swoje osobiste sprawy? — w jego głosie brzmiała nagana.

Ale Marzak nic sobie z tego nie robił. Rozciągnął się wygodnie na poduszkach, podwijając jedną nogę pod siebie.

— Ojczy, nie sądz z pozorów — rzekł.

— Milcz! — zgromił go basza. — Uciszyć swój język, Marzaku, i niech Allah Wszechwiedzący łaskawym okiem spojrzy na naszą wyprawę i użycz nam siły do rozgromienia niewiernych, dla których niedostępne będą wonie rajskiego ogrodu.

Sakr-el-Bahr odpowiedział „Amen”, ale w sercu jego wzmagął się niepokój, wywołany pytaniami Marzaka. Czy były to jedynie puste słowa, obliczone na dokuczenie mu i przypomnienie Asadowi o Rozamundzie, czy też opierały się na jakiejś konkretnej wiedzy?

Wkrótce jego obawy miały przybrać jeszcze na sile. Gdy po południu stał oparty o reling, dozorcą wydzielanie racji żywnościowych niewolnikom, podszedł do niego Marzak.

Młodzieniec czas jakiś milczał, przypatrując się, jak Vigitello i jego ludzie chodzą od ławki do ławki, rozdzielając między wioślarzy suchary i suszone daktyle — nie za obficie, bo praca idzie wolno, gdy żołądki są pełne — i dając każdemu kubek wody z octem, zaprawionej kilku kroplami oliwy.

Wreszcie wskazał na wielki kosz z palmowych włókien, stojący przy głównym maszcie i otoczony beczkami z prochem.

— Mam wrażenie — rzekł — że ten kosz jest umieszczony bardzo nieodpowiednio. Czy nie lepiej byłoby kazać go zanieść na pokład, gdzie na wypadek bitwy nikomu nie będzie zawadzał?

Sakr-el-Bahrowi serce zabiło żywiej. Marzak słyszał, jak polecił zanieść kosz do kajuty i jak rozkaz ten cofnął, gdy Asad oznajmił, że bierze udział w wyprawie. Orientował się, że już samo to mogło obudzić podejrzenia — czy też, znając zawartość kosza, sam te podejrzenia uprzedzał.

— Zrozumiałem, Marzaku, że jesteś tu z nami w charakterze ucznia.

— I cóż z tego? — zapytał Marzak.

— To, że byłoby dla ciebie korzystniej, gdybyś ograniczył się do obserwacji. Niezadługo będziesz mnie uczył, jak zarzucić kotwicę i jak kierować bitwą.

Wskazał na coś, co przypominało wąskie pasmo chmur na horyzoncie i ku czemu zbliżali się szybko, gnani pomyślnym wiatrem.

— Tam są Baleary²¹¹ — rzekł. — Płyniemy bardzo prędko.

Wprawdzie Sakr-el-Bahr usiłował tylko zmienić temat rozmowy, to jednak rzecz sama godna była uwagi. Na całym Morzu Śródziemnym nie było statku szybszego od galery Sakr-el-Bahra, czy pędziły ją wiosła poruszane przez dwustu pięćdziesięciu niewolników, czy ogromne żagle. Teraz mknęła pod wydętymi łacińskimi żaglami, śmigając po smaganej wiatrem wodzie z lekkością, jakiej każdy statek mógłby jej pozazdrościć.

— Jeżeli wiatr się utrzyma, to przed zachodem słońca będziemy koło przylądka Aguila²¹², a to już nie byle co.

Ale Marzaka to najwyraźniej nie interesowało. Jego wzrok ciągle błądził wokół kosza. Wreszcie, nie odezawszy się ani słowem, przeszedł na rufę i wyciągnął się pod namiotem

²¹¹Baleary — archipeląg w zach. części M. Śródziemnego, w pobliżu wsch. wybrzeża Płw. Iberyjskiego; ok. 200 km na płn. od Algieru. [przypis edytorski]

²¹²przylądek Aguila — zapewne Punta de s'Aguila, niewielki przylądek w zach. części pld. wybrzeża wyspy Formentera, najbardziej na pld. wysuniętej z dużych wysp archipelagu Balearów. [przypis edytorski]

obok ojca. Asad siedział zamyślony i zły, że okazał taką uległość i wybrał się na tę wyprawę, mimo że nie było najmniejszego powodu nie dowierzać Sakr-el-Bahrowi. Marzak przyszedł, by podsycić nieufność ojca, ale wybrał się nie w porę, bo już po pierwszych słowach basza ofuknął go i kazał mu milczeć.

— Obnosisz się tylko z tą swoją niechęcią — skarcił go. — A ja postąpiłem jak głupiec, dając się powodować waszej złośliwości. Ani słowa więcej.

Marzak umilkł, zły, wodząc oczyma za Sakr-el-Bahrem, który przechadzał się między ławkami niewolników.

Sakr-el-Bahr był niespokojny jak człowiek, który coś ukrywa i który zaczyna się lękać, czy nie został zdradzony. Ale któż mógł go zdradzić? Tajemnicę znało tylko trzech ludzi: Ali, Jasper i Włoch Vigittello. Alego i Vigittella był pewny, co do Jaspiera zaś, to musiał milczeć choćby we własnym interesie. Lecz aluzje Marzaka, dotyczące kosza, napęłniły go niepokojem. Wyszukał Włocha, którego darzył największym zaufaniem.

— Vigittello — rzekł — czy to możliwe, by ktoś zdradził przed baszą moją tajemnicę?

Vigittello wykonał najpierw ruch wyrażający zdziwienie, a następnie uśmiechnął się z absolutną pewnością siebie.

— W sprawie tego? — zapytał, wskazując oczyma kosz. — Niemożliwe. Gdyby Asad coś wiedział, zdradziłby się z tym jeszcze w Algierze i wzmocnił przyboczną straż.

— Na co mu straż przyboczna? — odparł Sakr-el-Bahr. — Gdyby doszło między nami do starcia, co jest nieuniknione, jeżeli moje podejrzenia się potwierdzą, to nie ma wątpliwości, po czyjej stronie staną korsarze.

— Naprawdę nie ma wątpliwości? — powtórzył Vigittello, a po jego ciemnej twarzy przemknął zagadkowy uśmiech. — Nie bądź taki pewny. Większość z tych ludzi odbyła z tobą wiele bitew. Dla nich ty jesteś baszą.

— Być może. Ale przysięgę na wierność składali Asadowi, pomazańcowi bożemu. Gdyby im przyszło wybierać między mną a Asadem, to obowiązek religijny wskaże im drogę, bez względu na więzy, jakie ich ze mną łączyły.

— Ale niejeden szemrał, gdy tobie odebrano dowództwo wyprawy — rzekł Vigittello. — Niewątpliwie u wielu zwyciężają względy natury religijnej, ale większość stanie po twojej stronie, nawet przeciw samemu sułtanowi. I nie zapominaj — dodał, mimo woli zniżając głos — że część z nich to renegaci jak ty i ja, którzy jednej chwili by się nie namyślali w razie wyboru. Ale spodziewam się — zakończył — że do takiej ostateczności nie dojdzie.

— I ja jestem tego pewny — odpowiedział Sakr-el-Bahr żywo — ale ogarnia mnie niepokój i chciałbym wiedzieć, jakie są w razie czego moje szanse. Pokręć się między ludźmi, Vigittello, i wybadaj ich nastroje i sympatie, byśmy wiedzieli, na kogo mogę liczyć, gdyby skończyło się walką. Tylko pamiętaj, bądź ostrożny.

Vigittello zmrużył znacząco jedno oko.

— Polegaj na mnie — rzekł — wkrótce przyniosę ci wiadomości.

Z tym się rozstali. Vigittello poszedł na dziób, Sakr-el-Bahr udał się na rufę. Przy pierwszej ławce, tuż obok przejścia przystanął wpatrzony w białego wynędzniałego niewolnika, zakutego w łańcuchy. Okrutny uśmiech wykrzywił mu twarz, w rozkoszy zemsty zapomniał o własnych niepokojach.

— Zakosztowałeś już batoga — rzekł po angielsku. — Ale to nic w porównaniu z tym, co cię czeka. Masz szczęście, że dziś jest wiatr. Nie zawsze jednak będzie tak dobrze. Niebawem poznasz na własnej skórze, co ja cierpiałem przez ciebie.

Lionel patrzył na niego dzikimi, nabięglymi krwią oczyma. Chciał cisnąć jakieś przekleństwo, ale poczucie sprawiedliwości kary, jaka go spotkała, zamknęło mu usta.

— O siebie się nie troszczę — odpowiedział.

— Ale zatroszczysz się, drogi bracie — brzmiała odpowiedź. — I gorzko będziesz się nad sobą litował. Mówię z własnego doświadczenia. To źle, że już długo nie pociągniesz, wielka szkoda. Wolałbym, żebyś miał moje siły, które by cię trzymały przy życiu w tym pływającym piekle.

— Powtarzam, że nie dbam o siebie — rzekł z naciskiem Lionel. — Co zrobiłeś z Rozamundą?

— Czy będzie to dla ciebie wielka niespodzianka, gdy się dowiesz, że okazałem się prawdziwym szlachcicem i ożeniłem się z nią? — szydził Oliver.

— Ożeniłeś się z nią? — szepnął, blednąc na samą myśl o tym. — Ty psie!
— Za co mnie łżysz? Czy mogłem więcej zrobić? — zaśmiał się Oliver, pozostawiając Lionela na pastwę mąk niepewności.

W godzinę później, gdy mglisty zarys Wysp Balearskich zyskał na wyrazistości, Sakr-el-Bahr i Vigitello znów spotkali się na pokładzie i zamienili w przejściu kilka słów.

— Trudno powiedzieć dokładnie — szepnął Włoch. — Mam wrażenie, że szale są mniej więcej równe, i byłoby ryzykowne przyspieszać walkę.

— Nie zamierzam tego robić — odpowiedział Sakr-el-Bahr — w żadnym razie. Chciałem tylko wiedzieć, jakie są moje szanse na wypadek, gdybym został sprowokowany do walki.

Ale Sakr-el-Bahr wcale się nie uspokoił, nie było bowiem żadnych widoków rozwikłania trudności, w jakie się wplątał. Podjął się przewieźć Rozamundę do Francji albo do Włoch, dał jej słowo, że ją wysadzi w jednym z tych krajów, jeśli więc mu się to nie uda, będzie przekonana, że wcale nie miał zamiaru obietnicy dotrzymać. Ale jak to zrobić, gdy Asad jest na statku? Będzie chyba zmuszony odwiedzić ją z powrotem do Algieru, tak samo w tajemnicy, jak ją tu przywiózł, i czekać na inną okazję. Plan ten był jednak połączony z wielkim niebezpieczeństwem odkrycia. W każdej chwili mogło wyjść na jaw, że Rozamunda była w koszu.

Nie pozostawało nic innego, tylko czekać, nie tracąc nadziei, i pokładać ufność we własnym szczęściu i pomyślnym zbiegu okoliczności, którego na razie nie sposób było przewidzieć.

Sakr-el-Bahr chodził więc całą godzinę z założonymi w tył rękami, osaczony przez dziwne myśli, z sercem pełnym niepokoju i zgryzoty. Wpadł we własne sidła. Nie ulegało wątpliwości, że szło o jego życie. O to zresztą dbał najmniej, był wszak życiowym rozbitkiem. Gdyby za tę cenę mógł zabezpieczyć Rozamundę, chętnie by się poświęcił. Troska polegała na tym, że nie widział sposobu. Dlatego też chodził samotny, przybity, wyglądając cudu.

XVI. KOSZ

Mniej więcej godzinę przed zachodem słońca, a piętnaście godzin po wyruszeniu z Algieru znaleźli się przed wąskim wejściem do długiej zatoczki, oświetlonej skałami przyłódka Aguila, na południowym wybrzeżu wyspy Formentera²¹³. Sakr-el-Bahr ocknął się ze swego zamyślenia dopiero na dźwięk dolatującego z rufy głosu Asada.

Wiatr ustał i trzeba było zabrać się do wiosł, co zresztą i tak stałoby się koniecznością z chwilą wypłynięcia na zasłoniętą przed wiatrem lagunę. Sakr-el-Bahr zawołał donośnie, a w odpowiedzi zjawili się Vigitello i Larocque.

Vigitello gwizdnął, na co zerwali się jego ludzie, wzywając niewolników, by byli w pogotowiu. Jasper tymczasem z sześcioma muzułmanami rzucił się do zwijania żagli, które i tak już opadały. Sakr-el-Bahr dał rozkaz wiosłowania i Vigitello gwizdnął przeciągle po raz drugi. Wiosła zanurzyły się, niewolnicy napinali muskuły w takt gongu i statek pomknął naprzód. Sakr-el-Bahr, stojąc na tylnym pokładzie, rzucił rozkaz sternikom, wciśniętym we wnęki po obu stronach steru, po czym galera zręcznymi manewrami przemknęła wąskim przesmykiem i wydostała się na zaciszną lagunę, której toń odznaczała się krystaliczną przejrzystością. Zanim udano się na spoczynek, Sakr-el-Bahr zwyczajem korsarzy kazał obrócić statek, aby w każdej chwili był gotów wypłynąć na pełne morze.

Galera stanęła równolegle do łagodnego stoku, na którym w okolicy wierzchołka pasło się kilka dzikich kóz. U podnóża rosły kępy janowca, obsypane złotymi kwiatami. Wyżej sterczało kilka starych, karłowatych drzew oliwnych, a w ich siwych koronach igrały błyski zachodzącego słońca.

Larocque z kilkoma innymi marynarzami wydostał się po wiosłach na brzeg, by przycumować statek z tyłu i z przodu. Następnie Sakr-el-Bahr wystawił strażę. Larocque zajął stanowisko na szczycie wzgórza, skąd roztaczał się bardzo rozległy widok.

Przechadzając się z Marzakiem po pokładzie, basza wspominał dawne dni, kiedy to jako zwykły korsarz w czasie licznych wypraw czatował w tej zacisznej zatoce lub się w niej

²¹³Formentera — śródziemnomorska wyspa na pld.-zach. krańcu Balearów, najbardziej na pld. wysunięta z dużych wysp tego archipelagu. [przypis edytorski]

chronił. Nie istniała, jak mówił, na całym Morzu Śródziemnym druga przystań tak cudownie odpowiadająca korsarskim celom; była ona ucieczką w chwili niebezpieczeństwa i kryjówką, w której można było czyhać na zdobycz. Przypomniawszy sobie, jak raz zaczęli się ze straszonym Dragut-Reisem²¹⁴ i sześcioma galerami, a genueński admirał Doria²¹⁵ przepłynął obok majestatycznie z trzema mniejszymi statkami i siedmioma galerami, nie podejrzewając nawet ich obecności.

Marzak słuchał tych wynurzeń jednym uchem. Wszystkie jego myśli były przy Sakr-el-Bahrze, który kręcąc się od dwóch godzin w pobliżu kosza, utwierdzał go jeszcze w podejrzeniach.

— Chwała Wielkiemu Allahowi — rzekł syn — że ty dowodzisz tę wyprawę, bo inaczej zalety tej przystani nie zostałyby całkowicie wykorzystane.

— Przeciwnie — odparł Asad. — Sakr-el-Bahr zna ją tak samo dobrze jak ja. Już nieraz z niej korzystał. To on mi poddał myśl, żeby tu czekać na hiszpańską galere.

— Gdyby jednak był sam, hiszpańska galera niewiele by go interesowała. Czymś innym jest zajęty. Spójrz na niego, jaki pogrążony w myślach, i to tyle już godzin. Wygląda jak człowiek zrozpaczony albo przyłapany na gorącym uczynku. Coś go dręczy. Przypatrz mu się, ojczu.

— Niech Allah ci przebaczy — odrzekł basza, potrząsając siwą głową i westchnieniem dając wyraz ubolewaniu, że syn jego odznacza się taką pochopnością sądu. — Czy twoja wyobraźnia musi czerpać pokarm ze złośliwości? Nie ciebie za to winię, tylko twoją sycylijską matkę, która wyhodowała w tobie tę nienawiść. I jeszcze skłoniła mnie niepotrzebnie, bym wziął udział w tej wyprawie.

— Widzę, że zapomniałeś o ostatniej nocy i owej niewolnicy — rzekł syn.

— To widzisz źle. Nie zapomniałem. Ale pamiętam również, że Allah wyniósł mnie na tron Algieru i oczekuje ode mnie sprawiedliwości. Daj pokój temu wszystkiemu, Marzaku. Może jutro zobaczysz go w bitwie, a potem nigdy nie ośmielisz się mówić o nim źle. Niech zapanuje pokój między wami i lepsze niż dotąd stosunki.

Asad skinął na Sakr-el-Bahra, który właśnie ku nim zmierzał. Marzak stał na uboczu, nadąsany, lecz ani mu było w głowie postąpić według życzenia ojca i podać gałązkę oliwną człowiekowi, który go miał pozbawić praw z urodzenia mu przysługujących. Przywitał więc korsarza cierpko:

— Czy to myśl o zbliżającej się bitwie tak cię niepokoi, wojenny ogarze?

— Czy widzisz we mnie zdenerwowanie, pokojowy piesku? — brzmiała odpowiedź.

— Tak mi się wydaje. Stronisz od ludzi, chodzisz zamyślony...

— To są objawy niepokoju według ciebie?

— A czegoż by innego?

Sakr-el-Bahr roześmiał się.

— Za chwilę jeszcze powiesz, że się boję. Radziłbym ci jednak poczekać, aż sam powąchasz prochu i krwi i dowiesz się dokładnie, co to jest strach.

Ta mała utarczka słowna zwróciła uwagę oficerów Asada, którzy kręcili się w pobliżu. Biskaine i trzej pozostali przysunęli się do Asada, nie mniej niż on rozbawieni ostatnimi słowami Sakr-el-Bahra.

— Tak jest — rzekł Asad, kładąc rękę na ramieniu Marzaka — to dobra, świetna rada. Zanim będziesz cokolwiek mówił o przedbitewnym niepokoju, poczekaj, chłopcze, aż pójdiesz u jego boku przeciw niewiernym.

Marzak ze złością strząsnął starą, kościstą rękę ojca.

— Więc i ty, ojczu, dołączasz się do jego szyderstw? Dostateczną obroną jest mój młody wiek. Ale przynajmniej — dodał pod wpływem nagle powziętego postanowienia — przynajmniej nie możecie mi uragać, że nie umiem się obchodzić z bronią.

²¹⁴ Dragut, tur. *Turgut Reis* (ok. 1485–1565) — turecki korsarz, admirał floty osmańskiej, zarządca; podopieczny, przyjaciel i zastępca Hayreddina Barbarossy; naczelny dowódca osmańskiej floty Morza Śródziemnego, namiestnik Algieru i Trypolisu, uważany za najzdolniejszego z dowódców osmańskich; zginął podczas oblężenia Malty. [przypis edytorski]

²¹⁵ Doria, *Andrea* (1466–1560) — włoski admirał i polityk Republiki Genui; w 1528 wyzwolił Genuę spod wpływów francuskich i ustanowił republikę, stając na jej czele; wierny stronnik króla Hiszpanii Karola V, znakomity dowódca floty, sławny z walk z korsarzami muzułmańskimi i flotą osmańską Hayreddina Barbarossy i jego oficerów; w 1535 dowodził połączoną flotą genueńsko-hiszpańską, która zdobyła dla Hiszpanii Tunis. [przypis edytorski]

— Dajcie mu tylko miejsce — rzekł ze śmiechem Sakr-el-Bahr — a cudu dokáže. Marzak spojrział na niego przymrużonymi, błyszczącymi oczami.

— Niech mi podadzą łuk, a pokażę, jak się strzela — odparł chępliwie.

— Jemu chcesz pokazać? — krzyknął Asad. — Jemu? — roześmiał się głośno i serdecznie. — Czekaj jeszcze, niech ci wąsy urosną, zanim będziesz mógł się z nim mierzyć.

— Wstrzymaj się, ojcze, z przedwczesnym sądem — rzekł Marzak chłodno, z godnością.

— Chłopcze, szaleństwo cię ogarnia! Sakr-el-Bahr trafia jaskółkę w locie.

— To zapewne przechwałki — odparł Marzak.

— A cóż ty znowu zamierzasz trafić? — zapytał Sakr-el-Bahr. — Pewnie wyspę Formenterę z tej odległości, co?

— Pozwalasz sobie na drwiny?! — zawołał Marzak wściekły.

— O jakież drwiny ci chodzi? — zdziwił się Sakr-el-Bahr.

— Na Allaha, zaraz cię nauczę.

— W pokorze czekam na lekcję.

— I będziesz ją miał — brzmiała odpowiedź. Zbliżył się do burty. — Hola, Vigitello! Łuk dla mnie i dla Sakr-el-Bahra!

Vigitello rzucił się, by natychmiast spełnić rozkaz, Asad zaś potrząsnął głową.

— Czy to nie jest wykroczenie przeciwko prawom Proroka, czynić zakłady...²¹⁶ — zaczął, lecz Marzak mu przerwał:

— Już zaproponowałem zakład.

— A więc o co? — zapytał spokojnie Sakr-el-Bahr. — O twoją sakiewkę?

Marzak spojrział na niego i uśmiechnął się szyderczo. Potem porwał łuk z rąk Vigitella i nałożył strzałę. Teraz dopiero Sakr-el-Bahr miał się dowiedzieć, jak potworna była złośliwość Marzaka.

— Patrz — rzekł młodzian — na tym koszu jest mały czarny punkcik, nie większy od żrenicy mego oka. Musisz się dobrze przyjrzeć, aby go zobaczyć. A teraz uważaj, z jaką łatwością trafi go moja strzała. Czy możesz mi wskazać lepszy cel niż ten?

Badawcze oczy Marzaka dostrzegły bładość na twarzy Sakr-el-Bahra, który jednak błyskawicznie nad sobą zapanował. Zaśmiał się tak obojętnie, że młodzieńca zbiło to z tropu.

— Aha, wybierasz cel tak, aby gdziekolwiek utkwii grot, powiedzieć, że właśnie o ten punkt chodziło. Stary kruczek, Marzaku, możesz kobiety brać na ten kawał.

— A więc — rzekł Marzak — zamiast tego wybierzmy jeden z cienkich sznurów opasujących kosz.

Podniósł łuk. W tej chwili jednak dokoła jego ramienia zamknęły się palce Sakr-el-Bahra w delikatnym, lecz obezwładniającym chwycie.

— Czekaj — rzekł. — Z kilku względów należy obrać inny cel. Po pierwsze nie chciałbym, by strzała twoja zabłądziła między wioślarzy i zabiła mi któregoś z nich, bo to ludzie wybrani i muszę ich oszczędzać, po drugie cel jest dziecinny, odległość nie przekracza dziesięciu kroków, zapewne dlatego go obrałeś.

Marzak opuścił łuk, a Sakr-el-Bahr zwolnił uchwyt. Patrzyli sobie w oczy. Korsarz panował nad sobą po mistrzowsku i swobodny uśmiech w najmniejszym stopniu nie zdradzał przerażenia, jakie ogarnęło jego duszę.

Wskazał na najbliższe drzewo oliwne, rosnące na stoku i oddalone o jakieś sto kroków.

— To jest cel godny mężczyzny. Wbij strzałę w tę długą gałąź.

Asad i oficerowie głośno pochwalili wybór.

— Tak, to jest cel godny mężczyzny — rzekł basza — niechże ten zostanie.

Lecz Marzak pogardliwie wzruszył ramionami.

— Wiedziałem z góry, że odrzuci wybrany przeze mnie cel — rzekł. — Co się tyczy owej gałęzi, to jest tak wielka, że dziecko by nawet nie chybiło.

— Jeśliby więc dziecko nie chybiło, Marzaku, ty nie chybisz tym bardziej — powiedział Sakr-el-Bahr, ustawiając się tak, że zasłonił sobą kosz.

²¹⁶ Czy to nie jest wykroczenie przeciwko prawom Proroka, czynić zakłady — islam zabrania hazardu. [przypis edytorski]

Podniósł łuk i prawie nie mierząc, puścił cięciwę. Strzała bzyknęła i drgając, uwięzła w oznaczonej gałęzi.

Chór pochwał nagrodił ten wyczyn i skierował uwagę wszystkich w stronę drzewa.

Marzak zagryzł wargi, widząc się całkowicie pokonanym przez spryt Sakr-el-Bahra. Chcąc nie chcąc, musiał teraz strzelać do drzewa. Miał pewność, że się ośmieszy i przegra zakład.

— Na Koran — rzekł Biskaine — musisz się bardzo skupić, Marzaku, by oddać równie dobry strzał.

— Ja tego celu nie wybierałem — odparł Marzak rozdrażniony.

— Sam go wyzwaleś — przypomniał mu ojciec — do niego więc należał wybór celu. Wybrał zaś cel godny mężczyzny i, na brodę Proroka, pokazał nam godny mężczyzny strzał.

Marzak chciał odrzucić łuk i poniechać tej metody zbadania zawartości kosza, ale zdawał sobie sprawę, że okryje się hańbą, wolno więc skierował łuk ku dalekiemu celowi.

— Uważaj, tam na szczycie stoi strażnik — przestrzegł go Sakr-el-Bahr, wywołując śmiechy.

Marzak wściekle spuścił cięciwę. Cięciwa zadzwoniła i strzała utkwiała w zboczu górskim o jakieś dwadzieścia kroków od drzewa. Ponieważ chodziło o syna baszy, nikt prócz Asada i Sakr-el-Bahra nie miał odwagi śmiać się otwarcie, jednak tłumionym chichotom nie było końca.

Asad patrzył na niego rozbawiony.

— Widzisz — rzekł — to są skutki mierzenia się z Sakr-el-Bahrem.

— Bo przeszkodził mi w wyborze celu — odparł Marzak. — Rozgniewaliście mnie i dlatego nie trafiłem.

Sakr-el-Bahr oddalił się pewny, że sprawa została załatwiona. Marzak patrzył za nim.

— A jednak na ten malutki cel wyzywam go jeszcze powtórnie — z tymi słowy założył drugą strzałę. — Patrzcie! — zawołał, mierząc.

Lecz w tej chwili, zupełnie zapominając o możliwych następstwach, Sakr-el-Bahr szybko jak myśl podniósł na Marzaka gotowy do strzału łuk.

— Stój! — krzyknął. — Jeżeli ty wypuścisz strzałę w ten kosz, ja wypuszczę strzałę w twoje gardło, a pamiętaj, że nie chybiam nigdy! — dodał groźnie.

Nastąpiło poruszenie. Z niemym zdumieniem patrzyli wszyscy na Sakr-el-Bahra stojącego w miejscu z poblaskiem twarzy, z oczami ciskającymi ogień, z bronią gotową do strzału.

Powoli, ze złośliwym uśmiechem, Marzak opuścił łuk. Był zadowolony. Dopiął celu — wróg się zdradził.

Ciszę przerwały słowa Asada:

— *Kallamullah!*²¹⁷ — krzyknął. — Co to znaczy? Sakr-el-Bahr, czyś i ty oszalał?

— Tak, oszalał — wtrącił Marzak — ale ze strachu.

Szybko uskokzył w bok, kryjąc się za Biskainego.

— Zapytaj go, ojcie, co się znajduje w tym koszu.

— Co tam wiesz? — spytał basza, podchodząc do namiestnika.

Sakr-el-Bahr zniżył łuk. Już znów panował nad sobą. Jego spokój przechodził granice prawdopodobieństwa.

— Wiozę tam wartościowe rzeczy i nie chcę, by mi je wścibski smarkacz dziurawił — odparł.

— Wartościowe rzeczy? — powtórzył Asad. — Istotnie, muszą to być bardzo cenne rzeczy, skoro mają wartość większą niż życie mojego syna. Zobaczymy te klejnoty. Otworzyć kosz! — zawołał do ludzi na pokładzie.

Sakr-el-Bahr skoczył ku baszy i chwycił go za rękę.

— Wstrzymaj się, panie! — zawołał porywczo. — Zważ, że to mój pakunek i że jego zawartość jest moją własnością, że nikt nie ma prawa...

— Ty opowiadasz o prawach mnie, który jestem twoim panem?! — wybuchnął basza. — Otwórz kosz, mówię!

²¹⁷*kallamullah* (ar.) — słowo Boga. [przypis edytorski]

Szybko zabrano się do spełnienia rozkazu. Sznury zostały rozcięte i wieko kosza odchyliło się na zawiasach z włókien palmowych. Z ust obecnych wydarł się okrzyk zdumienia. Sakr-el-Bahr stał jak skamieniały.

— Co to? Coście znaleźli? — dopytywał się Asad.

Ludzie otworzyli całkiem wieko i oczom zebranych ukazała się Rozamunda. W tej chwili Sakr-el-Bahr otrząsnął się z osłupienia, przypadł do niej, roztrącając wszystkich dokoła.

XVII. OSZUKANY

Chwilę stał Asad bez słowa, nie wierząc oczom. Zdumienie na moment przemogło nawet gniew. Ale zaraz potem przysła refleksja, że został oszukany przez Sakr-el-Bahra, człowieka, któremu najwięcej ufał. Burczał na Fenzileh, gniewał się na Marzaka, gdy zgodnie przestrzegali go przed namiestnikiem, i jeśli nawet im ulegał, to prędzej czy później dochodził do przekonania, że w swych oskarżeniach kierowali się złą wolą. A jednak teraz okazało się, że to oni mieli słuszość, podczas gdy on padł ofiarą własnej naiwności. Potrzeba było dopiero sprytu Marzaka, by spadła zasłona z jego oczu.

Basza powoli podszedł do Sakr-el-Bahra, a jego czarne oczy ciskały błyskawice.

— Ach tak! — warknął. — To są twoje kosztowności? Ty kłamliwy psie, jaki miałeś w tym cel?

— Ona jest moją żoną i mam prawo zabierać ją ze sobą — odpowiedział wyzywająco.

Poprosił Rozamundę, by zasłoniła twarz, co uczyniła natychmiast drżącymi rękami.

— Bez wątpienia masz prawo — odparł Asad. — Ale czemu nie zrobiłeś tego otwarcie? Czemuś jej nie umieścił w kajucie, jak przystoi żonie Sakr-el-Bahra? Dlaczego przemyciłeś ją w koszu, trzymając tak długo pod zamknięciem?

— Dlaczego — wtrącił Marzak — zelgałeś, gdym cię pytał o miejsce jej pobytu? Dlaczego powiedziałeś, żeś ją zostawił w Algierze?

— Zrobiłem to — odparł Sakr-el-Bahr wyniośle — bo się obawiałem, że mogę napotkać na przeszkody.

Utkwił śmiały wzrok w Asadzie, którego chude policzki pokryły się rumieńcem.

— Co mogło obudzić w tobie tę obawę? — zapytał. — Czy mam ci powiedzieć? Bo dotąd żaden mężczyzna jeszcze nie brał ze sobą na wyprawę świeżo poślubionej żony. Żaden mężczyzna nie naraziłby swojej żony na śmierć lub niewolę.

— W przeszłości zawsze Allah czuwał nade mną, twoim sługą — odpowiedział Sakr-el-Bahr — i teraz też pokładam w nim ufność.

Piękne te słowa, powołujące się na pomoc Allaha, niegdyś rozbrajały wrogów. Ale teraz straciły wszelką moc. Roznieciły tylko gniew Asada.

— Nie bluźnij! — krzyknął, dygocąc z wściekłości, a jego starcza sępa twarz pobladła. — Wziąłeś ją w tajemnicy, boś się bał, żeby właściwe zamiary nie wyszły na jaw.

— A jakiegolwiek były te twoje zamiary — wtrącił Marzak — to w każdym razie nie miały one nic wspólnego z hiszpańską galerą, której schwytanie ci poruczono.

— I ja tak myślę, mój synu — wyznał Asad. A zwracając się do Sakr-el-Bahra, dodał: — Czy odkryjesz więc przed nami swoje plany?

— Co?! — zapytał Sakr-el-Bahr i uśmiechnął się nieznacznie. — Czyś nie powiedział, że to właśnie, co zrobiłem, odsłoniło moje zamiary? To raczej na mnie kolej prosić cię o wyjaśnienia. Zapewniam cię, panie, że daleki byłem od sprzeniewierzenia się nałożonemu na mnie zadaniu. Zdecydowałem się tylko w tajemnicy przewieźć Rozamundę, obawiałem się bowiem, że jej obecność może podszeptać wrogom moim przypuszczenia, które właśnie teraz wypowiadasz, i skłonić cię do zapomnienia tego wszystkiego, co zrobiłem dla chwały islamu. Moim celem było, jeżeli chcesz wiedzieć, zawieźć ją na wybrzeże Francji, skąd mogłaby wrócić do swego kraju. Spełniwszy to, miałem się zająć schwytaniem hiszpańskiej galery i przy pomocy Allaha byłbym tego niewątpliwie dokonał.

— Na rogi szatana — zaklął Marzak, przepychając się do przodu — toż to ojciec i matka kłamstwa. Czy mógłbyś nam wytłumaczyć to ciekawe życzenie rozstania się z kobietą, którą dopiero poślubiłeś? — zapytał.

— Tak — wtrącił Asad gniewnie — czy możesz nam to dokładnie wyjaśnić?

— Usłyszysz prawdę — odparł Sakr-el-Bahr.

— Chwała Allahowi — zadrwił Marzak.

— Ale ostrzegam was — ciągnął dalej korsarz — że łatwiej byłoby wam uwierzyć w cały stek kłamstw, jakie mógłbym zmyślić na poczekaniu, aniżeli w tę prawdę. Przed laty w mojej rodzinnej Anglii kochałem tę kobietę i miałem ją pojąć za żonę. Ale źli ludzie, wykorzystując niepomysłne dla mnie okoliczności, oczernili mnie przed nią, tak że zerwała zaręczyny i odszedłem z nienawiścią w sercu. Ostatniej nocy okazało się, że miłość moja, którą uważałem za wygasłą, żyje we mnie i jest silna. Ponieważ ją kochałem, doszedłem do przekonania, że postąpiłem z nią niegodnie, i opanowało mnie pragnienie naprawienia krzywdy, jaką jej wyrządziłem — skończył.

Po chwili milczenia Asad wybuchnął pogardliwym śmiechem.

— Odkąd to mężczyzna wyraża swą miłość do kobiety w ten sposób, że ją od siebie oddala?

— Uprowadzę cię z góry, że nie uwierzysz — rzekł Sakr-el-Bahr.

— Czyż nie jest jasne, mój ojczu, że całe to małżeństwo było tylko oszukańczą komedią? — zawołał Marzak.

— Jasne jak słońce — odpowiedział Asad. — Twój ślub z tą kobietą był bezbożnym naigrzaniem się ze świętej wiary. To nie było małżeństwo. To świętokradcze mydlenie oczu, by się sprzeciwić mojej woli, by nadużyć mojego szacunku dla świętych praw i uczynić tę dziewczynę dla mnie nieosiągalną. Każ swoim ludziom zakuć tego zdrajcę w kajdany! — rzekł do stojącego za Sakr-el-Bahrem Vigitella.

— Nieba podszeptały ci mądre postanowienie, o mój ojczu! — zawołał Marzak, nie posiadając się z radości.

Ale był to jedyny głos, który się podniósł.

— To mądre postanowienie pomoże raczej wam obu tym szybciej dostać się do nieba — odpowiedział Sakr-el-Bahr zupełnie spokojnie. Miał już gotowy plan działania. — Zaczekaj! — rzekł, dając znak Vigitellowi, który nie zamierzał nawet się ruszyć.

Podszedł do Asada, a to, co mówił, nie wyszło poza stojących tuż obok baszy i Rozamundy, która nadstawiała uszu, by żadnego słowa nie uronić.

— Nie wyobrażaj sobie, Asadzie — mówił — że okażę się wielbłądem, który spokojnie da się objuczyć. Rozważ sytuację dobrze. Jeżeli tylko podniosę głos i zawołam na moje sokoły morskie, to jeden Allah wie, ilu zostanie po twojej stronie. Czy chcesz dopuścić aż do takiej próby? — zapytał poważnie, ale bez cienia obawy, jak człowiek z góry pewny wyniku.

Oczy Asada patrzyły ponuro, twarz stała się trupio błąda.

— Ty bezecny zdrajco... — zaczął, trzęsąc się z gniewu.

— Ależ nie — przerwał mu Sakr-el-Bahr. — Gdybym był zdrajcą, dawno już bym to zrobił, wiedząc, że po mojej stronie jest przytłaczająca większość. Niechże więc moje milczenie będzie ci dowodem mej niewzruszonej wierności. Rozważ moje zachowanie i weź to w rachubę jako poważny argument, gdy Marzak, dając upust swej nędznej nienawiści, będzie cię przeciwko mnie judził.

— Nie słuchaj go, ojczu! — zawołał Marzak. — To niemożliwe, aby...

— Milcz! — warknął Asad, na którym słowa Sakr-el-Bahra zrobiły dziwne wrażenie.

Zapanowała cisza. Basza stał zamyślony, głaszcząc białą brodę, a jego palające oczy przenosiły się co chwila to na Olivera, to na Rozamundę, to znów na Olivera. Rozważał słowa Sakr-el-Bahra. Musiał uznać ich głęboką prawdę i zdać sobie sprawę, że jeśli wywoła bunt, to wszystko położy na jedną kartę, która bardzo łatwo może się przeciw niemu obrócić.

Jeżeli Sakr-el-Bahr okaże się teraz mocniejszy od niego, to ta przewaga nie ograniczy się do jednego statku, rozciągnie się ona na Algier i Asad będzie musiał w ogóle zrezygnować z władzy. Z drugiej strony jednak możliwe, że gdy teraz dobiedzie szabli i zawoła na wiernych, to obudzi w nich poczucie obowiązku wobec ich prawego pana i staną przy jego boku. To możliwe, ryzyko jednak jest za wielkie. On, który dotąd nie znał lęku, bał się wyniku tej niebezpiecznej gry. Wystarczyła cicha zachęta Biskainego, by wyraził zgodę.

Spojrzał na Sakr-el-Bahra, a było to spojrzenie człowieka przyciśniętego do muru.

— Rozważę twe słowa — rzekł niepewnym głosem. — Nie chcę być niesprawiedliwy i kierować się pozorami. Niech mnie Allah przed tym broni!

XVIII. SZACH KRÓLOWI

Po odejściu baszy Oliver i Rozamunda, wzięci w krzyżowy ogień natrętnych spojrzeń, patrzyli na siebie dobrą chwilę w milczeniu. Nawet galerników to niezwykle zajście wyrwało z apatii; obracali głowy, by zerknąć na nich z błyskiem zaciekawienia w bezmyślnych, zwykle znużonych oczach.

Spoglądając w mroku na bladą twarz Rozamundy, Sakr-el-Bahr doznawał sprzecznych uczuć. Przerazenie spowodowane odkryciem i trwogę o następstwa złagodziło uczucie ulgi.

Zdawał sobie sprawę, że ukrywanie dziewczyny byłoby na dłuższy okres niemożliwe. Spędziła jedenaście strasznych godzin w ciasnym koszu, pozbawionym dopływu świeżego powietrza, podczas gdy miała być w ten sposób przewieziona tylko na statek. Jego niepokój, gdy Asad postanowił wziąć udział w wyprawie, wzrastał się z godziny na godzinę, nie było bowiem widoków uwolnienia Rozamundy. Sam nie mógł nic przedsięwziąć, by ją wybawić z tej strasznej sytuacji, ale zrobił to za niego złośliwy Marzak. Sakr-el-Bahr rad był nawet temu, co się stało, bo zmieniło to zasadniczo ich wzajemny stosunek; dotąd on był gnębicielem, a ona jego ofiarą, teraz zaś stali się towarzyszami niedoli, złączyło ich wspólne niebezpieczeństwo. Ta myśl sprawiała mu wielką przyjemność. Dlatego też, patrząc w jej bladą, przerażoną twarz, uśmiechnął się nieśmiało.

Pod wpływem tego uśmiechu zadała mu pytanie, które od dawna już nie dawało jej spokoju.

— Co teraz? Co teraz? — szeptała zdławionym głosem, wyciągając ku niemu błagalnie ręce.

— Teraz — odparł spokojnie — musimy być zadowoleni, że się pani wydostała z miejsca niewygodnego i uwłaczającego twojej godności. Pozwól się zaprowadzić do przygotowanej dla ciebie komnaty, którą byłabyś od razu zajęła, gdyby nie Asad.

Wskazał jej przejście prowadzące na rufę.

Złękła się na widok siedzących pod markizą Asada, Marzaka, Biskainego i kilku innych oficerów.

— Chodź — ponaglił ją — nie ma powodu do obaw, niech tylko na twojej twarzy nie będzie znać lęku. Na razie — szach królowi!

— Nie ma powodu do obaw? — powtórzyła wystraszona.

— Na razie nie ma — odparł stanowczo. — A co do przyszłości, zobaczymy. Nie wolno nam tylko pokazać po sobie, że się boimy.

Wyprostowała się, jakby pod niesprawiedliwym zarzutem.

— Nie boję się — zapewniła go pewnym głosem.

— A więc idź, proszę — powtórzył.

Usłuchała go natychmiast, jakby na dowód, że ją opuścił lęk.

Szli obok siebie, ścigani ciekawymi, pełnymi nienawiści spojrzzeniami zebranych wokół Asada oficerów.

Czarne, błyszczące oczy baszy pożerały wprost dziewczynę, śledząc każdy jej ruch.

Smagana tymi spojrzzeniami jak biczem okazywała na zewnątrz pełną godności dumę i pewność siebie, lecz w duchu wiała się wprost ze wstydu i upokorzenia. Tych samych uczuć doznawał Oliver, który ustawił się między Rozamundą a baszą, chroniąc ją przed natarczywym wzrokiem jak przed śmiertelnym ciosem. Gdy doszli na rufę, skłonił się przed Asadem.

— Pozwól, dostojny panie — rzekł — by żona moja zajęła miejsce przygotowane dla niej, zanim się dowiedziałem, że swoją obecnością zaszczyisz tę wyprawę.

Krótkim, pogardliwym skinieniem ręki Asad dał znak przyzwolenia, nie racząc nawet otworzyć ust. Sakr-el-Bahr znowu się skłonił i odsunął na bok ciężką czerwoną zasłonę z zielonym półksiężycem. Padające z wnętrza kabiny złotawe światło lampy mieszało się z błękitnoszarym mrokiem, tworząc rodzaj aureoli wokół białej postaci Rozamundy.

Chwilę jeszcze pożerały ją namiętne spojrzenia Asada, aż znikła wewnątrz kabiny. Sakr-el-Bahr wszedł za nią, a puszczone kotara wróciła na swoje miejsce.

W małej kajucie stała pokryta jedwabnymi dywanami otomana i niski mauretański stolik z kolorowymi inkrustacjami. Na stole stała niewielka miseczka, w której płonęły

kadzidła wydzielające miłą, mocną woń. Z dwu przeciwnych kątów podnieśli się w milczeniu dwaj wierni niewolnicy Sakr-el-Bahra, Abiad i Zal-Zer, i złożyli głębokie ukłony. Gdyby nie turbany i śnieżnobiałe przepaski na biodrach, trudno byłoby ich dostrzec.

Sakr-el-Bahr wydał krótki rozkaz i w tej chwili niewolnicy zdjęli z wiszącej półki mięswo i napój i ustawili na stole. Podano kurczę duszone w ryżu, oliwie i śliwkach, tacę z chlebem, melon i gliniany dzbanek z wodą. Padł następny rozkaz, na który obaj niewolnicy obnażyli szable i wyszli, by stanąć na straży u wejścia do kabiny. Było to zupełnie naturalne, każdy mężczyzna bowiem broni swego haremu tak, jak broni honoru; jest to miejsce święte, uprzywilejowane, którego nikt nie śmie znieważać.

Rozamunda rzuciła się na otomanę i siedziała z pochyloną głową, z rękami złożonymi na kolanach. Sakr-el-Bahr stał przy niej długą chwilę w milczeniu i patrzył.

— Proszę jeść — przemówił wreszcie. — Potrzeba pani sił i odwagi, a tego nie można uzyskać przez post.

Potrząsnęła głową. Mimo że tak długo nie miała nic w ustach, jedzenie budziło w niej odrę. Lęk dławił ją za gardło.

— Nie mogę jeść — odparła. — Po co? Siły i odwaga na nic mi się teraz nie przydadzą.

— Proszę nie dopuszczać podobnych myśli — odrzekł. — Podjąłem się wyrwać panią z niebezpieczeństwa, w które sam cię wtrąciłem, i dotrzymam słowa.

Ton jego głosu był tak stanowczy, że mimo woli podniosła na niego wzrok.

— Przecież — zawołała — przepadła wszelka możliwość ocalenia!

— Niech pani nie mówi, że przepadła, jak długo ja żyję — odparł.

Patrzyła na niego chwilę, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Czy pan sądzi, że w tej sytuacji wiele panu zostało życia?

— Tyle, ile Bogu się spodoba — odpowiedział spokojnie. — Co napisane, to napisane. Byłem tylko zdążyć panią wyswobodzić, a potem... potem nieważne...

Głowa jej opadła. Ręce na kolanach spletały się i rozpletały nerwowo. Widać było, że drży.

— Zdaje się, że nadchodzi nasza ostatnia chwila — odezwała się głucho. — Bo jeżeli pan zginie, to proszę pamiętać, mam sztylet. Nie przeżyję pana.

Rzucił się ku niej gwałtownie, oczy mu zabłyśły, do twarzy napłynęła fala krwi. Po- hamował się jednak za chwilę. Głupiec! Jak można było w ten sposób tłumaczyć sobie jej myśli! Czy nie były one dostatecznie jasne nawet bez słów, dorzuconych jakby dla wyjaśnienia:

— Bóg mi przebaczy, jeżeli będę do tego zmuszona, jeśli obiorę łatwiejszą drogę, bo łatwiej jest zawsze iść drogą honoru, proszę mi wierzyć — dodała tonem aluzji.

— Wiem o tym — odpowiedział skruszony. — Bóg mi świadkiem, że wołałbym zawsze iść tą drogą.

Urwał w oczekiwaniu jakiejś odpowiedzi czy słów przebaczenia. Widząc jednak, że milczy, westchnął ciężko i zaczął mówić o innych sprawach.

— Tu znajdziesz, pani, wszystko, czego potrzeba — rzekł. — A gdyby czegoś zabrakło, proszę klasnąć, to w tej chwili zjawi się któryś z moich niewolników. Proszę mówić po francusku, oni zrozumieją. Żałuję, że nie zabrałem jednej kobiety do posługi dla pani, ale to było niemożliwe, sama pani przyzna.

Skierował się do wyjścia.

— Zostawia mnie pan samą? — zapytała zdjęta nagłym lękiem.

— Oczywiście. Ale proszę się nie obawiać, zawsze będę gdzieś w pobliżu. Na razie nie ma powodu do żadnych obaw. Prawdę mówiąc, nie jest gorzej, niż gdy siedziała pani w koszu. Przeciwnie, o wiele lepiej, w każdym razie wygodniej. Proszę być dobrej myśli, jeść i wypoczywać. Do widzenia! Po wschodzie słońca znowu przyjdę.

Wyszedszy z kajuty, zastał Asada i Marzaka samych pod namiotem. Zapadła noc, wielka lampa w kształcie półksiężyca, przytwierdzona do relingu, rzucała mroczne światło na całą długość statku, wydobywając zarysy przedmiotów z ciemności i oświetlając nagie plecy niewolników pochylonych we śnie. Na głównym maszcie chwiała się druga latarnia, trzecia zaś umieszczona była przy rufie dla wygody baszy. Rój gwiazd migotał na bezchmurnym niebie, które miało kolor najciemniejszego fioletu. Wiatr ucichł zupełnie i cały świat spoczywał w ciszy, przerywanej tylko szmerem fal rozbijających się o brzeg u wejścia do zatoki.

Jedzenie

Okręt, Noc

Sakr-el-Bahr poprosił Asada o słówko na osobności.

— Jestem sam — odrzekł basza krótko.

— A więc Marzak jest niczym — odparł Sakr-el-Bahr. — Dawno już byłem tego zdania.

Marzak warknął coś gniewnie, basza zaś, zdumiony spokojem Sakr-el-Bahra, zdobył się tylko na zacytowanie wersetu z Koranu, którym go niegdyś Fenzileh częstowała aż do obrzydzenia.

— „Syn człowieka jest częścią jego duszy”. Nie mam tajemnic przed Marzakiem. Mów w jego obecności, a jeżeli nie chcesz, to zamilknij i odejdz.

— On może być uczestnikiem twojej duszy, Asadzie — odparł korsarz zuchwale — ale ja dziękuję Allahowi, że nie jest uczestnikiem mojej duszy. A to, co mam powiedzieć, dotyczy poniekąd mojej duszy.

— Dziękuję ci — wtrącił Marzak — za twoje sprawiedliwe słowa. Być uczestnikiem twojej duszy znaczyłoby być niewiernym, pogańskim psem.

— Twój język, Marzaku, celuje tak samo jak twój łuk — odparł Sakr-el-Bahr.

— Tak, bo też trafia w sam środek zdrady — brzmiała cięta odpowiedź.

— Nie, bo bierze na cel to, czego nie może trafić. Na Allaha! Czy mogę jednak gniewać się o twoje słowa? Czy Jedyne jeszcze ci nie dowiódł, że ten, kto mnie nazywa niewiernym psem, jest kłamcą, skazanym na męki piekielne? Czy Allah byłby niewiernemu zesłał tyle zwycięstw nad flotyllami niewiernych, ile ja ich odniosłem? Głupi oszczerco, naucz się mówić prawdę, aby cię Allah nie pokarał niemotą.

— Zamilknij! — burknął Asad — twoja zuchwałość jest nie w porę.

— Być może — odpowiedział Sakr-el-Bahr ze śmiechem. — Może i mój zdrowy rozsądek jest nie w porę? Skoro nie chcesz oddalić uczestnika twej duszy, muszę mówić w jego obecności. Czy mogę usiąść?

I nie czekając na odpowiedź, zajął wolne miejsce obok Asada.

— Panie — rzekł — na przyjaźni naszej pojawiła się skaza, trzeba ją usunąć dla chwały islamu.

— Tyś ją spowodował — odpowiedział Asad posępnie — i twoją rzeczą jest to naprawić.

— Właśnie w tym celu prosiłem cię o posłuchanie. Przyczyna tej skazy jest tam — wskazał palcami w stronę kajuty. — Jeśli usuniemy przyczynę, to i skaza owa zniknie, i znowu zapanuje między nami przyjaźń.

Sakr-el-Bahr wiedział dobrze, że żadną miarą ich stosunki nie mogą się naprawić. Wiedział, że z powodu swego buntu jest zgubiony, że Asad, raz zmuszony ulec i uznać jego siłę, zrobi wszystko, by coś podobnego w przyszłości się nie powtórzyło. Wiedział, że gdy wróci do Algieru, czeka go niechybna śmierć. Jedyna możliwość ocalenia leżała istotnie w natychmiastowym podniesieniu buntu, w doraźnym uderzeniu na Asada i w postawieniu wszystkiego na jedną kartę. Zdawał sobie też sprawę, że właśnie tego Asad się obawiał. Opierając się na tej przesłance, obmyślił teraz plan. Sądził, że jeżeli zaproponuje pojednanie, Asad uda skwapliwie, że się godzi, da mu to bowiem możność pozbycia się obaw, zapewniając jednocześnie dokonanie zemsty po powrocie.

Spoczął na nim płonący, badawczy wzrok Asada.

— W jaki sposób usunąć przyczynę waśni? — zapytał. — Czy chcesz dać mi zadośćuczynienie za ową komedię i rozwieść się z nią?

— To nie byłoby usunięcie przyczyny — odparł Sakr-el-Bahr. — Zważ dobrze, Asadzie, jakie są twoje obowiązki wobec świętej wiary. Zważ, że od naszej zgody zależy chwała islamu. Czy nie jest grzechem pozwolić, by wkradło się między nas coś, co mąci naszą zgodę? Nie, moja propozycja jest inna. Chcę uzyskać twoje pozwolenie, a nawet pomoc w wykonaniu zamiaru, który powziąłem, a o którym ci już mówiłem. Wypłynęmy stąd rano albo natychmiast, jeżeli wolisz, ku wybrzeżom Francji i wysadźmy ją tam, by mogła wrócić do swoich i uwolnić nas od swej burzącej naszą przyjaźń obecności. Potem wrócimy, bo będzie jeszcze dosyć czasu, by tu lub gdziekolwiek bądź zasadzić się na ową hiszpańską galere, zabrać zdobycz i wrócić do Algieru jak dwaj przyjaciele, zostawiając daleko poza sobą tę chmurkę na słońcu naszego braterstwa broni i zapominając o niej, jak gdyby nigdy nie istniała. Czy chcesz tego, Asadzie, dla chwały świętych praw Proroka?

Przynęta była chytrze pomyślana, tak chytrze, że ani Asad, ani nawet złośliwy Marzak nie domyślili się prawdy. Swoje własne życie, które stało się groźbą dla Asada, ofiarował mu Sakr-el-Bahr w zamian za życie i wolność owej angielskiej dziewczyny, ale ofiarował je tak, jakby nie zdając sobie sprawy, że to czyni.

Asad namyślał się; roztropność kazała mu przystać na tę propozycję, a potem zawieźć go do Algieru i tam, pozbawionemu pomocy przyjaciół, skrócić kark. Była to bardzo rozumna i prosta droga, na którą należało wejść, droga zapewniająca zniszczenie człowieka, który z posłusznego i uległego namiestnika mógł stać się poważnym i niebezpiecznym współzawodnikiem.

Sakr-el-Bahr obserwował odwrócone oczy Asada, które iskrzyły się pod ściągniętymi brwiami, zdradzając wewnętrzną rozterkę. Widział napięcie i niepokój w twarzy Marzaka, który nie mogąc się dłużej pohamować, wybuchnął:

— On rozumnie mówi, ojczy. Chwała islamu nade wszystko! Zgódź się na jego propozycję i niech idzie sobie precz ta niewierna dziewczka! Wówczas znowu wszystko będzie dobrze między nami.

Tyle mocy włożył w te słowa, iż było jasne, że przyświeca mu inny jeszcze cel. Asad wyczuł to i zrozumiał, że Marzak również zdaje sobie sprawę, jak należy postąpić. Pokusa była silna. Ale do głosu doszła inna, silniejsza jeszcze pokusa. Przed oczami baszy pojawił się obraz smukłej dziewczyny cudownie okrągłych kształtów, obraz tak ponętny, że zawładnął Asadem całkowicie. Tak więc basza znalazł się między młotem a kowadłem. Jeżeli wyrzeknie się dziewczyny, zapewni sobie zemstę na Sakr-el-Bahrze i zniszczy tego buntownika: jeżeli zaś da folę swoim pragnieniom, musi być przygotowany na jawny bunt na statku i bitwę być może przegraną. Była to ryzykowna gra, na którą żaden basza przy zdrowych zmysłach nie mógł się zgodzić. Ale od chwili, kiedy po raz drugi ujrzał Rozamundę, Asad nie był już przy zdrowych zmysłach. Udaremnione pragnienia wzięły go zupełnie w niewolę.

Pochylił się naprzód i zajął głęboko w oczy Sakr-el-Bahra.

— Skoro dla siebie jej nie chcesz, to dlaczego mnie jej odmawiasz? — spytał, a głos mu drżał od tłumionej wściekłości. — Dopóki wierzyłem, że uczciwie bierzesz ją za żonę, szanowałem ten związek, jak przystało prawemu muzułmaninowi. Ale ponieważ okazało się, że było to oszustwo, wybieg, profanacja świętych praw Proroka, jako ten, wobec którego ta świętokradcza komedia została odegrana, ogłaszam, że to nie jest małżeństwo. Nie musisz się więc z nią rozwodzić, bo ona do ciebie nie należy. Może ją sobie wziąć pierwszy lepszy muzułmanin, jeżeli zechce.

Sakr-el-Bahr zaśmiał się szyderczo.

— Wówczas tego muzułmanina wysłę mieczem do raju Mahometa.

To mówiąc, wstał, jakby zaznaczając swoją gotowość do spełnienia groźby.

Asad zerwał się również z wigorem, jakiego by się po nim nikt nie spodziewał.

— Grozisz?! — zawołał z roziskrzonym wzrokiem.

— Grożę? — powtórzył Sakr-el-Bahr. — Ja przepowiadam.

Następnie odwrócił się i odszedł, widząc, że wszelkie argumenty są tu próżne i że korzystniej będzie w tej chwili oddalić się, by groźba poczęła działać w mózgu Asada.

Trzęsąc się ze złości, Asad patrzył za odchodzącym. Już miał na niego zawołać, ale zrezygnował; lękał się, że Sakr-el-Bahr zignoruje jego wezwanie i w obecności wszystkich odmówi mu posłuszeństwa. Zdawał sobie sprawę, że niebezpiecznie jest rozkazywać, gdy się nie ma pewności, że rozkaz zostanie spełniony, albo gdy się nie ma dość siły, by spełnienie rozkazu wymusić. Zdawał sobie sprawę, że autorytet raz zachwiany jest właściwie na pół stracony.

Gdy się jeszcze namyślał, Marzak począł go gwałtownie przekonywać o słuszności propozycji Sakr-el-Bahra.

— To najpewniejsza droga — szeptał namiętnie. — Czy wszystko ma być stracone z powodu tej jednej córki zatracenia z twarzą bladą jak serwatka? W imię szatana, pozbadźmy się jej, wysadźmy ją na ląd, jak sam tego żąda, za cenę przyjaźni między nami a nim, a potem w spokoju każemy go powiesić, gdy wrócimy do Algieru. To najpewniejsza droga, najpewniejsza!

Asad obrócił oczy na rozpaloną twarz syna, wreszcie zakłopotany uciekł się do wykrętów.

— Czy jestem tchórzem, żebym miał wybierać tylko najbezpieczniejszą drogę? — rzekł karcąco. — Albo czy ty jesteś tchórzem, byś mi nic innego doradzić nie mógł?

— Boję się tylko o ciebie, ojcze — bronił się Marzak rozdrażniony. — Nie wiem nawet, czy możemy spać bezpiecznie, jeszcze tej nocy gotów wybuchnąć bunt.

— Nie lękaj się — odparł Asad. — Ja sam wystawiłem wartę, a wszyscy oficerowie są godni zaufania. Biskaine obchodzi ludzi, by ich wybadać. Za chwilę się dowiemy, jak rzeczy stoją.

— Na twoim miejscu wołałbym pewność. Wołałbym położyć kres niebezpieczeństwu buntu. Zgodziłbym się na jego żądania co do tej kobiety, a potem z nim samym bym się rozprawił.

— Wyrzec się tej dziewczyny?! — zawołał Asad i potrząsnął głową. — Nie, nie! Ona jest ogrodem, który dostarczy mi róż. Wspólnie zakosztujemy słodczy sorbetu²¹⁸ z Kanser i będzie mi jeszcze wdzięczna, że ją wprowadził do raju. Wyrzec się tej rozkosznej istoty o skórze jak płatek róży!

Oczy Asada zaszyły mgłą, a twarz przybrała wniebowzięty wyraz. Marzak zmarszczył brwi, pomyślał o Fenzileh.

— Ona jest poganką — przypomniał surowo — a więc Prorok ci jej zabrania. Czy tak jak zamykasz oczy na własne niebezpieczeństwo, chcesz jeszcze i na to pozostać ślepy? — w miarę jak mówił, w jego głosie wzbierał gniew. — Ona chodziła z obnażoną twarzą po ulicach Algieru; na rynku cała gawiedź ją oglądała, jej wdzięki zostały splugawione pożądliwymi spojrzeniami Żydów, Maurów i Turków; galernicy i Murzyni wpatrywali się w jej nieosłoniętą piękność; jeden z twoich podwładnych miał ją za żonę — zaśmiał się. — Na Allaha, nie poznaję cię, ojcze! I to jest kobieta, którą chcesz wziąć dla siebie? Kobieta, pożądaniem której narażasz na szwank własne życie, a może nawet i paszalik!

Asad zacisnął pięści tak silnie, że aż paznokcie wpiły się w ciało. Każde słowo syna chłostało go jak bicz. Nie mógł mu odmówić słuszności. Był upokorzony i zawstydzony. Jednak nie potrafił ani poddać się swemu szaleństwu, ani się z niego otrząsnąć. Zanim zdobył się na jakąkolwiek odpowiedź, w przejściu zamajaczyła wysoka postać Biskainego.

— No i cóż? — zawołał basza szybko, rad, że może zmienić przedmiot rozmowy.

Biskaine był przygnębiony. Z jego twarzy można było wyczytać, co przynosi.

— Zadanie, które mi poruciłeś, panie, nie jest łatwe. Zrobiłem, co mogłem. Jednak nie zdołałem sprawy tak dokładnie zbadać, by otrzymać jasny obraz. Wiem tylko jedno, o panie, że byłoby bardzo nierozważnie z jego strony podnieść przeciwko tobie broń. Tego przynajmniej jestem pewny.

— Tylko tego? — zapytał Asad. — A gdybym ja podniósł broń przeciw niemu i chciał radykalnie sprawę rozstrzygnąć?

Biskaine zwlekał chwilę z odpowiedzią.

— Sądzę, że Allah dałby ci zwycięstwo — odparł, ale słowa jego nie zdołały oszukać baszy. — Jednak — ciągnął Biskaine — myślę, że byłoby to równie nierozważne.

— Widzę — rzekł Asad — że szanse są równe i że ani ja, ani on nie powinniśmy ryzykować.

— Rzekłeś.

— A więc jasne, jaką należy iść drogą! — zawołał Marzak, powracając do swoich argumentów. — Przyjmij jego warunki, a...

Ale Asad przerwał mu zniecierpliwiony.

— Każda rzecz ma swoją właściwą porę, a każda pora jest zapisana. Rozważę, co uczynić.

Po drugiej stronie pokładu Sakr-el-Bahr przechadzał się z Vigitellem, który mówił mu prawie to samo, co Biskaine baszy.

— Nie można nic pewnego powiedzieć — meldował włoski renegat. — Ale moim zdaniem byłoby nierozsądnie zarówno z twojej, jak z baszy strony uczynić pierwszy krok.

— Więc szanse są równe?

— Liczbowo obawiam się — odparł Vigittello — że przewaga jest po stronie Asada. Żaden prawy muzułmanin nie wystąpi przeciw baszy, namiestnikowi sułtana, bo wier-

²¹⁸sorbet — deser z soku owocowego, przypominający lody. [przypis edytorski]

ność jest nakazem religii. Ale oni są przyzwyczajeni słuchać ciebie, zrywać się na twoją komendę i Asad ryzykowałby wiele, próbując swoich wpływów.

— Masz rację — rzekł Sakr-el-Bahr. — To samo i ja myślałem.

Pożegnał Vigitella i powoli, zamyślony, wracał ku rufie. Łudził się jeszcze, że Asad przyjmie jego warunki. Za tę cenę gotów był poświęcić życie, wiedział bowiem, że musiałby je oddać. Ale nie mógł podejść do Asada; wyglądałoby to na słabość i spowodowało pewną odmowę. Jeżeli Asad nie zleknie się buntu i będzie trwał przy swoim, to nie miał pojęcia, jak zdoła oswobodzić Rozamundę. Sam nie mógł wszczynać buntu. To byłby krok desperacki, który nie rokował najmniejszych szans powodzenia. Prawdopodobnie zginąłby sam i wydał Rozamundę w ręce Asada. Był między młotem a kowadłem. Jedyną rękojmnią bezpieczeństwa i jego, i Rozamundy było przekonanie, że Asad, tak samo jak i on, nie odważy się na pierwszy krok. Ale przecież w każdej chwili Asad mógł wydać rozkaz powrotu do Algieru. Została jednak hiszpańska galera. Żywił słabą nadzieję, że podczas bitwy — o ile do niej dojdzie — może się coś zdarzyć, może się znaleźć jakieś nieoczekiwane wyjście, którego w obecnej sytuacji nie sposób przewidzieć.

Spędził noc pod gołym niebem, u progu zasłoniętego kotarami wejścia do kajuty, pełniąc w ten sposób straż sam, strzeżony przez wiernych Nubijczyków. Obudził się z pierwszą jutrznią i zmęczonym niewolnikom kazał udać się na spoczynek, sam zaś czuwał dalej. Z prawej strony, pod namiotem, spał basza z synem, a w pobliżu chrapał Biskaine.

XIX. BUNT

Gdy wszyscy wstali i statek obudził się do życia, Sakr-el-Bahr wszedł do Rozamundy.

Zastał ją pogodną i pokrzepioną snem. Zapewniwszy dziewczynę, że wszystko jest w porządku, usiłował dodać jej otuchy i nadziei, której sam nie podzielał. Przyjęła go niezupełnie przyjaźnie, ale też bez oznak niechęci. Słuchała, gdy mówił, jak spodziewa się ją uwolnić, i choć nie dziękowała za trudy poniesione dla niej, to jednak nie było już obcości i sarkazmu, cechujących dotąd ich wzajemny stosunek.

Kilka godzin później, po południu, zjawił się znowu, zostawiając Nubijczyków na straży i donosząc, że warta na skale sygnalizowała statek z zachodu, lawirujący pod wiatr w stronę wyspy. Galery jednak, na którą czatowali, nie było widać. Opowiedział jej o uczynionej Asadowi propozycji i o tym, jak została odrzucona.

— Ale nie ma powodu do obaw — dodał pospiesznie, widząc w jej oczach lęk. — Jakiś sposób musi się znaleźć. Czuwam nad tym i niczego nie zaniedbam.

— A jeżeli żadna sposobność się nie nadarzy? — zapytała.

— Wówczas sam ją stworzę — odparł z mocą. — Przez całe życie sam sobie stwarzałem pomyślne warunki i dziwne byłoby, gdyby w najważniejszym momencie spryt miał mnie zawieść.

— A w jaki sposób — spytała — stworzył pan warunki, które uczyniły pana tym, czym pan obecnie jest? To znaczy — dodała szybko w obawie, by jej źle nie zrozumiał — które umożliwiły panu zostanie wodzem korsarzy...

— To długa historia — odparł. — Znużyłbym panią.

— Nie — potrząsnęła głową, a jej jasny wzrok spotkał się z jego chmurnym spojrzeniem. — Nie znużyłby mnie pan. Może nie będzie już okazji, bym się o tym kiedykolwiek dowiedziała.

— A chciałaby pani poznać koleje mego losu? — zapytał. — Czy po to, by móc mnie osądzić?

— Być może — odpowiedziała, spuszczać oczy.

Z pochyloną głową przechadzał się po ciasnej kajucie. Chciał uczynić zadość jej życzeniu, bo kto wie wszystko, ten wszystko przebacza.

Mówił o tym, jak był przykuty do wiosła hiszpańskiego statku aż do chwili, kiedy postanowił pojechać do Anglii, aby porachować się z bratem. Opowiadał prosto, bez niepotrzebnych szczegółów, ale nie pominął niczego, co by mogło wyjaśnić obecną jego sytuację. Rozamunda tak była wzruszona, że w pewnej chwili w oczach jej zabłyśły próżno tłumione łzy. On jednak, pogrążony we wspomnieniach, nawet tego nie zauważył.

— Teraz — rzekł, gdy opowiadanie dobiegło końca — już pani wie, co mnie do tego popchnęło. Kto inny, silniejszy, może byłby się oparł i wołał raczej umrzeć. Mnie jednak

Miłosierdzie

brakło sił. A może silniejszym ode mnie było pragnienie wymierzenia kary, dania upustu nienawiści, w którą się obróciła moja miłość do Lionela.

— I do mnie również, jak pan sam opowiadał — dodała.

— Nie — sprostował. — Znienawidziłem panią za niedochowanie mi wiary, a przede wszystkim za spalenie listu, który posłałem przez Pitta. Tym przyczyniłaś się do nieszczęść, które na mnie spadły, uniemożliwiłaś mi oczyszczenie się i uzyskanie rehabilitacji, skazując mnie na okrutny los, który stał się moim udziałem. Ale nie wiedziałem wówczas, co panią skłoniło, by uwierzyła pani w moją winę. Nie wiedziałem, że moje zniknięcie wytłumaczono sobie ucieczką. Dlatego też przebaczam pani postępek, za który, przyznaję, znienawidziłem cię, i który mnie popchnął do tego, żeś was oboje uwięził owej nocy w Arwenack.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że uwięzienie mnie nie leżało w pańskich pierwotnych planach? — zapytała.

— Uwięzienie pani razem z nim? Przysięgam na Boga, że nie, bo gdybym to przedtem rozważył, byłbym się chyba oparł pokusie. Ale gdym panią ujrzał wraz z Lionelem, nie mogłem się opanować. Lecz świadomość tego, co wiem dziś, jest dla mnie dostatecznie dotkliwą karą.

— Rozumiem pana — szepnęła współczująco.

Odrzucił w tył głowę.

— Rozumieć to już wiele — rzekł. — To już pół drogi do przebaczenia. Ale nim uzyskam pełne przebaczenie, muszę naprawić to zło, które pani wyrządziłem.

— Jeżeli to w ogóle możliwe — szepnęła.

— Musi być możliwe — odparł z mocą i urwał nagle, bo z zewnątrz doleciał jakiś hałas.

Poznał głos Larocque'a, który z braskiem wrócił na swoje stanowisko na szczycie przylądka, luzując człowieka, który spędził tam noc.

— O panie, panie! — zawołał podniecony, a wtórowały mu krzyki całej załogi.

Sakr-el-Bahr wypadł na pokład. W tej chwili właśnie Larocque przeleżał przez burłę koło rufy, gdzie czekał na niego Asad w towarzystwie Marzaka i nieodstępnego Biskainego. Na dziobie, gdzie wczoraj jeszcze zabawiali się korsarze, wrzało. Tłum ludzi tłoczył się, rozprawiając i oczekując w napięciu wieści.

Nagle Sakr-el-Bahr usłyszał głos Larocque'a:

— Panie, okręt, który dziś rano spostrzegłem!

— No i co z tego? — burknął Asad zły.

— Jest już tu, za przylądkiem. Właśnie zarzucił kotwicę.

— Po co ten gwałt? — odpowiedział basza. — Skoro zarzucił kotwicę, to jasne, że nie podejrzewa naszej obecności. Co to za okręt?

— Duży, o dwudziestu armatach, z angielską flagą.

— Angielską?! — zawołał Asad zdumiony. — Musi być silny, skoro odważył się zapuścić tak daleko na hiszpańskie wody.

Sakr-el-Bahr podszedł do burty.

— Czy nie ma jakich specjalnych znaków? — zapytał.

— Na małym niebieskim proporczyku przy bezanmaszcie²¹⁹ jest jakiś biały ptak, chyba bocian — odparł Larocque.

— Bocian? — powtórzył Sakr-el-Bahr i zamyślił się.

Nie mógł sobie przypomnieć takiego godła i wydawało mu się niemożliwe, by okręt był angielski. Wtem usłyszał tuż za sobą przyspieszony oddech. Odwrócił się i ujrzał Rozamundę stojącą w drzwiach do kabiny, na pół zasłoniętą kotarą. Pobladła jej twarz i rozszerzone źrenice zdradzały ogromne wzburzenie.

— Co znowu? — zapytał krótko.

— Jemu się tylko zdaje, że to bocian.

— Niemożliwe. Musiał się pomylić.

— Ale nie bardzo, sir Oliverze.

— Jak to nie bardzo?

²¹⁹bezanmaszt (żegl.) — tylny maszt żaglowca. [przypis edytorski]

Coś go uderzyło w jej głosie i spojrzeniu. Podeszedł do niej szybko. Tymczasem rozgardiasz rósł.

— To, co on bierze za bociana, jest czapłą, białą czapłą. A biały kolor odpowiada srebrnemu w heraldyce, nieprawdaż?

— Tak. Ale cóż z tego?

— Czy pan nie pojmuje? Ten okręt to „Srebrna Czapla”!

Spojrzał pytająco.

— Cóż z tego? Obojętne, czy „Srebrna Czapla”, czy „Złota Szarańcza”.

— Ależ to okręt sir Johna, sir Johna Killigrewa — objaśniła Rozamunda. — Był już gotów, gdy... gdy pan zjawił się w Arwenack. Miał płynąć do Indii. Tymczasem, rozumie pan... z miłości do mnie puścił się w pogoń w nadziei, że doścignie korsarzy przed Algierem.

— Wielkie nieba! — zawołał Sakr-el-Bahr w zadumie. — Do licha, o kilka dni się spóźnił!

Rozamunda nie odpowiedziała na ten żart. Patrzyła na niego zalekniona.

— Ale mimo to — dodał — przychodzi w porę. — Jeśli nawet wiatr, który go przygnał, jest słaby, to i tak wieje z niebios.

— Czy byłoby... — zająknęła się. — Czy byłoby możliwe porozumieć się z nim? — zapytała niepewnie.

— Możliwe... tak — odpowiedział. — Ale musimy obmyślić sposób, a to nie będzie łatwe.

— I pan to robi? — spytała z odcieniem podziwu w głosie.

— Z całą gotowością — odparł — skoro nie ma innego sposobu. Niewątpliwie zginie niejeden — dodał. — Ale...

Wzruszył ramionami, kończąc w ten sposób myśl.

— Ach nie! Nie za taką cenę! — zaprotestowała. Ale czyż mógł się choćby domyślać, że drżała właśnie o niego...

Nie zdołał odpowiedzieć, uwagę jego odwróciły jakieś gniewne głosy i nawoływania wśród załogi. Domagano się, by Asad kazał wypłynąć na morze i uwolnił statek od niebezpiecznego sąsiedztwa. Jak się okazało, przyczyną zamieszania był Marzak, który zaraził paniką szeregi korsarzy.

Asad wyprostował się groźnie, zwrócił ku najgłośniejszym krzykaczom i podniósł głos, który niegdyś setki wojowników posyłał na śmierć.

— Milczeć! — zagrzmiął. — Ja jestem waszym władcą i prócz Allaha nie potrzebuję żadnych doradców. Dam rozkaz odpłynięcia, ale wtedy dopiero, gdy uznam, że nadszedł czas. Prędkiej nie. Na stanowiska i cisza!

Nie wdawał się z nimi w dysputy, nie próbował się tłumaczyć. Wystarczy, że taka jest jego wola.

Ale Asad-ed-Din długo siedział w Algierze, podczas gdy jego statki uwijały się pod dowództwem Sakr-el-Bahra i Biskainego po morzach. Ludzie odwykli od głosu baszy, a jego autorytet nie miał oparcia w wieloletnim doświadczeniu. Nie on prowadził swych ludzi do bitew i nie on powracał z nimi w triumfie. Jego więc sądowi przeciwstawili własny sąd. Wydawało im się szaleństwem — w czym zresztą utwierdzał ich Marzak — pozostawać tu dłużej i sama decyzja Asada nie była dla nich dość ważkim powodem.

Szemranie wzmagало się; nie stłumiły go ani groźne błyski oczu, ani mars na czołe baszy. Nagle jeden z renegatów, podmówiony przez chytrego Vigitella, począł głośno wołać namiestnika jako tego, któremu ufali.

— Sakr-el-Bahr! Sakr-el-Bahr! Ty nas nie opuścisz, nie pozwolisz, byśmy wyginęli tu jak szczury!

Głos ten podział jak iskra wrzucona do beczki z prochem. Podniósł się jeden wielki krzyk. Wyciągano ręce do Sakr-el-Bahra, który stał nad nimi w całej swej okazałości, na pozór obojętny, oceniając jednak w duszy sposobność, jaką mu los nadarzył.

Asad cofnął się, śmiertelnie upokorzony. Zbladł, oczy jego ciskały błyskawice gniewu, ręka spoczęła na wysadzanej klejnotami rękojeści szabli. Całą wściekłość, jaką wezbrała jego dusza, wywarł na Marzaku.

— Ty błźnie! — ryknął. — Popatrz, tchórze, na swoje dzieło! Popatrz, jaki szatan ich opętał wskutek twoich babskich rad! I ty chcesz być kapitanem okrętu! Ty chcesz być wojownikiem na morzach! Bodajby Allah zesłał mi śmierć, nim ciebie spłodziłem!

Wściekłość, z jaką te słowa zostały wypowiedziane, przeraziła Marzaka. Cofnął się szybko w obawie, że sprawa skończy się jeszcze gorzej. Nie śmiał słówkiem pisnąć, ledwie oddychał.

Rozamunda tymczasem przysunęła się do Sakr-el-Bahra tak blisko, że aż dotknęła jego ramienia.

— Bóg zsyła nam pomoc! — szepnęła niby w dziękczynnej modlitwie. — Twoja szansa! Teraz oni cię usłuchają!

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Tak, pani, teraz mnie usłuchają — rzekł i w chwilę później jego plan był gotów.

Niewątpliwie Asad miał rację, postanawiając czekać w osłoniętej zatoce; wszystko wskazywało na to, że nie zostaną odkryci. Trudno jednak było odmówić słuszności załodze. Jeżeli wypłyną na pełne morze, będą mogli wziąć wschodni kurs i przemknąć się niepostrzeżenie, nawet gdyby na okręcie zacumowanym po drugiej stronie cypla usłyszano plusk wiosł. Z pogoni można było sobie kpić. Jedyne niebezpieczeństwo przedstawiały armaty na okręcie, ale to niebezpieczeństwo nie było znowu tak wielkie, o czym Sakr-el-Bahr wiedział dobrze z własnego doświadczenia.

Aczkolwiek nie bez oporów, doszedł do przekonania, że rozsądniej będzie w tej sytuacji wesprzeć Asada, a upewniwszy się co do posłuszeństwa załogi, żywił nadzieję, że moralne zwycięstwo przynieść mu może zupełnie realne korzyści.

W odpowiedzi więc na wołanie załogi udał się na rufę, by stanąć obok baszy. Asad patrzył na zbliżającego się podejrzliwie i z obawą; był przekonany, że Sakr-el-Bahr wykorzysta dogodnie okoliczności i stanie przeciwko niemu, by ująć w swe ręce władzę nad buntownikami i opanować sytuację. Powoli, nieznacznie zaczął dobywać szabli; Sakr-el-Bahr udawał, że nie widzi tego manewru. Wystąpił naprzód, by przemówić do załogi.

— Co to jest?! — zagrmiał gniewnie. — Co to ma znaczyć? Czyście pogłuchli, żeście nie słyszeli rozkazu baszy, wybrańca Allaha, i że ośmielacie się podnosić buntownicze głosy?!

Zapanowała nagle cisza. Asad uszom nie wierzył — kamień spadł mu z serca; Rozamundzie przerażenie dech zaparło. Co to znaczy? Czy drwił z niej? Czy jego zamiary są zupełnie inne niż zapewnienia? Oparła się o balustradę, starając się nie uronić ani słowa z tego, co mówił, i tłumaczyć sobie wszystko swoją słabą znajomością *lingua franca*.

Widziała, jak gniewnym, rozkazującym tonem zwrócił się do Larocque'a, który stał przy burcie i czekał.

— Z powrotem, na stanowisko! Bacz pilnie na ruchy okrętu i donoś nam o nich. Nie odpłyniemy stąd, jak długo będzie wola Asada. Wynoś się!

Larocque bez szemrania przelał przez burtę i po wiosłach wydostał się na brzeg. Nie odezwał się ani jeden głos protestu.

Sakr-el-Bahr powiódł oczami po szeregach korsarzy, stłoczonych koło przedniego kasztelu.

— Wystarczy, że to szczenię wychowane w haremie — rzekł, wskazując pogardliwym ruchem na Marzaka — baje dorosłym mężczyznom o niebezpieczeństwie, to zaraz was wszystkich ogarnia lęk! Czy jesteście trzodą owiec? Na Allaha! Czym jesteście? Czy to moje nieustraszone sokoły morskie, co ze mną krążyły po morzach, zapuszczając swe szpony we wroga, czy tylko stado wron?

— Jesteśmy tu w potrzasku jak Dragut pod Dżerbą²²⁰ — odparł pewien stary marynarz, któremu strach podszepnął zuchwałe słowa.

— Kłamiesz — rzekł Sakr-el-Bahr. — Dragut znalazł wyjście z potrzasku. Nadto miał przeciwko sobie całą genueńską flotę, podczas gdy my mamy tylko jeden okręt. I na

²²⁰ Dżerba — tunezyjska wyspa na M. Śródziemnym, w zatoce Mała Syrta; w potrzasku jak Dragut pod Dżerbą: w 1550 korsarskie okręty Draguta, które schroniły się w chronionej fortyfikacjami zatoce Dżerby, zostały schwytane w pułapkę przez genueńskiego admirała Andrieu Dorie, który swoimi statkami zablokował wyjście z zatoki; Dragut przekopał kanał po przeciwnej stronie wyspy i przeciągnął do niego okręty lądem, po czym bezpiecznie wyprowadził je na pełne morze. [przypis edytorski]

Koran, czyż nie pokażemy mu zębów, gdyby zechciał bitwy? Czy byłby to pierwszy zdobyty przez nas okręt? Ale jeżeli bardziej was przekonuje rada tchórza, to zastanówcie się, że skoro tylko wypłyniemy na pełne morze, niechybnie zostaniemy odkryci, a Larocque mówił wszak, że mają dwadzieścia armat. Zaręczam wam, że jeśli zostaniemy napadnięci, to stokroć łatwiej będzie nam odeprzeć atak tu, gdzie jesteśmy; zresztą w tej zatoczce na pewno nas nie zaczepią, nie mówiąc już o tym, że o nas nie wiedzą. Weźcie pod uwagę wreszcie, że jeśli zaczniemy uciekać przed niebezpieczeństwem, które właściwie nie istnieje, stracimy szansę na bogatą zdobycz. Ale na próżno mówię — zakończył. — Słyszeliście rozkaz waszego pana, Asada-ed-Dina, to wystarczy, niech więc już o tym nie słyszę.

Nie czekając na skutek swoich słów, Sakr-el-Bahr zwrócił się do Asada:

— Należałoby właściwie powiesić tego psa, który bredził o Dragucie i Dźerbie — rzekł — ale nie miałem nigdy zwyczaju obchodzić się surowo ze swoimi towarzyszami.

Zdumienie Asada przeszło szybko w podziw, a następnie w skrucę, którą skaziła jednak zazdrość. Basza wiedział, że Sakr-el-Bahr zwyciężył, widział swoją porażkę. Zazdrość zataczała coraz szersze kręgi jak tłusta plama. O ile przedtem żywił do Sakr-el-Bahra niechęć, o tyle teraz była to jawna nienawiść, nienawiść do człowieka, w którym widział uzurpatora swojej władzy. Dla nich dwóch nie było miejsca w Algierze.

Tak więc słowa uznania zamarły mu na ustach, gdy stanął oko w oko z Sakr-el-Bahrem. Przymrużonymi oczyma badał swego namiestnika, a wymowy tego spojrzenia chyba tylko głupi by nie pojął. A Sakr-el-Bahr nie był głupi i nie łudził się ani chwili. Wobec tych przejawów złej woli doznał niemiłego uczucia. Żałował, że nie skorzystał z buntu załogi i chwili słabości baszy, by go zupełnie unieszkodliwić.

Poniechał słów pojednania, które już miał na końcu języka, a na zjadliwe spojrzenie odpowiedział szyderstwem.

— Odejdź — rzekł krótko do Biskainego — i zabierz ze sobą tę chlubę wojennego rzemiosła — wskazał na Marzaka.

Biskaine zwrócił się do baszy.

— Czy jest to i twoim życzeniem, o panie? — spytał.

Asad skinął głową w milczeniu.

— Panie — przemówił Sakr-el-Bahr, gdy zostali sami. — Wczoraj uczyniłem ci pewną propozycję, która miała zatrzeć skazę powstałą na naszej przyjaźni. Odrzuciłeś ją. Gdybym był zdrajcą i buntownikiem, jak mnie nazwałeś, byłbym już dawno wykorzystał nastroje moich korsarzy. Nie musiałbym wtedy ani z tobą pertraktować, ani cię o nic prosić. Sam dyktowałbym warunki. Dając ci jednak tak niezbity dowód mej lojalności, spodziewałem się odzyskać twe zaufanie, które obecnie utraciłem, i otrzymać zgodę na moją propozycję dotyczącą owej angielskiej dziewczyny.

Pech zrządził, że wzrok Asada padł na niezasłoniętą twarz stojącej właśnie przy relingu Rozamundy. Na jej widok basza przestał się wahać. Na jego blade ze złości policzki wystąpił rumieniec.

— Nie do ciebie należy, Sakr-el-Bahrze — przemówił wreszcie — czynić mi propozycje. Sam fakt, że się na to ważysz, dowodzi, jak daleki jesteś od owej lojalności, o której tyle mówisz. Wiesz dobrze, jaka jest moja wola. Raz już sprzeciwiłeś mi się, zachowałeś się opornie i wyzywająco, nadużywając świętych praw Proroka. Piętrzą dalej przeszkody na mojej drodze, a przygotowujesz własną zgubę.

Asad mówił podniesionym głosem, trzęsąc się z gniewu.

— Nie tak głośno — rzekł Sakr-el-Bahr, a oczy mu płonęły — bo jeżeli moi ludzie usłyszą te groźby, nie rękę za następstwa. Narażam się więc na niebezpieczeństwo, powiadasz? Dobrze, niech i tak będzie — zaśmiał się złowrogo. — A więc wojna między nami, Asadzie, sam jej chciałeś. Ale w przyszłości, gdy jej następstwa cię przytłoczą, przypomnij sobie, że wybór należał do ciebie.

— Ty buntowniku, ty zdrajco, ty psie! — wybuchnął Asad.

Sakr-el-Bahr wykręcił się na pięcie.

— Idź dalej drogą starości i głupoty — rzucił przez ramię — a zobaczysz, dokąd cię ona zaprowadzi.

Z tymi słowy oddalił się w stronę rufy, zostawiając baszę samego z jego gniewem i lękiem, który obudziła zuchwała pogróżka. Serce Sakr-el-Bahra jednak przepełniał niepokój. Powziął pewien plan, ale zdawał sobie sprawę, jak daleka jest jeszcze jego realizacja.

— Pani — rzekł do Rozamundy — nierozsądnie czynisz, pokazując się tak otwarcie.

Obrzuciła go wrogim spojrzeniem.

— Nierozsądnie? — spytała z pogardą. — Boi się pan, bym nie widziała więcej, aniżeli pan sobie życzy? Cóż za komedię odgrywa pan przede mną, własnym słowom zadając kłam czynami.

Nie musiał pytać, co miała na myśli. Zdawał sobie sprawę, jak fałszywie zrozumiała scenę, której była świadkiem.

— Przypominam — rzekł z głęboką powagą — że już raz wyrządziła mi pani krzywdę zbyt pochopnym sądem, o czym się później pani przekonała.

Pod wpływem tych słów zawahała się.

— Ale w takim razie... — zaczęła.

— Proszę zachować swój sąd na koniec. Jeżeli będę żył, oswobodzę panią. Na razie zaś proszę wrócić do kajuty. Pani publiczne pokazywanie się wcale moim planom nie sprzyja.

Popatrzyła na niego z niemą prośbą o wyjaśnienie. Ale pod władczym wzrokiem spuściła głowę i zniknęła za kotarą.

XX. POSŁANIEC

Do końca dnia nie wychodziła z kajuty, dręczona niepokojem, co się dzieje. Niepokój ten spotęgowała jeszcze okoliczność, że Sakr-el-Bahr przez cały czas się nie pokazywał. Wreszcie koło wieczora, nie mogąc już dłużej wytrzymać, wyszła — niestety znów w najmniej stosownej chwili.

Słońce zachodziło i na pokładzie cała załoga odmawiała na klęczkach wieczorną modlitwę. Widząc to, cofnęła się za kotarę. Gdy modlitwa dobiegła końca, ponownie odsunęła zasłonę, nie przeszła jednak obok Nubijczyków stojących na straży, bo po lewej stronie zobaczyła Asada, Marzaka, Biskainego i dwóch innych oficerów siedzących pod markizą. Oczy jej szukały Sakr-el-Bahra. Naraz zobaczyła go idącego szerokim, kołyszącym się krokiem wzdłuż relingu, tuż za dozorcami rozdzielającymi między niewolników skromny wieczorny posiłek.

Oliver zatrzymał się przy Lionelu, który siedział tuż koło przejścia. Przemówił do niego dość brutalnie w *lingua franca*, czego Lionel nie zrozumiał, a co jednak słyszeli wszyscy na pokładzie.

— No cóż, psie? Jak służy twemu wypieszczonemu żołądkowi galernicza strawa?

Lionel wpatrywał się w niego zdziwiony.

— Co mówisz? — spytał po angielsku.

Sakr-el-Bahr pochylał się nad nim z szyderczym wyrazem twarzy. Niewątpliwie mówił teraz po angielsku, choć uszu Rozamundy dochodziły tylko nieartykułowane dźwięki. Zwiedziona jego miną domyślała się — jakże mylnie — sensu jego słów.

— Nie zważaj na wyraz mojej twarzy — mówił. — Chcę, aby ci ludzie myśleli, że cię lżę. Masz wyglądać jak człowiek, którego poniewierają. Rzucaj się, krzycz, ale słuchaj. Czy przypominasz sobie, jak ongiś w chłopięczych czasach pływaliśmy z Penarrow do przylądka Trefusis?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Lionel, którego posępna zwykle mina była teraz szczególnie nie na rękę Sakr-el-Bahrowi.

— Ciekaw jestem, czybyś obecnie potrafił przepłynąć taką odległość. Jeżeli tak, to czeka cię o wiele smaczniejsza wieczerza, na okręcie sir Johna Killigrewa. Czybyś nie słyszał? „Srebrna Czapla” stoi na kotwicy w zatoce po drugiej stronie przylądka. Jeżeli ci to umożliwię, czy potrafisz tam dopłynąć? Jak myślisz?

Lionel wpatrywał się w brata w najwyższym osłupieniu.

— Kpisz ze mnie? — zapytał wreszcie.

— Jak mógłbym w ten sposób kpić?

— Czy to nie cynizm ludzić mnie wolnością?

Sakr-el-Bahr zaśmiał się. Teraz drwił naprawdę. Lewą nogę postawił na ławce i oparłszy brodę na rękę, zbliżył twarz tuż do twarzy Lionela.

— Wolnością? — rzekł. — Dalibóg, Lionelu, zawsze potrafiłeś myśleć tylko o sobie. I to właśnie uczyniło cię łajdakiem. Twoja wolność! Do licha! Czyż tylko twojej wolności mógłbym tu pragnąć? Słuchaj, chcę, abys dopłynął do okrętu sir Johna Killigrewa i zaniósł mu wiadomość o naszym statku i o tym, że na pokładzie jest Rozamunda. Chodzi mi wyłącznie o nią, gdybyś ty natomiast przypadkiem utonął, żałowałbym jedynie, że wieść nie została przesłana. Czy podejmujesz się tej misji? To jedyna twoja szansa uwolnienia się od galerniczej ławki, chyba że spotka cię śmierć. Zgadzasz się?

— Ale jak? — pytał Lionel, nie dowierzając jeszcze.

— Zgadzasz się? — nalegał brat.

— Daj mi możliwość, to popłynę — brzmiała odpowiedź.

— Dobrze — Sakr-el-Bahr pochylił się jeszcze niżej. — Naturalnie wszyscy ci, co na nas patrzą, muszą być przekonani, że cię tak rozdrażniłem, iż chwytasz się rozpaczliwych środków. Odegraj więc dobrze swoją rolę. Staraj się mnie uderzyć. Następnie, gdy ci oddam cios — a będę bił mocno, by nie obudzić podejrzeń — runiesz i udasz zemdlonego. Resztę zostaw mnie. Teraz! — dodał z szyderczym śmiechem, udając, że odchodzi.

Ale Lionel pojął w lot i wypełnił jego instrukcję. Zerwał się w kajdanach i zamachnąwszy się, jak tylko mu łańcuchy pozwalały, uderzył Sakr-el-Bahra w twarz. Scena wyszła bardzo naturalnie, Lionel opadł na ławkę, a jego towarzysze przyglądali mu się wystraszonymi oczami.

Sakr-el-Bahr zachwiał się pod uderzeniem i w tej chwili zawrzało na pokładzie. Biskaine zerwał się z okrzykiem zdumienia, nawet w oczach Asada odbiło się zainteresowanie niezwykle widowiskiem. Sakr-el-Bahr ryknął jak dziki zwierz, podniósł potężne ramię i pięść jego jak młot spadła na głowę Lionela.

Lionel runął, a ramię Sakr-el-Bahra podniosło się po raz drugi.

— Ty psie! — wrzasnął, ale wstrzymał cios, widząc, że Lionel stracił przytomność.

Odwrócił się i krzyknął na Vigitella głosem ochryplym z pasji.

Vigitello przybiegł natychmiast z kilkoma ludźmi.

— Rozkuć mi to ścierwo i wyrzucić za burtę — rozkazał z wściekłością. — Niech to będzie przykład dla innych. Niech wiedzą, jaka ich kara czeka za bunt.

Ktoś pobiegł po młot i dłuto. Rozległo się kilka uderzeń i Lionel został wywleczony ze swego miejsca na pokład. Gdy przyszedł do siebie, zaczął skomleć o litość.

Biskaine rechotał z uciechy pod markizą, Asad spoglądał z aprobatą, Rozamunda, bliska omdlenia, cofnęła się za kotarę.

Widziała, jak majtkowie ujęli miotającego się Lionela, zanieśli do prawej burty, rozuśtali i z największą obojętnością wrzucili do wody. Słyszała jeszcze jego ostatni krzyk, zanim zniknął jej z oczu, potem plusk wody, a na koniec śmiech Sakr-el-Bahra.

Chwilę stała w osłupieniu, przeklinając renegata i korsarza. W głowie jej się mąciło, nie mogła zebrać myśli. Usiłowała pojąć ten nowy haniebny postęp, tę nieludzką, wyuzdaną wprost brutalność. Bijąc się z myślami, doszła do niezłomnego przekonania, że dotąd drwił z niej i grał komedię; kłamał, przysięgając, że jedynym jego celem jest przywrócenie jej wolności. To nie był człowiek, który by mógł doznawać wyrzutów sumienia z powodu złego postępu. Jego zamiarów dotąd nie zdołała przejrzeć, ale jedno nie ulegało dla niej wątpliwości — że musiały być one podłe. Tak nią to wstrząsnęło, że zapomniała nawet o ciężkich winach Lionela i serce jej przeniknęło współczucie dla nieszczęśliwego, w tak brutalny sposób pozbawionego życia młodzieńca.

Nagle z przedniego kasztelu ozwało się wołanie:

— On płynie!

Sakr-el-Bahr był na to przygotowany.

— Gdzie? Gdzie? — zawołał i skoczył ku burcie.

— O tam! — wskazał ktoś. Skupili się przy relingu i obserwowali ruchomy punkt i ledwie widoczne kręgi na wodzie, zdradzające, że Lionel płynie.

— Na pełne morze! — zawołał Sakr-el-Bahr. — W każdym razie nie dopłynie daleko. Ale skrócimy mu drogę — porwał łuk wiszący na głównym maszcie, nałożył strzałę i wycelował.

Już miał puścić cięciwę, gdy wtem zniżył łuk i zawołał:

— Marzaku, najwybitniejszy strzelcze, oto znakomity cel dla ciebie!

Asad i Marzak również obserwowali głowę pływającego, która w zmierzchu była coraz mniej widoczna. W odpowiedzi na to wyzwanie Marzak spojrzał z chłodną pogardą. Po szeregach korsarzy przeszedł złośliwy chichot.

— Chodźże! — wołał Sakr-el-Bahr. — A weź łuk!

— Jeżeli będziesz się dłużej ociagał — wtrącił Asad — tym trudniej będzie ci go trafić. Już jest ledwie widoczny.

— Im trudniejszy cel — odrzekł Sakr-el-Bahr, który umyślnie chciał zyskać na czasie — tym większa chluba. Stawiam sto filipów, Marzaku, że nie trafisz tej głowy trzema strzałami, a ja — że ją trafię od pierwszego razu! Przyjmujesz zakład?

— W duchu jednak pozostałeś niewierny — brzmiała pełna godności odpowiedź Marzaka. — Zakładów Prorok zabrania.

— Spiesz się! — wołał Asad. — Już ledwie go dostrzegam. Daj spokój próżnej gadaninie!

— Tak! — odrzekł Sukr-el-Bahr wyniośle. — Dla moich oczu jest to cel zupełnie wyraźny. Nie chybiam nigdy, nawet w ciemności.

— Czcze przechwałki! — rzekł Marzak.

— Taak?

Sakr-el-Bahr wypuścił wreszcie strzałę i patrzył, jak padła, oczywiście daleko od głowy pływaka.

— Trafiony! — zawołał z wielką pewnością siebie. — Już po nim!

— A mnie się zdaje, że go widzę — rzekł ktoś.

— W mroku zawodzą cię oczy. Jeszcze nie było człowieka, który by potrafił płynąć ze strzałą w głowie.

— A! — zawołał Jasper, który stał za Sakr-el-Bahrem. — Zniknął!

— Za ciemno, żeby coś widzieć — rzekł Vigitello.

— Wszystko jedno, czy trafiony, czy utonął. W każdym razie już po nim — odezwał się Asad, kończąc ostatecznie sprawę.

Sakr-el-Bahr odstawił łuk.

W ciemności dostrzegł bladą twarz Rozamundy między dwoma czarnymi obliczami Nubijczyków. Cofnęła się szybko na jego widok, on zaś wszedł za nią i kazał Abiadowi przynieść pochodnię. W jej świetle spojrzeli na siebie. Dostrzegł silne wzburzenie dziewczyny i odgadł jego przyczynę.

Rozamunda zwróciła się do Sakr-el-Bahra.

— Bestia! Szatan! — wybuchnęła nagle. — Bóg cię pokarze! Będę się o to morderli! Morderco! Psie! A ja nieszczęśliwa wierzyłam naiwnie twoim słowom. Wierzyłam w szczerą skruchę. Ale teraz przekonałam się...

— Jak mogłem panią zranić tym, co zrobiłem z Lionelem? — przerwał dotknięty jej gwałtownością.

— Jak pan mógł mnie zranić? — odparła zimno. — Dziękuję Bogu, że nie jest pan w stanie tego zrobić. Szkoda tylko, że się dałam oszukać, że uwierzyłam w tę żalosaną komedię. Nie przyjąłabym nawet wolności z rąk splamionych krwią. Zresztą nie będę do tego zmuszona — ciągnęła coraz namiętniej — prędzej i mnie pan poświęci dla swoich podłych celów, choć nie wiem, jakie one są. Ale niebiosa mi pomogą, uda mi się jeszcze pokrzyżować pańskie plany. Proszę mi wierzyć, nie zbraknie mi odwagi.

Drżąc na całym ciele, zakryła twarz i jęknęła głucho, bliska omdlenia.

Patrzył na nią z gorzkim uśmiechem. Zrozumiał jej nastrój, tak jak rozumiał groźbę ukrytą w jej ostatnich słowach.

— Przyszedłem — rzekł spokojnie — by powiadomić panią, że Lionel uszedł szczęśliwie, oraz wyjaśnić, w jakim celu został wysłany.

Mówił tak sugestywnie i z takim spokojem, że podniosła na niego pytające oczy.

— Mam oczywiście na myśli Lionela — wyjaśnił. — Ta scena między nami była fikcyjna, podobnie jak mój strzał. Wyzwałem zaś Marzaka, by Lionel zyskał na czasie, z zapadnięciem bowiem ciemności stał się zupełnie niewidoczny, a tym samym bezpieczny. Opływa teraz przyłodek, by zanieść wiadomość sir Johnowi Killigrewowi. Zawsze był dobrym pływakiem i bez trudu da sobie radę. To właśnie miałem pani powiedzieć.

Długą chwilę patrzyła na niego bez słowa.

— Czy to prawda? — zapytała wreszcie cicho.

Wzruszył ramionami.

— Jakież miałbym cel w okłamywaniu pani?

Usiadła nagle, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i zaczęła łkać.

— A ja... ja myślałam, że... że pan...

Oliver skłonił się z galanterią.

— Oczywiście, zawsze myślała pani o mnie jak najlepiej — odwrócił się i szybko opuścił kabinę.

XXI. MORITURUS

Oliver wyszedł z sercem pełnym goryczy, zostawiając Rozamundę na pastwę wyrzutów sumienia. Poczucie tej ostatniej niesprawiedliwości tak nią zawładnęło, że stało się miarą wszystkich dawniejszych krzywd, jakich od niej doznał. Być może pod wpływem wzburzenia wyolbrzymiała sprawę, w każdym razie doszła do przekonania, że wszystkie cierpienia, które go spotkały, były bezpośrednim następstwem jej wiarołomstwa.

A ponieważ każdej skrusze musi towarzyszyć gorące pragnienie naprawienia win, więc i Rozamunda odczuwała tę potrzebę. Gdyby się tylko tak spiesźnie nie oddalił, byłaby go na kolanach prosiła o przebaczenie wszystkich krzywd, nawet myślą mu wyrządzonych, byłaby się głośno oskarżała i przyznawała do winy. Ale ponieważ pod wpływem oburzenia, jakże słusznego, opuścił ją tak szybko, nie pozostawiało jej nic innego, jak rozmyślać o tym wszystkim, szukając słów, którymi mogłaby go przebłagać.

Ale godziny mijały, a Olivera nie było. Zadrżała na myśl, że okręt sir Johna Killigrewa może już jest tuż. Zaczęła się niepokoić o Olivera. Będzie walka i w tej walce może zginąć z rąk angielskich albo z rąk korsarzy, których dla niej zdradził — może nawet nie dowie się o jej żalu i skrusze, nie wypowie słów przebaczenia, których jej dusza tak łaknęła.

Było około północy, kiedy nie mogąc dłużej znieść niepokoju, wstała i podeszła cicho do wyjścia. Powoli, bezszelestnie podniosła zasłonę i postąpiwszy krok naprzód, omal nie potknęła się o leżące na progu ciało. Cofnęła się z zapartym tchem, po chwili jednak w słabym świetle latarni poznała w śpiącej postaci sir Olivera. Nie zważając na obu Nubijczyków, nieruchomych jak posągi, pochylała się coraz niżej, aż wreszcie cichutko padła przy nim na kolana. Oczy miała pełne łez głębokiego wzruszenia i wdzięczności za tak bezgraniczne przywiązanie. Nie wiedziała, że poprzednią noc spędził tak samo. Ale wystarczyło, że w tej chwili go tu zastała. Poczuli się wzruszona do głębi, że człowiek, któremu nigdy nie dowierzała, którego zawsze źle sądziła, nawet we śnie czuwa nad jej bezpieczeństwem, osłaniając ją własnym ciałem.

Rozamunda westchnęła, a Oliver zerwał się czujnie. Skrzyżowały się ich spojrzenia — jego ciemna sokola twarz znalazła się tuż obok jej oblicza jaśniejszego bieli.

— Co się stało? — szepnął.

Cofnęła się, zdjeta nagłym lękiem, i usiłując pokryć zmieszanie, spytała cicho:

— Czy pan sądzi, że Lionel dotarł już do okrętu sir Johna?

Oliver zerknął niespokojnie w stronę śpiącego pod markizą baszy. Panował tam zupełny spokój, zresztą pytanie było postawione w języku angielskim. Wstał i wyciągnął do niej rękę, a następnie oboje zniknęli w kajucie.

— Nie może pani spać? — rzekł tonem na pół pytającym.

— Rzeczywiście nie mogę — odpowiedziała.

— Niech pani nie czuwa. Sir John może ruszyć dopiero głuchą nocą, by mieć pewność, że nas zaskoczy. Nie wątpię ani chwili, że Lionel dotarł na miejsce. To nie tak daleko. Wydostawszy się z zatoki, wziął kurs na ląd, nie ma obawy.

Choć unikała jego wzroku, w świetle pochodni dojrzała na jej twarzy łzy.

— Czy dojdzie do bitwy, gdy przybędzie sir John? — zapytała nagle.

— Bardzo możliwe. Ale cóż z tego? Dopadną nas w pułapce, tak samo, jak Andrea Doria przyłapał Draguta pod Dżerbą, z tą tylko różnicą, że chytry Dragut wyprowadził swe galery, a w naszej sytuacji byłoby to niemożliwe. A więc odwagi, godzina wolności jest bliska — urwał i ciszej dodał: — Jedyńm moim życzeniem jest, by kiedyś w szczęśliwej przyszłości te ostatnie tygodnie wydały się pani tylko przykrym snem.

Nie odpowiedziała. Siedziała zamyślona, chmurna.

— Wolalabym, żeby się obyło bez bitwy — rzekła z ciężkim westchnieniem.

Wina, Sumienie

— Proszę się niczego nie obawiać, nie ma powodu — uspokajał ją. — Przedsięwzięcie wszelkie środki ostrożności, by się pani nic złego nie stało. Musi pani tu pozostać, aż się zupełnie uspokoi, wejścia będzie strzegło kilku moich najwierniejszych ludzi.

— Źle mnie pan zrozumiał — odparła, podnosząc na niego oczy. — Czy pan myśli, że ja się boję o siebie? — znowu urwała. — A co się z panem stanie? — zapytała niespokojnie.

— Dziękuję za myśl o mnie — odpowiedział poważnie. — Spotka mnie to, na co zasłużyłem. Niechby tylko przyszło prędko.

— Nie, nie, nie! — zawołała. — Tak być nie może!

Zerwała się wzburzona.

— A cóż mi pozostaje? — spytał z uśmiechem. — Któż mógłby mi życzyć lepszego losu?

— Pan musi żyć, by wrócić do Anglii — zaskoczyła go tymi słowami. — Prawda musi zwyciężyć, a pana musi spotkać sprawiedliwość.

Utkwił w niej przenikliwe, badawcze spojrzenie, tak że spuściła oczy. Zaśmiał się szorstko.

— Jednej tylko sprawiedliwości mogę się w Anglii spodziewać — rzekł. — A mianowicie sprawiedliwości wymierzonej za pomocą stryczka. Proszę mi wierzyć, Rozamundo, zanadto stałem się głośny, by liczyć na łaskę. Najlepiej, gdyby się to skończyło dziś w nocy. Poza tym — dodał smutno — dopuściłem się zdrady wobec tych ludzi, którzy, bez względu na to, kim są, towarzyszyli mi w wielu niebezpiecznych wyprawach i którzy dziś jeszcze okazali, że ich miłość i przywiązanie do mnie są większe nawet niż posłuszeństwo wobec baszy. A ja ich wydałem na rzeź. Czyż honor pozwoli mi żyć dłużej? Dla pani i pani ziomek to tylko nędzni poganie, ale dla mnie to moje sokoły morskie, moi wojownicy, wierni, nieustraszeni towarzysze, i byłbym podłym psem, gdybym wydawszy ich na śmierć, pragnął ich przeżyć.

Gdy zrozumiała wreszcie znaczenie jego słów, w oczach jej odmalowało się przerażenie.

— Czy taka musi być cena mojej wolności? — spytała z lękiem.

— Może nie — odparł. — Mam pewien plan, w którym pokładam jeszcze nadzieję.

— A czy on i pana uratuje? — zapytała spieszenie.

— Po co zaprzętać sobie głowę sprawą tak błahą? Mój los jest już przesądzony. Jeżeli wrócę do Algieru, to mnie niechybnie powieszą. Asad już się o to postara i wszystkie moje sokoły razem wzięte nie uchronią mnie od zguby.

Opadła na otomanę i siedziała z załamanymi rękami w męce i zwątpieniu.

— Widzę to, widzę — rzekła. — To ja skazałam pana na śmierć. Wysyłając Lionela z wieścią, już tym samym poświęcał pan dla mnie życie. Nie miał pan prawa tak postępować, nie zapytawszy mnie o zgodę. Nie miał pan prawa przypuszczać, że ja się na to zgodzę. Nie przyjmę tej ofiary. Nie chcę jej, sir Oliverze!

— Dzięki Bogu, że nie ma pani innego wyboru! Ale myli się pani. To ja sam ściągnąłem na siebie taki los. Dojrzały owoce mego szalonego czynu, który odbija się na mnie jak każde popełnione zło. — Wzruszył ramionami, jakby uważał temat za wyczerpany, i łagodniej dodał: — Czy mogę panią prosić o przebaczenie?

— Sądzę — odparła — że to ja powinnam pana prosić o przebaczenie.

— Mnie?

— Za mój brak wiary w pana, który był źródłem wszystkich nieszczęść, za moją pochopność, za spalenie pańskiego listu i dołączonego do niego dokumentu.

Uśmiechnął się dobrotliwie.

— Działała pani, wedle własnych jej słów, instynktownie. Choć nie dopuściłem się tego, o co mnie posądzono, to jednak instynkt mówił pani, że jestem w gruncie rzeczy zły, i instynkt ten nie mylił, bo jestem zły... tak, chyba muszę być zły. To pani słowa. Proszę nie myśleć, że mówię to ze złośliwości. Doszedłem do przekonania, że to prawda.

Wyciągnęła ku niemu rękę.

— A jeżeli... jeżeli ci powiem, iż doszłam do przekonania, że się myliłam?

— Wówczas uważałbym to tylko za wyraz litości, którą szlachetne serce odczuwa dla człowieka stojącego u progu śmierci. Instynkt mówił pani prawdę.

— Nie! Nie!

Ale nie można było przekonać. Potrząsnął głową zaszepiony.

— Żaden uczciwy człowiek nie byłby się dopuścił tego, czego ja się dopuściłem, choćby nie wiedzieć jakie miał po temu powody. Teraz widzę to jasno jak ludzie, którzy w ostatniej godzinie widzą rzeczy dotąd przed nimi zakryte.

— Och, czemu pan się tak uparł na tę śmierć! — zawołała z rozpaczą.

— To nie ja się na nią uparłem — odpowiedział, wracając do swego zwykłego tonu — to ona się na mnie uparła. Ale idę na jej spotkanie bez lęku i żalu. Spoglądam jej w twarz jak w coś nieuniknionego, w coś, co nam daje ręka losu. Ale pani przebaczenie dodało mi otuchy, uszczęśliwiło mnie.

Zerwała się nagle i podbiegła do niego. Ujawszy go za rękę, patrzyła mu w oczy.

— Musimy sobie wzajemnie przebaczyć, Oliverze. A ponieważ przebaczenie zmazuje wszystko, niech więc, i to, co nas przez pięć lat dzieliło, zostanie zmażane.

Pochylił się nad jej bladą, pełną powagi twarzą.

— Czy to możliwe — mówiła dalej — by cofnąć się o pięć lat? Czy to możliwe cofnąć się aż do tych odległych dni w Godolphin?

Blask, który nagle oblał jego twarz, zmierzchnął powoli. Oczy przesłonił smutek.

— Kto zbłądził, musi zawsze dźwigać brzemień winy. I to nie tylko on, ale i przyszłe pokolenia. Tego się nie da naprawić. Bramy przeszłości są dla nas zawsze zamknięte.

— A więc niech będą zamknięte. Odwróćmy się, już na zawsze, od przeszłości i idźmy razem naprzód, pełni ufności, nagradzajmy sobie wzajemnie to wszystko, co przez brak rozsądku utraciliśmy w ubiegłych latach.

Położył jej rękę na ramieniu z czułością.

— Kochanie! — wyszeptał i westchnął ciężko. — Boże! Jak szczęśliwi moglibyśmy być ze sobą, gdyby nie ów okrutny przypadek... — urwał nagle. — Robię się cikliwy — rzekł energiczniej. — To twoja litość tak mnie roztkliwiła, że chciałem mówić o miłości. Ale cóż ja mogę mieć z nią wspólnego? Miłość należy do życia, sama jest życiem, gdy tymczasem ja... *Moriturus te salutat!*²²¹

— Nie, nie, nie! — przypadła do niego drżąca.

— Za późno — odpowiedział. — Żaden most nie połączy brzegów tej przepaści, którą sam wykopałem. Muszę wskoczyć w nią śmiało i z lekkim sercem, tak jak Bóg sobie życzy.

— Wobec tego — zawołała w nagłym uniesieniu — chcę iść z tobą! W ostatniej chwili przynajmniej będziemy razem.

— To szaleństwo! — zaprotestował nie bez serdeczności. Głaskał złocistą głowę, która tuliła się do jego piersi. — Cóż mi to pomoże? Czy chcesz zaprawić goryczą moją ostatnią godzinę, pozbawić śmierć moją aureoli? Nie, Rozamundo, większą mi oddasz przysługę, żyjąc. Wróć do Anglii i podaj wszystkim do wiadomości prawdę, którą poznałeś. Postaraj się oczyścić moje imię, wyjaśniając, co mnie skłoniło do tego, bym został renegatem i korsarzem.

Nagle odskoczył od niej.

— Słyszysz!? Co to jest?

Z zewnątrz dolatywały głośne krzyki:

— Wstawać! Do bronii! Do bronii! *Hola! Balak! Balak!*

— Nadeszła godzina! — rzucił się ku wyjściu i gwałtownie odsunął na bok kotary.

XXII. PODDANIE SIĘ

W przejściu między rzędami śpiących niewolników dał się słyszeć tupot szybkich kroków. Ali, który od zachodu słońca zastępował Larocque'a na skale, zbiegł co tchu na dół, wołając głośno:

— Namiestniku, namiestniku! Panie! Wstawajcie, bo zguba nad nami!

Cały statek się rozbudził. Na pokładzie wszczął się ruch i gwar. Koło przedniego kasztelu słychać było krzyki. Zasłona namiotu została spiesźnie odrzucona i ukazali się Asad

²²¹ *Moriturus te salutat!* (łac.) — idący na śmierć pozdrawia cię (parafraza słów skierowanych do cesarza przez wchodzących na arenę gladiatorów: *Ave, Caesar, morituri te salutant*: witaj, Cezarze, idący na śmierć pozdrawiają cię). [przypis edytorski]

i Marzak. Z prawej strony nadbiegli Biskaine i Othmani, od rufy Vigitello, Jasper i inni zaniepokojeni alarmem oficerowie.

— Co się stało? — zapytał basza.

Ali zdyszany meldował:

— Okręt podniósł kotwicę. Wypływa z zatoki.

Asad skubnął brodę i mruknął:

— Co to ma znaczyć? Czyżby się dowiedzieli, że tu jesteśmy?

— A po cóż by innego podnosili kotwicę w głuchą noc? — rzekł Biskaine.

— Rzeczywiście, po co? — odparł basza, zwracając się do Olivera. — Co ty na to, Sakr-el-Bahrze? — spytał.

Sakr-el-Bahr postąpił naprzód, wzruszając ramionami.

— Co mogę na to powiedzieć? Co nam pozostało do zrobienia? Trzeba czekać. Jeżeli o nas wiedzą, to jesteśmy w pułapce i na wszystkich nas przyjdzie tej nocy koniec.

Głos jego był lodowaty, pogardliwy; w niejednym obudził lęk, Marzaka zaś wprowadził w przerażenie.

— Oby kości twoje zgniły, ty puszczyku! — zaskrzeczał i byłby jeszcze dalej złorzeczył, ale Sakr-el-Bahr go uciszył.

— Co napisane, to napisane! — huknął.

— Tak jest, tak jest — przytaknął Asad, chwytając się tej fatalistycznej pociechy. — Jeżeli już dojrzeliliśmy do tego, by nas ścięła ręka Ogrodnika, to niech się tak stanie.

Mniej fatalistyczna, a za to praktyczniejsza była rada Biskainego.

— Przyjmijmy, że nas odkryli, i podejmijmy odpowiednie kroki, wypływajmy na morze, póki czas.

— Ale to by znaczyło, że ściągamy na siebie niebezpieczeństwo, które nie jest jeszcze pewne — wtrącił Marzak.

— Nieprawda! — zawołał Asad. — Chwała bądź Allahowi, że zesłał nam taką spokojną noc. Wiatru prawie nie ma. Możemy robić sześć węzłów na ich jeden.

W szeregach oficerów i załogi odezwał się pomruk uznania.

— Byliśmy się tylko wydostali bezpiecznie z tego zamknięcia, to nigdy nas nie dogonią — rzekł Biskaine.

— Ale oni mają armaty — przypomniał spokojnie Sakr-el-Bahr, by nieco zachwiać ich pewność. Z właściwą sobie bystrością dostrzegł ten jedyny sposób wydobycia się z matni, miał jednak nadzieję, że inni się nie zorientują.

— Musimy podjąć to ryzyko — odparł Asad. — Trzeba ufać nocy. Siedzieć tu dłużej, znaczyłoby wyczekiwać pewnej zguby.

Obrócił się, by wydać rozkazy.

— Ali, krzyknij na sterników! Prędko! Vigitello, batem niewolników po krzyżach, obudź ich!

Rozległa się przeraźliwa gwizdawka dozorczy, świsnęły bicz i poczęły klaskać po plecach na pół już rozbudzonych galerników, dopełniając rozgardiaszu na statku. Basza zwrócił się do Biskainego:

— Na dzień! Obejmij dowództwo nad załogą! Każ stanąć wszystkim pod bronią, bo może się to skończyć walką. Odejdź!

Biskaine skłonił się i zbiegł na dół. Ponad zgłębkiem i rozgwarem bieganiny górował donośny głos Asada:

— Łucznicy na górę! Kanonierzy do dział! Zapalić lonty! Pogasić wszystkie światła!

Po chwili zgaszono pochodnie, latarnię kołyszącą się przy burcie, a nawet i lampę w namiocie baszy. Zostawiono tylko na wszelki wypadek latarnię na maszcie, ale opuszczono ją aż do pokładu i osłonięto.

Statek pogrążył się w ciemności nieprzeniknionej jak aksamit. Powoli jednak oczy zaczęły się z nią oswajać i ze stalowoszarego mroku letniej nocy wyłoniły się sylwetki ludzi i przedmiotów.

Korsarze ochłonęli ze wzburzenia wywołanego alarmem i ze zdumiewającym spokojem w ciszy zabrali się do roboty. Nikomu nie przyszło nawet na myśl szemrać przeciw baszy czy Sakr-el-Bahrowi, że zwlekali z odpłynięciem, aż niebezpieczeństwo stało się groźne, choć od razu, gdy tylko dowiedziano się o bliskości nieprzyjacielskiego okrętu, wszyscy domagali się podniesienia kotwicy. Na długim pomoście na dziobie stały trzy

Noc

szeregi wojowników; pierwszy uzbrojony w łuki, drugi w szable, które połyskiwały blade w ciemności. Reszta tłoczyła się przy burtach i wspinała na olinowania. Na rufie przy dwóch działach stało po trzech kanonierów, na których twarze zapalone lonty rzucały rudawe refleksy.

Asad stał u wylotu trapu, wydając krótkie, zwięzłe rozkazy, Sakr-el-Bahr zaś oparty o nadbudówkę rufową obserwował wraz z Rozamundą wysiłki baszy zmierzające do pominięcia go w tych przygotowaniach.

Sternicy zajęli swoje miejsca i zaraz zaskrzypiały olbrzymie wiosła sterowe. Znowu z ust Asada padło słowo komendy, a na ławkach wiosłarzy wszczął się ruch. Pochylili się naprzód, by podnieść wiosła w poziom. Po chwili ozwała się druga komenda, świst batów w ciemności i gong wybijający takt. Wiosłarze przechylili się do tyłu. Wśród skrzypienia i plusku wiosł wielki statek począł sunąć w stronę wyjścia z zatoki.

Dozorcy biegali w jedną i drugą stronę, strzelając siarczyście z batów, by pobudzić niewolników do największego wysiłku. Statek mknął coraz szybciej. Szarzejący zarys przylądka przemknął obok. Gardziel zatoki w miarę zbliżania zdawała się rozszerzać. Za nią rozpościła się stalowe zwierciadło spokojnej morskiej toni. Rozamunda w zdenerwowaniu ledwo oddychała. Położyła rękę na ramieniu Sakr-el-Bahra.

— Czy mimo wszystko zdołają im ująć? — zapytała szeptem.

— W Bogu pokładam nadzieję, że nie — odpowiedział cicho. — Tego właśnie marnemu się obawiałem. O, patrz! — dodał, wyciągając nagle rękę.

Minęli już zatokę, gdy naraz spostrzegli ciemną masę statku, poznaczoną jasnymi punkcikami świateł. Płynął z lewej strony w odległości jednego kabla.

— Prędziej! — wrzasnął Asad. — Wiosłujcie, jeśli wam życie mile, pogańskie świnię! A garbować im porządnie grzbiety batami! Niech mi te psy tylko pracują jak należy, a nigdy nas nie dogonią.

Znowu świst biczów przeciął powietrze, rozległy się głuche ciosy, a po nich wycie torturowanych niewolników, goniących ostatkiem sił w nadludzkim wysiłku, który miał odsunąć od nich szansę ratunku i wybawienia. Jeszcze szybciej uderzał gong, podając szalone wprost tempo, i zgodnie z nim jeszcze szybciej skrzypiały i pluskały wiosła i jeszcze rozpaczliwiej rzęził oddech niewolników.

— Prędziej! Prędziej! — wołał nieubłagany Asad. — Choćby ich pogańskie płuca miały się porwać w strzępy, muszą przez godzinę utrzymać tę prędkość.

— Oddaliśmy się! — zawołał Marzak, nie posiadając się z radości. — Chwała Allahowi!

Marzak miał rację. Nie ulegało wątpliwości, że światła okrętu się cofają, choć wszystkie żagle były rozpięte. Przy tak słabym podmuchu wiatru zdawał się stać w miejscu, gdy tymczasem statek Asada pędził, jak nigdy pod rozkazami Sakr-el-Bahra. Bo też Sakr-el-Bahr nigdy nie odwracał się tyłem do nieprzyjaciela, choćby nie wiedzieć jak silnego.

Naraz od strony angielskiego okrętu doleciało ponad wodą wołanie. Asad zaśmiał się i pogroziwszy w ciemności pięścią, począł miotać przekleństwa w imię Allaha i jego Proroka. Jakby w odpowiedzi na te złorzeczenia z boków okrętu buchnęły błyski, a ciszę nocy rozdarł ryk armatniego wystrzału i coś upadło przed galerą z głośnym pluskiem.

Rozamunda przerażona przywarła do Sakr-el-Bahra. Lecz Asad znów się roześmiał.

— Nie ma obawy, żeby trafili — zawołał. — Nie widzą nas. Oślepiły ich własne światła. Naprzód, naprzód!

— Ma słuszość — rzekł Sakr-el-Bahr — tylko że oni specjalnie nie chcą nas zatopić, bo wiedzą, że ty jesteś na pokładzie.

Spojrzała na morze i zobaczyła, jak przyjazne światelka nikną coraz bardziej.

— Stale się oddalamy — jęknęła. — Nigdy nas nie dogonią.

Tego samego obawiał się Sakr-el-Bahr. Miał nawet pewność. Wiedział, że jeśli nagle cudem nie zerwie się wiatr, wszystko będzie stracone. W rozpacz przyszła mu do głowy pewna szalona myśl.

— Jest wyjście — rzekł. — Ale to gra na śmierć i życie.

— Dobrze. Nie mamy przecież nic do stracenia.

— Czy jesteś przygotowana na wszystko? — spytał.

— Czy nie mówiłam, że chcę zginąć razem z tobą? Nie tracimy czasu!

— A więc dobrze — rzekł poważnie i postąpił krok naprzód. — Najlepiej będzie, gdy pójdziesz ze mną.

Posłusznie udała się za nim. Niektórzy widzieli, jak schodzili na dół, ale nikt nie próbował ich zatrzymać. Każdy miał inne, ważniejsze sprawy.

Oliver torował jej drogę; minęli dozorców, którzy batem i językiem zagrzewali niewolników do pracy, i wydostali się na śródkręcie. Sakr-el-Bahr podniósł zasłoniętą latarnię, którą Asad gniewnym głosem kazał zgasić. Lecz Sakr-el-Bahr nie dbał o rozkazy baszy. Podszedł do głównego masztu, gdzie stały beczki z prochem. Jedna z nich była już otwarta i lekko zakryta odbitym wiekiem. Sakr-el-Bahr oderwał je i usunąwszy z latarki jedną rogową ściankę, zbliżył nieosłonięty płomień do prochu.

Z ust wszystkich wyrwał się okrzyk zgrozy, ale zagłuszył go rozkaz Sakr-el-Bahra.

— Zatrzymać wiosła.

Gong w tej chwili ucichł, lecz niewolnicy nie poniechali wiosł.

— Zatrzymać wiosła! — powtórzył Oliver. — Asadzie! — zawołał. — Każ im przestać, bo w przeciwnym razie posłę was wszystkich w objęcia szatana! — Zniżył latarnię tak, że niemal dotykała beczki.

Ruch wiosł ustał. Niewolnicy, korsarze, oficerowie i sam Asad znieruchomieli jak sparaliżowani widokiem tej groźnej postaci oświetlonej lampą, grożącej im natychmiastową zagładą. Wielu miało z pewnością ochotę rzucić się na niego, ale powstrzymywał ich strach, że jeden ruch może spowodować eksplozję, która wszystkich wyśle na tamten świat.

Wreszcie Asad zduszonym z wściekłości głosem ryknął:

— Oby cię Allah na miejscu trupem położył! Czy cię szatan opętał?

Marzak, stojący obok ojca, nałożył strzałę na cięciwę łuku.

— Czego tak wszyscy sterczycie i wytrzeszczacie oczy? — zawołał. — Niech go który ubije! — I podniósł łuk.

Lecz ojciec wstrzymał go, zdając sobie sprawę z następstw.

— Jeżeli ktokolwiek ruszy się krokiem, latarnia w tej chwili znajdzie się w beczce — oświadczył Sakr-el-Bahr spokojnie. — A jeżeli ktokolwiek z was strzeli, koniec będzie ten sam. Zapamiętajcie to dobrze, jeśli nie chcecie się zaraz przenieść na łono Mahometa.

— Sakr-el-Bahrze! — zawołał Asad, a w głosie jego, przed chwilą zięjącym wściekłością, brzmiała nuta pojednania.

Wyciągnął błagalnie ręce ku swemu namiestnikowi, którego zagładę w sercu i w duszy poprzysiął.

— Sakr-el-Bahrze! Zaklinam cię na chleb i sól wspólnie spożyte, opamiętaj się, odzyskaj zmysły! Mój synu!

— Nie postradałem zmysłów — odparł Sakr-el-Bahr — i dlatego właśnie, przez pamięć wspólnie spożytego chleba i soli, nie tęsknię za losem, który mnie czeka w Algierze. Po cóż mam z tobą wracać, byś mnie powiesił lub wysłał znów na galery?

— A jeżeli ci przysięgnę, że nic podobnego cię nie spotka?

— Złamiesz przysięgę. Nie mógłbym ci już ufać, Asadzie, okazałeś się bowiem głupcem, a nigdy jeszcze od głupca nic dobrego nie doświadczyłem i nigdy nie zaufałem żadnemu głupcowi, prócz jednego, który mnie zdradził. Wczoraj rozmawiałem z tobą, wskazując ci korzystne wyjście. Drogą niewielkiego wyrzeczenia mogłeś mnie mieć do własnej dyspozycji i powiesić wedle upodobania. Ofiarowałem ci przecież własne życie, choć nie wiedziałeś, że robię to świadomie — roześmiał się. — Widzisz teraz, jaki z ciebie głupiec? Zgubiła cię zbyttnia chciwość. Otworzyłeś dłoń, by ująć więcej, niż mogłeś w niej utrzymać. Oto następstwa w postaci tego powoli, ale stale zbliżającego się okrętu.

Słowa te oświeciły Asada — niestety za późno. Łamał ręce z wściekłości i rozpacz. Cała załoga skamieniała; nikt nie miał odwagi się ruszyć, by nie przyspieszyć zguby.

— Wymień więc cenę — zawołał wreszcie basza — a przysięgam na brodę Proroka, że zostanie ci wypłacona.

— Wymieniłem już wczoraj, aleś ją odrzucił. Ofiarowałem ci moją wolność i życie, aby za nie kupić wolność drugiej osoby.

Gdyby Oliver spojrzął za siebie, byłby zobaczył, jak oczy Rozamundy nagle zabłyśły, a pierś poczęła falować, co by go przekonało, że dokładnie pojęła sens jego słów.

— Uczynię cię bogatym, obsypię zaszczytami, Sakr-el-Bahrze — błagał Asad. — Będziesz mi synem. Obejmiesz władzę, gdy złożę rządy, a zanim to się stanie, wszyscy moi poddani będą cię czcili jak mnie samego.

Głupiec

— Sakr-el-Bahra nie można kupić, potężny Asadzie. Nigdy nie było można. Już raz poprzysiągłeś mi śmierć. Żądaj jej teraz, ale pod warunkiem, że wspólnie wypijemy ten puchar. Co napisane, to napisane. Niejeden wspaniały okręt zatopiliśmy razem za dawnych dni, dziś możemy razem utonąć, jeżeli sobie tego życzysz.

— Obyś wiecznie gorzał w piekle, ty zdrajco o czarnej duszy! — przeklął go Asad, tracąc nad sobą panowanie.

Gdy w ten sposób Asad publicznie przyznał się do poniesionej klęski, wśród załogi podniósł się hałas. Sokoły morskie, powołując się na swoją wierność i miłość, dopytywały się niespokojnie o swój los.

— Ufajcie mi! — odpowiedział Sakr-el-Bahr. — Zawsze wiodłem was tylko do zwycięstw. Bądźcie spokojni, że i teraz, kiedy po raz ostatni jesteśmy razem, nie sprowadzę na was klęski.

— Ale ich okręt jest tuż obok! — zawołał Vigitello.

Tak też istotnie było. Posuwając się wolno w słabym wietrze, zamajaczył całkiem już blisko. Jego olbrzymi kadłub wznosił się wysoko, a dziób zbliżał się pod kątem ostrym do dziobu korsarskiej galery. Jeszcze chwila i statki znalazły się burta przy burcie. Z chrzęstem spadły żelazne bosaki, przygważdżając korsarski statek z przodu, z tyłu i z boku, a angielscy marynarze stojący rzędem wzdłuż burt wydali głośny okrzyk zwycięstwa. Ledwie statek został unieruchomiony, wysypali się na niego mężczyźni w pancerzach i hełmach. Z drugiej zaś strony nawet obawa przed latarnią trzymaną nad beczką z prochem nie zdołała powstrzymać korsarzy przed śmiałym atakiem na niewiernych. W jednej chwili pokład zamienił się w piekło walki, oświetlone rudymi blaskami, jakie rzucały lampy na pokładzie „Srebrnej Czapli”. Wśród tych, którzy pierwsi wpadli na korsarski statek, byli sir John i Lionel. Wśród tych zaś, którzy pierwsi rzucili się do obrony, był Jasper Leigh. Gdy tylko Lionel stanął na korsarskim pokładzie, jeszcze przed rozpoczęciem bitwy, Jasper przebił go mieczem. Kilkunastu innych zwarło się ze sobą, zanim donośny głos Sakr-el-Bahra zdołał położyć kres walce.

— Wstrzymać się! — krzyknął na swoje sokoły morskie. — Czekać i zostawić to mnie! Uwolnię was od tych nieprzyjaciół! — zawołał do swoich rodaków po angielsku. — Sir Johnie Killigrew! — krzyknął mocnym głosem. — Wstrzymaj się, zanim usłyszysz, co powiem. Zaczekaj, póki mnie nie wysłuchasz, powtarzam, a potem zrobisz, co zechcesz.

Widząc Olivera stojącego przy maszcie obok Rozamundy, sir John Killigrew był święcie przekonany, że dziewczynie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zdjęty lękiem, że Oliver ją zabije, jeżeli jego ludzie zrobią choć krok naprzód, rzucił się, by ich powstrzymać.

Nagle wszczęta walka w mgnieniu oka się skończyła.

— Co masz do powiedzenia, nędzny renegacie? — rzekł sir John.

— To, że jeśli pan w tej chwili nie wycofa ludzi na pokład swego okrętu i nie przysięgnie, że poniecha wszelkiej walki, wszystkich was, razem z nami, wyślę na tamten świat. Wrzucę tę oto latarnię do beczki z prochem, a wtedy my zatoniemy, ale i wy pójdziecie razem z nami na dno, bo okręty nasze są szczepione. Proszę się zastosować do mojego żądania, a otrzyma pan wszystko, czego pan szuka na naszym statku. Panna Rozamunda zostanie panu wydana.

Sir John patrzył na niego chwilę z namysłem.

— Chociaż nie miałem zamiaru wdawać się z panem w żadne pertraktacje, przyjmuję warunki, ale z zastrzeżeniem, że istotnie otrzymam wszystko, co chciałem zabrać z waszego statku. Jest tam mianowicie nikczemny renegat, którego rycerskim słowem zobowiązałem się schwycić i powiesić. On także musi mi zostać wydany. Nazywał się ongiś sir Oliver Tressilian.

— Jego także pan dostanie w zamian za słowo, że się zaraz potem oddalicie i nie będziecie niepokoić tego statku.

Rozamundzie zapało dech, ścisnęła mocno rękę Sakr-el-Bahra, w której trzymał latarnię.

— Ostrożnie — szepnął Oliver i oddał jej uścisk. — Bo wszystkich nas zgubisz.

— Już raczej to! — odpowiedziała.

Wówczas sir John dał rycerskie słowo, że po wydaniu mu Olivera i Rozamundy odpłynie, nie czyniąc żadnych szkód.

Sakr-el-Bahr zapoznał korsarzy dokładnie z warunkami porozumienia, następnie zaś wezwał Asada do złożenia uroczystej przysięgi, że warunki te zostaną dotrzymane i że nie dopuści do rozlewu krwi. Odpowiedź Asada była wyrazem oburzenia wszystkich korsarzy z powodu jego zdrady.

— Skoro on chce cię powiesić, proszę bardzo, niechże więc nam oszczędzi trudu, bo to jedyne, czego byś mógł od nas oczekiwać za swoją zdradę.

— A więc oddaję się w wasze ręce — oznajmił, wyrzucając latarnię za burtę.

W jego obronie podniósł się jeden tylko głos — głos Rozamundy. Ale przebrzmiał on bez echa, wsiąkł w ogólną ciszę. Ten ostatni cios załamał dziewczynę. Bliska omdlenia zachwiała się i padła w objęcia Sakr-el-Bahra, gdy sir John z kilkoma ludźmi zbliżał się, by go spętać.

Korsarze patrzyli na to w milczeniu. Ich przywiązanie do wodza, dla którego gotowi byli przelać krew do ostatniej kropli, zachwiała jego zdrada, która spowodowała na nich angielski okręt. Ale gdy widzieli, jak go wiązano i niesiono na pokład „Srebrnej Czapli”, w ich szeregach nastąpiła nagle reakcja. Podnoszono w górę szable i miotano groźby. Mimo zdrady nie ponieśli przecież żadnej szkody. To było godne Sakr-el-Bahra, którego znali, i miłość znów odezwała się mocnym głosem w ich sercach.

Asad, widząc to, przypomniał im, co przyrzekł w ich imieniu, lecz jego głos był za słaby, by zgasić nagle rozpalającą się iskrę buntu, Sakr-el-Bahr wydał więc ostatnie swe polecenie:

— Dotrzymajcie warunków układu!

Gromki pożegnalny okrzyk zatrzęsł powietrzem; było to zapewnienie o miłości i dozgonnej przyjaźni, które brzmiało Sakr-el-Bahrowi w uszach, gdy go przenoszono na „Srebrną Czapkę”, gdzie miał się przygotować na śmierć.

Odczepiono bosaki i okręt zniknął w mroku nocy. Na galerze korsarskiej przystąpiono do obsadzania luk powstałych na ławkach galerniczych w czasie bitwy, a następnie, rezygnując z hiszpańskiego statku, skierowano się ku Algierowi.

Pod namiotem na rufie Asad siedział teraz jak człowiek zbudzony z męczącego snu. Zakrył twarz i oplakiwał Sakr-el-Bahra, Sakr-el-Bahra, który był mu synem, a którego stracił przez własne szaleństwo. Basza przeklinał kobiety, przeklinał przeznaczenie, ale najwięcej przeklinał siebie samego.

Gdy nastał świt, wrzucono trupy do morza i zmyto pokład; ale nikt nie zauważył zniknięcia jednego człowieka. Najwyraźniej Anglicy nie dotrzymali warunków układu.

Wrócili do Algieru w żałobie nie z powodu utraty łupu, ale z powodu utraty najwspanialszego wodza, jaki kiedykolwiek dobywał miecza w obronie islamu. O jego zaginięciu nigdy nie mówiono jasno. Nikt z tych, co brali udział w tej wyprawie, nie miał czystego sumienia, choć nie ulegało wątpliwości, że Sakr-el-Bahr sam ściągnął na siebie zgubę. Dawano tylko do zrozumienia, że nie poległ w bitwie, i wyrażano przypuszczenie, że jeszcze żyje. Powstała nawet legenda, że Sakr-el-Bahr kiedyś wróci. Pół wieku później wykupieni jeńcy opowiadali, że w Algierze ciągle jeszcze wierni muzułmanie oczekują z niezachwianą ufnością jego powrotu.

XXIII. POGAŃSKA WIARA

Sakr-el-Bahra wrzucono do ciemnej komórki w przednim kasztelu „Srebrnej Czapli”, by czekając rana, rozmyślał o swej duszy. Od chwili poddania się nie padło między nim a sir Johnem ani jedno słowo. Z rękami związanymi na plecach został wniesiony na pokład angielskiego okrętu, gdzie spotkał się twarzą w twarz z dawnym swoim znajomym — naszym kronikarzem lordem Henrykiem Goade. Można sobie wyobrazić, jaką powagą powlokła się kwitnąca twarz namiestnika królowej, jak potępiająco patrzyły na niego jego oczy. Z tego, co sam napisał, wiadomo, że przez ten krótki moment, gdy eskorta wlokła Sakr-el-Bahra do tej ciemnej, cuchnącej wyziewami nory, nie odezwali się do siebie.

Nieskończenie długą godzinę leżał Oliver tam, gdzie go ciśnięto, przekonany, że jest sam; czas i miejsce bardzo sprzyjały filozoficznym rozmyśleniom nad własnym położeniem. Prawdopodobnie rozważywszy wszystko, nie znalazł w sobie winy, choć bowiem postąpił źle, postarał się o zadośćuczynienie. Właściwie trudno powiedzieć, że dopuścił się zdrady wobec swych wiernych towarzyszy, a choćby nawet tak było, to przecież za

zdradę zapłacił swoją własną osobą. Rozamunda była uratowana, Lionela dosięgnie sprawiedliwość, a co się tyczy jego samego — czyż warto o tym myśleć? Cóż to było za życie? Wielką ulgę dawała mu świadomość, że jego ofiara nie jest daremna. Przyszłość i tak miał zmarnowaną. Prawda, że gdyby nie owa nieszczęsna wyprawa do Anglii, mógłby długo jeszcze walczyć jako korsarz, osiągnąłby najwyższe muzułmańskie godności, zostałby baszą Algieru — ale czyż byłoby godne chrześcijańskiego rycerza dokonać w ten sposób dni? Tak, jak się stało, jest lepiej.

Jakiś lekki szelest w nieprzeniknionej ciemności więzienia przerwał bieg jego myśli. Był przekonany, że to szczur; podniósł się i usiadł, począł stukać butami w podłogę, by spłoszyć obrzydłe stworzenie, gdy z ciemności doszedł go głos:

— Kto to?

Zdumiał się, był bowiem święcie przekonany, że jest sam.

— Kto to? — powtórzył głos. — Co to za piekło bez odrobiny światła? Gdzie jestem?

Oliver poznał głos Jaspera Leigha i zdumiał się, że jego ostatni rekrut z muzułmańskich szeregów dzieli z nim więzienie.

— Jesteś pan — rzekł — w przednim kasztelu „Srebrnej Czapli”, ale nie mogę zrozumieć, skąd się pan tu wziął.

— A kto pan jesteś? — pytał głos.

— Znano mnie w Algierze pod mianem Sakr-el-Bahra.

— Sir Oliver!

— Przypuszczam, że wrócę teraz do tego imienia. Może to dobrze, że spocznę na dnie morza, bo ludzie byliby w kłopotcie, jaki dać napis na moim nagrobku. Ale co pan tu robi? Przecież ułożyłem się z sir Johnem, że nikomu nic złego się nie stanie, a nie przypuszczam, by sir John złamał słowo.

— Na to nie mogę panu odpowiedzieć, bo aż do chwili, w której mnie pan oświecił, nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Po tym, jak zdzieliłem pańskiego braciszka rapierem, dostałem uderzenie w głowę, które mnie pozbawiło przytomności. To wszystko, co wiem.

Sir Oliver zdumiał się.

— Co pan mówi? Zabiłeś pana Lionela?

— Tak mi się zdaje — brzmiała obojętna odpowiedź. — W każdym razie wpakowałem w niego żelazo na dwie stopy, i to zaraz, jak tylko Anglicy zaczęli się wysypywać na nasz pokład. Lionel był, o dziwo, w pierwszym szeregu, gdzie bym się go najmniej spodziewał.

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie przemówił Oliver.

— Niewątpliwie dostał to, na co zasłużył. Ma pan rację, pierwsze szeregi to ostatnie miejsce, w którym można by się go spodziewać, chyba że naumyślnie szedł na miecze, by uciec przed stryczkiem. To najlepsze, co mógł zrobić. Niech mu Bóg da wieczne odpoczywanie.

— Czy wierzy pan w Boga? — zapytał stary grzesznik trwożnie.

— Zapewne też dlatego pana zabrali — mówił dalej Oliver, idąc za tokiem własnych myśli. — Nie wiedzieli, co to za ptaszek, postanowili więc go pomścić i w tym celu pana tu przywlekli — westchnął. — Tak, tak, panie Leigh, pan pewnie całe życie przygotowywał szyję do stryczka, nie będzie to zatem dla pana niespodzianką.

Jasper Leigh poruszył się niespokojnie i jęknął.

— Boże, co za nieznośny ból głowy — skarżył się.

— Mają na to lekarstwo — pocieszał go Oliver. — I zawiśnie pan w lepszym towarzystwie, niż pan na to zasługuje, bo i mnie rano powieszą. Zarobiliśmy obaj na stryczek. Jednak żałuję, że wbrew moim zamiarom spotka pana taki los.

Jasper Leigh westchnął ciężko i milczał chwilę. Wreszcie powtórzył poprzednie swe pytanie.

— Czy wierzy pan w Boga, sir Oliverze?

— Nie ma innego boga nad jedynego, zaś Mahomet jest jego prorokiem — brzmiała odpowiedź, z której Leigh nie mógł wywnioskować, czy Oliver mówi serio, czy kpi.

— To pogańska wiara — odparł z lękiem i ze wstrętem.

— Nie, to wiara, według której ludzie żyją. Oni postępują w myśl swoich modlitw, czego nie można powiedzieć o chrześcijanach, przynajmniej o tych, których ja w życiu spotkałem.

— Jak może pan mówić coś podobnego w przededniu śmierci? — zaprotestował Leigh oburzony.

— Bo według powszechnego mniemania — odparł Oliver — jest to godzina szczerości i prawdy.

— Więc nie wierzy pan w Boga?

— Przeciwnie, wierzę.

— Ale nie w Boga prawdziwego? — dopytywał się Leigh natarczywie.

— Nie ma innego Boga, tylko jeden, prawdziwy, obojętne, jak się go nazwie.

— Więc skoro pan wierzy, to czy nie boi się pan?

— Czego?

— Piekła, potępienia, ognia wiecznego — wyrzucał z siebie marynarz głosem zdradzającym lęk.

— Spełniłem tylko przeznaczenie, które mi On w swej wszechwiedzy wytknął — odpowiedział Oliver. — Moje życie było takie, jak On sobie życzył, bo nic bez Jego woli i wiedzy stać się nie może. Czyż mam się więc lękać potępienia za to, że byłem takim, jakim mnie Bóg stworzył?

— To wiara pogańska — zaprotestował Leigh.

— Ale krzepiąca i powinna pokrzepić takiego grzesznika jak pan.

Ale Leigh nie chciał pokrzepienia.

— Och — jęknął żałośnie — wołałbym w tej chwili nie wierzyć w Boga.

— Pańska niewiara tak samo Go nie unicestwi, jak pańska wiara Go nie stworzy — odrzekł sir Oliver. — Ale czemu pan się nie modli?

— Czy nie zechciałby pan ze mną odprawić modłów? — zapytał zbój, zdjęty strachem przed tym, co go na tamtym świecie czekało.

— Wolę zrobić coś lepszego — rzekł wreszcie Oliver. — Wstawię się za panem u sir Johna Killigrewa, by panu darował życie.

— Z całą pewnością nic sobie z pańskiego wstawiennictwa nie będzie robił — odparł Jasper Leigh, ciężko dysząc.

— Powinien. Chodzi o jego honor. Głównym warunkiem naszego układu było bezpieczeństwo całej załogi.

— Lecz ja zabiłem Lionela.

— To prawda, jednak stało się to w pierwszym zamieszaniu, przed sprecyzowaniem warunków układu. Sir John dał mi słowo, którego dochowa, gdy mu wytłumaczę, że tego wymaga jego honor.

Wielki kamień spadł z serca kapitana, zapewnienie Olivera rozpędziło czarne chmury strachu, a wraz z lękiem zniknął nastrój skruchy. Leigh przestał mówić o wiecznym potępieniu i przestał się niepokoić poglądami Olivera na życie pozagrobowe. Uważał, i słusznie, że wierzenia Olivera są jego osobistą sprawą, a jeżeli są one błędne, to Leigh nie jest powołany, by je prostować. A co się tyczy jego samego, to z przygotowaniem na śmierć może jeszcze trochę poczekać, aż zaistnieje pilniejsza tego potrzeba.

Położył się zatem i próbował usnąć, w czym przeszkodził mu ból głowy. Nie mogąc więc zmrużyć oka, chciał znowu porozmawiać, lecz miarowy oddech towarzysza świadczył o tym, że Oliver twardo zasnął.

Zdumiało to i oburzyło kapitana. Nie mieściło mu się w głowie, że renegat i poganin może tak spokojnie spać, wiedząc, że o świcie zostanie powieszony. Niewczesna chrześcijańska gorliwość nakazywała mu obudzić śpiącego, by tę odrobinę czasu, jaki mu jeszcze pozostawał, obrócił na pojednanie z Bogiem. Z drugiej jednak strony zwykłe ludzkie współczucie podpowiadało mu, że lepiej zostawić towarzysza w stanie błęgiego zapomnienia. Rozważając wszystko, co się stało, doznał głębokiego wzruszenia na myśl, że w takich warunkach sir Oliver potrafił zatroszczyć się o niego, usiłując uratować go od stryczka. Wzruszenie to poszło jeszcze dalej, gdy sobie uprzytomnił, w jak wielkiej mierze on sam ponosi odpowiedzialność za to, co się stało z Oliverem. Pod wpływem rozmyślań na temat heroizmu Olivera i w Jasperze obudziły się szlachetne uczucia, zaczął się zastanawiać, czy wyznając Oliverowi wszystko, co wiedział, nie mógłby mu się jakoś przysłużyć. Postanowienie to przyniosło mu ulgę, która, o dziwo, potęgowała się, w miarę jak Jasper uświadamiał sobie, że wyznanie to mogłoby go kosztować życie.

Bóg, Wiara

Wiara

Tak więc spędzał tę noc nieskończenie długą, walcząc z dotkliwym bólem głowy, pokrzepiony jednak decyzją spełnienia szlachetnego czynu. Ale los wziął się chyba na niego, bo gdy rano przyszli ludzie, by zabrać Olivera na śmierć, nie zwrócili najmniejszej uwagi na prośby kapitana, by i jego zaprowadzono przed sir Johna.

— Co do ciebie nie było żadnych rozkazów — rzekł marynarz szorstko.

— Możliwe — odparł Leigh — bo sir John nie wyobraża sobie nawet, co mam mu do przekazania. Zaprowadź mnie do niego, powtarzam, by się dowiedział prawdy, nim będzie za późno.

— Milcz! — huknął marynarz i wyrzwał Jaspera w twarz, tak że się zatoczył i upadł. — I na ciebie wkrótce przyjdzie kolej. Teraz musimy się rozprawić z tym drugim poganinem.

— To, co pan chce powiedzieć, na nic się nie przyda — zapewnił go Oliver spokojnie. — Ale dziękuję panu za samą chęć, która dowodzi, że jest mi pan przyjacielem. Moje ręce są związane, Jasperze. W przeciwnym razie uściśnięłbym ci dłoń. Żegnam cię na zawsze.

Olivera, wyprowadzonego wreszcie z ciemności na światło dzienne, oślepił blask słońca. Wiedziono go, jak się domyślał, do kajuty, gdzie miała się odbyć parodia sądu. Lecz na śródokręciu oficer kazał mu stanąć i czekać.

Oliver usiadł na stosie lin, pilnowany przez strażnika. Był przedmiotem ogólnego zainteresowania. Marynarze snuli się całymi gromadami koło kasztelu i przyglądali się przez luki temu straszemu korsarzowi, który był niegdyś kornwalijskim szlachcicem, a potem stał się renegatem, muzułmaninem i postrachem chrześcijańskiego świata.

Bogiem a prawdą trudno było domyślić się w nim dawnego szlachcica, gdy tak siedział w kaftanie ze srebrnej lamy²²² założonym na białą tunikę i w turbanie owiniętym dokoła stalowego spiczastego hełmu. Niedbale bujał brązowymi muskularnymi nogami, obnażonymi od kolan do kostek. Z wyrazem niewzruszonego spokoju fatalisty na ciemnej sokolej twarzy o przenikliwych czarnych oczach i czarnej rozwidlonej brodzie oczekiwał śmierci, wprawiając tym w zdumienie marynarzy, którzy zgromadzili się, by z niego szydzić i drwić.

Choć drażniła go zwłoka, nie dał tego po sobie poznać. Zuchwałe oczy rozglądały się dokoła, szukając Rozamundy, którą pragnął raz jeszcze ujrzyć przed śmiercią.

Lecz Rozamundy nie było nigdzie widać. Od godziny już bowiem przebywała w kajucie i jej też Oliver zawdzięczał tę zwłokę.

XXIV. SĘDZIOWIE

Ponieważ na okręcie nie było ani jednej kobiety, która by się zaopiekowała Rozamundą, obowiązek ten wzięli na siebie do spółki lord Henryk, sir John i pan Tobiasz, chirurg okrętowy. Wywiązywali się z niego, jak umieli, gdy odrętwiała i na pół przytomną dziewczynę wniesiono na pokład „Srebrnej Czapli”.

Pan Tobiasz zaaplikował jej swoje prymitywne środki orzeźwiające — bo tylko takimi rozporządzał — i ulokowawszy ją możliwie najwygodniej na posłaniu w obszernej tylnej kajucie, orzekł, że przede wszystkim potrzeba jej spokoju i wypoczynku. Porucił ją opiece komendanta i namiestnika królowej, sam zaś udał się na dół, dokąd go wzywała sprawa o wiele poważniejsza, wymagająca jego kunsztu lekarskiego. Leżał tam mianowicie Lionel Tressilian, którego wraz z czterema innymi rannymi z załogi „Srebrnej Czapli” przyniesiono z korsarskiego statku w stanie nieprzytomnym.

Nad ranem sir John zszedł tam zobaczyć, co się dzieje z jego przyjacielem. Zastał chirurga klęczącego nad Lionelem. Gdy wszedł, pan Tobiasz odwrócił się, by umyć ręce w stojącej na podłodze metalowej miednicy, i powstał właśnie, wycierając je dokładnie.

— Niestety, nic więcej zrobić nie mogę — szepnął głosem, w którym nie było ani cienia nadziei. — To już koniec.

— Umrze?! — krzyknął sir John przerażony.

Chirurg odsunął na bok miednicę i zaczął powoli odwijać zakasane rękawy czarnego kaftana.

— I to wkrótce. Dziwne, że w tak podziurawionym ciele może tlić się choć isierka życia. Ma krwotok wewnętrzny, a puls coraz słabszy. Będzie słabł coraz bardziej, aż wreszcie życie z niego ujdzie. Właściwie już go można uważać za zmarłego, sir Johnie — zrobił

²²²lama — tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami. [przypis edytorski]

pauzę. — To łagodna, bezbolesna śmierć — dodał i westchnął zawodowo, przybierając swą bladą ogoloną twarz w wyraz stosownej powagi, choć podobne sceny nie były dla niego pierwszszą. — Z tamtych czterech — ciągnął dalej — Blair nie żyje, pozostali trzej się wyliżą.

Ale sir Johna tamci czterej mało teraz obchodzili. Oszłomienie niespodziewaną wiadomością i utrata wszelkiej nadziei wykluczały w tej chwili myśl o czymkolwiek innym.

— I nawet nie odzyska już przytomności? — dopytywał się natarczywie, z góry znając odpowiedź.

— Jak powiedziałem, może go pan uważać za zmarłego, sir Johnie. Moja wiedza na nic się już w tym wypadku nie zda.

Sir John zwiesił głowę.

— Ani wymiar sprawiedliwości — dodał ponuro. — Choć go pomszczę, nie odzyskam przez to przyjaciela — spojrzał na swego lekarza. — Zemsta, mój drogi, to kpina, to oszukiwanie samego siebie.

— Pańskim zadaniem, sir Johnie — odparł chirurg — jest nie zemsta, lecz wymiar sprawiedliwości.

— To frazes — podszedł do Lionela i pochylił się nad bladą, przystojną twarzą, na którą padł już cień śmierci.

— Żeby choć tylko mógł przemówić, by złożyć zeznanie wobec sądu, który się za chwilę odbędzie! Żebyśmy tylko mieli dowód w postaci jego własnych słów, które by usprawiedliwiły powieszenie Olivera Tressiliana!

— Właściwie — wtrącił chirurg — to zeznanie jest zbędne. Słowa panny Rozamundy wystarczą, jeżeli w ogóle potrzeba nam jakichkolwiek zeznań.

— Tak! Jego występki wobec Boga i ludzi są aż nadto dobrze znane i upoważniają mnie do tego, by potraktować sprawę w trybie doraźnym.

Zapukano do drzwi i wszedł służący sir Johna, oznajmiając, że panna Rozamunda niezwłocznie chce się z nim widzieć.

— Nie może się biedactwo doczekać wiadomości o narzeczonym — rzekł sir John i westchnął. — Mój Boże! Jak ja jej to powiem? W chwili odzyskania wolności muszę ją załamać taką straszną wieścią! Czy ironia losu była kiedy bardziej okrutna?

Odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył ku drzwiom. Nagle przystanął.

— Pan zostanie przy nim aż do końca... — poprosił.

Pan Tobiasz skinął głową.

— Naturalnie, sir Johnie. To już zresztą nie potrwa długo.

Sir John spojrzał jeszcze raz na Lionela, żegnając go na zawsze.

— Niech odpoczywa w pokoju wiecznym! — rzekł zgnębiony i wyszedł.

Na śródokręciu znów się zatrzymał i grupie bezczynnie wałęsających się marynarzy rozkazał przerzucić linę przez reję i sprowadzić renegeta Olivera Tressiliana. Po czym ciężkim krokiem i z jeszcze cięższym sercem skierował się ku rufie.

Słońce weszło w obręcz z mgły i oświeciło morze, którego powierzchnię marszczył lekko świeży, pomyślny wiatr poranny, wydymający wszystkie żagle. Daleko po lewej stronie znaczyła się niewyraźna linia wybrzeża.

Blada twarz sir Johna była niezwykle poważna, gdy wszedł do kajuty, w której oczekiwała go Rozamunda. Skłonił się przed nią uroczyście, zdjął kapelusz i położył go na stolku. Ostatnie pięć lat przetkało jego czarne włosy białymi nićmi, szczególnie na skroniach, co w połączeniu z głębokimi bruzdami na czole i w kątach oczu czyniło go starszym, niż był w rzeczywistości.

Przybliżył się do dziewczyny, która powstała na jego przywitanie.

— Droga Rozamundo! — rzekł serdecznie i ujął obie jej ręce. Smutnym wzrokiem patrzył na jej bladą, niespokojną twarz. — Czyś dostatecznie wypoczęła, moje dziecko?

— Wypoczęła? — powtórzyła zdziwiona, że może ją o coś takiego pytać.

— Biedactwo, biedactwo! — szeptał jak matka, przyciągając ją do siebie i głaszcząc jasną, złotą głowę. — Będziemy pod pełnymi żaglami spieszyć do Anglii. Bądź dobrej myśli, a...

Ale Rozamunda przerwała mu gwałtownie, odsuwając się od niego. Ogarnął go niepokój, przewidywał bowiem, o co go chce zapytać.

Słońce, Morze, Wiatr

— Słyszałam, jak właśnie mówił jakiś marynarz, że masz zamiar powiesić sir Olivera jeszcze dziś rano.

Sir John zupełnie źle ją zrozumiał.

— Bądź spokojna — rzekł. — Wymiar sprawiedliwości będzie szybki, a zemsta pewna. Reja i lina, na której zawiśnie, są już gotowe.

Rozamunda westchnęła ciężko i przycisnęła ręce do piersi, by stłumić szaloną zawieruchę uczuć.

— A na jakiej podstawie — zapytała ostro, patrząc mu w oczy — zamierza pan to zrobić?

— Na jakiej podstawie? — wyjąkał. Wpatrzył się w nią i zmarszczył brwi, uderzony i pytaniem, i tonem. — Na jakiej podstawie? — powtórzył ogłupiały.

Przyjrzawszy się dokładniej, dostrzegł dziki wyraz jej oczu; zaczęło mu coś świtać, zaczął pojmnąć jej zachowanie, którego w pierwszej chwili nie mógł sobie wyjaśnić.

— Rozumiem — rzekł tonem głębokiego współczucia, gdyż doszedł do przekonania, że jej władze umysłowe po przebytych okropnościach pozostawiały wiele do życzenia. — Musisz odpocząć — rzekł łagodnie — i nie myśleć o tych sprawach. Zostaw to mnie i bądź pewna, że cię pomszczę, jak należy.

— Sir Johnie, źle mnie pan rozumie. Nie pragnę, żeby pan się za mnie mścił. Pytam tylko, na jakiej podstawie zamierza pan to zrobić, lecz mi pan nie odpowiedział.

Ośłupienie sir Johna rosło, otwierał oczy coraz szerzej. A więc pomylił się. Była zupełnie przytomna. A jednak zamiast dowiadywać się o Lionela, czego się tak obawiał, powtarzała to przedziwne pytanie, na jakiej podstawie chce powiesić jeńca.

— Czy mam ci tłumaczyć, jakie zbrodnie popełnił ten łajdak?

— Musi mi pan wytłumaczyć — odpowiedziała — jakim prawem występuje pan jako jego sędzia i kat, jakim prawem bez przewodu sądowego skazuje go pan na śmierć?

— Ależ, Rozamundo — mówił urywanym głosem, nie posiadając się ze zdumienia — po tobie, przeciw której tak bardzo zawinił, najmniej bym się takiego pytania spodziewał! Mam zamiar postąpić z nim tak, jak prawa obowiązujące na morzu każą postępować z takimi łotrami. Litujesz się nad nim, czego, jak mi Bóg miły, pojąć nie jestem w stanie, ale co jest największą łaską, jakiej on się może spodziewać.

— Mówi pan o litości i zemście jednym tchem — odparła spokojnie. Wzburzenie ustąpiło miejsca chłodnej stanowczości.

Wykonał ruch zniecierpliwienia.

— Jakież sens miałyby wlec go do Anglii? — spytał. — Tam musiałby stanąć przed trybunałem, którego wyrok jest z góry przesądzony. Byłoby to tylko niepotrzebne męczenie go.

— Może wyrok nie jest tak z góry przesądzony, jak pan przypuszcza — odparła — a przewód sądowy jest jego prawem.

Wytracony zupełnie z równowagi sir John skierował się do wyjścia. Było niedorzecznością stać tu i spierać się z Rozamundą wbrew zdrowemu rozsądkowi.

— Jeżeli on się na to prawo powoła, nie odmówimy mu — oświadczył, uważając to za najlepszy sposób udobruchania jej. — Zawieziemy go do Anglii, jeżeli będzie chciał. Niech tam odpowiada przed sądem. Ale Oliver Tressilian zdaje sobie chyba sprawę, na co się naraża takim żądaniem — podszedł do niej i wyciągnął ręce. — Droga Rozamundo! Jesteś rozstrojona, jesteś...

— Jestem naprawdę rozstrojona, sir Johnie — odparła i ujęła wyciągnięte ręce. — Och, proszę mieć litość! — zawołała, uderzając w ton prośby. — Błagam pana o litość!

— A w czym mam ci litość okazać, dziecko drogie? Powiedz tylko, a...

— Nie błagam o litość dla siebie, lecz dla niego!

— Dla niego? — zawołał, marszcząc się.

— Dla Olivera Tressiliana.

Opuścił ręce i cofnął się.

— Święty Boże! Prosisz o litość dla niego, dla tego renegata, dla tego diabła wcielnego? Oszalałaś chyba! — wybuchnął. — Oszalałaś! — odskoczył od niej, wymachując rękami.

— Kocham go — oświadczyła po prostu.

Odpowiedź ta padła jak cios, pod którego uderzeniem znieruchomiał i patrzył na nią błędnie z otwartymi ustami.

— Kochasz go! — ledwo wykrztusił. — Kochasz go! Kochasz człowieka, który jest korsarzem, renegatem, który porwał ciebie i Lionela, który zamordował twego brata!

— On tego nie zrobił — zaprzeczyła energicznie. — Wiem teraz dokładnie, jak było.

— Od niego samego zapewne? — rzekł sir John, nie mogąc opanować ironii. — I tyś mu uwierzyła?

— Gdybym mu nie uwierzyła, nie byłabym została jego żoną.

— Jego żoną?!

Przeżalenie sir Johna było tak wielkie, że wzięło nawet górę nad zdumieniem. Czy nie będzie końca tym odkryciom, od których w głowie mu się mąciło? Czy to już najgorsze, czy jeszcze coś go czekało?

— Tyś wyszła za mąż za tego pozbawionego czci łotra? — zapytał głosem pozbawionym wyrazu.

— Tak, w Algierze, w nocy, zaraz po wylądowaniu.

Wytrzeszczył oczy i stał bez ruchu dobre kilkanaście sekund. Naraz wybuchnął gwałtownie.

— Dosyć! — ryknął, wymachując pięściami tak, że aż się uderzył o niski strop kajuty. — Dosyć tego! Gdyby nawet nie było innych racji, by go powiesić, ta jedna aż nadto wystarczy. Przygotuj się na to, że ten niegodny związek małżeński w najbliższej godzinie przestanie istnieć.

— Ach, gdyby pan chciał mnie wysłuchać! — błagała.

— Wysłuchać ciebie?

Stanął w drzwiach, gotów w każdej chwili wydać rozkazy, które by położyły kres temu wszystkiemu, gotów wezwać Olivera Tressiliana, by mu oznajmić wyrok i przypilnować jego wykonania.

— Wysłuchać ciebie? — powtórzył głosem, który dławiała wściekłość i oburzenie — słuchałem już więcej, niż potrzeba!

Taka już była natura Killigrewów, jak nas zapewnia lord Henryk Goade, który w tym miejscu czyni dygresję, by opowiedzieć historię kilku rodzin, wplecionych w kronikę. „Byli oni — mówi — uczciwi, lecz gwałtowni i apodyktyczni, a ich sądy odznaczały się pochopnością i powierzchownością”.

Stosunek sir Johna do Tressilianów, a zwłaszcza jego stanowisko w obecnej sprawie, zdaje się usprawiedliwiać opinię lorda Henryka. Było tu wszak wiele kwestii, które człowiek rozsądny zapragnąłby zbadać, a których rycerz z Arwenack nawet nie dostrzegał.

Teraz też zatrzymało go już na progu kajuty i odwlokło wykonanie postanowienia nie co innego, jak czysta ciekawość, do jakich to wybryków jeszcze Rozamunda się posunie.

— Ten człowiek cierpiał — mówiła niezbita z tropu szyderczym śmiechem, jakim przyjął jej relację. — Bogu jednemu wiadomo, ile cierpiał fizycznie i moralnie za winy, których nie popełnił. Większość tych cierpień spowodowała ja sama. Wiem dzisiaj, że nie on zabił Piotra. Wiem, że gdyby nie moja zawziętość, byłby dowiódł swej niewinności bez niczyjej pomocy. Wiem, że został porwany, wywieziony, zanim mógł się oczyścić z zarzutu, i że wskutek tego nie pozostało mu nic innego, jak zostać renegatem. Moja wina była największa. I ja muszę mu pomóc. Oszczędźcie go przez wzgląd na mnie! Jeżeli mnie kochasz...

Lecz sir John miał już dosyć. Jego biała twarz poczerwieniała.

— Ani słowa więcej! — ofuknął ją. — Właśnie dlatego, że cię kocham i lituję się nad tobą z całego serca, nie chcę więcej nic słyszeć. Widzę, że muszę cię ratować nie tylko przed tym łotrem, ale i przed tobą samą. Sprzeniewierzyłbym się obowiązkom, jakie mam wobec ciebie, sprzeniewierzyłbym się twemu nieboszczykowi ojcu i zamordowanemu bratu. W przyszłości będziesz mi dziękować za to, Rozamundo.

— Dziękować panu?! — zawołała przeraźliwym głosem. — Będę pana przeklinać! Całe moje życie będę pana nienawidzić i czuć do pana wstręt. Będę się wzdrygać na widok mordercy! Co za głupiec! Czy pan tego nie dostrzega?

Słowa te smagały go jak bicz. Nikt jeszcze dotąd nie ośmielił się sir Johnowi, człowiekowi wysokiej pozycji społecznej, gorącego temperamentu, a jednocześnie znacznej

fortuny rzucić w twarz tak odważnych słów. Rozamunda zapewne nie była pierwsza, która uznała sir Johna za głupca, niewątpliwie jednak nikt przed nią nie odważył się wyznać mu tego w oczy i gdy powszechnie potraktowano by to za przejaw zdrowego rozsądku, dla sir Johna zachowanie Rozamundy było jedynie dowodem jej niemocy umysłowej.

— Fe! — zawołał gniewnie, a jednocześnie z politowaniem. — Oszalałaś, dziewczyno! Postradałaś zmysły! Ten diabeł wcielony stał się nagle niewinną ofiarą, a ja mordercą, mordercą i głupcem. Kiedyś, gdy wypoczniesz, gdy przyjdiesz całkiem do siebie, z pewnością ujrzysz te rzeczy w innym świetle.

Dygocąc z oburzenia, znowu skierował się do wyjścia. Ledwo jednak zdołał odskoczyć w bok, gdy drzwi zostały gwałtownie pchnięte z zewnątrz. Ukazała się w nich sylwetka lorda Henryka, oświetlona od tyłu jaskrawym światłem poranka. Stał ubrany — jak sam opowiada — na czarno, ze złotym łańcuchem na piersiach, który miał symbolizować jego funkcję. Jego dobronasza zwykle twarz nosiła znamię powagi, jako dopełnienie czarnego urzędowego stroju. Wzrok jego jednak złagodniał, gdy padł na Rozamundę, stojącą u drugiego końca stołu.

„Uradowałem się wielce — pisze — zastawszy ją w dobrym zdrowiu i w pełni sił żywotnych, czemu dałem wyraz”.

— Zdrowiej byłoby dla niej — parsknął sir John, z wypiekami na białych policzkach — gdyby została w łóżku. Zupełnie straciła zmysły.

— Sir John myli się, milordzie²²³ — zapewniła go zupełnie zrównoważonym głosem — daleko mi do tego, o czym on mówi.

— To mnie cieszy, kochanie — rzekł jego lordowska mość.

Można sobie wyobrazić, z jakim zdziwieniem przyglądał się im obojgu na przemian, spostrzegając wyraźne objawy wzburzenia na twarzy sir Johna i nie wiedząc, co zaszło.

— Być może — dodał urzędowym głosem — że będziemy potrzebowali świadectwa pani w sprawie, która za chwilę ma się odbyć.

Spojrzał na sir Johna.

— Kazałem przyprowadzić więźnia na przesłuchanie i wydanie wyroku. Może wolałyby pani w tej scenie nie uczestniczyć?

— Przeciwnie. Bardzo chętnie — odparła pośpiesznie i uniosła wysoko głowę z miną kogoś, kto chce zaczerpnąć sił do przebycia ciężkiej próby.

— Nie, nie — zaprotestował sir John energicznie. — Nie zważaj na nią, Henryku. Ona...

— Wobec tego — przerwała — że główne zarzuty przeciwko więźniowi dotyczą jego... jego postępowania ze mną, należałoby przesłuchać przede wszystkim mnie.

— Tak jest, niewątpliwie — przyznał lord Henryk, cokolwiek zaskoczony, jak sam przyznaje — ale pod warunkiem, że nie rozstroi to pani zbytnio, że stan pani zdrowia na to zezwoli. Moglibyśmy ewentualnie zwolnić panią od zeznań.

— Myli się pan, milordzie — odpowiedziała — nie możecie mnie od tego zwolnić.

— Niech i tak będzie — rzekł sir John ze złością, zajmując miejsce przy stole.

Lord Henryk obrzucił Rozamundę badawczym spojrzeniem i zagłębił palce w swej krótkiej, bujnej, popielatej brodzie, następnie zaś podszedł do drzwi:

— Proszę wejść, panowie — rzekł — i proszę kazać przyprowadzić więźnia.

Na pokładzie ozwał się odgłos kroków i weszło trzech oficerów sir Johna, by uzupełnić skład trybunału, który miał wydać wyrok na korsarza i renegata, wyrok z góry już przesądzony.

XXV. OBROŃCA

Przysunięto krzesła do długiego, masywnego, dębowego stołu i oficerowie usiedli twarzą do wejścia i padającego przez nie słonecznego blasku, a tyłem do drugich drzwi i rogowych okien, wychodzących na tylną galerię. Pośrodku, jako namiestnik królewski, usiadł lord Henryk Goade. Teraz dopiero symbol w postaci łańcucha znalazł pełne usprawiedliwienie: lord Henryk miał przewodniczyć tej ostatecznej rozprawie sądowej. Po prawej jego stronie

²²³*milord* — tytuł grzecznościowy używany przy zwracaniu się do lordów angielskich, z ang. *my lord*: mój lordzie. [przypis edytorski]

zasiadł sir John Killigrew, a obok niego oficer Youldon. Dwaj inni, których nazwiska nie przeszły do potomności, usadowili się po lewej ręce jego lordowskiej mości.

Krzesło Rozamundy umieszczono nieco z boku, oddzielając ją w ten sposób od trybunału. Usiadła, oparłszy łokcie o kant stołu, i położyła głowę na splecionych dłoniach, przyglądając się badawczo tym pięciu ludziom, którzy stanowili skład sądu.

Na zewnątrz rozległy się kroki i na oświetloną przestrzeń za otwartymi drzwiami padł cień. Ze śródkręcia doleciał gwar głosów i śmiechy. W drzwiach stanął sir Oliver, strzeżony przez dwóch marynarzy w pancerzach, hełmach i z dobytymi mieczami.

Stał chwilę na progu, a jego powieki drgnęły, jakby na widok Rozamundy doznał szoku. Następnie, popchnięty przez strażników wszedł, z rękoma skrępowanymi do tyłu, i stanąwszy nieco przed żołnierzami, skłonił się niedbale.

— Dzień dobry panom — rzekł spokojnie.

Cała piątka podniosła na niego oczy i odpowiedziała mu milczeniem. Szczególnie wymowne było spojrzenie lorda Henryka, gdy spoczęło na muzułmańskim stroju korsarza — pełne pogardy, jak sam powiada, która przepelniała jego serce.

Po dłuższej pauzie przemówił sir John:

— Zapewne domyśla się pan, w jakim celu kazaliśmy go tu sprowadzić.

— Niezupełnie — odrzekł jeniec. — Jakkolwiek nie ulega dla mnie wątpliwości, w jakim celu zostaną stąd wyprowadzony. Jednak — mówił dalej chłodno, ironicznie — domyślam się z waszych sędziowskich min, że macie zamiar odegrać zupełnie zbyteczną komedię. Jeżeli wam to sprawia przyjemność, nie mam nic przeciwko temu. Pozwolę sobie tylko zauważyć, że powinniście byli oszczędzić pannie Rozamundzie przykrości uczestniczenia w tej zabawie.

— Panna Rozamunda sama chciała być przy tym obecna — odpowiedział sir John opryskliwie.

— Boże — odparł Oliver — nie zdaje sobie sprawy...

— Dokładnie ją w tym względzie objaśniłem — przerwał sir John karcącym tonem.

Więzień spojrzał na nią zdziwiony spod przymkniętych powiek. Następnie, wzruszając ramionami, zwrócił się do sędziów.

— W takim razie — rzekł — nie mam nic do powiedzenia. Lecz zanim pójdziecie, panowie, dalej, jest tu jeszcze jedna sprawa wymagająca wyjaśnień: Warunkiem mojego oddania się w wasze ręce była klauzula, że nikomu innemu nic złego się nie stanie. Przypomina pan sobie, sir Johnie, że dał mi pan na to rycerskie słowo? Tymczasem odnajduję tu człowieka, który był przedtem na moim statku, dawniejszego angielskiego kapitana Jaspera Leigha, uwięzionego przez was.

— On zabił Lionela Tressiliana — odparł sir John zimno.

— Być może, lecz stało się to przed zawarciem naszego układu, a łamać warunki porozumienia, to znaczy wystawić na szwank własny honor.

— I pan śmie prawić o honorze? — wtrącił lord Henryk.

— O honorze sir Johna, milordzie — odparł więzień z ironiczną uniżonością.

— Znalazł się pan tu, by usłyszeć swój wyrok — przypomniał mu sir John.

— Tak przypuszczałem. Ale przecież za prawo sądenia mnie zgodziliście się zapłacić pewną cenę, z której, zdaje mi się, chcecie coś niecoś uszczknąć. Zdaje mi się, jeszcze raz powtarzam. Bo nie wyobrażam sobie, by tamtego człowieka zatrzymano z waszą wiedzą. Dlatego chciałem po prostu dopełnić tej formalności, zwracając na to uwagę panów.

Sir John porozumiał się wzrokiem z pozostałymi. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jego honor wymagał uwolnienia Jaspera Leigha bez względu na to, co zrobił. Zresztą rzeczywiście o jego zatrzymaniu Killigrew dowiedział się dopiero po fakcie.

— Co mam z nim zrobić? — burknął zły.

— O tym pan sam musi postanowić. Ja mogę tylko powiedzieć, czego pan nie może z nim zrobić. Nie może go pan zatrzymać w charakterze więźnia, nie może go pan zabrać do Anglii ani też nie może mu pan wyrządzić żadnej krzywdy. Ponieważ, jak się domyślam, zatrzymanie to było pomyłką, musi pan więc w miarę możliwości tę pomyłkę naprawić. Mnie wystarczy świadomość, że tak się stanie, i nie mam więcej nic do powiedzenia. A teraz jestem do waszych usług, panowie — dodał, dając im do zrozumienia, że mogą przystąpić do jej sprawy.

Nastąpiła krótka pauza, po której przemówił lord Henryk, z tajemniczym obliczem i zimnym spojrzeniem.

— Kazaliśmy tu pana sprowadzić, by dać mu sposobność przytoczenia jakichś przekonywających argumentów, które by przemawiały przeciw powieszeniu pana, do czego mamy wszelkie prawo.

Sir Oliver spojrzał na niego niemal z humorem.

— Dalibóg — rzekł — nie było nigdy moim zwyczajem tracić słów na próżno.

— Sądzę, że nie zrozumiał mnie pan należycie — odpowiedział lord, a głos jego zabrzmiał łagodnie, aksamitnie, jak tego wymagała jego sędziowska funkcja. — Gdyby pan zażądał formalnego sądu, musielibyśmy zawieźć pana do Anglii, by tam życzeniu pańskiemu uczynić zadość.

— Nie radzę jednak mieć wielkich złudzeń — wtrącił brutalnie sir John. — Zwracam pańską uwagę, że zbrodnie, za które ma pan odpowiadać, zostały popełnione głównie w Kornwalii, a więc w obrębie jurysdykcji lorda Henryka, który ma zaszczyt być namiestnikiem królowej i najwyższą władzą sądowniczą na tym terenie.

— Jej Królewskiej Mości należy pogratulować — odpowiedział Oliver z kurtuazją.

— Od pańskiego wyboru zależy — mówił dalej sir John — czy zostanie pan powieszony na morzu, czy na lądzie.

— Jedynym moim życzeniem byłoby nie zostać powieszonym w powietrzu, ale wątpię, czy panowie zechcą się do tego zastosować — zażartował.

Lord Henryk pochylił się naprzód:

— Proszę pana w jego własnym interesie zachowywać się poważnie! — upomniał jeńca.

— To niebywała szansa dla mnie, milordzie. Bo skoro mam odpowiadać za korsarstwo, to trudno o bardziej kompetentnego sędziego w tych sprawach, czy dotyczyć one będą lądu, czy morza, niż sir John Killigrew.

— Rad jestem, że zasłużyłem na pańskie uznanie — odparł sir John cierpko. — Korsarstwo zresztą — dodał — jest jednym z najmniejszych pańskich przewinień.

Sir Oliver uniósł brwi i obrzucił sędziowskie uroczyste twarze bystrym spojrzeniem.

— Wobec tego pozostałe zarzuty muszą być bardzo poważne, w przeciwnym bowiem razie, jeżeli macie poczucie sprawiedliwości, zawiedlibyście się w swych nadziejach ujrzenia mnie na stryczku. Proszę więc, panowie, przystąpcie do tych „pozostałych zarzutów”. Zaczyna mnie to interesować bardziej, niż myślałem.

— Czy może się pan wyprzec korsarstwa? — spytał lord Henryk.

— Wyprzec się? Nie! Ale odmawiam prawa sądenia mnie za korsarstwo wam i w ogóle jakimkolwiek angielskiemu trybunałowi, bo nie dopuściłem się korsarstwa na wodach angielskich.

Lord Henryk przyznaje, że ta odpowiedź, zupełnie nieoczekiwana, zaskoczyła go i zamknęła mu usta. To, na co się więzień powołał, było tak oczywiste, że trudno wprost zrozumieć, jak jego lordowska mość mógł coś podobnego przeoczyć. Należy przypuszczać, że mimo sędziowskiej godności, którą piastował, nie odznaczał się wielką biegłością w prawie. Lecz sir John, jeszcze mniej biegły w tej materii czy może mniejszy skrupulant, miał gotową odpowiedź.

— Czy nie zjawił się pan w Arwenack, by przemocą porwać stamtąd...

— Ależ, proszę pana — przerwał mu pogodnie korsarz. — Racz pan wrócić do szkoły, by poznać różnicę między porwaniem a korsarstwem.

— Dobrze, nazwijmy to więc porwaniem, jeżeli pan woli — zgodził się sir John.

— Nie, nie jeżeli ja wolę. Musimy to nazwać po imieniu, jeżeli panowie nie macie nic przeciwko temu.

— Pan sobie z nas żartuje, ale wkrótce znajdziemy sposób i na to! — rzekł sir John zaperzony i wyrzucił pięścią w stół. (Lord Henryk ubolewa, i całkiem słusznie, że w takiej sytuacji okazał tak mało panowania nad sobą). — Chyba pan dobrze wie, że porwanie karze się według angielskich praw śmiercią. — Tu zwrócił się do reszty sędziów: — Jeśli się więc panowie zgadzają, nie będziemy mówili o korsarstwie.

— Tak jest — oświadczył lord Henryk pełnym dostojeństwa tonem — nie możemy, jeżeli chcemy być sprawiedliwi. Nie mamy uprawnień w tym względzie, albowiem nie

Żart

dopuścił się korsarstwa ani na angielskich wodach, ani też, o ile nam wiadomo, przeciw żadnemu okrętowi pływającemu pod angielską banderą.

Rozamunda poruszyła się. Powolnym ruchem zdjęła łokcie ze stołu, splótła dłonie i oparła je o krawędź. Z błyskiem w oku i rumieńcem na twarzy przysłuchiwała się uważnie sprawie, rada z ustępstw lorda Henryka, umniejszających w znacznej mierze zarzuty przeciw oskarżonemu.

Sir Oliver przyglądał się jej ukradkiem, na próżno starając się odgadnąć, jakie wobec niego zajmuje stanowisko teraz, gdy jest bezpieczna między przyjaciółmi i opiekunami.

Lecz sir John zmierzał wyraźnie do jak najszybszego wymierzenia kary.

— Niech więc tak będzie — rzekł zniecierpliwiony. — Odpowiada pan za porwanie i morderstwo. Czy ma pan coś do powiedzenia?

— Nic takiego, do czego by pan przywiązywał jakąkolwiek wagę — odpowiedział Oliver, który porzucając wreszcie swobodny ton, wybuchnął gwałtownie: — Proszę zakończyć tę komedię — zawołał — tę parodię sądowego postępowania! Powieście mnie albo wrzucicie do morza, niech temu już raz będzie koniec. Bawcie się w korsarzy, bo na tym rzemiośle się znacie, ale na miłość boską, nie kompromitujcie królowej zabawą w sędziów.

— Ty beczelny łotrze...

Sir John zerwał się, czerwony jak rak.

Ale lord Henryk chwycił go za rękaw, sadzając energicznie na krześle, po czym zwrócił się do jeńca:

— Sir Oliverze, pańskie słowa niegodne są pana samego, który choć obarczony ciężkimi winami, zdobyłeś sobie sławę nieustraszonego, dzielnego wojownika. Pańskie czyny są nam dostatecznie znane, zwłaszcza zaś ten, który spowodował pańską ucieczkę z Anglii i chwycenie się korsarskiego rzemiosła. Znane nam jest również pańskie powtórne pojawienie się w Anglii i porwanie dwojga ludzi. Skutkiem tego ponad wszelką wątpliwość każdy sąd w Anglii może wydać na pana tylko jeden wyrok: wyrok śmierci. Mimo to, jak na początku zaznaczyłem, ma pan teraz możliwość obrony. Lecz — dodał, zniżając głos i starając się nadać mu jak najbardziej urzędowe brzmienie — gdybym był pańskim przyjacielem, sir Oliverze, radziłbym panu raczej zgodzić się na niniejszy sąd.

— Panowie — odpowiedział Oliver — nie kwestionowałem i nie kwestionuję waszego prawa do wymierzenia mi kary śmierci. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Ale ja mam!

Słowa te, wypowiedziane przez Rozamundę tonem ostrym, dobitnym, zelektryzowały wszystkich. Wszyscy też podnieśli na nią zdumione oczy. Stała wyprostowana, zmuszając wprost do posłuchu.

— Rozamundo! — zawołał sir John i zerwał się z miejsca. — Zaklinam cię...

Rozkazującym, wprost pogardliwym ruchem ręki nakazała mu milczenie.

— Ponieważ to ja właśnie padłam ofiarą porwania, które zarzucacie sir Oliverowi, należałoby wysłuchać, co ja mam w tej sprawie do powiedzenia przed sądem angielskim.

Sir John wzruszył ramionami i usiadł. Niech dziewczyna się wygada; był jednak zdania, że to tylko niepotrzebna strata czasu i przedłużanie cierpień skazańca.

Lord Henryk zwrócił się do niej z galanterią:

— Ponieważ jeniec się nie wypiera, a nadto nie żąda oficjalnego sądu, nie ma potrzeby trudzić pani, panno Rozamundo. Nie będzie też pani musiała składać żadnych zeznań przed sądem w Anglii.

— Myli się pan, milordzie — odpowiedziała spokojnie. — Będę musiała zeznawać, gdy oskarżę was wszystkich o morderstwo na pełnym morzu, a uczynię to, jeśli nie porzucicie swojego zamiaru.

— Rozamundo! — wykrzyknął Oliver w najwyższym zdumieniu i szczęściu.

Posłała mu uśmiech, pełen przyjaźni i otuchy, uśmiech, wobec którego groźba śmierci wydała mu się bez znaczenia. Następnie zwróciła się znowu do sędziów, wśród których słowa jej wywołały konsternację.

— Ponieważ on nie chce się zniżyć do tego, by zaprzeczyć waszym zarzutom, ja protestuję w jego imieniu. On mnie nie porwał, panowie, jak powszechnie się przypuszcza. Kocham Olivera Tressiliana. Jestem pełnoletnia, jestem panią swej woli i udałam się z nim dobrowolnie do Algieru, gdzie zostałam jego żoną.

Gdyby wrzuciła między nich bombę, nie byłaby wywołała większego zamieszania. Patrzyli na nią w osłupieniu, bąkając coś bezmyślnie.

— Jego... jego żoną? — wymamrotał lord Henryk. — Zostałaś jego...

Sir John wybuchnął.

— To kłamstwo! Kłamstwo zmierzające do tego, by ratować tego wyrzutka, tego łotra!

Rozamunda nachyliła się w jego stronę i uśmiechnęła złośliwie.

— Zawsze pan ciężko myślał, sir Johnie. Przecież to jasne, że gdyby się naprawdę dopuścił tych niegodziwości, które mu zarzucacie, nie miałabym najmniejszego powodu kłamać i ratować go. — Powiodła wzrokiem po zgromadzonych. — Przypuszczam, panowie, że w tej sprawie w każdym sądzie moje słowa zaważą więcej niż słowa sir Johna czy kogokolwiek innego.

— Tak, to prawda! — przyznał zbity z tropu Henryk. — Chwileczkę, Killigrew!

Znow musiał uspokajać porywczego sir Johna. Spojrzał na nie mniej zdziwionego Olivera.

— Co pan na to powie? — spytał.

— Cóż ja na to? — powtórzył oniemiały korsarz. — Cóż tu jest do powiedzenia? — rzekł wymijająco.

— To fałsz! — krzyczał sir John. — Byliśmy przecież świadkami zajścia, ja i ty, Henryku, i widzieliśmy...

— Wyście tylko widzieli — przerwała Rozamunda — ale nie wiedzieliście, że to było z góry ukartowane.

Zamknęła im usta. Byli na jakimś grzędzawisku, gdzie każdy wysilek, by stanąć pewną nogą, powoduje dalsze zapadanie się gruntu. Lecz sir John zaśmiał się szyderczo i odparował jej cios:

— Zapewne gotowa pani przysiąc, że jej narzeczony, pan Lionel Tressilian, z własnej woli towarzyszył jej w tej eskapadzie?

— Nie — odpowiedziała. — Co się tyczy Lionela, to on naprawdę został porwany, by ponieść karę za swoje grzechy, grzechy, które zrzucił na barki brata, a które są przedmiotem dalszych waszych zarzutów przeciwko Oliverowi.

— Co pani chciała przez to powiedzieć? — zapytał lord.

— To, że wersja, jakoby sir Oliver zabił mego brata, jest oszczerstwem, to, że mordercą był Lionel Tressilian, który dla ukrycia swej zbrodni ukartował porwanie Olivera i sprzedanie go na galery.

— Tego już za wiele! — ryknął sir John. — Ona drwi sobie z nas w żywe oczy, robi z czarnego białe, a z białego czarne, została urzeczona przez tego rozbójnika pogańskimi czarami, które...

— Zaczekaj! — przerwał mu lord Henryk. — Daj mi mówić.

Bardzo poważnie spojrzał jej w oczy.

— To... to bardzo ważne zeznanie, panno Rozamundo. Czy na to, co pani mówi, ma pani jakiś dowód, choćby cień dowodu?

Lecz sir John nie mógł usiedzieć spokojnie:

— To tylko podle łgarstwa, które on na niej wymógł. On ją urzekł, powtarzam, to jasne jak słońce.

Oliver roześmiał się szczerze, dając wyraz uczuciu radości i szczęścia, jakie go opanowało.

— Ja ją urzekłem? — powtórzył. — Wam nigdy nie zbraknie zarzutów przeciwko mnie. Najpierw było korsarstwo, potem porwanie i morderstwo, a teraz nawet czary!

— Proszę się na chwilę uspokoić! — zawołał lord Henryk, który sam przyznaje, że był dość poruszony. — Czy pani poważnie twierdzi, panno Rozamundo, że to Lionel Tressilian zamordował Piotra Godolphina?

— Czy poważnie? — powtórzyła z pogardliwym uśmiechem. — Nie tylko twierdzę, lecz przysięgam w obliczu Boga. Lionel zabił mego brata i Lionel rozgłosił, że to czyn Olivera. Rozniosła się wieść, że Oliver uciekł, by uniknąć kary, a i ja, z rumieńcem wstydu to wyznaję, uwierzyłam głosowi opinii publicznej. Ale odkąd dowiedziałam się prawdy...

— Prawdy, powiadasz, moja panno?! — krzyknął wybuchowy sir John głosem, w którym pasja szła o lepsze z szyderstwem. — Powiadasz, prawdy...

Znowu lord Henryk musiał interweniować.

— Bądź cierpliwy — upominał go. — Nie bój się, prawda musi wyjść na jaw.
— A tymczasem marnujemy czas — burknął sir John zły i umilkł.
— Czy mamy więc rozumieć — podsumował lord Henryk — że powodem zniknięcia jeńca z Penarrow była nie jego ucieczka, jak powszechnie mniemano, lecz porwanie go za sprawą brata?

— Tak było, klęę się na Boga — odpowiedziała Rozamunda, a w głosie tyle było wewnętrznego przekonania i szczerości, że niejeden z obecnych gotów był dać wiarę jej słowom. — Tym czynem morderca chciał się nie tylko zabezpieczyć przed zdemaskowaniem, lecz także, dopełniając miary swej podłości, pościć dziedzictwo Tressilianów. Sir Oliver miał być sprzedany muzułmanom w niewolę. Tymczasem statek, na którym płynął, został zajęty przez Hiszpanów i inkwizycja wysłała go na galery. Gdy zaś z kolei galera została zdobyta przez muzułmańskich korsarzy, miał przed sobą jedną tylko drogę: został korsarzem, wodzem korsarzy, a potem...

— Co potem zrobił, wiemy — przerwał jej lord Henryk. — I zapewniam panią, że nie zaważy to tak bardzo ani w naszych oczach, ani w oczach jakiegokolwiek sądu, jeżeli tylko pani wyznanie jest prawdą.

— To prawda, przysięgam, milordzie!

— Tak — odparł, kiwając poważnie głową. — Ale czy może nam to pani udowodnić?

— A cóż może być lepszym dowodem niż to, że go kocham i że zostałam jego żoną?

— Ba! — odezwał się sir John.

— Dla nas, proszę pani — rzekł lord Henryk z kurtuazją — jest to tylko dowód, że pani uwierzyła w tę nieprawdopodobną historię. Ale to mało. Zapewne zna ją pani od samego Olivera Tressiliana?

— Tak, lecz Lionel sam tę historię potwierdził, przyznając się do winy.

— Jak śmiesz mówić takie rzeczy?! — zawołał sir John, przeszywając ją wściekłym spojrzeniem. — Wielki Boże! I ty możesz coś podobnego opowiadać!

— Mogę — odparła, oddając mu takie samo spojrzenie.

Lord Henryk oparł się o poręcz krzesła i skubał brodę. Jego czerstwa twarz powlokła się chmurą zamyślenia. Było w tej sprawie coś, czego nie mógł absolutnie pojąć.

— Panno Rozamundo — rzekł łagodnie — napominam panią, byś się zastanowiła nad doniosłością swoich słów. Oskarża pani bardzo ciężko człowieka, który nie jest już zdolny się bronić. Jeżeli pani historia zostanie uznana, to imię Lionela Tressiliana będzie na wieki okryte hańbą. Pytam panią raz jeszcze i nalegam usilnie, byś odpowiedziała zgodnie z sumieniem: czy Lionel Tressilian przyznał się do tego, o co go, jak pani mówiła, Oliver Tressilian oskarżał?

— Jeszcze raz przysięgam uroczyście, że to, co powiedziałam, jest prawdą, że Lionel uczynił wyznanie w mojej obecności, gdy sir Oliver oskarżył go o zabicie mego brata. Czy mogę mówić jeszcze wyraźniej?

Lord Henryk rozłożył ręce.

— Wobec tego, Killigrew, nasze zadanie się kończy. Musimy zawieźć sir Olivera do Anglii, gdzie stanie przed sądem.

Był wśród nich jednak pewien oficer, nazwiskiem Youldon, który odznaczał się dużą bystrością umysłu.

— Za pozwoleniem, milordzie — wtrącił, zwracając się do świadka. — W jakich okolicznościach sir Oliver zmusił swego brata do przyznania się?

Rozamunda odpowiedziała z ufnością:

— W swoim domu w Algierze, w nocy, gdy... — nagle urwała, dostrzegając pułapkę.

Inni również to zauważyli, a sir John zręcznie wykorzystał sytuację, tak chytrze przygotowaną przez Youldona.

— No, proszę dalej, proszę — zachęcał ją. — W nocy, gdy...

— W nocy, gdy tam przybyliśmy — odpowiedziała zrozpaczona, błędąc.

— I wtedy to oczywiście — mówił sir John powoli, złośliwie — po raz pierwszy usłyszałaś to wyjaśnienie z ust Olivera?

— Tak jest — wyjąkała z trudem.

— A zatem — nalegał sir John, zdecydowany nie dać jej szansy odzyskania zimnej krwi — aż do owej nocy byłaś oczywiście przekonana, że mordercą twego brata jest sir Oliver?

Zwiesiła głowę i umilkła. Zrozumiała, że prawda może ponieść klęskę, zaciemniona przez kłamstwo, które teraz wyszło na jaw.

— Odpowiadaj! — rozkazał sir John.

— Nie potrzeba odpowiedzi — rzekł lord Henryk zakłopotany, ze spuszczonej oczyma. — Tu możliwa jest jedna tylko odpowiedź. Panna Rozamunda powiedziała nam najpierw, że nie porwał jej przemocą, że poszła z nim dobrowolnie i poślubiła go; przytoczyła tę okoliczność jako dowód swego przeświadczenia o jego niewinności. A teraz okazuje się, że w czasie gdy opuszczała Anglię, uważała go jeszcze za zabójcę swego brata. I mimo to chce, byśmy uwierzyli, że on jej nie porwał — rozłożył ręce i wydał usta.

— Połóżmy już raz kres temu wszystkiemu! — zawołał sir John, zrywając się.

— Czekajcie! — krzyknęła Rozamunda. — Przysięgam, że wszystko, co wam powiedziałam, jest szczerą prawdą, wszystko prócz tego, przyznaję, co dotyczy porwania. Lecz ja mu to darowałam, dowiedziawszy się prawdy.

— Ona przyznaje! — sztychował sir John.

Ale Rozamunda mówiła dalej, nie zwracając na niego uwagi:

— Wiedząc, ile wycierpiał skutkiem fałszu innych ludzi, z radością uznaję go za męża i mam nadzieję, że choć w części naprawię zło, które mu wyrządziłam. Wiercie mi, panowie. A jeżeli nie chcecie mi wierzyć, to pytam was: czy to, co zrobił wczoraj, wcale się nie liczy? Czy nie zdajecie sobie sprawy, że tylko jemu zawdzięczacie wiadomość o mnie?

To był nowy problem. Znów wpatrywali się w nią ze zdumieniem.

— O czym pani mówi? Cóż on takiego zrobił, by nam dać znać o pani?

— Jeszcze się pytacie? Czy tak uwzięliście się, by go zgładzić ze świata, że udajecie, iż o niczym wam nie wiadomo? Wiecie chyba, że to on wysłał Lionela z wieścią o mnie?

Lord Henryk opowiada, że w tym miejscu nie mógł już utrzymać na wodzy swego oburzenia i wyrzucił dłoń w stół.

— Tego już za wiele! — krzyknął. — Dotąd wierzyłem w pani prawdomówność, choć byłem przekonany, że zostałaś wprowadzona w błąd. Ale takie rozmyślnie kłamstwo przechodzi już wszelkie granice. Co cię napadło, dziewczyno? Jak to! Przecież Lionel sam nam opowiadał, w jakich okolicznościach udało mu się umknąć z galery. Sam opowiadał, jak ten łotr go zabił, a potem wrzucił do morza, na śmierć!

— Ach! — syknął Oliver przez zaciśnięte zęby. — Poznaję Lionela! Pozostał podły aż do śmierci. Powinienem się był tego spodziewać.

Doprowadzona do ostateczności, Rozamunda powiedziała groźnie oczyma po obecnych i krzyknęła:

— Łgał ten nikczemny, zdradliwy pies!

— Panno, mówisz o człowieku, który jest już prawie na tamtym świecie — skarcił ją sir John.

— I to potępiony! — dodał Oliver. — Panowie, dowodzi to tylko waszego ograniczenia, skoro tę szlachetną dziewczynę pomawiacie o kłamstwo.

— Już dosyć się nasłuchaliśmy! — przerwał mu lord Henryk.

— To prawda — ryknął Oliver, w którym wezbrała wściekłość — ale usłyszycie jeszcze więcej! Prawda wyjdzie na wierzch, sami to powiedzieliście, musi wyjść na wierzch, jeżeli ten anioł tego żąda.

Twarz mu nabiegła krwią, oczy ciskały błyskawice. Przedtem stał tu drwiący i obojętny, gotów na śmierć, mając jedno tylko pragnienie, by nastąpiła jak najprędzej. Ale wtedy nie domyślał się nawet, że życie może jeszcze coś dla niego przedstawiać, wtedy uważał Rozamundę za straconą dla siebie na zawsze. Prawda, że ubiegłej nocy okazała mu pewną serdeczność, ale to mógł być tylko nastrój chwili. Lecz jego nadzieje wezbrały, gdy ujrzał, z jakim ogniem i rozpaczą walczy o jego życie, gdy usłyszał, jak serdecznie i otwarcie wyznaje, że go kocha i pragnie naprawić zło, jakie mu w przeszłości wyrządziła. To go wyrwało z apatii, wlało w niego ożywcze siły. Zerwał się do walki, kiedy zaczęli zarzucać jej kłamstwo, kiedy zaczęli z niej szydzić. Opanował go gniew, zmuszając do użycia jedynej broni, jaka mu pozostała, do wykorzystania dowodu, jaki sam Bóg sprawiedliwy w swoim miłosierdziu złożył w jego nieświadome dłonie.

— Teraz wierzę, panowie — rzekł — że ręka przeznaczenia kierowała sir Johnem ubiegłej nocy, gdy łamiąc warunki układu, zabrał jeńca z mojego statku. Tym człowiekiem jest, jak już poprzednio powiedziałem, były angielski marynarz, Jasper Leigh. Przed

kilkoma miesiącami dostał się na mój statek, przeszedłszy te same co ja koleje losu; był na galerach, z których został przeze mnie uwolniony. Okazałem mu wielkie miłosierdzie, bo to ten sam człowiek, którego przekupił Lionel, by mnie porwał i zaprzedał w niewolę. Dostał się do hiszpańskiego więzienia razem ze mną. Każcie go tu sprowadzić i zapytajcie.

Patrzyli na niego w milczeniu, zdumieni tylko zuchwałością, jaką dostrzegli w jego żądaniu.

Na koniec odezwał się lord Henryk.

— To rzecz bardzo ciekawa i bardzo podejrzana — rzekł ironicznie. — Ten sam człowiek tu na pokładzie, wzięty do niewoli całkiem przypadkowo...

— Nie, niezupełnie przypadkowo. Leigh nie ukrywał swojej nienawiści do Lionela, przez niego bowiem popadł w nieszczęście. Ostatniej nocy, gdy Lionel tak gwałtownie wtargnął na pokład galery, Jasper Leigh skorzystał ze sposobności, by wyrównać dawne porachunki, co zresztą było powodem, że został przez was zatrzymany.

— Choćby rzeczywiście tak się stało, to bardzo dziwny przypadek.

— Czasem muszą się nawet dziać cuda, jeżeli prawda ma wyjść na jaw — odpowiedział Oliver z dawną nutą kpiny w głosie. — Proszę go tu sprowadzić i przesłuchać. On nie wie, co tu zaszło. Byłoby szaleństwem przypuszczać, że został przygotowany na sytuację, której nikt nie był w stanie przewidzieć. Proszę więc go sprowadzić.

Na zewnątrz dały się słyszeć jakieś kroki, lecz nikt nie zwrócił na nie uwagi.

— Jestem zdania — rzekł sir John — że dosyć już tego naigrawania się z nas.

Nagle drzwi zostały pchnięte od zewnątrz gwałtownie i ukazała się w nich czarna postać chirurga.

— Sir Johnie! — zawołał zadyszany, przerywając bezceremonialnie sprawę i nie zważając wcale na surowe oblicze lorda Henryka. — Pan Lionel odzyskał przytomność. Wzywa pana i swego brata. Szybko, bo już kona!

XXVI. WYROK

Wszyscy udali się spieszenie za chirurgiem do kajuty na dole; pochód zamykał Oliver, eskortowany przez dwóch strażników. Stanęli wokół łóża Lionela, na którego twarz kładły się ołowiane cienie. Oddech konającego był świszczący, oczy powlokły się szklivem.

Sir John upadł przy nim na kolana, tuląc do piersi stygnące ciało.

— Lionelu! — zawołał głęboko wzruszony. I nagle, jak gdyby myśl o zemście mogła osłodzić ostatnie chwile przyjaciela, dodał: — Mamy tego łotra!

Powoli, z widocznym wysiłkiem, Lionel odwrócił głowę w prawo, a jego błędne spojrzenie szukało kogoś wśród zgromadzonych.

— Oliverze... — szepnął ochrypłym głosem. — Gdzie jest Oliver?

— Uspokój się... — zaczął sir John, lecz Lionel mu przerwał:

— Czekaj! — rzekł głośniejszym głosem. — Czy Oliverowi nic nie grozi?

— Jestem tu — rozległ się niski głos Olivera, a stojący między nimi rozstąpili się, by mu zrobić przejście.

Lionel patrzył na niego w milczeniu, unosząc się na łóżku. Potem opadł znowu na pierś sir Johna.

— Bóg był litościw mnie grzesznemu — rzekł — skoro daje mi możliwość naprawienia zła, przynajmniej w ostatniej chwili.

Potem znowu z trudem się uniósł, wyciągnął ręce do Olivera i rzekł błagalnym głosem:

— Noll! Bracie mój! Przebacz!

Oliver podszedł do niego z rękami związanymi na plecach. Stanął nad bratem ogromny, dotykając turbanem stropu niskiej kajuty, z twarzą poważną, chmurną.

— Cóż takiego mam ci przebaczyć? — zapytał.

Lionel męczył się chwilę, usiłując dobyć głosu, wreszcie opadł znów w ramiona przyjaciela, a na usta wystąpiła mu krwawa piana.

— Mów, na miłość boską, mów! — nalegała Rozamunda, pełna śmiertelnego niepokoju.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie obawiaj się — szepnął. — Będę mówił. Bóg mi dodał sił w ostatniej chwili. Killigrew, proszę cofnąć ręce, jestem najpodlejszym z ludzi. To... to ja zabiłem Piotra Godolphina.

— Wielki Boże! — jęknął sir John, a lord Henryk, oszołomiony niespodziewanym wyznaniem, gwałtownie westchnął.

— Ale nie tu była moja wina — ciągnął Lionel. — Nie tym obciążyłem swoje sumienie. Walczyliśmy i zabiłem go w obronie własnego życia. To był uczciwy pojedynek. Moje zbrodnie były dopiero następstwem tego. Gdy podejrzenie padło na Olivera, ja je podtrzymałem... Oliver wiedział, że to ja zrobiłem, ale milczał, aby mnie osłonić... Mimo to obawiałem się, że prawda wyjdzie na jaw... i... i zazdrościłem mu... i... kazałem go porwać, by został sprzedany...

Głos Lionela słabł, aż wreszcie ucichł. Wstrząsnął nim kaszel i czerwona piana obficie wystąpiła na usta. Ale znowu po chwili odzyskał spokój i leżał, dysząc ciężko i szarpiąc palcami przykrycie.

— Powiedz im — mówiła Rozamunda, która w rozpaczliwej walce o życie Olivera zachowała panowanie nad sobą — powiedz im, jak nazywał się człowiek, którego przepuściłeś, by go porwał.

— Jasper Leigh, kapitan statku „Jaskółka” — odparł Lionel.

Rozamunda obrzuciła lorda Henryka spojrzeniem, w którym malował się triumf. Lecz twarz dziewczyny była śmiertelnie blada, a wargi jej drżały.

Ponownie zwróciła się do umierającego, nieubłagana w swym postanowieniu wydobyć z niego wszystkiego do ostatniego szczegółu, zanim śmierć zamknie mu usta na zawsze.

— Powiedz im — nalegała — w jaki sposób wysłał cię Oliver ostatniej nocy do „Srebrnej Czapli”.

— Nie trzeba go już dłużej męczyć — wmieszał się lord Henryk. — Już dosyć powiedział. Niech Bóg nam, Killigrew, przebaczy nasze zaślepienie!

Sir John skinął głową w milczeniu.

— Czy to pan, sir Johnie? — pytał umierający ledwie dosłyszalnym głosem. — Jak to? Jeszcze przy mnie? Ha! — uśmiechnął się blado. — Odchodzę... — szeptał, a głos jego znów zyskał na sile, jakby stosując się do ostatniego nakazu gasnącej woli. — Noll! Odchodzę! Naprawiłem... co mogłem. Podaj mi... rękę! — wyciągnął dłoń, szukając ręki Olivera.

— Byłbym ci już dawno podał rękę, lecz jestem skrępowany! — krzyknął Oliver w ataku szału.

Wypreżył się, napiął swe mięśnie olbrzyma i przerwał krępujące go sznury, jakby były nitkami. Ujął wyciągniętą dłoń brata i padł przy nim na kolana.

— Lionelu... chłopcze drogi! — zawołał.

Wszystko, co się stało w ciągu ostatnich pięciu lat, przestało się liczyć. Głęboka nienawiść do brata, palące poczucie krzywdy, nieugaszone pragnienie zemsty, wszystko to w jednej chwili zostało zapomniane — więcej, przestało istnieć. Lionel był znowu owym słabym, droгим bratem, którego pieścił, osłaniał i strzegł, dla którego w krytycznej chwili poświęcił dobre imię, kochaną kobietę i całe swe życie.

— Lionelu, chłopcze drogi! — Tyle tylko zdołał w tej chwili powiedzieć. — Biedny! Pokusa była dla ciebie za wielka! — Ujął drugą rękę konającego.

Przez otwarte drzwi padł blask słońca i posuwał się w górę, ku twarzy konającego. Ale światło, które ją rozjaśniło, pochodziło z wewnątrz.

Lionel słabiutko oddał uścisk braterskich dłoni.

— Oliverze! Oliverze! — szeptał. — Nie ma drugiego takiego, jak ty! Wiedziałem zawsze, żeś uosobieniem szlachetności, tak samo jak wiedziałem, żeś jest nikczemny. Czy dosyć już powiedziałem, by ciebie ocalić? Powiedźcie, że mu się nic złego nie stanie — błagał — że nic...

— Będzie wolny — odpowiedział lord Henryk z godnością. — Moje słowo.

— To dobrze. Przeszłość już nieważna. Przyszłość należy do ciebie.

Życie z niego uciekało. Zrobił jeszcze jeden, ostatni wysiłek. Uśmiechnął się do swych myśli, które już pierzchały.

— Co to była za długa droga do przepłynięcia ostatniej nocy... najdłuższa w moim życiu. Z Penarrow do Trefusis... długa droga. Ale ty, Noll, byłeś ze mną. Choćby mi sił zbrakło, mogłem polegać na tobie. Jeszcze teraz czuję chłód, bo było zimno, zimno... och!

Wzdrygnął się i zgasł na wieki.

Sir John, wzruszony, pochylił się nad posłaniem, Rozamunda zakryła twarz, a Oliver klęczał, trzymając stygnące dłonie brata.

Zapadło długie milczenie. Wreszcie z ciężkim westchnieniem Oliver złożył ręce brata na piersi i wolno, ciężko wstał.

Dla innych był to znak do wyjścia. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy milczą przez wzgląd na Olivera. Lord Henryk zbliżył się bezszelestnie do Rozamundy i dotknął lekko jej ramienia. Powstała i wyszła za wszystkimi. W kajucie pozostał tylko lekarz.

Na pokładzie zatrzymali się w pełnym blasku słońca. Sir John stał z pochyloną głową, zgarbiony, z oczyma utkwionymi w ziemię. Nieomal lękliwie — rzecz niezwykła u tak zawsze pewnego siebie człowieka — spojrzał na Olivera.

— Był moim przyjacielem — rzekł z widocznym zakłopotaniem, jakby tłumacząc się i usprawiedliwiając — i... i miłość tak mnie zaślepiła.

— Był moim bratem — odpowiedział sir Oliver uroczystym głosem. — Niech odpoczywa w pokoju wiecznym!

Na bladej twarzy sir Johna odmalowało się nagłe postanowienie; był jednak przygotowany z godnością przyjąć odmowę, której się zresztą spodziewał.

— Czy szlachetność pańska sięgnęłaby aż tak daleko, by mi przebaczyć? — zapytał tonem niemal wyzwania.

Bez słowa Oliver wyciągnął do niego rękę. Sir John ujął ją skwapliwie.

— Znów będziemy sąsiadami — rzekł — i daję panu słowo, postaram się być lepszym sąsiadem niż w przeszłości.

— Zatem, panowie — rzekł Oliver, przenosząc wzrok z sir Johna na lorda Henryka — nie jestem już waszym więźniem.

— Niech się pan nie lęka wracać z nami do Anglii — odparł jego lordowska mość. — Królowa dowie się o wszystkim, na wszelki wypadek mamy Jaspera Leigha. Zaręczam panu przywrócenie do czci i majątku. Uważaj mnie pan za swego przyjaciela, sir Oliverze, proszę o to — i również wyciągnął prawicę. — Chodźcie, panowie, mamy, zdaje się, inne jeszcze obowiązki — zakończył.

Oliver i Rozamunda zostali sami. Długo spoglądali na siebie. Tyle było do wyjaśnienia, tyle pytań cisnęło się na usta, że ani jedno, ani drugie nie mogło znaleźć słów, by zacząć. Wreszcie Rozamunda wyciągnęła rękę.

— Mój drogi! — zamknęła w tych słowach wszystko, co było do powiedzenia.

Dwaj ciekawscy marynarze, kręcący się koło przedniego kasztelu i zaglądający przez olinowanie, zgorszyli się bardzo, widząc, jak dziedziczka zamku Godolphin rzuciła się w objęcia bosonogiego muzułmanina w turbanie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sabatini-sokol-morski/>

Tekst opracowany na podstawie: Rafael Sabatini, Sokół morski, tłum. Jan Biliński, Krajowa Agencja Wydawnicza, Rzeszów 1991.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Jakub Lenczuk, Kacper Kaczyński, Paulina Choromańska, Wojciech Kottwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.